



Judith Gould

Ta jedna chwila

Część pierwsza

PIĘKNA

*Piękno i strach są ze sobą nierozdzielnie związane.
Mają to samo źródło.*

Herbert Muschamp, „The New York Times”

Rozdział 1

South Chatham w stanie Nowy Jork

Valerie patrzyła z kamiennego tarasu, jak ostatnie promienie czerwonego słońca gasną nad wzgórzami. Chmury mieniły się odcieniami fioletu i różu, od delikatnego, pastelowego fiołkowego po głęboki pomarańczowy. Valerie uśmiechnęła się do siebie. Zachody słońca w Apple Hill zawsze były niezwykłym widowiskiem, a dziś natura przeszła samą siebie.

Ulokowała się wygodniej na wysłużonej leżance z drewna tekowego i leniwie wyciągnęła rękę, by pogłaskać drzemiącego Elvisa, kundla, na którego

wygląd złożyły się niezliczone rasy psich protoplastów. W gasnącym świetle połyskiwała jego szeroka, biała obroża, ozdobiona kryształami górskimi - prezent od Tami, sekretarki Valerie. Kiedy pani pogładziła jego kruczoczną sierść, jeszcze wilgotną po kąpieli w basenie, pies machnął ogonem, po czym znowu przysnął.

- Witaj, moja piękna - rozległ się za jej plecami głęboki baryton. - O czym myślisz?

Valerie poczuła na nagich ramionach dłonie Teddy'ego, ale nie oderwała wzroku od dalekich wzgórz.

- O niczym nie myślę - odrzekła. - Po prostu oglądam zachód słońca. Jest cudowny.

Delikatnie ją uściskał, a potem pochylił się i musnął ustami jej policzek.

- Zupełnie jak ty. Tak naprawdę to zamówiłem go specjalnie dla ciebie. W jego uwodzicielskim głosie brzmiała zapowiedź nadchodzącej nocy.

- Nie wątpiłam w to ani przez chwilę - powiedziała Valerie. Nagle uświadomiła sobie, że to prawda. Czasem wydawało jej się, że jeśli Teddy de Mornay coś sobie postanowi, to musi tak się stać. Nie dość, że był niewiarygodnie przystojny i nieprzyzwoicie bogaty, to jeszcze czarujący i powszechnie lubiany. Wszyscy - i kobiety, i mężczyźni - zgodnie podziwiali Teddy'ego de Mornaya. Uniosła głowę, by na niego spojrzeć.

- Gdzie byłeś? - spytała zdziwiona, bo choć się wytarł, nadal miał na sobie kąpielówki, podkreślające smukłą, muskularną sylwetkę. W jasnych, wypłowiałych na słońcu włosach widać było platynowe pasemka, w opalonej twarzy błyszcząły błękitne oczy.

- W kuchni - odrzekł. - Przygotowałem dla nas drinki. Hattie już kończy szykować kolację.

- To znaczy, że powinniśmy się przebrać do stołu. - Valerie westchnęła. Nie chciało jej się jeszcze ruszać z wygodnej leżanki.

- Chyba że zamierzasz jeść w bikini. - Teddy uśmiechnął się znacząco, odsłaniając idealnie równe, białe zęby.

- Miałam na myśli prawdziwe jedzenie. - Skarciła go żartobliwym pacnięciem w udo. - Zresztą i tak powinniśmy coś na siebie włożyć, robi się chłodniej. - Usiadła i spojrzała na niego. - A gdzie te drinki, które ponoć dla nas przygotowałeś?

- W oranżerii. - Przykucnął przy leżance, pochylił się i pocałował Valerie w czubek nosa. - Czekają w pełnej gotowości.

- Najpierw się przebierzmy - zaproponowała. - To zajmie mi tylko kilka minut, wezmę prysznic i narzucę coś szybciotko.

Teddy wyprostował się i wyciągnął rękę, pomagając Valerie wstać. Wzięła swoje klapki i ręcznik.

Elvis natychmiast się obudził. Wolno wstał i otrząsnął się z wody.

- Kto pierwszy do kabiny? - zawołała Valerie.

Nie dając Teddy'emu czasu na reakcję, wyrwała mu się i pomknęła po szarych, kamiennych płytach tarasu do porośniętej różami pergoli, zasłaniającej kabinę. Elvis gonił swą panią co sił w łapach, poszczekując radośnie. Teddy biegł nieco z tyłu, obserwując ją z uznaniem.

Przypomina piękną, zwinną gazelę, pomyślał z zadowoleniem. Nie mogłem lepiej wybrać.

Kiedy dobiegł do kabiny, Valerie już stała pod jednym z pryszniców. Drzwi zostawiła otwarte, na umywalce leżało niedbale zrzucone bikini, ręcznik spadł na podłogę. Nuciała, a właściwie jodłowała własną wersję piosenki „You Ain't Nothin' But a Hound Dog”. Elvis usiadł przed drzwiami i wył do wtóru, z pyskiem uniesionym ku niebu.

Teddy stał bez ruchu, przysłuchując się tej kakofonii. Początkowo zamierzał przyłączyć się do Valerie na małe igraszki przed kolacją, ale potem się rozmyślił.

Nie warto psuć zabawy jej i Elvisowi, uznał. Zresztą, chciał, by ta noc była wyjątkowa. Niezapomniana.

Poszedł do drugiej łazienki.

Wytrzyma jeszcze trochę.

Kiedy zdejmował kąpielówkę, rozsadzała go niemądra duma, że wykazał się tak nietypowym dla siebie opanowaniem.

To nie w moim stylu pomyślał. O, nie. Bo kiedy Teddy coś postanowi, to znaczy, że mu na tym zależy. A jeśli czegoś bardzo chce, po prostu to bierze.

Wszedł do kabiny wyłożonej płytkami w meksykańskim stylu, zamknął masywne, szklane drzwi, odkręcił wodę i namydlił się, z podnieceniem myśląc o nadchodzącym wieczorze.

Valerie nalala sobie martini z pokrytego rosą, srebrnego shakera, który stał na barku w oranżerii. Wrzuciła do kryształowego kieliszka cztery oliwki, potem jeszcze piątą. W martini najbardziej smakowały jej właśnie te nasączone ginem owoce. Uniosła szklaneczkę, przez chwilę podziwiała grę światła w trunku, po czym upiła łyk.

- Wspaniale! - westchnęła z zachwytem.

Usadowiła się wygodnie na jednej z miękkich, obszernych kanap, które stały w oranżerii. Szorstkie, białe płótno przyjemnie drapało jej skórę przez jedwabną bluzkę. Odstawiła martini na stolik obok, wyciągnęła ramiona nad głową i głęboko wciągnęła powietrze.

Miała za sobą ciężki tydzień w klinice weterynaryjnej, ale popołudnie spędzone w basenie i na rozpalonym tarasie, zakończone przed chwilą rzeźkim prysznicem, okazało się rewelacyjną terapią. Valerie czuła się teraz odprężona, zrelaksowana, wręcz beztraska. Co prawda w ten weekend miała dyżur, ale nie przewidywała żadnych większych problemów. Przed wyjściem z lecznicy przejrzała listę pacjentów: nie zanosiło się, by któreś zwierzę wymagało nagłej pomocy.

Choć to nigdy nie wiadomo, upomniała się w duchu, sięgając po kieliszek.

Jedno bowiem wiedziała doskonale: niby można wszystko zaplanować i przewidzieć, przygotować się na każdą ewentualność, alei tak, gdy człowiek już sądzi, że nic go nie zaskoczy, zdarza się nieoczekiwany wypadek i uderza grom z jasnego nieba.

Nie, nie będę dziś o tym myśleć, postanowiła. Dziś się odprężam i dobrze bawię.

- Ha! - zawołał Teddy, wchodząc do oranżerii. - Widzę, że jakaś niegrzeczna dziewczynka nie poczekała na mnie.

Przebrał się w nieskazitelnie czyste, idealnie wyprasowane lniane spodnie i spłowiałą, błękitną koszulkę polo w kolorze jego oczu. Jakimś cudem Teddy zawsze wyglądał bez zarzutu. Nawet aż za bardzo.

- Pewnie, że nie. Ten shaker był taki samotny... i taki kuszący.
-Uśmiechnęła się. - Zresztą, wiedziałam, że godzinami będziesz się moczył pod prysznicem. Jak zwykle.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Tak dobrze mnie znasz - powiedział.

Podszedł do barku, nalał sobie martini i dorzucił oliwkę. Potem usiadł obok Valerie i objął ją, przyciągając do siebie. Czule, pieśczośliwie muskał ustami jej policzek.

- Tak się cieszę, że mogłaś spędzić ze mną ten weekend. Cały weekend tylko we dwoje.

- Zapominasz o Elvisie - skarciła go, żartobliwie marszcząc brwi.

- Racja - poprawił się. - Tylko my dwoje i Elvis. Rozejrzał się po oranżerii.

- A gdzie jest ta paskudna bestia?

- Tylko nie paskudna - oburzyła się. - Może nie wygrałby konkursu

piękności, ale... hm... promienieje wewnętrznym pięknem.

Teddy pocałował ją w czubek nosa i uśmiechnął się kpiąco.

- Nie wątpię. I dziękuję, że mi to uświadomiłaś, ale gdzie jest ta promieniejąca wewnętrznym pięknem bestia?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo uciszył ją gestem ręki.

- Nie, czekaj... Niech zgadnę. - Teatralnym gestem uniósł dłoń do czoła.

- Mam przyływ natchnienia. Czyżby był...? Tak, jest... w kuchni razem z Hattie.

- Oczywiście, że siedzi w kuchni przy Hattie, głuptasie - roześmiała się Valerie. - Wie, gdzie dostanie smakowity kąsek.

Teddy znowu ją przytulił i pocałował w kark.

- Jak apetycznie pachniesz. Mógłbym cię zjeść. Valerie spojrzała na niego kątem oka.

- Może jednak zacznijmy od kolacji? - zaproponowała.

- A musimy? - szepnął, muskając ustami jej kark i ucho. Nagle przerwał, wyprostował się i sięgnął po kieliszek. Weź się w garść, stary, przywołał się do porządku. Pamiętaj, ta noc ma być niezapomniana. Dopił do końca martini i odstawił szklaneczkę. Potarł ręce i wstał.

- Następny? - spytał.

- Jeszcze nie, Teddy - odrzekła Valerie zaskoczona, że tak szybko opróżnił kieliszek.

Wyjął oliwkę, wrzucił ją do ust i podszedł do barku po dolewkę. Valerie bacznie mu się przyglądała.

To nie w stylu Teddy'ego, wycofać się w połowie, zastanawiała się, nieco zbity z tropu. Ciekawe, co mu się stało?

Niespokojnie przeczesła palcami rudawoblond włosy. Dołożyła starań, przygotowując się do kolacji, choć Teddy i tak potrzebował na to dwa razy więcej czasu niż ona. Wymodelowała włosy i zostawiła je rozpuszczone,

zamiast ściągnąć w kucyk albo spleść w warkocz, który zwykle nosiła do pracy. Potem zrobiła delikatny makijaż: kredka do oczu, tusz do rzęs, odrobina różu i szminka. Wreszcie ubrała się w przygotowaną wcześniej jedwabną, kremową bluzkę i także spodnie, włożyła drogie, skórzane sandały i dla podkreślenia efektu dodała do tego złote kolczyki, masywny złoty łańcuszek i złotą, miękką bransoletkę. Wszystko dla Teddy'ego.

Szczerze powiedziawszy, znacznie chętniej wskoczyłaby w stare dzinsy i koszulkę, nie zwracając sobie głowy fryzurą ani makijażem. Ale Teddy spodziewał się, że bez względu na czas i miejsce zawsze będzie wyglądała bez zarzutu, nieskazitelnie. Był zachwycony, gdy zachowywała się jak prawdziwa, elegancka dama. Ona zaś nie znosiła pełnego dezaprobaty spojrzenia Teddy'ego, gdy jej wygląd nie odpowiadał jego oczekiwaniom. Surowy mars, ściągnięte brwi i zaciśnięte w wąską kreskę usta - identyczną minę robiła jej matka, Marguerite, gdy nie odpowiadało jej coś w wyglądzie lub zachowaniu Valerie. I przez długie lata pod tym spojrzeniem Valerie traciła całe poczucie własnej wartości. Kiedy w college'u zaczęła chodzić z Teddym, była zaskoczona, gdy na jej nieco śmielsze pomysły odzieżowe reagował zupełnie jak Marguerite. I wtedy, i teraz bardzo starała się mu dogodzić, ale ostatnio coraz częściej nie przejmowała się jego opinią, zwracając uwagę na własne zadowolenie.

Teddy przyglądał jej się z namysłem, obracając w palcach kryształową szklaneczkę. Potem wypił łyk martini.

- Pięknie dziś wyglądasz. Po prostu zachwycająco.

Wszelkie wątpliwości i niepokoje Valerie zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.- Dziękuję, Teddy - odrzekła i nie była to tylko grzecznościowa formułka. - A ty jak zwykle prezentujesz się bez zarzutu.

Do oranżerii cicho weszła Hattie, a tuż za nią przydreptał Elvis, energicznie merdając ogonem i nie spuszczać z niej rozmarzonych oczu.

- Kolacja gotowa - oznajmiła. - W każdej chwili mogę podawać, Teddy.

- Dziękuję, Hattie - odparł. - Zaraz przejdziemy do jadalni. Gospodyni wyszła, a za nią w podskokach pobiegł Elvis, merdając ogonem.

- Hattie podbiła dziś przynajmniej jedno serce - zauważyła Valerie. - Ciekawe, jakimi pysznościami go raczyła.

- To były naprawdę wyjątkowe dania - zapewnił ją Teddy. - Wiem, bo sam układałem jadłospis.

- Naprawdę? A co to za święto?

- Ty. - Podniósł kieliszek w geście toastu. - Ja. - Wypił łyk. - My.

- Jesteś kochany, Teddy.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Podszedł do Valerie i znowu pocałował ją w czubek głowy. - Gotowa? Możemy przejść do jadalni?

Głęboko zajrzał jej w oczy. Skinęła głową. Wydawał się dziwnie podekscytowany... Nie, to nie było to.

Tylko co? - zastanawiała się Val. Można by to raczej nazwać lekkim niepokojem. Jakby... jakby coś ukrywał. Ale co?

- Konam z głodu - odezwała się pogodnie, odsuwając troski i obawy. - Po pływaniu zawsze mam wilczy apetyt.

- W takim razie dobrze trafiłaś. - Wyciągnął do niej rękę. - Postaramy się coś zrobić w tej sprawie.

Valerie ujęła jego dłoń i wstała. Teddy dopił martini, odstawił kieliszek na stół i razem przeszli do jadalni.

W stylowych kandelabrach płonęły aromatyczne świece, rzucając cienie na ściany. W migotliwym blasku sylwetki na starych, chińskich malowidłach ożywały, jakby postaci w tradycyjnych strojach postanowiły wziąć udział w dzisiejszym szczególnym wieczorze.

Valerie westchnęła, z przyjemnością wdychając intensywny zapach róż,

stojących na środku stołu w srebrnej wazie od Tiffany'ego. Hattie ułożyła kompozycję z pięknych, staroświeckich odmian o olbrzymich kwiatach: od pąsowych, przez różowe, do żółtych i kremowych.

- Wyglądasz na usatysfakcjonowaną - odezwał się Teddy. Valerie spojrzała na niego. Siedział na drugim końcu stołu, w jego oczach migotały płomyki świec i figlarne chochliki.

- Bo jestem - odparła z uśmiechem. - To absolutny błogostan. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam tyle pyszności. A ten deser...!

Gestem nieprzystającym damie poklepała się po brzuchu, po czym spojrzała na swój pusty talerzyk z delikatnej porcelany.

- Aż wierzyć się nie chce, że naprawdę wszystko to pochłonęłam.

- To specjalność Hattie - wyjaśnił Teddy. - *Boca negra*. Boskie ciasto z polewą z białej czekolady.

- Najlepsze, jakie w życiu jadłam.

- Wiem. To rodzaj tortu czekoladowego. Istny cartier wśród ciast, ale nie pozwalałam Hattie często go robić. Jest tak pyszny, że można się od niego uzależnić.

- Zapomniałam już, jak fantastycznie potrafi gotować Hattie. A jadalnia wygląda zachwycająco. Te kwiaty, świece, wszystko... -Objęła spojrzeniem pokój. - Chyba nigdy tu nie jedliśmy. Może dwa razy, kiedy podejmowałeś jakichś ważnych klientów. - Zawiesiła głos i popatrzyła na Teddy'ego. - Brakuje tylko Elvisa.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Martwisz się, bo został skazany na wygnanie do domku Hattie?

- Nnnieeee... - Potrząsnęła głową. - Ale mam nadzieję, że nie przekarmi go łakociami.

- Nic mu nie będzie - uspokoił ją Teddy. - Zależało mi, abyśmy ten wieczór spędzili tylko we dwoje. Zresztą, Hattie za nim przepada. - Znowu

popatrzył jej w oczy. -I przepada za tobą.

- Ja też ją lubię. A jej kuchnię wprost uwielbiam.

Val roześmiała się, ale umilkła, zauważywszy, że Teddy spoważniał.

- Powinnaś częściej tu bywać, to mogłabyś na co dzień rozkoszować się specjałami Hattie.

- Och, Teddy, wiesz, jaka jestem zajęta. Mam huk roboty w klinice, poza tym muszę zajmować się własnym domem... Cud, że w ogóle czasem udaje mi się wyrwać. U ciebie to wygląda inaczej. Dni powszednie spędzasz w mieście, a na weekendy możesz przyjeżdżać tutaj albo wyskoczyć do swojej kryjówki w górach, żeby polować czy łowić ryby. Ja w weekendy albo mam dyżur, albo muszę nadrabiać zaległości w domu, ogrodzie i ledwo ze wszystkim sobie radzę.

Teddy wstał i obszedł stół. Wysunął krzesło obok Valerie i usiadł przy niej. Obróciła się twarzą do niego, gdy ujął jej dłonie.

- Mógłbym znacznie ułatwić ci życie - oznajmił z powagą. W jego oczach płonął żar, jaki rzadko w nich widywała. Pojawiał się, ilekroć Teddy bardzo mocno czegoś pragnął. Poczwała się niezręcznie.

- Do... do czego zmierzasz, Teddy?

- Chyba wiesz.

- N-nie jestem pewna - wyjąkała.

Puścił jej dłonie i wstał. Z uroczystym wyrazem twarzy podszedł do mahoniowego bufetu i wyjął coś z olbrzymiej wazy, stojącej pośrodku.

Zaciekawiona Valerie przyglądała się temu w milczeniu. Teddy często bywał dość oficjalny, czasem nawet trochę napuszony, ale dziś zachowywał się wręcz ceremonialnie.

Co się dzieje? - zastanawiała się. Co on zamierza?

Ponownie usiadł obok niej i delikatnie ujął jej dłoń. Odchrząknął.

- M-mam coś dla ciebie - oświadczył.

- Dla mnie? - powtórzyła cicho. Czuła, że okazując podniecenie, zespułaby podniosła atmosferę tego... czegoś, co właśnie miało miejsce.

Skinął głową i wyciągnął rękę. Trzymał w niej małe, czarne pudełeczko. Nawet w słabym blasku świec Valerie widziała nazwę firmy jubilerskiej wytłoczoną na wieczku: *Bulgari*. I to charakterystyczne rzymskie „u”. Zabrakło jej powietrza i nie śmiała nawet odetchnąć. Myśli rozbiegły się i krążyły w szaleńczych kręgach. Nie wiedziała, co czuje, tak oszołomiła ją ta niezwykła chwila.

- Teddy... Teddy... - wykrztusiła wreszcie bez tchu. - Ale... ja...

- Ciii... - odezwał się uspokajającym tonem, ściskając ją za rękę. - Po prostu weź to, Val.

Włożył w jej szczupłą dłoń pudełeczko. Valerie zacisnęła je w palcach, nadal nie mogąc wydobyć słowa. Głęboko zaczerpnęła powietrza i jeszcze raz zerknęła na poważnego Teddy'ego. Potem drżącymi rękami uchyliła wieczko. Nastawiła się na blask jakiejś drogiej błyskotki, tymczasem w środku leżało kolejne pudełeczko, tym razem obciążone czarną skórą, na której, podobnie jak przedtem, było wytłoczone logo *Bulgari*.

Szybko otworzyła skórzane wieczko. Na widok pierścionka, spoczywającego w miękkim, beżowym zamszu, wyściełającym wnętrze westchnęła głośno. W blasku świec kamień migotał jak żywy, mieniając się cudownymi barwami złota.

- Och, wielki... Boże - wyjąkała. - Och... Teddy... Nie wiem, co... W jej oczach zalśniły łzy, mieniając się zupełnie jak oczko pierścionka. Teddy nie odrywał od niej wzroku. - Wystarczy, że powiesz jedno słowo, Val. Jedno maleńkie słówko.

Spojrzała na niego. Chciała zrobić to, o co prosił, ale nagle okazało się, że nie mogła wykrztusić właśnie tego jednego słowa, które tak pragnął usłyszeć. Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Proszę, Val, powiedz: „tak”. Po prostu powiedz: „tak”.

W głowie nadal miała chaos, nie wiedziała, jak zareagować. Teddy odsunął się i zajął jej w oczy.

- Możesz to zrobić - zachęcał, kiwając głową. - Nie musisz mówić: „Tak, Teddy, wyjdę za ciebie za mąż”. - Roześmiał się i połaskotał ją pod brodą. - Wystarczy, że powiesz: „tak”.

Była w siódmym niebie, ale także czuła się przyparta do muru. Nie posiadała się ze szczęścia, że jakiemuś mężczyźnie może tak bardzo na niej zależeć, a już zupełnie nie mieściło jej się w głowie, że tym mężczyzną jest ktoś taki jak Teddy de Mornay. Nigdy nie rozumiała, co właściwie w niej widział. Jednocześnie zaś gdzieś w głębi dręczyła ją świadomość, że jeśli się zwiąże z Teddym, obojgu im wyrządzi krzywdę. Instynkt ostrzegał ją, że coś tu jest nie tak, choć lubiła Teddy'ego, a może nawet kochała. W każdym razie kiedyś.

Błagam, Boże, pomóż mi, modliła się w duchu. Co robić?

Teddy zaglądał jej w oczy z taką powagą i miłością, że przywodził jej na myśl proszącego psiaka. Poczowała, że serce jej się ściska.

Co mu odpowiedzieć?

- Powiedz to, Val - zaklinał ją. - Albo chociaż skinij głową. Właśnie, to wystarczy. Skinij głową.

I posłuchała.

Głowa Val niemal wbrew jej woli wykonała ów gest przyzwolenia, zgody, o który tak prosił Teddy. Zgody, która mogła być kłamstwem; zgody, która pieczętowała klęskę jej niezależności.

Valerie ze łzami w oczach spojrzała na Teddy'ego. Pragnęła powiedzieć mu, że go kocha, ale sama nie była pewna, czy rzeczywiście darzy go miłością. Nie mogła wydusić z siebie tych dwóch słów.

Ale Teddy chwycił ją w ramiona i przyciągnął namiętnie do piersi,

całując jej szyję, oczy, a wreszcie usta. A potem scalał łzy, które spłynęły jej na policzki.

- Kocham cię, Val - szeptał. - Bardzo cię kocham! Pragnę, byś była najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Pragnę, byś stała się tylko moja.

Na dźwięk tego ostatniego słowa Valerie zeszywniała, ale nie odezwała się, licząc, że jej milczenie nie dotknie Teddy'ego, a jednocześnie nie będzie zgodą na jego żądanie.- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną pod słońcem. -Teddy uśmiechnął się promiennie, wypuszczając ją z objęć.

Jego radość była zaraźliwa.

- B-bardzo się cieszę, Teddy - odrzekła, również się uśmiechając.

- Podoba ci się?

- Czy mi się podoba? - Spojrzała na pierścionek. - To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam!

- Włóż go. Zobaczmy, jak wygląda na twoim palcu.

Valerie wyjęła pierścionek z miękkiej wyściółki i przytrzymała go między dwoma palcami. Ręka lekko jej drżała.

- Pozwól - powiedział Teddy. - Włożę ci go na palec. Wyciągnęła dłoń, starając się zapanować nad jej drżeniem, a Teddy wsunął jej pierścionek na palec. Poruszyła ręką, podziwiając refleksy światła w kamieniu. Choć nadal nękały ją wątpliwości, czy dobrze robi, wiążąc się z Teddym, brylant ją oczarował.

Jest naprawdę cudowny, myślała. O czymś takim nawet nie marzyła. Sama nawet chyba nie wybrałaby takiego cacka. Jeszcze raz poruszyła palcami, podziwiając grę światła. Ale przecież Teddy nie zadowoliliby się czymś przeciętnym. Zawsze musiał wyszukać coś niezwykłego, coś z najwyższej półki.

Spojrzała na niego.

- Po prostu brak mi słów, Teddy. To najpiękniejszy pierścionek, jaki w

życiu widziałam.

Uśmiechnął się niczym dumny z siebie chłopiec.

- Nie uważasz, że jest wulgarny? - zapytał, a potem się roześmiał.

- Może nieco za duży - odrzekła, również się śmiejąc.

- Wiesz, co myślę? Tylko ci, których nie stać na takie kamienie, uważają, że są wulgarnie. - Pochylił się nad Valerie, całując ją w czoło. -
Chodźmy do oranżerii na kawę i brandy, dobrze?

- Świetny pomysł.

Ujął ją za rękę i razem wyszli z jadalni. Teddy ani na moment nie wypuszczał Valerie z uścisku.

- Przyniosę kawę.

- Rozpieszczasz mnie, Teddy.

- Bo tak chcę.

Usadowiła się na obszernej, wygodnej kanapie i odprowadziła Teddy'ego wzrokiem. Słuchała jego kroków i na jej ustach pojawił się uśmiech. Znała to dumne stąpanie; świadczyło, że Teddy jest z siebie niezwykle zadowolony. Znowu spojrzała na pierścionek, oczarowana jego pięknem.

Boże, pomyślała, musiał kosztować majątek. Ciekawe, czy Teddy'ego naprawdę stać na taki klejnot.

Znowu ogarnął ją lekki niepokój. Teddy nigdy nie zwierzał jej się ze swoich interesów. Wiedziała, że odziedziczył pieniądze po rodzicach, a także czerpał duże dochody z wynajmu budynków tu, na prowincji. Nigdy jednak nie zdradzał jej szczegółów dotyczących pracy w Nowym Jorku. Wiedziała tylko, że spekulował na giełdzie i inwestował powierzone pieniądze.

Ilekcóż pytała o konkrety, zbywał to wzruszeniem ramion i tłumaczył, że szczegóły tylko by ją znudziły. Niekiedy zaś przechwalał się niezwykle intratnymi transakcjami, które zawarł w tym dniu czy tygodniu.

Początkowo Valerie była zaintrygowana ową tajemniczością: oto jedna z

wielu stron Teddy'ego, którą będzie musiała poznać. Ostatnio jednak taka powściągliwość niepokoiła ją i budziła podejrzenie: na tym etapie znajomości Teddy powinien być wobec niej bardziej szczery.

Westchnęła.

Nie chcę teraz o tym myśleć, powiedziała sobie. Zrzuciła sandaalki i podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na taras i basen. Wiatr wydymał zasłony i chyba zanosilo się na burzę.

Wyszła przez przeszklone drzwi na taras i spojrzała w niebo, po którym przetaczały się gęste chmury, to zakrywając, to odsłaniając tarczę księżyca w pełni. Potem przeniosła wzrok na basen, w którym przez chwilę odbijała się srebrzysta poświata, by za moment zniknąć.

Z wnętrza domu przyplęły dźwięki delikatnego, zmysłowego jazzu, którego wykonawcy Valerie nie znała. Potem otoczyły ją silne ramiona Teddy'ego. Ustami bładził po jej włosach, całował szyję.

- Wyglądasz tak pięknie w tej księżycowej poświacie.

Poczuła, jak mięknie pod jego delikatną pieśczołą. Uleganie mu było przyjemnością, nawet jeśli nie budził w niej pożądania. Odwróciła się do Teddy'ego, z zamkniętymi oczami zwracając ku niemu twarz, i natychmiast poczuła na ustach gorące pocałunki. Splotła dłonie na jego szyi, odpowiadając Teddy'emu pocałunkami i czerpiąc rozkosz ze świadomości, że budzi w nim takie pragnienie i żar.

Mocno przyciągnął ją do siebie i wodził rękami po jej plecach, obrysowywał dłońmi kształtne pośladki, gładząc je i przyciskając do siebie, by Valerie poczuła jego pożądanie. Jęknęła cicho i oparła mu głowę na ramieniu, mocno doń przywierając.- Jest ci przyjemnie? - wyszeptał. Skinęła głową.

- Noc jeszcze młoda - powiedział cicho. - Wypijmy najpierw kawę, a później chodźmy na górę. Zaraz potem.

Valerie znowu potakująco skinęła głową, ale tak naprawdę cudownie się

czuła wtulona w jego silne ciało i w ogóle nie myślała o kawie. Nie, chyba wolałaby pójść od razu do sypialni i wsunąć się z Teddym pod prześcieradła.

Odsunął się, wziął ją za rękę i bez słowa poprowadził do oranżerii. Na stoliku czekały już filiżanki z kawą i kieliszki z brandy.

Usiedli na kanapie, Teddy podał Valerie kawę.

- Dodałem śmietankę i cukier, tak jak lubisz.

- Dziękuję, Teddy.

Wypiła łyk. Właśnie taką kawę lubiła. Słodką, o bogatym aromacie. Była znacznie lepsza niż ta, którą piła u siebie w domu. Zerknęła na Teddy'ego - znów przyglądał się pierścionkowi.

- Jest przepiękny - powiedziała.

- Tak, rzeczywiście.

Odstawił filiżankę na spodeczek i objął Valerie, patrząc jej w oczy.

- Może ustalimy datę ślubu? - zaproponował. Natychmiast wpadła w popłoch.

O nie! Jak z tego wybrnąć?

Zajrzała do filiżanki, jakby tam kryła się odpowiedź na jego pytanie. Nie spodziewała się go, w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Wiedziała, że Teddy kiedyś będzie chciał się ożenić, założyć rodzinę, ale zawsze starannie unikała myśli o ślubie z nim i w ogóle o małżeństwie.

- Och, Teddy... - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Dzisiejszy wieczór był taki... Cóż, tyle się dziś wydarzyło. Możemy jeszcze trochę poczekać z wyznaczeniem daty? - Spojrzała mu w oczy. - Proszę...

- Jasne, skarbie. - Ucisnął jej ramię i uśmiechnął się pogodnie. - Poczekamy z tą rozmową. Dla ciebie wszystko. - Pocałował ją w usta. - Byle nie za długo. Zgoda?

Skinęła głową, uspokojona.

- Obiecuję. Nie za długo.

- Świetnie. - Sięgnął za jej plecami po kieliszek. - Napijesz się?
- Próbujesz mnie upić?
- Kto? Ja? Jasne, że tak.- W takim razie śmiało. Chcę się upić. Solidny, mocny drink dobrze mi zrobi. - Valerie nie żartowała.

Teddy podał jej kieliszek, a potem sięgnął po swój i podniósł w geście toastu.

- Za nas - powiedział.

- Za... nas - powtórzyła Val i wypła duży łyk brandy. Rozkoszowała się aromatem i smakiem alkoholu na języku. Po

chwili poczuła, jak całe jej ciało zalewa gorąco, a ona sama rozluźnia się i przestaje myśleć o nękających ją wątpliwościach. Zauważyła, że Teddy niemal jednym haustem opróżnił kieliszek. Odstawił go i skupił całą uwagę na niej, przez dłuższą chwilę z uśmiechem spoglądając jej w oczy.

- Co? - spytała.

- Nic - odrzekł, leniwie kręcąc głową. - Po prostu lubię na ciebie patrzeć, gdy tak wyglądasz. Jesteś wtedy taka... świeża. Promienna. Niewinna.

Teddy zawsze mówi dokładnie to, co chcę usłyszeć. A ja wtedy miękę jak wosk, pomyślała Val.

Wyjął jej z ręki kieliszek, odstawił go na stolik, potem przyciągnął ją do siebie. Wargami i językiem leniwie muskał jej policzki i szyję, aż wreszcie dotarł do ust i pocałował ją namiętnie.

Natychmiast zareagowała na pieszczotę, rozkoszując się tą chwilą. Odpowiadała pocałunkiem na pocałunek i wodziła dłońmi po muskularnych ramionach i plecach Teddy'ego.

Przesunął się i położył rękę na piersi Valerie. Najpierw delikatnie gładził ją palcami, potem mocno otoczył dłonią, a wreszcie pochylił nad nią głowę, przez cienki jedwab bluzki pieszcząc językiem sutek.

- Ooooch, Teddy - jęknęła Valerie.

Nie chciała już zwlekać, nie mogła się doczekać owej magicznej chwili, gdy poczuje go w sobie, a cały świat zniknie.

Teddy podniósł głowę i spojrzał na Valerie. Twarz mu płonęła, z trudem oddychał.

- Ach, Val - wyszeptał. - Jest tak cudownie. Chodźmy na górę, zgoda?

- Zgoda.

W mgnieniu oka zerwał się i wyciągnął rękę do Valerie. Ujęła ją, oparła mu głowę na ramieniu i mocno objęci wyszli z oranżerii.

Teddy klęczał między jej rozłożonymi udami. Valerie otworzyła oczy i nawet w słabym blasku świec widziała, jaką rozkosz sprawia mu pieszczenie jej najbardziej intymnych miejsc. Przeszył ją rozkoszny dreszcz oczekiwania.

Gdzieś w pobliżu zadudnił grzmot tak potężny, że dom zadrżał w posadach, lecz oni, pochłonięci sobą, nie zwrócili na to uwagi. Teddy wsunął się w nią, a Valerie głośno wciągnęła powietrze. Jej westchnienia zagłuszyło dudnienie ulewy. Wiatr łopotał w firankach zasłaniających przeszklone drzwi na balkon. Niektóre świece zgasły, ale kochankowie nie zareagowali.

Teddy zanurzał się, to znów wysuwał, by po chwili powtórnie w nią wejść, za każdym razem napierając coraz mocniej i gwałtowniej, aż drżała z niecierpliwości i pożądania. Głośno krzyknęła, gdy przeszył ją dreszcz rozkoszy. Wtedy Teddy natarł jak szalony, atakując z całej siły, aż wreszcie i z jego ust wyrwał się jęk.

Opadł na nią, otoczył ją ramionami i zasypywał lekkimi pocałunkami jej oczy i usta. Z trudem oddychał, czuła na sobie ciężar jego ciała. Z całej siły przywarła do niego, rozkoszując się tą chwilą i nie wypuszczając go z siebie.

Potem przetoczyli się na bok i leżeli zmęczeni. Valerie cieszyła się bliskością Teddy'ego, a on obejmował ją czule. Po chwili lekko się odsunął, by spojrzeć jej w oczy.

- To było cudowne - szepnął. - Od początku do końca doskonałe.

- O, tak. Po prostu raj, Teddy. - Westchnęła z zadowoleniem, gdy przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie.

Deszcz bębnił w okna i przeszklone drzwi. Teddy podniósł głowę i w końcu zauważył ulewę i wiatr, który szarpał długie, jedwabne zasłony.

- Powinienem wstać, pozamykać okna i drzwi - powiedział - ale nie chce mi się ruszać.

Wtulila się w niego.

- Więc nie wstawaj. Zostań tu, gdzie jesteś. To takie cudowne uczucie.

Zaczął całować ją z nowym zarem. Poczula, jak jego członek nabrzmiewa i znowu ją wypełnia. Jęknęła cicho, a Teddy zaczął leniwie poruszać biodrami. Z uśmiechem patrzył na rozplómiennioną twarz Valerie, ciesząc się władzą, jaką nad nią posiadał. Poruszał się delikatnie, wolno, wolniutko, bardzo powoli, póki z jej ust nie wyrwało się niemal bezgłośnie westchnienie. Wtedy przetoczył ich oboje, przygniatając ją swoim ciężarem, i znów zaczął się z nią drażnić, wysuwając...

Wtem rozległ się przenikliwy sygnał przypominający wycie alarmu samochodowego. Valerie poderwała się i usiadła na łóżku. Kiedy Teddy próbował znowu ją położyć, oświadczyła zdecydowanie:

- Nie, Teddy, to mój pager. Muszę...

Przykrył wargami jej usta, nie pozwalając dokończyć zdania, ale pokręciła głową.

- Nie - wykrztusiła, próbując się spod niego wydostać. - Puść mnie, Teddy! Puszczaj mnie, do diaska! Natychmiast!

Uwolnił ją niechętnie, a Val jednym susem dopadła do pagera. Sygnał pochodził z centrali, musiała oddzwonić. Chwyciła komórkę i otworzyła klapkę.

- Doktor Rochelle - powiedziała oficjalnym tonem.

Teddy przysłuchiwał się rozmowie z mieszaniną rozczarowania i

niesmaku. W końcu walnął pięścią w poduszkę, by rozładować narastające rozdrażnienie i złość. Potem zerwał się z łóżka i zaczął krążyć po pokoju, hałaśliwie zamykając drzwi i okna. Skończywszy, stanął w rozkroku, z rękami założonymi na piersi i zmierzył Valerie zirytowanym wzrokiem. Wreszcie odwrócił się i poszedł do łazienki, z hukiem zatrzaskując drzwi.

Skończywszy rozmowę z centralą kliniki, Val wystukała numer, który jej podano. Rozmówca odebrał po pierwszym sygnale.

- Doktor Rochelle - przedstawiła się.
- Pani doktor - usłyszała męski głos - tu Santo Ducci ze Stonelair.

Zachorował nam koń, tarza się z bólu, mogłaby pani na niego zerknąć?

- Będę za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.
- Bardzo dziękuję - odpowiedział mężczyzna.

Rozłączyła się i wrzuciła telefon do dużej, skórzanej torby lekarskiej, z którą nigdy się nie rozstawała. Podeszła do drzwi łazienki. Po chwili wahania zastukała.

Cisza. Zapukała mocniej.

- Teddy? Bardzo przepraszam, ale... Wiesz, jak to jest w moim zawodzie. - Nadal nie odpowiadał, więc zapukała jeszcze raz. - Teddy?

Już sięgała po klamkę, gdy drzwi same się otworzyły. Stał w łazience, nadal nagi... i taki przystojny. Usta rozciągnęły mu się w lekkim uśmiechu, odsłaniającym idealnie równe, białe zęby

- Chodź do mnie. - Wyciągnął ramiona.

Nim zdążyła cokolwiek zrobić, podszedł i przytulił ją do siebie.

- To ja przepraszam - szepnął. - Wiem, że nie powinienem tak się zachować, ale chciałem, by ten weekend był idealny. - Odsunął się i popatrzył jej w oczy. - Wybaczysz mi? - spytał tonem małego chłopca. - Proszę.

Nie pozostawało jej nic innego, tylko odpowiedzieć uśmiechem, choć uważała jego zachowanie za dziecinne i samolubne. Ale uodporniła się już na

fochy Teddy'ego. Był rozpuszczonym, bogatym chłopcem, który zawsze musiał postawić na swoim.

Pocałowała go w usta i potargała mu włosy.

- Zapomnijmy o tym. Ja też przepraszam, ale naprawdę muszę już jechać.

Podbiegła do szafy, wyciągnęła lewisy, koszulkę i biały fartuch lekarski. Rzuciła je na krzesło i wyjęła z komódki figi, stanik i skarpetki. Zaczęła się pospiesznie ubierać, a Teddy przyglądał jej się, stojąc obok.

- Co się stało? Czyjś kundel poronił czy co?

W jego głosie pobrzmiwała nutka sarkazmu, ale Valerie ją zignorowała.

- Zachorował koń w Stonelair - wyjaśniła spokojnie.

- W Stonelair? - powtórzył zaskoczony. - Chyba tam nie pojedziesz?

- Pojadę - odrzekła, sięgając do szafy po adidasy.

- Od kiedy to pracujesz dla tego narkotykowego bossa?

- Od dziś. Włożyła skarpetki.

- Chryste, Val! - zawołał ze złością Teddy. - Nie uważasz, że to odrobinę niemądre? A może nawet niebezpieczne? Co? - Oczy mu płonęły.

Valerie zawiązała sznurówki, wyprostowała się, chwyciła torbę i zarzuciła ją na ramię.

- Posłuchaj, Teddy - oświadczyła zdecydowanie. - Nic nie wiem o mieszkańcach Stonelair. Ty zresztą też. Wiem tylko, że jest tam koń, który potrzebuje pomocy. A ja muszę mu jej udzielić. To mój obowiązek jako weterynarza.

- A-ale... nawet nie wiesz, co tam się dzieje - protestował desperowany. - A nuż jest tam laboratorium, gdzie produkują narkotyki...

- Nie obchodzi mnie, co tam się dzieje - przerwała mu rozgniewana. -

W Stonelair zachorował koń i właśnie jadę do niego. Teraz, zaraz.

Ruszyła do drzwi, ale Teddy pobiegł za nią.

- Tylko jeden całus - poprosił, znowu słodki jak miód. Odwróciła się i dała mu się pocałować, ale po chwili go odepchnęła.

- Spieszę się, Teddy.

- Wiem, wiem... - odrzekł już bez protestów. - To jedź. No, już.

-Popędził ją żartobliwym klapssem.

- Val...? - zawołał, gdy Val była już na schodach.

Obejrzała się przez ramię. Teddy stał w drzwiach sypialni. Wysoki i barczysty, wypełniał sobą całą futrynę.

- Będę na ciebie czekał silny, zwarty i gotowy! - powiedział, spoglądając na nią znacząco.

- Ech, ty! - parsknęła śmiechem rozbrojona Valerie. Zbiegła na dół i zniknęła w strugach deszczu.

Rozdział 2

Pędziła jak szalona. Wytworna kolacja i sypialniane igraszki odpływały w przeszłość. Nie zwracała nawet uwagi na cudowny, miodowy brylant połyskujący na palcu. Liczyło się tylko jedno: jak najszybciej dotrzeć do Stonelair. Było po północy i nadal szalała nawałnica.

Prawie nic nie widząc przed sobą, brała kolejne zakręty wiejskiej drogi. Miała wrażenie, że mknie w czarną otchłań, którą tylko z rzadka rozcinały przerażające, oślepiające kreski błyskawic, odsłaniając na moment samotny dom czy stodołę, pogrążoną w nieziemskiej ciemności. Towarzyszące temu ogłuszające grzmoty sprawiały, że Valerie mimo woli podskakiwała z przerażenia.

- Rany - powiedziała na głos. - Zupełnie jakby rąbnęło mi w dach.

Nagle pożałowała, że nie wzięła Elvisa; z nim czułaby się pewniej.

Włączyła radio. Zawszeć to jakaś namiastka towarzystwa. Radio było nastawione na stację nadającą muzykę klasyczną i w samochodzie rozległy się dźwięki utworu fortepianowego Schuberta „Pstrąg”. Zaśmiała się nerwowo, myśląc, że schubertowskiemu pstrągowi ta pogoda zapewne by odpowiadała.

Ze wzgórz spływały gwałtowne strumienie wody, przecinając niekiedy szosę. Na szczęście solidny dżip bez trudu sobie z nimi radził. Pochylona nad kierownicą Valerie dodawała gazu, kierowana jedną myślą: jak najszybciej dotrzeć do Stonelair. Nie знаła chorego konia, ale jeśli wierzyć temu, co usłyszała przez telefon, liczyła się każda chwila.

Zwolniła, gdy reflektory wyłuskały z mroku zarys kamiennego muru, otaczającego starą posiadłość. Val rzadko zapuszczała się w ten odludny zakątek, ale pamiętała, że gdzieś tu powinna być brama z kutego żelaza.

Dlaczego ją zapamiętałam? - zastanawiała się. Może dlatego, że wyglądała tak groźnie i przytłaczająco, że niepotrzebna była tabliczka „Obcym wstęp zabroniony”.

- Proszę! - powiedziała na głos. - Oto i ona.

Właśnie mignęły jej z prawej strony żelazne pręty. Valerie ostro zahamowała, wpadła w lekki poślizg, wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się kilka metrów, dziękując opatrności, że nikt za nią nie jechał. Skręciła w ciemny podjazd, prowadzący do masywnych, kamiennych słupów, na których wisiała brama. Tamten mężczyzna powiedział, że zobaczy tabliczkę z przyciskiem domofonu. Jest! Zatrzymała się, odkręciła szybę i nacisnęła guzik. Rękaw fartucha lekarskiego natychmiast przemókł, a do samochodu wdarł się deszcz, rosząc policzki i włosy Val.

Męski głos zapytał, kto to.

A kogo jeszcze, u licha, spodziewacie się po północy? - pomyślała.

- Doktor Rochelle! - zawołała, przekrzykując odgłosy burzy.

- Kiedy dotrze pani do rozwidlenia, proszę pojechać drogą w lewo -

poinstruował bezosobowy głos. - Doprowadzi panią do stajni.

Głośnik umilkł, a brama powoli zaczęła się otwierać. W tym samym momencie Valerie zauważyła na kamiennych słupkach kamery wideo. Czarne obiektywy wpatrywały się w nią niczym kosmici w filmie science fiction.

Po kiego czorta im te bajery? - pomyślała ze zdziwieniem. Okoliczni hodowcy koni nie stosowali żadnych zabezpieczeń. A garstka właścicieli naprawdę cennych zwierząt ograniczała się do zamontowania systemu alarmowego w stajniach. Ale w końcu nie знаła mieszkańców Stonelair. Wiedziała tylko, że ktoś zapłacił ciężkie pieniądze za dużą, zrujnowaną posiadłość. Fama głosiła, że drugie tyle wyłożono na remont. Opustoszałe Stonelair - kosztowna zabawka, obciążona monstrualnym podatkiem oraz gigantycznymi kosztami utrzymania i ogrzania olbrzymich pomieszczeń - marniało, dopóki nie zjawili się nowi właściciele.

Oto kaprysy bogaczy, myślała Val, jadąc wąskim asfaltowym podjazdem. I ich paranoje!

Po obu stronach drogi rosły gęste, wysokie świerki i sosny, przed nimi zaś, przy samym poboczu, posadzono rododendrony. Jakies trzydzieści metrów dalej było rozwidlenie. Zgodnie z instrukcją skręciła w lewo. Droga w prawo prowadziła zapewne do rezydencji, a potem dalej, w głąb posiadłości.

Po minucie zobaczyła parking. Po lewej stronie dostrzegła zarys masywnego, chyba kamiennego budynku - to musiały być stajnie. Ostro zahamowała i wyłączyła silnik. Chwyciła podręczny sakwojaż, wyskoczyła z samochodu i podbiegła do bagażnika. Otworzyła go i wyjęła ciężki sakwojaż lekarski. Odwróciła się, chcąc pobiec do stajni.

- Boże! - przeraziła się nagle.

Na jej drodze wyrósł olbrzym. Pojawił się znikąd, bezszelestnie -a w każdym razie tak cicho, że jego kroki zostały zagłuszone przez deszcz i wiatr.

- Przepraszam. - Szybko odzyskała panowanie nad sobą. - Nie

słyszałam pana.

Najwyraźniej był to poczciwy olbrzym, bo trzymał nad głową parasol i rozkładał kolejny, by osłonić Valerie przed deszczem. Wzięła parasol, wdzięczna za troskę.

- Doktor Rochelle? - upewnił się mężczyzna. - Tak.

- Santo Ducci - przedstawił się, ale nie podał jej ręki. - Tędy. Ruchem głowy wskazał kierunek i bez słowa ruszył ku stajniom. Idąc obok, Valerie przyglądała się swemu co najmniej dziwnemu

towarzyszowi. Był ogolony na łyso, miał czarne wąsy i niewielką bródkę. W uchu połyskiwało mu złote kółko. Przywodził jej na myśl pirata z rysunków na środkach czyszczących z serii Mr. Proper. I tak też w duchu go nazwała. Mister Proper.

Ten człowiek składał się wyłącznie z potężnych mięśni. Ramiona i nogi jak solidne pniaki, ręce jak bochny, a tors - idealnie ukształtowany „kaloryferek”.

Oto ludzka wersja wozu terenowego, zakpiła w duchu, ale zaraz się zmitygowała. Ona sama też musiała wyglądać dziwnie: włosy przyklejone do czaszki, mokre dżinsy, koszulka i fartuch, kłapiące, kompletnie przemoczone buty.

Zatrzymali się przed stajnią. Ducci otworzył drzwi i przytrzymał je, przepuszczając Valerie. Weszła do luksusowo urządzonego gabinetu: ściany wykładane mahoniową boazerią, na podłodze wspaniałe dywan; do tego stylowe, skórzane kozetki i fotele oraz duży mahoniowy stół, pełniący funkcję biurka. Tylko komputer, drukarka, faks oraz szafki na dokumenty świadczyły, że jest to pomieszczenie z XXI wieku. Zamknęła parasol i włożyła go do starego, metalowego stojaka przy drzwiach.

- Którędy teraz? - spytała. Chciała jak najszybciej zbadać chorego konia.

- Tędy - wskazał drogę mężczyzna.

Przeszli do siodlarni. Na ścianach wisiały siodła, strzemiona, cugle, napierśniki, naszelniki, nachrapniki, wędzidła i wszelkie niezbędne akcesoria. Skóra i mosiądz lśniły, wszystko było wypolerowane i wypieszczone. Następnie weszli do właściwej stajni. Na pierwszy rzut oka Valerie obstawiała, że w nieskazitelnie czystym pomieszczeniu znajdowało się jakieś trzydzieści boksów, ale jej uwagę przykuły przede wszystkim wyraźnie podenerwowane i niespokojne zwierzęta.

Burza, wyjaśniła sobie. Boją się błyskawic i grzmotów.

Dopiero wtedy przez odgłosy burzy, szmer deszczu i nerwowe parskanie koni przedarło się rżenie cierpiącego zwierzęcia.

To tylko potęguje niepokój pozostałych, pomyślała.

Nie czekając na Ducciego, przyspieszyła kroku, idąc w kierunku tamtego odgłosu. Stała przy boksie i przez szparę w drzwiach zobaczyła cudownego araba, zapewne najczystszej krwi. Leżał na boku. Stajenni spętali go, aby nie zrobił sobie krzywdy. Koń wił się z bólu i był zlany potem.

Valerie postawiła na ziemi torby i już chciała wejść do boksu, gdy olbrzym złapał ją za ramię.

- Niech pani poczeka! - zawołał z niepokojem. - Zrobi pani krzywdę! Z natury jest bardzo nerwowy, a w tym stanie może być niebezpieczny. Nie lepiej najpierw dać mu jakiś zastrzyk uspokajający?

- Jest spętany, a ja mam pojęcie o swoim zawodzie - odrzekła spokojnie. - Proszę odejść i zostawić mnie z nim w spokoju na parę minut.

- Bo ja wiem... - zawahał się Ducci.

- Za to ja wiem doskonale. Nie chcę być nietaktowna, ale proszę mi wierzyć, wiem, co robię. Zechce pan tam poczekać... - Wskazała mu ławkę przy drzwiach do siodlarni. - Zawołam, gdy będę pana potrzebować.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak sobie pani chce.

Pozbywszy się go, Valerie skupiła uwagę na swoim pacjencie. Na drzwiach boksu wisiała mosiężna tabliczka z imieniem konia: Zwiastun Burzy.

Bardzo na czasie, pomyślała. Uchyliła drzwi i pewnie, ale spokojnie weszła do środka. Zatrzymała się i przez dłuższą chwilę tylko patrzyła na piękne zwierzę. Dopiero potem przyklękła, trzymając się z dala od jego zadu. Koń wyraźnie cierpiał. Zaczęła gładzić go po łbie i szeptać do niego łagodnie. Jednocześnie zaś uważnie mu się przyglądała, zastanawiając się, jakie może być źródło dolegliwości. Po tych oględzinach jeszcze przez minutę gładziła konia i rozmawiała z nim, dopiero potem wolno się wyprostowała i wniosła swoje torby. Ustawiła je obok zwierzęcia, potem znowu przyklękła, cały czas łagodnie przemawiając do ogiera. Właśnie otwierała sakwojaż, gdy niebo przecięła błyskawica i zadudnił grzmot. Lampy zamigotały, a potem zgasły, pograżając stajnię w ciemnościach. Konie nerwowo kręciły się w boksach, parskając i prychając.

- Pani doktor? - rozległ się głos Ducciego. Poklepała Zwiastuna Burzy po szyi.

- Tak?

- Nic się pani nie stało?

- Nic. Ma pan latarnię albo coś w tym rodzaju?

- Zaraz do pani przyjdę.

Słyszała, jak krążył, szukając po omacku.

- Spokojnie - szeptała, gładząc zadbaną, gładką sierść konia. - Wszystko będzie dobrze, staruszk. Ani się obejrzysz, gdy poczujesz się lepiej.

W pograżonej w mroku stajni minuty wlokły się w nieskończoność, ale wkrótce Valerie usłyszała kroki Ducciego.

- Już idę! - wołał.

Po chwili zjawił się w drzwiach boks, unosząc wysoko latarnię.

- Można ją na czymś zawiesić? - spytała Valerie. Umieścił latarnię na metalowym haku, wbitym w ścianę.

- Tutaj.

- Doskonale. Gdyby pan mógł, w bagażniku mam dodatkową apteczkę. Leży zaraz na wierzchu, z lewej strony. Zechciałby pan ją przynieść? I drugą latarnię też?

- Już się robi.

Wyczuł, że ta kobieta zna się na rzeczy. Odwrócił się i wyszedł, latarką oświetlając sobie drogę.

Valerie szperała w torbie, szukając właściwej ampułki. Potem namacała tętnicę na karku ogiera i wstrzyknęła mu rompun. Środek uspokajający szybko podziałał, koń się uspokoił, ułatwiając jej zadanie. Wrócił Ducci z apteczką i drugą latarnią. - Jest drugi hak? - spytała, nie podnosząc wzroku.

- Tam. - Wskazał ścianę na lewo od wejścia.

- Proszę tam zawiesić latarnię. A apteczkę niech pan postawi przy torbie.

- Mogę pani poświecić.

- Nie trzeba. Ja i Zwiastun Burzy lepiej sobie poradzimy, jeśli będziemy sami.

- Jak pani sobie życzy.

Położył apteczkę i zawiesił latarnię.

- Poczekać na panią? - spytał, zanim wyszedł.

- Nie trzeba. Jeśli ma pan jakieś zajęcia, proszę sobie nie przeszkadzać.

- Chwilę posiedzę w gabinecie. I muszę jeszcze coś sprawdzić w domu.

Nie odpowiedziała, tylko dalej uspokajająco szeptała do konia, przygotowując go na kolejny zastrzyk: tym razem środek przeciwbólowy, wstrzykiwany podobnie jak poprzedni do tętnicy szyjnej. Po podaniu leku przeciwbólowego należało chwilę odczekać, aż oba zastrzyki podziałają i

wspaniały wierzchowiec uspokoi się przed kolejnym zabiegiem.

Burza odeszła równie szybko, jak się pojawiła. Przebrzmiały ostatnie grzmoty, zwierzęta się uciszyły i zasnęły. Valerie cały czas gładziła Zwiastuna Burzy i szeptała kojące słowa, póki koń nie zapadł w sen. Dopiero wtedy wyjęła z torby potrzebny sprzęt i zabrała się do pracy. Przez nozdrze wsunęła mu do żołądka sondę. Przez nią wlała białą płynną parafinę, która miała podziałać rozluźniająco, zmniejszając bolesne skurcze. Valerie pracowała w ciszy, skupiona, nie odczuwając upływu czasu. Już kończyła, gdy nagle poczuła zimno na karku, a jej serce ścisnął dziwny niepokój.

Ktoś mnie obserwuje, pomyślała.

Poderwała głowę i rozejrzała się, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności stajni. Przysięgłaby, że widziała sylwetkę, błyskawicznie wycofującą się w mrok, ale pewności nie miała.

- Ducci? - spytała. - To pan?

Odpowiedziało jej milczenie. Po chwili Val potrząsnęła głową, jakby chciała odrzucić niespokojne myśli, i skupiła się na chorym zwierzęciu.

Pewnie to ta burza i brak prądu tak na mnie wpływa. Denerwuję się, zupełnie jak konie, tłumaczyła sobie, ale i tak głupio się czuła, bo zwykle burze czy też brak prądu nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Mieszkała na wsi, tutaj często się to zdarzało. A może to wpływ tego miejsca? Pierwsza wizyta w Stonelair. Wszystkie te głupie plotki o właścicielu. I ten olbrzym Ducci, w sumie całkiem nieszkodliwy facet. Właśnie, ciekawe, gdzie się podział?

Dopiero wtedy przyszło jej na myśl, że posiadłość, w którą wpakowano tak olbrzymie pieniądze - o czym świadczył choćby wygląd stajni - powinna mieć agregat albo zasilanie awaryjne.

Szybko uwinęła się przy chorym ogierze: zaaplikowała mu ostatnią porcję parafiny, a potem delikatnie wyjęła sondę. Jeszcze parę minut

posiedziała przy koniu, szepcząc do niego i delikatnie go głaszcząc.

Upewniwszy się, że dolegliwości zwierzęcia ustąpiły, podniosła się, zdjęła obie latarnie i postawiła je przed wejściem do boksu. Potem spakowała swoje torby.

Z głębi stajni zabłysło światło latarki i do Valerie podbiegł Ducci.

- Przepraszam. Próbowałem uruchomić zasilanie awaryjne, ale mi się nie udało.

- Nie szkodzi, już skończyłam.

- Co mu dolegało?

- Silna kolka. Podałam mu środek uspokajający i przeciwbólowy oraz płynną parafinę. Proszę mi dać znać, gdyby mu się do rana nie poprawiło.

- W porządku.

- Pomógłby mi pan zanieść te wszystkie rzeczy do samochodu?

-poprosiła.

Na ramieniu miała apteczkę, w rękach trzymała sakwojaż lekarski i ciężką torbę.

- Nie ma sprawy.

Ducci pochylił się, zgasił latarnie, po czym podniósł je wraz z ciężką apteczką.

- Proszę za mną - powiedział, oświetlając drogę latarką.

W gabinecie przepuścił ją pierwszą, przytrzymując drzwi. W pomieszczeniu płonęły świece, ale Valerie nawet się nie zatrzymała, tylko ruszyła prosto do wyjścia na zewnątrz.

- Pani doktor? - zawołał za nią Ducci.

- Tak? - Odwróciła się, pytająco unosząc brwi.

- Czek mam wypisać teraz czy...?

- Nie trzeba. - Potrząsnęła głową. - Klinika przyśle rachunek. Jeśli ma pan wizytówkę z danymi, niezbędnymi do jego wystawienia, chętnie wezmę.

Jutro zadzwonię, by się dowiedzieć, jak się czuje Zwiastun Burzy.- Doskonale - powiedział.

Podszedł do stołu, odstawił latarnie, otworzył drewniane pudełko i wyjął wizytówkę. Podał ją Valerie.

- Dziękuję. - Wrzuciła kartonik do torby.

Wróciła do dżipa. Ducci otworzył bagażnik. Włożyła do środka sakwojaż lekarski, mężczyzna zaś wstawił apteczkę i zatrzasnął klapę.

- Bardzo dziękuję, doktor Rochelle.

- Drobiazg. Proszę zaglądać do konia, ale raczej nic nie powinno mu już dolegać.

Podeszła do drzwiczek od strony kierowcy, wrzuciła do środka torbę, a potem wsiadła sama. Obejrzała się i dostrzegła w stajni smugę światła. Przesunęło się z gabinetu, przez siodlarnię, w głąb budynku, i zatrzymało gdzieś w okolicach boksu Zwiastuna Burzy.

Dziwne, pomyślała. Chyba ja i Santo nie byliśmy tam sami.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i skinęła na pożegnanie głową Ducciemu, stojącemu z parasolem na podjeździe. Wracając tą samą drogą, którą przyjechała, zastanawiała się, czy to właściciel przyszedł odwiedzić konia.

Ale po co ta tajemniczość? - pomyślała. Właśnie, czemu po prostu nie przyszedł i się nie przedstawił? Dlaczego gdy zajmowała się Zwiastunem Burzy, nie kręcił się w pobliżu, jak to zwykle robią właściciele chorego zwierzęcia?

Nie podobał się jej ów ktoś, kto nawet nie zajrzał do swojego chorego zwierzęcia i nie towarzyszył mu w trudnych chwilach podczas zabiegu.

Oślepił ją blask własnych reflektorów, odbijających się w bramie wjazdowej. Valerie nie zdążyła nawet pomyśleć, jak ją otworzyć, gdy oba skrzydła zaczęły się rozsuwać.

- Sezamie, otwórz się! - powiedziała na głos.

Wyjechała za bramę, a potem na szosę, biegnącą obok Stonelair.

Przedziwne miejsce, pomyślała. I ten Mr. Proper, olbrzym, na którego widok każdego przeszłyby ciarki. Burza, a potem mrok. Świadomość, że ktoś ją obserwuje.

Sięgnęła do gałki radia.

- Po tych przeżyciach przydałaby się muzyczka - powiedziała na głos. - Najchętniej jakiś głośny rock'n'roll.

Wszystko jedno co, dodała w myślach. Byle tylko pozbyć się tego upiornego wrażenia. Obserwował, jak Santo prowadzi ją do gabinetu, a potem wyszedł z pustego boksu naprzeciwko stanowiska Zwiastuna Burzy. Stał w drzwiach i popatrzył na konia, lecz nie mógł go dostrzec w mroku. Kiedy usłyszał, że Santo i ta kobieta są na zewnątrz przy samochodzie, udał się do gabinetu, wziął latarnię, zapalił ją i wrócił do chorego wierzchowca.

Otworzył drzwi i zawiesił latarnię. A potem, tak samo jak przedtem lekarka, przyklęknął i szeptał coś kojąco ogierowi, czule go przy tym głaszcząc. Wszystkie swoje zwierzęta traktował łagodnie - bo jakżeż by inaczej - ale pierwszy raz spotkał osobę, która tak skutecznie potrafiła uspokoić konia. Zwłaszcza tak nerwowego i narowistego jak Zwiastun Burzy.

Zupełnie jakby potrafiła nawiązać z nim kontakt. Cóż, to właściwie nic szczególnego, pomyślał. Lecz ta kobieta posiada chyba jakąś ukrytą moc. A może, uśmiechnął się, to zasługa tego ogromnego brylantu, w którym cudownie odbijało się nawet nędzne światło latarni?

- Może to ten kastet ma uzdrowicielską moc - szepnął mężczyzna do Zwiastuna Burzy.

Rozdział 3

Valerie zjechała z autostrady na drogę prowadzącą do kliniki weterynaryjnej. Mieściła się ona na wzgórzu, z którego latem rozciągał się widok na soczyście zielone lasy. Był chłodny poranek, nad ziemią wisiała mgła, na trawie drżały krople rosy, Valerie wiedziała jednak, że wkrótce mgła się rozproszy, a rosę wysuszą promienie słońca.

Zaparkowała samochód na swoim stałym miejscu na tyłach budynku i wyłączyła silnik. Choć był poniedziałek rano, czuła się dziwnie zmęczona. Zwykle początek tygodnia witała pełna energii i z błyszczącymi oczami zjawiała się w klinice, nie mogąc się doczekać, kiedy rozpocznie pracę. Ale nie dziś.

Nie mogła winić o to weekendowego dyżuru, ponieważ okazał się wyjątkowo spokojny: jedno wezwanie - do Stonelair - a poza tym tylko pięć czy sześć konsultacji telefonicznych w niedzielę. To weekend z Teddym tak ją wyczerpał, uznała. I bynajmniej nie chodziło o ich energochłonne poczynania w łóżku. Nie, to wysiłek psychiczny, jakiego wymagało od niej stawienie czoła Teddy'emu, sprawił, że teraz czuła się znużona, słaba i bezwolna. Do tego dochodziła jeszcze świadomość, że źle rozegrała całą sprawę, była zbyt miękka. Valerie powtarzała sobie, że to wyłącznie ona, nikt inny, odpowiada za swoje czyny, i teraz odnosiła wrażenie, że sama siebie zawiodła w ten weekend. Potężnie.

- Elvisie - zwróciła się do siedzącego obok ulubieńca - muszę wziąć się w garść. Przede mną pracowity tydzień, nie mogę sobie pozwolić na rozlazłość.

Pies spojrzał na nią i leniwie zamerdał ogonem. Val uśmiechnęła się, poklepała go po łbie, wrzuciła kluczyki do torby i wysiadła z dzipa. Przytrzymała drzwiczki, aby pies mógł za nią wyskoczyć. Pospieszyła do wejścia dla pracowników, a potem korytarzem ruszyła do recepcji, obok której mieścił się jej gabinet. Elvis podskakiwał u jej boku, jak zwykle uradowany

pobytem w swoim ulubionym miejscu.

Ledwo weszła do recepcji, gwar, który słyszała, idąc korytarzem, nagle ucichł. W pomieszczeniu zapanowała głucha cisza, a cztery głowy zwróciły się w jej kierunku: Daphne Collins i Charles Bradford -koledzy po fachu oraz Tami Reeves i Annie Wolsky, pracujące zamiennie jako sekretarki lub rejestratorki - spojrzeli na nią z uwagą.

- Proszę, proszę... - odezwał się wreszcie zimno Charles Bradford, właściciel kliniki. - Podobno byłeś w osławionym Stonelair.

Valerie potakująco skinęła głową.

- Czyli to prawda? - zawtórowała szefowi Daphne. - Nasza maleńka Val poznała tajemniczego pana Conrada.

Valerie uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi, choć zaskoczył ją nieskrywany sarkazm Daphne. Nie taki ton przyjmowała zazwyczaj w rozmowach z nią ta bardzo ładna, jasna blondynka. Valerie zawsze lubiła Daphne i sądziła, że koleżanka odwzajemnia jej sympatię. Nie przyjaźniły się zbyt blisko, ale ich stosunki od początku układały się bardzo serdecznie.

- Tak - odrzekła teraz spokojnie. - W sobotę w nocy zostałam wezwana do Stonelair. Wierzchowiec...

- Jak wyglądał? - przerwał Charles sucho, władczym tonem.

- Właśnie, Val - przyłączyła się Daphne. - Opowiedz nam o nim.

Nerwowym ruchem przeczesła palcami włosy i przestępowała z nogi na nogę. Najwyraźniej nie mogła się doczekać odpowiedzi koleżanki.

- Koń, arab... - zaczęła Valerie.

- Kogo by obchodził jakiś koń! - przerwała jej Daphne. - Opowiadaj o Conradzie.

Wszyscy się roześmiali, nawet zawsze opanowany i elegancki Charles Bradford, który rzadko reagował tak spontanicznie.

- Nie spotkałam go.

- Co?! - zawołały unізono trzy kobiety.

Nawet Charles wydawał się zaskoczony jej odpowiedzią. Zdjął okulary i zaczął czyścić je chusteczką, jakby przybrudzone szkła szkodziły mu na słuch.

- Przykro mi. - Val uśmiechnęła się i przepraszająco wzruszyła ramionami. - Holender! - zaklęła Daphne. - To znaczy, że nawet przez chwilę nie rozmawiałaś z Conradem?

- Nie. Czekał na mnie jego pracownik. Tylko z nim rozmawiałam.

- Ten umiejętniony byczek, o którym tyle opowiadają? - dociekała koleżanka.

Valerie potaknęła.

- Tak. Wygląda trochę jak Mister Proper.

- I nikogo poza tym nie widziałaś? - Charles nie ustępował. - Żywego ducha?

- Nikogo. Był tam tylko on.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie? - wypytywała Daphne. - Czy rzeczywiście... Bo słyszałam, że może napędzić człowiekowi stracha.

- Zachowywał się bardzo oficjalnie i grzecznie - odpowiedziała Valerie.

- Nie miałam zresztą czasu na pogawędkę. Rozumiesz, całą uwagę skupiałam na koniu i...

- A niech to... - narzekała koleżanka. - Jesteś do niczego, Val. Nie da się z ciebie wyciągnąć nic ciekawego.

Zabrzączał telefon. Odebrała Tami.

- Klinika weterynaryjna - odezwała się miłym, wyszkolonym głosem. Przez chwilę słuchała. - Proszę momencik poczekać.

Spojrzała na Valerie i z triumfalnym błyskiem w oku podała jej nad białym słuchawkę. Wszyscy znowu odwrócili się w jej stronę.

- Do doktor Rochelle. Dzwoni pan Santo Ducci ze Stonelair, na pierwszej linii.

- Odbiorę tutaj - oznajmiła Valerie.

Wyjątkowo wolała odebrać natychmiast, nie przełączając rozmowy do gabinetu. Niepokoiła się, czy Zwiastun Burzy nie poczuł się gorzej.

- Doktor Rochelle - powiedziała krótko.

- Dzień dobry, pani doktor - odezwał się olbrzym. - Tu Santo Ducci ze Stonelair.

- Słucham, panie Ducci. Czyżby jakieś problemy ze Zwiastunem Burzy? Jak się czuje?

- Czuje się doskonale - uspokoił mężczyzna. - Wszystko w porządku.

Nie ma żadnych problemów.

- Świetnie - odrzekła z ulgą Val.

- A dzwonię dlatego - podjął Ducci - że pan Conrad pragnąłby, żeby to pani zajmowała się wszystkimi naszymi zwierzętami tu, w Stonelair. Pani osobiście. W tym momencie Valerie poczuła na sobie spojrzenie czterech par oczu i pożałowała, że jednak nie odebrała telefonu w gabinecie.

- Bardzo mi to pochlebia, panie Ducci, ale nie jest to zgodne z zasadami obowiązującymi w naszej klinice. Zwykle dzielimy się obowiązkami po równo i zwierzętami opiekuje się ta osoba, która akurat ma dyżur lub jest wolna. Robimy wyjątki, ale musiałabym to uzgodnić z pozostałymi lekarzami.

- Rozumiem. Cóż, jestem przekonany, że gdyby pani zgodziła się zajmować naszym zwierzyńcem, pan Conrad sownie wynagrodziłby pani wysiłki - ciągnął Ducci. - Spodobało mu się pani podejście do Zwiastuna Burzy, a ponieważ mamy tu sporo zwierząt, pragnąłby przekazać je pod pani opiekę.

Valerie zorientowała się, że Ducciego - czy też Conrada - nie da się tak łatwo zbyć.

- Zobaczę, co da się zrobić, panie Ducci.

- Będę wdzięczny. Nie wątpię, że pani koledzy to zrozumieją. Skoro

klient życzy sobie, aby to pani opiekowała się jego zwierzętami...

- Muszę to omówić z kolegami. Oddzwonię do pana - zakończyła Valerie.

- Doskonale. Będę czekał na telefon.

- Zgoda.

- I jeszcze raz dziękuję, pani doktor.

- Drobiazg. - Upewniwszy się, że mężczyzna się rozłączył, oddała słuchawkę rejestratorce. - Dzięki, Tami.

Czuła na sobie pytające spojrzenia całej czwórki. Wreszcie po raz kolejny milczenie przerwał Charles Bradford.

- Dobrze zgaduję, że dzwonił ten podwładny Conrada? Skinęła głową.

- No i...? Czego chciał?

Przewiercał ją spojrzeniem chłodnych, szarych oczu. Valerie zawahała się, a potem postanowiła od razu mieć to za sobą.

- Powiedział, że chcę, abym podjęła się opieki nad zwierzętami w Stonelair.

- Ty osobiście? - upewniła się Daphne. - Nie klinika?

- Tak powiedział.

- Widać wpadłaś mu w oko - prychnął pogardliwie Charles Bradford.

Plasnął w udo kartami pacjentów i energicznie ruszył do gabinetu, aż powiewały za nim długie, siwe włosy. Valerie poczerwieniała z upokorzenia. - Co się stało? - spytała Daphne, widząc jej minę. - Czyżby Charles trafił w dziesiątkę?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i podobnie jak Charles pomaszerowała do swojego gabinetu.

Uwagę Annie nagle pochłonęły jakieś ważne papiery, ale Tami posłała Valerie pełne zrozumienia i współczucia spojrzenie.

Val miała ochotę wykrzyczeć swój gniew, ale tylko, z uszami płonącymi

z oburzenia, szybko naląła sobie kawy ze wspólnego ekspresu, po czym przeszła do gabinetu. Za nią podreptał Elvis. Zamknęła drzwi, a pies natychmiast umościł się na legowisku pod biurkiem i zapadł w drzemkę. Valerie rzuciła na blat ciężką torbę i opadła na krzesło.

Przywykła do złośliwości Charlesa, ale nie rozumiała, skąd ten nagły sarkazm Daphne.

Chryste, pomyślała, jak długo jeszcze mam znosić te fochy?

Wiedziała, że Charles się nastroszył, bo nie pierwszy już raz klienci prosili, by to Val, nie kto inny, leczyła ich zwierzęta. Ona zaś w takich wypadkach musiała znosić pełne urazy i zazdrości uwagi szefa.

Charles sam założył tę klinikę i dzięki niemu cieszyła się teraz doskonałą renomą. Valerie rozumiała, że miał prawo czuć się dumny ze swych osiągnięć, ale czy to dawało mu prawo do traktowania innych z góry? Upajał się swoją władzą i traktował Valerie jak przygłupią smarkulę, która zawsze musi mu ustępować. Może uznał, że ciesząca się coraz większą popularnością młoda lekarka zagraża jego pozycji? Do tej pory klinikę kojarzono przede wszystkim z jego osobą i nie chciał, by to się zmieniło.

Z Daphne sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Doktor Collins przeniosła się tu z południa zaledwie trzy lata temu, a jej przyjazdowi towarzyszyły wieści o jakimś romansie, zakończonym skandalem. Valerie nigdy się nie dowiedziała, ile było w nich prawdy, ale plotki stopniowo przygasły, a ich miejsce zastąpiły plotki o propozycjach, jakie czynił Daphne Charles. Młoda kobieta błyskawicznie stała się najcenniejszą pracownicą, bo Bradford zrobiłby wszystko, żeby się z nią przespać. Ponieważ Valerie szybko zbliżyła się z Daphne, nieraz widziała, jak koleżanka odrzuca awanse szefa. Zakładała, że tamta nic nie czuje do Charlesa; być może nadal leczyła rany po poprzednim związku. Ale choć łączyła je sympatia, Daphne niewiele mówiła o swoim życiu prywatnym. Przez te trzy lata jednak serdecznie się polubiły - tak

przynajmniej wydawało się Valerie. Lecz dzisiejsze zachowanie Daphne sprawiło, że musiała postawić przy tym znak zapytania.

- Cholera, cholera, cholera! - powtarzała wściekła.

Złośliwe ataki nie tylko ze strony Charlesa, ale i Daphne, tego już za wiele. Kiedy to wreszcie się skończy? - pytała się w duchu, choć doskonale знаła odpowiedź, przynajmniej teoretycznie. Kiedy otworzy własną klinikę i sama sobie będzie szefem.

Krótkie pukanie i drzwi się otworzyły, nim zdążyła odpowiedzieć.

- Proszę - odezwała się Tami, wyciągając rękę. - Nie wzięłaś dzisiejszego grafiku.

- Dzięki, Tami. - Valerie wzięła od niej kartkę.

- Drobiazg - odrzekła dziewczyna. Jeszcze raz zerknęła na nią z ciekawością i zniknęła za drzwiami.

Valerie wypiła łyk kawy i niewidzącym wzrokiem spojrzała na swój rozkład zajęć.

Nie mogę się skupić, pomyślała rozdrażniona. Dziś jej mechanizmy obronne nie działały, jak należy; złośliwe przytyki kolegów rozdrażniły ją bardziej niż zazwyczaj. Nagle niepokój i strach wzięły górę, Valerie napłynęły do oczu łzy, ale nie zamierzała się poddać bez walki.

Nie dam im tej satysfakcji, pomyślała.

Wszystko zaczęło się od weekendu z Teddym, od jego oświadczeń i jej idiotycznej reakcji. To wtedy pojawiły się niepokój i strach, a teraz przybierały na sile - tu, w miejscu, które zawsze traktowała jak swój azyl.

Ilekczo wyobrażała sobie pracę w klinice weterynaryjnej i opiekę nad zwierzętami, miała wizję przybytku spokoju, gdzie wszystkim przyświecał jeden cel: dobro podopiecznych. Nie spodziewała się intryg i walki o lepszą pozycję. A już prawdziwym szokiem była dla niej szorstkość, z jaką lekarze i pracownicy kliniki traktowali zwierzęta oraz ich właścicieli. Nie myślała też,

że całymi latami będzie musiała spłacać dziesięć tysięcy dolarów, które pożyczyła na studia.

Elvis warknął przez sen, więc podrapała go delikatnie.

Weź się w garść, upomniała się w duchu. Roztkliwienie się nad sobą nic nie da.

Wzięła grafik i wypła kawę. Dzień zapowiadał się pracowicie, co ją ucieszyło: nie będzie myśleć o kłopotach. Zadzwoił telefon i odruchowo sięgnęła po słuchawkę, nie odrywając oczu od planu zajęć.

- Halo - powiedziała.- Witaj, kochanie. - W słuchawce rozległ się starannie modulowany głos.

- Cześć, mammo.

Pożałowała, że nie uprzedziła Tami, by nie łączyła rozmów automatycznie, tylko najpierw pytała, czy Val odbierze telefon, i natychmiast zawstydziała się tej myśli.

- Jak minął weekend, kochanie? - spytała matka.

Cholera! - zakląła w duchu Val. Ciekawe, czy Teddy już się pochwalił i czy matka wie o pierścionku.

- Nieźle - odrzekła wymijająco.

- I to wszystko? - spytała matka z naciskiem. - Nieźle?

- Tak.

Nie da się już nikomu dziś sprowokować.

- Aha - Marguerite de la Rochelle umilkła na chwilę, po czym podjęła: - Dzwonię, by zaprosić dziś ciebie i Teddy'ego na kolację.

- Przecież jest poniedziałek, mammo. Teddy pojechał do...

W tej samej chwili przypomniała sobie, że wziął tydzień urlopu i nie wrócił do miasta.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć - skarciła ją Marguerite. -

Rozmawiałam z nim rano, do końca tygodnia zostanie w Apple Hill i może

przyjść na kolację.

Porozumieli się już, pomyślała ze ściśniętym sercem. Jak zwykle zawarli sojusz i nie zostawią jej w spokoju.

- Szkoda, że najpierw ze mną tego nie uzgodniłaś - powiedziała głośno.

- Mam dziś mnóstwo pracy, a wieczorem czeka na mnie w domu mnóstwo roboty.

- Jestem przekonana, że te sprawy, które czekają na ciebie w domeczku, mogą poczekać - zlekceważyła jej słowa Marguerite. -Bądź koło ósmej.

I rozłączyła się, nie dopuszczając córki do głosu.

Cholera, pomyślała Valerie, odkładając słuchawkę na widełki. Dlaczego jej na to pozwalam? Jak matka to robi, że przy niej zawsze czuję się jak niegrzeczne dziecko, które coś zbroiło? I dlaczego zawsze drwi z mojego domu? Domu, na który z takim wysiłkiem pracowałam?

Po raz drugi tego ranka miała ochotę płakać ze złości, ale zacisnęła zęby. Najchętniej udusiłaby tych dwoje: Teddy'ego i matkę. Oczywiście wyobraźni widziała już ten wieczór. Najpierw Marguerite zobaczy pierścionek i oczywiście będzie się nad nim rozplýwać i wychwalać Teddy'ego. Potem ci dwoje będą się śmiać i gawędzić jak para starych kochanków, plotkować o wspólnych przyjaciółach i znajomych, przekazywać sobie nowinki ze świata manhattańskiej arystokracji oraz okolicznej śmietanki towarzyskiej, by wreszcie całą uwagę skupić na Valerie.

Będą żądać wyznaczenia daty ślubu, namawiać, by sprzedała dom i przeprowadziła się do Teddy'ego, naciskać, by przyjęła propozycję Teddy'ego, który chciał spłacić długi Val i sfinansować jej klinikę. Będą ją osaczać, by zrezygnowała ze swej niezależności, którą z takim trudem sobie wywalczyła. A potem nawet się nie obejrzy, jak zaczną się domagać, aby urodziła dzieci, ograniczyła pracę, a w końcu zupełnie z niej zrezygnowała.

Nigdy, ani przez moment nie liczyli się z jej pragnieniami i uczuciami.

Nigdy nie pozwolili wyrazić własnego zdania, a jeśli nawet dopuścili ją do głosu, zbijali wszelkie argumenty, zupełnie jakby w ogóle się nie liczyła w tych skomplikowanych planach, które dla niej ułożyli.

Pewne sprawy nigdy się nie zmieniają, uświadomiła sobie Valerie. Już dorastając, czuła się outsiderem we własnej rodzinie. Marguerite była piękną i próżną kobietą, dla której liczyły się wyłącznie własny wygląd oraz zewnętrzny wizerunek rodziny de la Rochelle. Do tej pory nie mogła darować córce, że zrezygnowała ze szlacheckiego „de la” przed nazwiskiem, nie rozumiejąc, że Valerie zrobiła to, by uprościć sobie życie. Dla niektórych ludzi „Valerie de la Rochelle” brzmiało zbyt wyniośle i tworzyło barierę. Zresztą, myślała, nie żyjemy już w średniowieczu, gdzie takie tytuły miały znaczenie i o czymś świadczyły.

Matka była innego zdania. Dla niej rodzina de la Rochelle musiała stanowić wzór doskonałości - zawsze nienagannie się zachowywać i wyglądać. Miała być również postrzegana jako model zdrowych, szczęśliwych - idealnych! - relacji między jej członkami oraz przedstawicielami innych bogatych, starych rodów, w których kręgu się obracali.

Ale pod tym - i niemal pod każdym innym - względem Valerie stała się dla matki ciągłym pasmem rozczarowań. Notabene dla ojca również. Do końca życia mówił jednym głosem z Marguerite, tak samo jak obecnie czynił to Teddy. Armand de la Rochelle zawsze był nienagannie ubrany, nienagannie się zachowywał i nienagannie odgrywał rolę dziedzica fortuny. Tej, którą odziedziczył, i tej, którą zdobył, żeniąc się z równie bogatą Marguerite de Coligny.

Armand, podobnie jak żona, obsesyjnie dbał o pozory i aż do ostatniej chwili oszukiwał świat, że rodzina de la Rochelle jest pod każdym względem idealna, a wszyscy jej członkowie są piękni, elegancy, obdarzeni wrodzoną kulturą i smakiem.

Valerie gorąco kochała ojca i nadal opłakiwała jego śmierć, lecz nawet przez moment nie łudziła się, że odwzajemniał jej miłość. Był nią tak samo rozczarowany jak matka, powtarzał te same wyrzuty, co ona.

„Ależ kochanie, czemu wciąż siedzisz z nosem w książkach?”.

„Ależ kochanie, dlaczego nie chcesz się bawić ze swoimi rówieśnikami?”.

„Ależ kochanie, czy naprawdę musisz zajmować się tymi obrzydliwymi zwierzakami?”.

„Ależ kochanie, dlaczego się trochę nie zaokrąglisz? Te kościste łokcie i kolana są takie niepociągające, takie brzydkie!”.

Słyszała ich głosy, jakby to było wczoraj. Oboje - i matka, i ojciec - od pierwszych lat życia karcili ją i zawstydzali. Może nie chcieli być tak surowi, może pragnęli jej pomóc w dążeniu do doskonałości. Ale nawet jeśli tak, to osiągnęli efekt przeciwny do zamierzonego: Val zamknęła się w sobie i odcięła od wytwornego świata, który uważał ją za nieobytą, niezgrabną okularnicę, a do tego mola książkowego.

Pozbawiona przyjaciół, na każdym kroku karcona przez rodziców, szukała pociechy u zwierząt. Od najmłodszych lat przyjaźniła się ze swoimi ulubieńcami, bawiła się z nimi, ufała im, opowiadała o swoich radościach i smutkach, powierzała najgłębsze tajemnice i opiekowała się nimi, chociaż dorosłym wydawało się to dziwaczne. Potem zaczęła leczyć swoich pupili i każde chore zwierzę, jakie znalazła. Ptaki, psy, koty, nawet szopa i kure.

Przekonała się, że potrafi porozumieć się ze zwierzętami w sposób, który u wielu ludzi budził zdumienie, a czasem wręcz strach. Ukrywała tę umiejętność przed rodzicami, bo wiedziała, że i tego by nie pochwalali. Bardzo wczesnie postanowiła zostać weterynarzem, a jej wybór oczywiście nie spotkał się z entuzjazmem otoczenia.

Wszyscy oczekiwali, że gdy skończy „odpowiednie” szkoły, jej uroda

rozkwitnie, będzie śliczną panną na wydaniu i wreszcie wyjdzie za „odpowiedniego” mężczyznę. Jeśli już koniecznie chce pracować, niech wybierze sobie zajęcie odpowiednie dla kogoś o jej pozycji: komitet jakiejś organizacji dobroczynnej, może nawet zasiadanie w zarządzie spółki, ale musi być to odpowiednia firma: związana ze światem literatury bądź sztuki, nie trywialnego. Valerie skończyła więc „odpowiednie” szkoły i tuż przed śmiercią Armanda oficjalnie zadebiutowała w nowojorskim towarzystwie na swoim pierwszym balu. Wszystko, by zadowolić rodziców.

Mniej więcej w tym samym czasie dziewczyna wreszcie rozkwitła. Z niezgrabnego kaczątka, składającego się wyłącznie z kościstych łokci oraz kolan i pozbawionego biustu, powoli przeistoczyła się w łabędzia. Nagle zaczęli dostrzegać ją młodzi mężczyźni, lecz Val, która dzieciństwo i wczesną młodość spędziła samotnie, nie umiała flirtować z adoratorami. Nie potrafiła z nimi rozmawiać, absolutnie nie radziła sobie z komplementami i zdecydowanie bardziej wolała towarzystwo swojej menażerii, która rozumiała ją równie dobrze jak ona ją.

Kiedy pojawiło się pytanie, co robić po maturze, świeżo owdowiała Marguerite nalegała, by córka wybrała renomowaną uczelnię dla eleganckich panien albo - nawet chętniej - skończyła drogą szkołę w Szwajcarii. Ale Valerie po raz pierwszy się zbuntowała i zdała do Cornell, by przygotować się do studiów na weterynarii.

- W takim razie sama będziesz płacić za swoją naukę - oświadczyła Marguerite. - Mogłaś pojechać do Szwajcarii, przygotować się do roli żony, matki i wytwornej kobiety. Poznałabyś tam panny z taką samą pozycją, a potem znalazłabyś odpowiedniego kandydata na męża. Ale Cornell! Co za bzdura! Nie dostaniesz ode mnie ani grosza!

- Jakoś sobie poradzę - odparła Valerie.

I tak się stało. Pracowała na pół etatu, brała pożyczki studenckie. Nigdy,

ani razu o nic nie poprosiła matki, ta zaś nie proponowała pomocy. Nie była też łaskawa zaszczyścić swą obecnością uroczystości wręczenia dyplomów.

Teraz, siedząc w gabinecie, Valerie myślała, że Marguerite nie posiadałaby się z radości, widząc, jak fatalnie czuje się jej córka. Parsknęła śmiechem, rozbawiona tą sytuacją.

Cóż, postanowiła w duchu, nie zrobię jej tej przyjemności. O, nie. Osiągnęłam cel, który sobie wyznaczyłam. Jeśli przez to przebrnę, już nic nie będzie dla mnie straszne.

Pomyślała o Zwiastunie Burzy. Przypomniała sobie chorego ogiera: najpierw ogarniętego paniką i tarzającego się z bólu, zlanego potem i śmiertelnie przerażonego. A potem dzięki jej delikatności i pomocy uspokoił się i patrzył na nią z ufnością. Nadal czuła więź, która powstała między nimi, i to podnosiło ją na duchu. Nagle przypomniała sobie ukrytą w mroku sylwetkę człowieka, który obserwował, jak zajmowała się wierzchowcem. Czyżby to był Conrad? A jeśli tak, to czemu się ukrywał? Właśnie, dlaczego nikt w okolicy nie widział tajemniczego właściciela Stonelair, który kupił i odnowił posiadłość?

Nagle poczuła ściskanie w dołku; dziwne, drażniące wrażenie, którego nie potrafiła wyjaśnić. Gdzieś daleko odpływały myśli o dzisiejszej kolacji i nieprzyjemnych intrygach w klinice, a Valerie znów ogarnął niewytłumaczalny niepokój. To musiało mieć związek ze Stonelair, ale jaki? I dlaczego tak ją to nękało?

Rozdział 4

Wyndhym Ashley Conrad III z filiżanką kawy w jednej ręce i niezapalonym papierosem w drugiej krążył po bibliotece, wydeptując ścieżki w

spłowiąłym portugalskim dywanie. Czarna baseballówka tylko częściowo ukrywała długie, falujące, kruczoczarne włosy, za to całkowicie przysłaniała zamysłone, aksamitne, piwne oczy. Mężczyzna miał na sobie czarną bluzę treningową, podwinięte do łokci rękawy odsłaniały muskularne ręce i silne dłonie. Dopasowane w pasie spodnie dresowe z luźnymi nogawkami podkreślały jego płaski jak deska brzuch.

Każdy krok pana śledziły cztery wilczarze irlandzkie. Dwa szare ułożyły się na stylowych, oryginalnych skórzanych kanapach, stojących po obu stronach kominka z piaskowca. Pozostała para - jeden morełowaty, drugi brązowy - wyciągnęła się na dywanie przed kominkiem. Na ich pyskach malowały się jednocześnie oddanie i zaniepokojenie.

Wyna zmęczyła wreszcie ta bezsensowna wędrówka, opadł na podniszczony, skórzany fotel z wysokim zagłówkiem i spojrzał na Santa Ducciego, który siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Conrad wypił łyk kawy i skrzywił się. Już ostygła.

Wyrzucił do popielniczki papierosa, wstał i podszedł do stylowej, złoczonej konsoli. Podlał swoją kawę orchideę, stojącą na blacie, podszedł do barku ukrytego w ścianie przy kominku i nalał sobie świeżej z ekspresu, który tam stał. Potem wrócił na miejsce, popijając kawę. Nie zdążył jednak usiąść, gdy Santo odłożył słuchawkę i spojrzał na niego.

- To ta lekarka, tak? - spytał Wyn. Santo pokręcił głową.

- Nie.

W jego ogolonej czaszce odbijały się promienie słoneczne, wpadające do pokoju przez duże, przeszklone drzwi.

- Nie? - powtórzył rozdrażniony Wyn. Zmierzył Santa lodowatym wzrokiem, lecz olbrzym nie mógł dostrzec wyrazu jego oczu, bo zasłaniał je długi daszek baseballówki. - Nie mówiłem ci, żebyś zadzwonił do niej z samego rana?

- I telefonowałem - odparł spokojnie Ducci, zakładając ręce na piersiach, ani trochę niewzruszony irytacją szefa. - To kto inny.

- Och. - Wyn zmarszczył brwi. - W takim razie słucham, Santo. Co, do diaska, powiedziała ci ta kobieta?

- Dzielą się pacjentami - wyjaśnił Santo. - Tłumaczyła, że to nie jest zgodne z ich wewnętrznym regulaminem.

- Wewnętrzny regulamin? - wściekł się Wyn. - Co za bzdura! Santo wyciągnął rękę, uspokajając szefa.

- Wyluzuj się. Obiecała, że pogada z pozostałymi lekarzami i oddzwoni. Może da się to załatwić.

- W życiu nie słyszałem większego nonsensu.

- Tłumaczę ci: dzielą się pacjentami - perswadował Santo.

- A co to, do diaska, znaczy?

- Proste. Nie wybierasz sobie weterynarza. Przyjmuje cię ten lekarz, który akurat ma dyżur albo jest wolny.

- Idiotyzm! - ciskał się Wyn. - Nie żyjemy w państwie Trzeciego Świata.

- Być może, ale właśnie tak to wygląda w większości klinik.

- Cholera!

Wyn padł na staroświecki fotel z wysokim oparciem i energicznie odstawił kubek. Kawa rozlała się na wypolerowany blat z drewna orzechowego, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Dowiedz się, kto jest właścicielem tej pieprzonej kliniki - rozkazał, patrząc ostro na Ducciego.

- Właśnie to zrobiłem.

- I...? - dopytywał się niecierpliwie Wyn. Santo zerknął na bazgroły w notesie.

- Niejaki Charles Bradford, to zarazem jeden z lekarzy. Jest wła-

ścicielem i udzielnym władcą. Ta Rochelle pracuje u niego na etacie.

- Cholera - skrzywił się Wyn.

- Nie denerwuj się tak - próbował uspokoić szefa Santo. - Na pewno wszystko się ułoży. Obiecała, że pogada z pozostałymi lekarzami, czyli musi być zainteresowana, nie? Inaczej nie zawracałaby sobie głowy i od razu kazała mi spadać. - Szukał u Wyna choćby śladu zadowolenia.

Chryste, ten facet zachowuje się jak rozpuszczony, bogaty smarkacz, który musi zawsze postawić na swoim, pomyślał. Co gorsza, ostatnio już zupełnie świruje.

Mimo to Santo okazywał swemu pracodawcy wyrozumiałość. Gdyby to na niego zważyło się tyle, co na Wyna, nadawałby się wyłącznie do wariatkowa.

Wreszcie szef skinął głową.

- Chyba masz rację. Zadzwoń do niej i obiecaj - dodał po chwili namysłu - że jeśli się zgodzi, może liczyć na dodatkową gratyfikację. Premię, o której pozostali się nie dowiedzą.

- Skoro tak każesz...

- Tak każę - oświadczył Wyn z naciskiem.

Ale nim Santo zdążył sięgnąć po słuchawkę, telefon zadzwonił.

- Stonelair. - Olbrzym chwilę słuchał i powiedział: - Przepraszam, poczekaj moment.

Przerwał rozmowę i popatrzył na szefa.

- To Arielle.

Wyn pokręcił głową.

- Nie ma mnie. Ale przełącz na głośnik, żebym ją słyszał. Santo wcisnął właściwy klawisz i odłożył słuchawkę na widełki.

- Niestety, Arielle, w tym momencie nie może podejść.

- Kłamiesz, Santo.

Niski, zmysłowy, a teraz rozgniewany głos kobiety wypełnił pomieszczenie. Słyszając głos swojej byłej pani, wilczarze postawiły uszy.

- Nie, Arielle, nie kłamię.

- Ty, sukinsynu! - wściekła się. - Twój głos dobiega jak z pojemnika na śmieci. Przełączyłeś mnie na głośnik, żeby ten drań mógł słuchać!

Santo zerknął na Wyna, na którego ustach zagościł ironiczny uśmieszek.

- Chcę z nim rozmawiać! - krzyczała Arielle.

- Tłumaczyłem ci już - perswadował z anielską cierpliwością Santo - że nie może teraz podejść.

Kobieta na drugim końcu linii ciężko westchnęła, po czym kontynuowała spokojnym, równym głosem.

- Przekaż mu, że jeszcze nie dostałam comiesięcznych alimentów.

Spóźnia się, o czym zresztą doskonale wiesz. Dzwoniłam do Goldmana, jego sekretarka twierdzi, że czekam jeszcze do nich nie dotarł.

- Przekażę.

- Bądź tak uprzejmy - poleciła Arielle kwaśno. - I przy okazji przypomnij, że kancelaria Goldmana ciągle nie otrzymała podpisanych przez niego papierów rozwodowych.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Jasne, założę się, że nie - prychnęła.

Znów głęboko westchnęła, jakby uświadomiła sobie, że trzeba zmienić taktykę. Ostry, roszczeniowy ton do niczego nie prowadził, tak w postępowaniu z Santem, jak i z Wynem. W głosie Arielle pojawiła się bezbronna nutka biednej, skrzywdzonej kobietki.

- Och, Santo, proszę - zaczęła słodko. - Musisz mi pomóc. Tylko na ciebie mogę liczyć. Zupełnie nie wiem, co robić. Najpierw nie dotarły do mnie pieniądze, a teraz jeszcze okazuje się, że Wyn nie podpisał papierów rozwodowych.

- Zobaczą, co da się zrobić.

- Bardzo cię proszę, Santo - ciągnęła. - Wiesz, że nie mogę ruszyć ani grosza z tego, co na mnie przypada po podziale majątku, dopóki Wyn wszystkiego nie podpisze, a ja naprawdę strasznie potrzebuję tej forsy. Chryste, gdybyś wiedział... - Z jej gardła wydobył się szloch, kto wie, może nawet nieudawany. - Nie mam co włożyć do garnka.

Słyszając to, Wyn z trudem się opanował, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Wiedział, że Arielle prawdopodobnie domyślała się, że słuchał, ale nie chciał dać jej pewności. Choćby dlatego, że jej desperacja sprawiała mu niekłamaną przyjemność.

- Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie - żaliła się dalej. - Chcę po prostu zamknąć ten rozdział. Sądziłam, że jemu też na tym zależy. Najwyższy czas, by każde z nas poszło własną drogą i zaczęło od nowa. Wszyscy terapeuci to powtarzają. Taki stan nie służy żadnej ze stron.

- Rozumiem - powiedział Santo. Spojrzał na Wyna, na którego ustach pojawił się uśmiech satysfakcji.

Jemu naprawdę sprawia to przyjemność, pomyślał olbrzym. Kompletny świr. Odchrząknął.

- Zrobię, co w mojej mocy, Arielle.

- Błagam cię, Santo, spróbuj - zaklinała go. - W końcu my dwoje zawsze się przyjaźniliśmy, a teraz tak bardzo potrzebuję twojej pomocy. - Znowu głos jej się załamał. Czyżby to było prawdziwe? - pomyślał Wyn z rozbawieniem. A może talent aktorski Arielle rozkwitł nagle?

- O, Boże! - Teraz już szlochała na całego. - Gdybyś tu był! Dziś wyłączyli mi prąd. Do tego już doszło.

- Powiedziałem, Arielle - powtórzył Santo - zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję ci to.

- No to... dziękuję ci - zapiszczała jak mała dziewczynka. - Do

usłyszenia. Pa, pa.

Odłożyła słuchawkę, a Ducci wyłączył głośnik. W pokoju zapanowała cisza, przerywana jedynie dyszeniem psów. Nie trwała jednak długo.

- Ze wszystkich kobiet, które wtedy znałem -jęknął Wyn - musiałem wybrać akurat Arielle. Co za kpina!

Wybuchnął gorzkim śmiechem, który rozległ się echem w bibliotece. Santo odwrócił się i z niepokojem spojrział na Wyna, podobnie zresztą jak psy.

Wygląda jak szaleniec, pomyślał. Albo jak ktoś opętany.

Ostatnio coraz poważniej zaczął się obawiać, że jego pracodawca naprawdę postradał rozum. Odwrócił wzrok i popatrzył przez drzwi balkonowe na nieodległy basen. Nie chciał oglądać tej, jego zdaniem nienormalnej, reakcji. Czuł się dziwnie zażenowany i niespokojny.

Wreszcie Wyn przestał się śmiać, wstał z fotela i podszedł do konsoli. Na marmurowym blacie stało kilkanaście butelek: likiery, wino, woda sodowa, tonik i woda mineralna, a obok nich srebrny pojemnik na lód i kryształowe kieliszki różnych kształtów. Wybrał dużą szklanke, szczypcami wrzucił do niej parę kostek lodu i wlał wodę mineralną. Potem z ozdobnej srebrnej patery wziął plaster cytryny, wycisnął sok i wrzucił do szklanki. Owinął ją wykrochmaloną serwetką, których zapas codziennie uzupełniała jego gospodyni, Austriaczka Gerda. Dopiero wtedy spojrział na odwróconego plecami olbrzymia.

- Nie lubisz tego, prawda, Santo? - spytał, popijając wodę.

- Niby czego? - Santo ani drgnął.

- Tej rozwodowej gry podjazdowej. Pilnowania, by comiesięczne alimenty nie docierały na czas i tak dalej.

- To nie mój interes.

- No to niech to będzie twój interes. Powiedz, co o tym sądzisz? Santo odwrócił się i spojrział na szefa. Twarz Wyna niemal w całości zasłaniał daszek

baseballówki.- Cóż, ja na twoim miejscu po pierwsze, wysłałbym alimenty. Wiesz, że można to zrobić w każdej chwili. A po drugie, uważam, że najlepiej, gdybyś podpisał te dokumenty i wreszcie miał to z głowy. I tak już wydajesz majątek na prawników. Nic nie zyskujesz, przeciągając sprawę w nieskończoność.

- Przeciwnie, bardzo dużo zyskuję - odrzekł pogodnie Wyn.

- Niby co?

- To, że tę wredną sukę jeszcze bardziej zalewa żółć. Santo westchnął, wznosząc oczy ku niebu.

- No, tak... - przyznał. - Ale...

- Przymknij się, Santo. - Wyn leniwie sączył swoją wodę z cytryną. - Podpiszę dokumenty, jak uznam, że mam na to ochotę. A jej się spieszy, bo nie może się doczekać, kiedy dorwie się do swojej części majątku. - Podszedł do stolika, wziął z popielniczki niezapalonego papierosa i włożył go do ust.

- A nie może doczekać się tej forsy nie tylko dlatego, że jest pazerną suką, ale także dlatego, że chce wreszcie wziąć ślub z tym swoim latynoskim kochasiem z dużym ptaszkiem.

Santo ponownie usiadł za biurkiem Wyna.

- Przyznaj się: jesteś wkurzony i próbujesz jej dogryźć, bo znalazła sobie drugiego męża?

- Może - przyznał Wyn. - I jeszcze z tysiąca innych powodów.

- Mimo wszystko uważam, że powinieneś wreszcie odpuścić. Tak będzie najlepiej dla was obojga. Zamknąć ten rozdział. Zresztą, wiesz, że tak czy owak wyjdzie za tamtego gościa, nic na to nie poradzisz.

- Może. Ale chcę jeszcze trochę popatrzeć, jak się męczą. Uśmiechnął się tak szeroko, że Santo widział to nawet z drugiego końca pokoju.

- Ciekaw jestem, czy ten jej byczek będzie cierpliwie czekał, czy też poszuka sobie innych, lepszych pastwisk.

- A może oni naprawdę się kochają? - zapytał olbrzym.

- Litości, Santo - jęknął Wyn. - To parka rekinów, polujących na zdobycz i zastanawiających się, ile jeszcze można wycisnąć forsy. A co do ciebie, nie mogę się zdecydować, co jest większe: twoja brzydota czy naiwność. Miłość! - prychnął. - Światem rządzą seks i pieniądze. Miłość nie ma z nimi nic wspólnego. Nie zapominaj o tym.

Ducci wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem odchrząknął.

- Nie jestem brzydki.

- Tego... No... Źle się wyraziłem - powiedział szybko Wyn. - Miałem na myśli nie tyle brzydotę, ile groźny wygląd. Wyglądasz groźnie.

Santo się uśmiechnął.

- Groźnie... - powtórzył, smakując to słowo. - To mi się podoba. Taaa...

Z tym mogę żyć. Groźny.

- Na to liczę. To jeden z powodów, dla których cię zatrudniłem. - Wstał i przeciągnął się. - Która godzina?

Olbrzym spojrzał na złoty zegarek, prezent od szefa.

- Koło dziesiątej.

- Już czas - powiedział Wyn. Santo skinął głową.

- Zaraz wracam.

Podniósł się z fotela i wyszedł z pokoju. Wyn stanął przy drzwiach balkonowych i zapatrzonej w basen myślał o Arielle. Paddy, jeden z wilczarzy, zeskoczył z kanapy i cicho przysunął się do pana, trącając go w rękę. Wyn leniwie poglądził go po łbie.

- Może i jest piękna, Paddy - odezwał się zamyślony - co nie zmienia faktu, że to skończona suka. I dostanie za swoje... Wszystko, co tylko uda mi się jej zrobić. Zasłużyła sobie na to.

Do biblioteki wrócił Santo z czarną, skórzaną torbą. Postawił ją na biurku, otworzył i wyjął buteleczkę spirytusu oraz wyjałowiony wacik w

opakowaniu. Odłożył je, poszperał w torbie, po czym wyciągnął z niej ampułkę i zapakowaną jednorazową strzykawkę i igłę.

Wyn odwrócił się i przyglądał się, jak olbrzym zdziera folię ze strzykawki, a potem wbija igłę w ampułkę. Strzykawka napełniła się bezbarwnym płynem. Skończywszy, Santo spojrzął na stojącego w drzwiach balkonowych szefa.

Wyn podszedł do biurka i zsunął spodnie. Oparł się dłońmi o blat i pochylił. Drgnął, gdy chłodny alkohol dotknął jego pośladka, potem się rozluźnił. Poczul ukłucie igły. Chwilę czekał ze ściśniętym gardłem i zaraz przyszło. To niemal natychmiastowe - zawsze zdumiewało go, że wystarczyło parę sekund - uczucie, które go ogarniało, gdy narkotyk zaczął działać.

Już wyprostowując się, czuł, że odpływa. Podciągnął spodnie, a potem rozejrzał się po bibliotece, chłonąc piękno wyłożonego mahoniem pokoju. U jego boku wyrósł Santo. Na wargach Wyna pojawił się lekki uśmiech.

Zaczął wchodzić powoli po spiralnych schodach na galerię, otaczającą z trzech stron bibliotekę. Na górze pchnął drzwi ukryte w jednym z regałów i ruszył korytarzem do sypialni. Tuż za nim, krok w krok stąpał Santo, by się upewnić, że jego pracodawca bezpiecznie trafił do łóżka.

Jeszcze nim dotarli do mrocznego sanktuarium, Wyn poczuł, że ulatuje w powietrze, odrywa się od ziemi i tego świata niczym balon szybujący wysoko po niebie. Wzbijał się wysoko i zbliżał do cudownego miejsca, w którym nie ma bólu i nie daje o sobie znać brutalna rzeczywistość. Unosił się w powietrzu. Leciał...

Rozdział 5

Teddy siedział wygodnie z nogami na biurku w swoim gabinecie w

Apple Hill. Kiedy odłożył słuchawkę, w jego oczach pojawił się kpiący błysk. Szeroko się uśmiechnął, gdy rozległ się stukot obcasów i do gabinetu wkroczyła w czarno-białych szpilkach Lydia Parsons, sekretarka pracująca na pół etatu.

- Witaj, Lydio - powitał ją. - Jak się dziś miewasz? Odpowiedziała uśmiechem, odsłaniając duże, pożółkłe zęby. Jej

ufarbowane na płomiennorudy kolor włosy, skręcone w grube loki, były chyba utrwalone cementem.

- Doskonale, Teddy. - Zmrużyła oczy i popatrzyła na jego stopy oparte na blacie. - Widzę, że jeździłeś dziś konno.

- Zgadza się - stuknął obcasami kowbojskich butów.

- Cóż to za święto? - dopytywała się, bo wiedziała, że nie znosił koni.

- Och, znasz Val. Twierdzi, że stary Kaiser za mało się rusza i powinienem częściej na nim jeździć.

- Aha... Próbujesz oczarować swoją lubą, robiąc wszystko to, czego serdecznie nie znosisz.

- Mhm... - mruknął, choć sekretarka trafiła w sedno.

Próbował oczarować Valerie. Wstał rano, włożył wysłużone kowbojki i stare lewisy, po czym wybrał się na krótką przejażdżkę po okolicy. Było pięknie, ale każda minuta dłużyła mu się w nieskończoność i marzył, by wreszcie mieć to z głowy.

- Założę się, że w weekend nieźle się zabawiliście - podjęła Lydia, znacząco puszczając do niego oko.

- To też.- Świetnie - odparła - bo przed tobą pracowity tydzień.

- Co tam mamy?

Podeszła do biurka i sięgnęła po notatnik.

- Niech sprawdzę... Dziś czyszczenie basenu. Nic wielkiego. Zjawi się też ekipa ogrodników, zrobią porządek w ogrodzie i zajmą się tym dużym

klonem, w który uderzył piorun. Miał też wpaść malarz, żeby zrobić kosztorys renowacji pawilonu dla gości, ale z tym sukinsynem nigdy nie wiadomo. -

Posłała szefowi znaczące spojrzenie. - Mógł pójść w tango.

Teddy się roześmiał. Lydia znów spojrzała w notatki.

- Oprócz tego czeka sterta papierów do podpisania, trzeba pchnąć parę czeków, zrobić kilka przelewów...

- Dawaj to - powiedział Teddy z rozdrażnieniem. Bezceremonialnie wyrwał Lydii notatki, nie zauważając jej jaskrawofioletowych paznokci, ozdobionych złotymi gwiazdkami -kosztownego manikiuru, który zafundowała sobie w sobotę.

Z jedną ręką na biodrze Lydia przyglądała się, jak szef szybko przebiega wzrokiem listę zajęć i rzuca notatnik na biurko.

- Strasznie dużo głupiej roboty. A na domiar nieszczęść mam dziś jeszcze kolację u pani de la Rochelle.

- Cóż... - Sekretarka strzepnęła niewidoczny pyłek z bluzki w lamparcie cętki. - Właściwie wszystkie sprawy mogę załatwić sama, Teddy. Z wyjątkiem podpisania dokumentów. Zrobisz to później albo jutro. Nie musisz tu siedzieć.

Teddy zapatrzył się w przestrzeń, a potem zatrzymał wzrok na sekretarce, dopiero teraz tak naprawdę jej się przyglądając.

Wygląda jak maskara, pomyślał z pogardą. Ten straszny makijaż: błękitne cienie, koszmarna, krwistoczerwona szminka. Sztywne rude loki. I te ciuchy! Bluzka w lamparcie cętki, do tego spódnica w tygrysie pasy. Kilogramy tandetnej biżuterii. I jeszcze szpilki w biało-czarne pasy jak u zebry, ozdobione kokardkami w czarne cętki. Zbliży się do sześćdziesiątki, a udaje szesnastkę.

Ale zachował swoje spostrzeżenia dla siebie, nigdzie bowiem nie znalazłby takiego skarbu jak Lydia Parsons, która rewelacyjnie wszystko organizowała, знаła wszystkich w okolicy i była nieustraszona. Z każdego

potrafiła wycisnąć to, co chciała. A co najważniejsze, nie widziała poza nim świata. Wystarczyłby jeden jego gest, a wskoczyłaby mu do łóżka. Nie żeby Teddy tego pragnął. Nigdy w życiu.

- Mogłabyś zostać na gospodarstwie przez parę godzin? - spytał wreszcie. - Tak do drugiej. Lydia roześmiała się dobrodusznie i pochyliła nad biurkiem, odsłaniając parę centymetrów dekoltu.

- Jasne, nie ma sprawy. - Popatrzyła na niego wyrozumiale, konspiracyjnie. - Ten twój niesforny ptaszek nigdy nie potrafił spokojnie wysiedzieć w portkach, prawda, Teddy?

- A czemu miałbym go tam trzymać? - Wzruszył ramionami.

- Słusznie - zachichotała.

Wstał, pochylił się i mocno cmoknął ją w policzek.

- Jesteś prawdziwym aniołem - powiedział, klepiąc Lydię po krągłym pośladku.

- Za to ty diabłem w ludzkiej skórze - odparowała. - Ale i tak cię kocham.

- Do zobaczenia później - rzucił, idąc do samochodu.

- Taaa... Do zobaczenia.

Patrzyła przez okno, jak szef wskakuje do srebrnego jaguara i wyjeżdża z podwórka. Dach kabrioletu był opuszczony i wiatr rozwiewał jasne włosy Teddy'ego.

Ależ on jest piękny. Nie obraziłabym się, gdyby mnie wziął do łóżka, pomyślała Lydia. Wiedziała jednak, gdzie wyznaczyć granicę. Ona i Teddy doskonale się dogadywali. Wyłącznie interesy. A czasem, uznała roztropnie, lepiej zadowalać się tym, co jest. Zresztą, pomyślała z lubieżnym uśmiechem, mam Randy'ego, a to aż nadto dla jednej kobiety.

Spod kół jaguara prysnął żwir, gdy Teddy wyjechał z bocznej drogi na szosę. Od celu podróży - starego domku, który za wyjątkowo niski czynsz

wynajmowała od niego Tiffani Grant - dzieliło go zaledwie osiem kilometrów, ale Teddy się spieszył. W poniedziałek Tiffani nie pracowała, a on niewiele poniedziałków spędzał poza Nowym Jorkiem.

Kiedy zadzwonił do niej zaraz po powrocie z przejażdżki, podniosła słuchawkę dopiero po dłuższej chwili, wyraźnie zaspana. Oczyma wyobraźni widział Tiffani: w kusej seksownej koszulce albo jeszcze lepiej bez niczego, z prześcieradłem przykrywającym cudowne, pełne piersi, leżała, czekając na niego w ciepłym łóżku. Na samą myśl o tym czuł zdecydowany ruch w interesie. Wcisnął gaz do dechy.

Tuż przed skretem na piaszczystą drogę, prowadzącą do domku, przyhamował, potem zjechał z szosy i w chmurze pyłu pokonał ostatnie trzydzieści metrów. Okrążył park, przejechał przez trawnik i zaparkował tuż przy wejściu, tak aby z drogi nie było widać jego wozu. Choć cały ten teren należał do niego, nie chciał, by ktoś zauważył, że jaguar Teddy'ego podejrzenie długo tam stoi.

Lepiej nie dawać tym starym babsztylom z sąsiedztwa powodów do plotek, pomyślał. Wszystkie kobiety z okolicy uważały go za prawdziwego dżentelmena z klasą. Jednego z nielicznych przybyszów z miasta, który traktował tutejszych mieszkańców z należnym im szacunkiem.

Roześmiał się głośno. Gdyby znały prawdę! Uwielbiał tę swoją podwójną grę. Na tym polegał cały smaczek, bo Teddy'ego zawsze pociągało to, co zakazane. A seks sprawiał mu prawdziwą satysfakcję dopiero wtedy, gdy pojawiał się w nim element zakazanego owocu.

Wyskoczył z samochodu i wbiegł po drewnianych stopniach na werandę. Zastukał parę razy do tylnych drzwi, a kiedy dziewczyna natychmiast ich nie otworzyła, nacisnął klamkę.

Cholera! - zaklął w myślach. Zamknięte.

Ale nim zdążył przejść do drzwi frontowych, usłyszał, jak Tiffani

biegnie do niego przez kuchnię. Chwilę zmagala się z zamkami, wreszcie uchyliła drzwi i zmierzyła go ucieszonym wzrokiem.

- Teddy! - Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Wepchnął się do środka, chwycił dziewczynę i przyciągnął do siebie. Jej ponętne kształty przykrywał duży, różowy ręcznik, a długie rozjaśnione włosy były wilgotne po prysznicu.

- Cześć, Tiff- przywitał się Teddy, obejmując ją jeszcze mocniej.

- Czekaj, Teddy - spróbowała się wysunąć z jego ramion -jedną chwilkę.

Uniósł głowę i spojrzał na dziewczynę.

- Co się stało, kotku?

Znowu się uśmiechnęła, zatrzasnęła drzwi i szarpnęła ręcznik, który zsunął się na podłogę.

Teddy wodził oczami po jej nagim ciele od pełnych, kremowych piersi z różowymi brodawkami po jędrne, kremowe uda. Potem łakomie wbił wzrok w gładko wygolony trójkącik między nimi.

Tiffani zachichotała.

- Czekaj, Teddy - wykrztusiła. - Nie tutaj, chodźmy do sypialni. Szedł za nią szybko po wydeptanym linoleum kuchni, przez małą jadalnię i salonik, wreszcie korytarzem do jednej z dwóch sypialni, po drodze ściągając koszulkę polo. W sypialni błyskawicznie zrzucił kowbojki, rozpiął pasek i zdjął dżinsy, a potem cisnął je na buty.

Tiffani z uznaniem wpatrywała się w jego umięśniony, gładki tors i muskularną sylwetkę. Teddy tak bardzo różnił się od chłopaków, z którymi zwykle miała do czynienia. Był taki schludny, przystojny i umięśniony - ale jak przystało na mężczyznę, a nie napakowanego sterydami byczka. Większość facetów, z którymi przez ostatnie kilka lat chodziła do łóżka - a trudno by ich wszystkich zliczyć - należała do jednej z trzech grup: pierwsza to owłosieni,

brudni byli futboliści, którzy się zapaśli i wyhodowali sobie brzuchy od piwa; druga to niezgrabni, napaleni i niewyrobieni chłopcy ze wsi lub komiwojażerzy, którzy nie potrafili jej zaspokoić; trzecia wreszcie to kulturyści: owszem, było na czym zaczepić oko, lecz ich bardziej interesowali oni sami niż to, co mogła im zaoferować. W większości wypadków też seks wyglądał tak: raz-dwa, dziękujemy pani. Z tym że na ogół jej partnerzy zapominali o „dziękuję”. Dobrych kochanków - takich, którzy w równym stopniu pragnęli brać i dawać rozkosz - Tiffani mogła policzyć na palcach jednej ręki.

Teddy tak bardzo różnił się od innych. Jak zauroczona wpatrywała się w niego, gdy zaczął zsuwać bokserki, ale zaraz powstrzymała go ruchem ręki i znaczącym spojrzeniem. Uklękła przed nim i zaczęła ściągać spodenki, najpierw unosząc głowę, a potem z rewerencją patrząc przed siebie na wspaniałą nagrodę, jaką odsłoniła.

- Aaaach -jęknął Teddy, napierając na nią całym ciałem. - Tiff, bo zaraz nie wytrzymam.

Podniosła się z kolan. Teddy ujął obie jej piersi i zaczął je pieścić, bawiąc się brodawkami. Potem opuścił rękę, wsuwając dłoń między uda dziewczyny, rozkoszując się jej wilgotnym z podniecenia wnętrzem.

Tiffani przeszył dreszcz rozkoszy.

- Och, tak... proszę, Teddy - jęczała. - Błagam.

Nie mogąc dłużej nad sobą zapanować, Teddy pchnął ją na łóżko. Oboje płonęli z pożądania, Teddy nacierał jak oszalały, Tiffani zaś odpowiadała z takim samym zapamiętaniem. Skończyło się niemal tak szybko, jak się zaczęło. Teddy z jękiem runął na Tiffani, szczytując, ona zaś wiała się pod nim, krzycząc z rozkoszy, gdy przeszywały ją kolejne fale orgazmu.

Po chwili zsunął się z niej i ułożył na wznak. Oboje ciężko dyszeli. Kiedy wreszcie Tiffani odzyskała mowę, przewróciła się na bok i pocałowała

go w policzek.

- Możesz trochę zostać? - spytała.
- Jeszcze z godzinę, a czemu pytasz? Przygotowałaś coś dla mnie?
- Może - zachichotała Tiffani.

Usiadła na łóżku i odwracając się plecami do kochanka, sięgnęła do szafki nocnej. Chwilę szukała w szufladzie, a gdy znowu odwróciła się twarzą do niego, w rękę trzymała ampułkę z białym proszkiem. Do ampułki była dołączona mała, metalowa łyżeczka.

- Patrz, co mam - pochwaliła się, machając ampułką. Teddy nie mógł oderwać oczu od białego proszku.

- Fiu, złotko! - Usiadł na łóżku. - Wygrałaś na loterii czy co? W brązowych oczach Tiffani tańczył figlarny chochlik.

- Coś w tym stylu.

- Powiedz - nalegał. - Jak to skombinowałaś? Przecież widzę, że to nie mój towar.

Umościła się wygodnie na łóżku.

- Podarował mi to mały ptaszek - drażniła się z nim.

- Nie bądź taka, Tiff. Skąd?

- Pamiętasz ten bar, gdzie kiedyś pracowałam?

Skinął głową. Lokalna mordownia, do której chodziło towarzystwo między dwudziestką a czterdziestką, na ogół tuż po rozwodzie albo tuż przed, większość urzędnicy.

- No więc wpadłam tam któregoś wieczoru na drinka. I spotkałam znajomka, był stałym klientem, kiedy tam pracowałam. Dał mi to.

- Jak to? Po prostu ci dał? - spytał z niedowierzaniem Teddy.

Przyglądała mu się przez chwilę.

- A czemu nie? Przyjaźniliśmy się kiedyś. Tak jakby. Chyba nie jesteś zazdrosny, co?

- Skąd - odparł, układając się przy niej. - Co za głupota. Czemu miałbym być zazdrosny?

- Och, bo ja wiem? - przekomarzała się z nim. - Nagle straciłeś dobry humor.

- Coś ci się przywidziało, Tiff. Ale przyznaj, że to się nie trzyma kupy. Gość po prostu daje ci kokę wartą parę stów. Nie mów, że nie zażądał niczego w zamian.

- Jeśli tak sądzisz, to się mylisz. Jest dla mnie miły, bo kiedyś podsyłałam mu panienki. Zresztą, nie narzeka na brak towaru, jest dilerem.

W oczach Teddy'ego błysnęło rozbawienie; wybuchnął śmiechem.

- Interesujących masz znajomych, Tiff.

- Owszem.

Usiadła, otworzyła ampułkę i ostrożnie, by nie rozsypać, nabrała na łyżeczkę trochę kokainy.

- Chcesz trochę?

Teddy podparł się na łokciu, a gdy Tiffani podsunęła mu pod nos szpatułkę, głęboko się zaciągnął.

Potem ułożył się na wznak i patrzył, jak wciągnęła swoją porcję i zakręciła ampułkę. Wstała z łóżka i obejrzała się na Teddy'ego.

- Zaraz wracam.

Odprowadził ją wzrokiem do łazienki.

Niesamowita figura, pomyślał z uznaniem.

Zawsze go podniecała, choć nie grzeszyła zbyt dużą inteligencją. A właściwie była skończoną idiotką. Ale co z tego?

Do seksu nadawała się idealnie. Lubiała też igraszki z pieprzykiem. Tak więc stanowiła typowy owoc zakazany - nie to pochodzenie, za ostry makijaż, szopa zamiast włosów, tandetne, wyzywające ciuchy. Kompletnie do niego nie pasowała, a zarazem pasowała idealnie. Mniej więcej tak musiała wyglądać

Lydia czterdzieści lat temu. Tyle że Lydia była inteligentna. A poza tym...
Cóż, Tiffani bawiła go tylko w łóżku. Ale przecież tylko tego od niej oczekiwał.

Wróciła do sypialni. Wsunęła się do łóżka i położyła mu rękę na torsie.

- Coś nagle taki milczący? Zmęczony, skarbie?

- Miałem ciężki weekend.

- Aha. Twoja doktorka przeleciała cię w tę i z powrotem?

- Nie - odparł, rozdrażniony, że wspomniała o Valerie. - Wczoraj wczesnie położyła się spać, bo w sobotę prawie nie zmrużyła oka. I to nie zgadniesz, przez kogo? Twój szef wezwał ją do Stonelair.

Podniosła głowę.

- Żartujesz, poważnie?

- Poważnie.

- I co o nim mówiła?

- Nic. Nawet go nie widziała. Tylko tego mięśniaka, który u niego pracuje.

- Boże. - Dziewczyna się wzdrygnęła. - Ten gość to świrus. Panicznie się go boję. Ale samo to miejsce wystarczy, żeby człowiek umarł ze strachu.

- Dlaczego? - spytał Teddy, właściwie nieciekawym odpowiedzi.

-Przecież to głupie.

- Wcale nie! - zaperzyła się Tiffani. - Pracuję tam dorywczo, od kiedy Conrad kupił Stonelair, czyli od trzech lat. Od roku tam mieszka i wiesz, co? Ani razu go nie widziałam. Właściciela! Chyba że liczyć ten jeden raz, kiedy mi się wydawało, że stał w oknie.- Jak wyglądał? - spytał leniwie Teddy.

Kokaina powoli zaczynała działać.

- A skąd mam wiedzieć? Wiem tylko, że to był jakiś facet. Nie Santo, bo jego bym poznała.

Ułożyła się na poduszce i wodziła palcem po klatce piersiowej

Teddy'ego.

- I wiesz, co jeszcze?

- Co? - spytał na odczepnego.

- Nigdy nie byłam w środku. Znam tylko gabinet w stajni. A ten okropny Santo nadawałby się na strażnika więziennego. Nigdy nie widziałam tam nikogo oprócz niego i tego wrednego Helmuta. No i jeszcze czasem spotykam jego żonę.

- Czyją?

- Helmuta Reinharda - wyjaśniła. - On i ta jego szurnięta żona, Gerda, mieszkają tam. Sprowadzili się, kiedy Conrad kupił Stonelair. Tak w każdym razie przypuszczam. - Palcami przeczesła mu włosy. - Helmut zajmuje się końmi, a jego żona gotuje i sprząta. Oboje prawie się nie odzywają, mówię ci: żywe trupy. Zupełnie jak zombi.

- Aha. No i co z tego? - spytał Teddy.

- Tylko pomyśl, Teddy. Masz Santa, olbrzyma z cyrku rodem, ogolonego na łyso, z kolczykami i tatuażami. Masz niewidzialnego Conrada, a do kompletu jest para zombi: Gerda i Helmut. Nie pracujesz tam, to nie wiesz, jakie to upiorne. - Umilkła i spojrzała na niego nadąsana. - Ale wiesz, co jest najgorsze? Okropnie mnie traktują. Nie dostrzegają mnie. Zupełnie jakbym była śmieciem.

- Nie przejmuj się, Tiff - powiedział, biorąc jej dłoń i kładąc sobie na piersi. - Pewnie Conrad krótko ich trzyma. Pewnie nie chce, żeby służba za dobrze się znała. Kolejny bogaty świrus, któremu forsa uderzyła do głowy - ciągnął, wsuwając rękę między jej uda.

- Wszyscy mówią, że ty też jesteś bogaty, Teddy.

- He? Jakoś sobie radzę. - Zmarszczył brwi. - Niestety, na pewno nie mam tyle forsy co ten gość. Ale ja nie handluję narkotykami ani nie wchodzę w konszachty z mafią, czy co on tam robi.

- Nie rozumiem, dlaczego jest taki tajemniczy? - zastanawiała się Tiffani.

- Pewnie nie chce, żebyś zobaczyła te wszystkie laski, które trzyma w piwniczce - powiedział z lubieżnym uśmiechem. - A każda tylko czeka, żeby spełniać jego zachcianki.

- Nie, tego nie kupię. Ale podejrzewam, że tobie by to odpowiadało. - Tiffani zachichotała. - Poważnie, Teddy, od samego myślenia przechodzą mnie ciarki. A ta forsa. W życiu nie widziałam, żeby tyle forsy przychodziło i wychodziło z jednego miejsca. W pale się nie mieści, że można mieć tyle kasy. A te konie? Niektóre są warte majątek. Ale wiesz co?

- Co? - wykrztusił Teddy, którego ten temat kompletnie przestał teraz interesować.

- Nigdy nie widziałam, żeby dosiadł któregoś z nich. On ani nikt inny.

- Pewnie nikomu nie pozwala - odrzekł Teddy, pieszcząc ją. - Pewnie konie to jego hobby. Zresztą, co nas obchodzi jakiś Conrad i jego konie? Lepiej zobacz, co tu mamy.

Spojrzała między jego uda i zachichotała.

- O kurde, Teddy.

- Chyba mam sposób, żebyś zapomniała o Conradzie i jego bandzie świrusów - szepnął.

Przyciągnął Tiffani do siebie i zaczął namiętnie całować, wsuwając się na nią.

- Uwielbiam to, skarbie. Podniecasz mnie jak diabli.

- Mnie też to podnieca.

- A to dopiero początek.

- Czyżby? - spytała, rozkoszując się tą chwilą i całkowicie zapominając o Stonelair i jego mieszkańcach. - Och, Teddy, tak cudownie mi przy tobie.

- I właśnie o to chodzi, kiciu - powiedział, wbijając się w nią.

- Ależ ze mnie farciara - jęknęła. - Czego można chcieć więcej?

Rozdział 6

Słońce było jeszcze wysoko na niebie, gdy Valerie jechała krętą, zwirową alejką prowadzącą do domu jej matki. Obszerna willa we włoskim stylu stała na zalesionym wzgórzu, którego stoki łagodnie spływały ku zielonym pastwiskom i krętemu strumieniowi. Ze wschodnich okien rozciągał się cudowny widok na pasmo Berkshires, strojne w letnie zielenie, od zachodu zaś, nad wodami Hudson River królowały majestatyczne zbocza Catskills.

Tego wieczoru ich majestat bardziej niż zwykle przygniatał Valerie.

Może dlatego, że mam zły humor, tłumaczyła sobie, z niechęcią i obawą myśląc o kolacji z matką i Teddym.

Wjechała na parking na tyłach domu i ustawiła wóz obok srebrnego jaguara Teddy'ego.

A więc przyjechał wcześniej, pomyślała. Pewnie świetnie się bawi, opowiadając matce ploteczki, których jeszcze nie знаła.

Nie była tym zaskoczona, ale nie mogła zapanować nad rozdrażnieniem. Marguerite i Teddy już dawno założyli dwuosobowe kółko wzajemnej adoracji i naprawdę doskonale się czuli razem.

Valerie szybko zerknęła w lusterko, przyklepała niesforne włosy. Jak zwykle splotła je w długi warkocz, który przerzuciła przez ramię, ale zawsze jakieś niepokorne loczki wymykały się, tworząc wokół głowy aureolę.

- Trudno - zwróciła się do swojego odbicia. - Lepiej już nie będzie. Nawet jeśli Teddy i mama życzyliby sobie, żebym pojawiła się tu z fryzurą prosto od fryzjera, jak przystało na prawdziwą damę.

Wysiadła z dżipa i zaczęła strzepywać psie kłaki z czarnych, lnianych spodni i bluzki, które uznała za najlepszy strój na wieczór. Liczyła, że na ciemnym ubraniu mniej będzie widać czarną sierść Elvise, stale obecną na wszystkich jej rzeczach. Ale, jak się okazało, nadzieja była płonna. Sierść psa, którego na wyraźne życzenie matki zostawiła w domu, okazała się zdecydowanie ciemniejsza i bardziej lśniąca niż czarny len.

No, cóż, pomyślała. Na to też już nic nie można poradzić. Albo mnie pokochajcie, albo skreślcie.

Z ogrodu dobiegały znajome głosy, pchnęła więc żelazną furtkę i zajrzała do środka. Oboje, ramię w ramię, gawędząc z ożywieniem, szli wolno w jej stronę. Teddy - jak zwykle elegancki w granatowej marynarce, nieskazitelnie białych spodniach i błękitnej koszuli z odważnie dobranym do tego morelowym krawatem - i Marguerite, uosobienie szyku i wytworności - w kremowej garsonce z ciemnozielonym paskiem u dołu i bluzce w identycznym odcieniu. Srebrzyste włosy matki były ułożone w perfekcyjnie gładki francuski kok. Jak zauważyła Valerie, nie wysunął jej się ani jeden niesforny kosmyk.

Naturalnie, dodała w duchu kąśliwie.

W tej samej chwili Teddy podniósł wzrok. Dostrzegłszy Val, zaczął machać do niej i ją wołać.

- Zaraz przyjdziemy! - powitała ją matka. - Zrób sobie drinka!

- Dobrze! - odskrzyknęła Valerie, zawróciła i przez przeszkloną werandę weszła do domu, a potem prosto do kuchni.

- Proszę, ktoś to wreszcie się zjawił! - ucieszyła się Effie, gospodyni matki, drobna siwa kobietka. - Tutaj - rozkazała, stukając palcem ciemny policzek.

Valerie pochyliła się i posłusznie ją ucałowała.

- Wspaniale wyglądasz, Effie. Nie wiem, co tam szykujesz, ale pachnie cudownie.

- To niespodzianka, więc nic ci nie powiem - odparła. - Tak się cieszę, że ty i Teddy przyszedliście na kolację. Wreszcie mogłam ugotować coś normalnego. Twoja matka je tyle co ptaszek, więc zwykle nie mam nic do roboty.

- Pewnie znowu przeszła na jakąś dietę?

- Ona nieustannie się odchudza - zaczęła zrzędzić Effie. - A co jedna dieta, to gorsza. Aż dziw, że jeszcze się nie rozchorowała, jest chuda jak patyk.

- Pewne sprawy nigdy się nie zmieniają - odpowiedziała Valerie i uświadomiła sobie, że istotnie tak jest.

Od kiedy pamiętała, Effie narzekała na nawyki żywieniowe Marguerite i na inne jej przyzwyczajenia, ale i tak pozostała oddana swojej chlebodawczyni.

- Zrobię sobie drinka, Effie. Przyrządzić coś i dla ciebie? Kobieta szeroko się uśmiechnęła.

- Dziękuję, Val, ale już łyknęłam parę kropelek ginu.

- Ha! Powinnaś była się domyślić, ale obiecuję, że nikomu nie wygadam.

Łyczki ginu Effie były pilnie strzeżoną tajemnicą Valerie i starej gospodyni; tajemnicą, o której wszyscy wiedzieli.

- I dobrze, bo mogłabym zdradzić Teddy'emu parę twoich sekretów - postraszyła ją Effie.

- To szantaż! - oburzyła się ze śmiechem Valerie. - Jeszcze do ciebie wpadnę.

Podeszła do kredensu, tam przejrzała rzędy butelek i szybko zdecydowała się na wódkę z tonikiem. Valerie rzadko piła coś mocniejszego niż wino, ale dziś uznała, że potrzebuje czegoś na odwagę.

Sama matka to wystarczający powód, pomyślała. Ale zjednoczone siły Marguerite i Teddy'ego usprawiedliwiłyby nawet picie z butelki.

Ze szklanką w ręku zaczęła krążyć po dużym, cichym domu. Wodziła

wzrokiem po cennych starych meblach, wyściełanych jedwabiem i aksamitem albo obitych skórą. Ściany były pokryte końskimi jedwabiami lub najlepszymi, ręcznie malowanymi tapetami z mającej siedzibę w Rixheim firmy Zuber. Kryształowe żyrandole z połączanego brązu zdobiły niemal każdy pokój, a wszędzie wisiały cenne obrazy. Królowały rodzinne portrety francuskich, duńskich, brytyjskich i amerykańskich mistrzów, ale znalazło się też miejsce na europejskie pejzaże, szkice i akwarele, niektóre liczące sobie nawet pięć wieków.

Tak jak obrazy zajmowały niemal całą wolną przestrzeń na ścianach, tak na meblach królowały bibeloty i prawdziwe cacka. Porcelana - chińska, japońska, miśnieńska i z Sevres, połączone wazy oraz fotografie w pięknie rzeźbionych ramkach.

Valerie nazywała ten dom sezamem, skarbem Aladyna. To miejsce oszołomiłoby każdego właściciela domu aukcyjnego. Część skarbów Marguerite przeniosła tu z obszernego nowojorskiego mieszkania, które sprzedała po śmierci ojca. Ilekroć Val odwiedzała matkę, wszystkie te rzeczy przywoływały wspomnienia z dzieciństwa, nierozłącznie związane z chłodnymi pokojami w Nowym Jorku, zupełnie jakby ten dom mieścił w sobie całą jej przeszłość.

Może dlatego, pomyślała, staram się trzymać jak najdalej stąd.

Do głosu doszedł znajomy smutek, przytłumiając jej wrodzoną pogodę ducha. To materialne piękno należało do świata, do którego już nie wróci, a którego nigdy właściwie nie uznawała za swój. I choć doskonale znała każdy przedmiot w tym domu, nie opuszczało jej poczucie, że jest tu tylko intruzem.

W jednym z saloników zatrzymała się chwilę przed swoim ulubionym obrazem - widokiem pola Berthe Morisot. Wzięła do ręki starą fotografię ojca na koniu. Tak wspaniale się prezentował w stroju do jazdy konnej. Pogładziła zdjęcie i odstawiła ramkę. Zawędrowała też do pokoju muzycznego, musnęła

palcami poźółkłe klawisze zabytkowego bosendorfera, na którym uczyła się grać. Weszła na piętro i zajrzała do swojej dawnej sypialni. Przysiadła na łóżku z jedwabnymi zasłonami, gdzie przespała tyle nocy. Patrząc na stylową toaletkę, nadal zastawioną niezliczonymi flakonikami z perfumami i srebrnymi szczotkami z jej monogramem, przypominała sobie, ileż razy męczyła się przed tym lustrem, usiłując stać się dziewczyną, jaką pragnęła widzieć w niej matka. Na próżno.

Nie, pomyślała bez żalu. Nigdy nie byłam uległą córką, o jakiej śniła Marguerite, ani nie stałam się kobietą, jaką sobie wymarzyła. Ale Bogiem a prawdą to miejsce nigdy nie było moim domem, a ja nie czułam, że stanowią jego ważną część.

W pewnym okresie dałaby wszystko, by zdobyć akceptację rodziców i odnaleźć swoje miejsce w tym dla wielu postronnych obserwatorów fantastycznym świecie. Naprawdę próbowała stać się taką córką, jakiej oboje pragnęli. Ale to już przeszłość.

Chciała żyć po swojemu, tak jak jej to odpowiadało. Nade wszystko zaś pragnęła być sobą.

To brzmiało tak łatwo, a przecież zerwanie więzów bardzo dużo ją kosztowało. Bolało ją rozczarowanie na twarzach rodziców, ich wyrzuty, odpieranie nacisków, jakie nieustannie na nią wywierali. Wreszcie po wielu bataliach żyła tak, jak to sobie wymarzyła.

Z zadumy wyrwał ją dźwięczny śmiech matki i pełen szacunku głos Teddy'ego. Valerie wypła jeszcze łyk alkoholu i westchnęła.

Kiedyś i tak będę musiała im stawić czoło, pomyślała i zeszła na dół.

Teddy i Marguerite z drinkami w ręku stali w wyłożonym marmurową posadzką holu. Unieśli głowy, kiedy Val pojawiła się na schodach.

- Witajcie! - pozdrowiła ich pogodnie.

- Witaj, kochanie - odrzekła Marguerite, z uznaniem mierząc wzrokiem

córkę i podsuwając jej policzek do pocałunku.

- Miło cię widzieć, mamó.- Cieszę się, że jakoś znalazłaś dla mnie miejsce w swoim wypełnionym grafiku - roześmiała się lekko Marguerite.

Valerie nie odpowiedziała, nadal pogodnie się uśmiechając.

- Cześć! - Teddy musnął jej usta przelotnym pocałunkiem, a potem objął ją i przyciągnął do siebie. - Wyszliśmy do ogrodu - tłumaczył się niepotrzebnie. - Niewiarygodne, ile twoja matka tam działała. I to zupełnie sama.

- Och, Teddy - krygowała się Marguerite - nie oszukuj. Wiem, że to koszmar, ale cóż może zrobić jedna osoba? - Kątem oka dostrzegła gospodynię. - O, patrzcie, Effie chce już podawać kolację. Przejdziemy do jadalni?

- Naturalnie - odrzekł Teddy, podając ramię Marguerite. Przyjęła je, a on puścił oko do Valerie. - Poradzisz sobie?

- To całe siedem metrów, ale może jakoś dojdę - zażartowała.

Na zewnątrz zapadł mrok, w jadalni w blasku świec połyskiwały srebra i kryształy. Kończyli przygotowaną przez Effie ucztę, na którą składały się schłodzone awokado, zupa ogórkowa, nadziewane kuropatwy z imbirem, podawane w sosie śliwkowym, świeże szparagi z sosem holenderskim, brunatny ryż z pieczarkami oraz sałatka z mieszanki kiełków doprawiona winegretem. Effie właśnie podała deser: domowe lody imbirowe ze świeżymi truskawkami i malinami z gospodarstwa ekologicznego, polane syropem wiśniowym.

- Dziękuję, Effie - powiedział Teddy. - Bardzo apetycznie wyglądają. Wszystko było przepyszne.

- Dziękuję panu - odrzekła gospodyni, wracając do kuchni.

- Effie nieodmiennie mnie zdumiewa - zachwyciła się Valerie. -Jak ona sobie z tym wszystkim radzi? Gotowanie, sprzątanie i...

- Rzeczywiście, jest świetna - matka wpadła jej w słowo - ale staram się ją oduczyć miłości do sosów. Jak można jeść coś tak kalorycznego?

Wyczekująco spojrzała na Teddy'ego i nie zawiodła się oczywiście.

- Wszystko było niezwykle kaloryczne - zawtórował natychmiast. - Nie można na co dzień tak się odżywiać.

- Właśnie. To natychmiast zrujnowałoby figurę i zdrowie. A jeśli chodzi o sprzątanie... Cóż, moja droga Val - Marguerite znacząco spojrzała na córkę i wzruszyła ramionami - ostatnio Effie ledwo przelatuje miotełką do kurzu co bardziej newralgiczne punkty. Podziwiam twoją lojalność wobec niej, ale czasem odnoszę wrażenie, że wykorzystuje moją dobroć.- Ależ, mammo! - wybuchnęła Valerie, z trudem ukrywając zdumienie. - Effie jest u ciebie od czterdziestu lat. A nawet jeśli z wiekiem trochę spowolniała, nie masz prawa twierdzić, że cię wykorzystuje.

Marguerite wyniośle puściła mimo uszu wypowiedź córki, a całą uwagę skupiła na Teddym.

- Wino było boskie - pochwaliła. - Idealnie pasowało do kolacji.

- Och, bardzo dziękuję, Marguerite. Owszem, mam już nieźle zaopatrzoną piwniczkę, ale potrzebuję wiele czasu i pieniędzy, by zaopatrzyć ją tak, jak to sobie wymarzyłem. To *puligny Montrachet* było...

Valerie jadła lody z owocami, przysłuchując się w milczeniu rozmowie matki z Teddym.

On jest idealnie w jej typie, pomyślała z odrobiną niechęci. Przystojny, bogaty i czarujący.

Lecz dla Marguerite najbardziej liczyło się to, że Teddy pochodził z tego samego środowiska, co oni. Gdyby Valerie za niego wyszła, ich związek stanowiłby alians rodzin, posiadających chlubne korzenie i wywodzących się ze starych rodów francuskich hugenotów. To świetne pochodzenie wystarczyło, by matka przymykała oko na wszelkie słabostki przyszłego

zięcia. Valerie wiedziała też, że gdyby żył ojciec, bez wahania zaaprobowałby jej małżeństwo z Teddym. A choć Val nie gardziła swoim pochodzeniem, nie przywiązywała do niego szczególnej wagi. Arystokratyczne korzenie wydawały jej się czymś tak odległym w czasie, tak pozbawionym związku ze współczesnością, że w ogóle się nad tym nie zastanawiała.

Nic dziwnego, że matka i Teddy tak świetnie się dogadują, myślała teraz, skubiąc owoce. On wydaje się sto razy większym snobem niż ona. Aż szkoda, że nie jest młodsza.

Kątem oka dostrzegła, jak Marguerite poprawia szmaragdowy kolczyk, i baczniej jej się przyjrzała. Mimo niechęci i urazy do matki, musiała przyznać, że Marguerite Louise de Coligny de la Rochelle wyglądała równie imponująco jak jej nazwisko. Choć skończyła sześćdziesiąt pięć lat, miała nieskazitelną, kremową cerę i zaledwie parę zmarszczek. Swoją urodę zawdzięczała subtelnie zarysowanym kościom policzkowym, wysokiemu czołu, prostemu nosowi i pełnym - ale w sam raz pełnym - ustom. Srebrzyste włosy, równe, białe zęby, doskonała figura i nienaganny strój sprawiały, że wydawała się istotą ponadczasową.

Valerie nigdy nie przestała zdumiewać dbałość matki o swój wygląd. Marguerite spędzała długie godziny u krawcowej na dobieraniu tkanin i przymiarkach. Zwykle zamawiała wierne i drogie kopie klasycznych kostiumów Coco Chanel lub kreacji największych projektantów mody. Całymi dniami przesiadywała też u fryzjera, pedikiurzystki, manikiurzystki, a w domu niezliczone godziny przeznaczala na pielęgnację i jeszcze raz pielęgnację całego ciała. Kładła się spać od stóp do głów wysmarowana takim lub innym kosmetykiem i jak diabeł święconej wody unikała ostrego słońca.

A mimo to już dawno oświadczyła córce, że nigdy nie pozwoli, by dotknął jej skalpel chirurga plastycznego, ani nie ufarbuje włosów. Uważała, że kobiety uciekające się do takich sztuczek zasługują na pogardę jako

bezmózgie i bezwolne ofiary kłamliwych sloganów na temat urody. Te biedne istoty, perorowała dalej, bezkrytycznie wchłaniały budzącą odrazę papkę, jaką produkowały całkowicie pozbawione dobrego smaku środki masowego przekazu.

- Valerie, kochanie!

Z zadumy wyrwał ją modulowany głos matki. Marguerite popatrzyła na nią pytająco.

- Przepraszam - odpowiedziała z lekkim zakłopotaniem Val -nie słyszałam, o czym mówiłaś.

- W ogóle nas nie słuchasz, skarbie - skarciła ją łagodnie Marguerite.

W szmaragdzie jej pierścionka zabłysło światło, gdy oskarżycielsko wycelowała palcem w córkę.

- Cała ty. Właśnie rozmawialiśmy o interesach Teddy'ego, Val. To chyba powinno cię obchodzić. Bieżący rok jest wyjątkowo udany dla maklerów giełdowych.

- Och, to cudownie, Teddy.

Zastanawiała się, czemu z nią nigdy nie rozmawiał o interesach. Uśmiechnął się wyrozumiale, jakby umysł Valerie przerastało śledzenie skomplikowanej rozmowy o pieniądzech.

- Jesteś taki mądry, Teddy - rozplywała się Marguerite. - Należą ci się gratulacje.

- Cóż, na giełdzie zawsze zdarzają się wzloty i upadki - odrzekł skromnie Teddy. - Ale ja mam ostatnio wyjątkowo dobrą passę. Choć, jeśli spojrzeć na to, co dzieje się na rynku, Marguerite, trudno jej nie mieć.

- Owszem - przyznała - tylko że nie każdy potrafi tak dobrze ją wykorzystać, Teddy. No cóż, to się ma we krwi. Geny robią swoje.

- Może - zgodził się - choć wątpię, bym stał się taką wyrocznią od inwestycji jak mój ojciec.

Marguerite wybuchnęła perlistym śmiechem.- Ależ, mój drogi, moim zdaniem ojciec byłby z ciebie bardzo dumny.

- Och, dziękuję - powiedział Teddy, udając serdeczność, której nie czuł.

Nie wiedział ani go to nie obchodziło, co by czuł świętej pamięci wielki Theodore de Mornay. Teddy nienawidził go za życia, a po śmierci też nie zaczął darzyć sympatią. To samo dotyczyło matki, Claudine, która przemykała przez jego życie strojna w wieczorowe suknie i klejnoty, ostatnie z pięćdziesięciu paru lata życia spędziła zamknięta w sypialni, uzależniona od silnych leków i alkoholu.

- Gdybyż to Dockering Wainwright dbał o moje inwestycje równie dobrze jak ty... - westchnęła Marguerite, smukłymi palcami gładząc szmaragdy na szyi.

Posłała znaczące spojrzenie córce, która natychmiast odczytała ukryte przesłanie. Valerie odchrząknęła i przykleiła do twarzy uśmiech.

- Dock od zawsze troszczy się o twoje pieniądze, mamó, i do tej pory spisywał się bez zarzutu. Tak przynajmniej uważał tata. - Zerknęła na Teddy'ego. - Oczywiście, nie twierdzę, że ty byś sobie nie poradził równie dobrze, Teddy, ale tata zawsze zlecał to Dockowi... i...

- Nie śmiałybym wchodzić na terytorium wielkiego Dockeringa Wainwrighta - Teddy błyskawicznie wpadł jej w słowo. - Nie wątpię, że to doskonały doradca inwestycyjny.

- Tak czy owak, Teddy - włączyła się Marguerite - nie ma twoich wyników. Moim zdaniem starszek przysypia za sterem.

- A moim Dock doskonale panuje nad sytuacją. Może jest staroświecki i konserwatywny, i z całą pewnością nie lubi ryzyka, ale można na nim polegać.

- Czyżby? Zapewne jestem już starszką, która nie zna się na takich sprawach - kokieteryjnie ciągnęła Marguerite - ale odniosłam wrażenie, że mój skromny portfelik ostatnio nie nabiera wartości. Nie muszę też chyba

dodawać, że nie dostrzegam wzrostu dywidend. I to na rynku, który, o czym wie każde dziecko, rozkwita jak nigdy. Przecież w ostatnim czasie co drugi dom ludzie kupują za gotówkę. I wcale się przy tym nie targują. Wszystko to młodzi, energiczni mężczyźni z głową jak nasz Teddy. - Spojrzała wymownie na córkę.

- Może i tak, mamó - ustąpiła Val - ale nigdy nie słyszałam słowa skargi na Docka. - Teraz to ona spojrzała matce prosto w oczy. -Zresztą, to nie ja decyduję, kto zarządza twoim majątkiem, prawda?- Nie, zdecydowanie nie. - Marguerite znowu całą uwagę skupiała na Teddym. - Chyba pora urządzić staremu Dockowi małą pobudkę. Cóż, w końcu każdemu z nas zdarza się popaść w błogie lenistwo.

- Aż nazbyt łatwo - przytaknął Teddy. - Zwłaszcza gdy zarządzamy nie swoimi pieniędzmi. Albo jeśli dobro klienta nie leży nam szczególnie na sercu.

- Święte słowa, Teddy - oświadczyła Marguerite. - Jutro zatelefonuję do Docka, porozmawiam z nim, a potem przedzwonię do ciebie i opowiem, co miał na swoje usprawiedliwienie. Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

- Naturalnie, Marguerite - odrzekł Teddy. - Moim zdaniem to bardzo roztropne.

- W takim razie, ustalone - podsumowała Marguerite. Wypiła łyk wody. Szmaragd na jej palcu znów rozbłysnął. Odstawiła szklankę i ponownie znacząco spojrzała na córkę.

- Valerie, kochanie, chyba czymś mi się nie pochwaliłaś.

- Nie pochwaliłam ci się?

Natychmiast się domyśliła, o czym mówi matka, ale postanowiła udawać naiwną. Wiedziała, że nie udzielając natychmiastowej i pełnej odpowiedzi, naraża się Marguerite. Zdawała też sobie sprawę, że zachowuje się dziecinnie, ale postanowiła podroczyć się z matką. Niech sama wyciągnie z niej odpowiedź. To za karę, że razem z Teddym za jej plecami rozmawiali o

pierścionku zaręczynowym.

- O co ci chodzi, mamó? Czym ci się nie pochwaliłam? Teddy odchrząknął.

- Val, kochanie - powiedział z uśmiechem - twoja matka chyba ma na myśli tę drobną sprawę, która wydarzyła się w weekend. Pamiętasz?

Valerie zrezygnowała z przeciągania gry.

- Och! Jak mogłam? - Spojrzała na Teddy'ego, który czule się do niej uśmiechnął. - Och, Teddy, tak mi przykro. Czuję się jak skończona kretyнка.

- Nie przejmuj się - odrzekł pogodnie. Valerie zerknęła na matkę.

- Teddy i ja... Jesteśmy... W ten weekend Teddy dał mi pierścionek zaręczynowy - wykrztusiła wreszcie, bo „zareczyliśmy się” nie mogło jej przejść przez usta.

- Cudownie! - oświadczyła Marguerite, udając zaskoczenie. - Wprost fantastycznie. - Poglądziła córkę po dłoni. - Tak się cieszę. - Teraz pogładziła po dłoni Teddy'ego. - To wspaniała nowina. - Cieszę się, że ty się cieszysz, mamó - odpowiedziała Valerie spokojnie.

- Kochanie, musisz koniecznie pokazać mi pierścionek.

- Eee... Och... - bąkała Valerie, zalewając się krwistym rumieńcem. - Zapomniałam go wziąć.

- Co takiego? - wybuchnęła Marguerite, z niedowierzaniem patrząc na córkę.

- Och, Val! - jęknął Teddy. - Zauważyłem, że go nie włożyłaś, ale byłem przekonany, że schowałaś go do torebki, by zrobić mamie niespodziankę.

- Przepraszam... Tak się spieszyłam... Wpadłam na moment do domu i błyskawicznie się przebrałam, żeby się nie spóźnić. Zresztą - wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepaszająco - jeszcze do niego nie przywykłam.

- Nic się nie stało - oświadczył wielkodusznie Teddy.

- Jest naprawdę piękny - zapewniła matkę Val. - I olbrzymi. Będziesz nim zachwycona. Obiecuję, że któregoś dnia wpadnę tu po pracy, aby ci go pokazać.

- Liczę na to - odparła Marguerite, nie zdradzając się, że widziała pierścionek jeszcze w dniu zakupu. - Teddy tak się dla ciebie postarał, ja nie posiadałabym się z radości, gdybym dostała tak wspaniały prezent.

- T-tak, ale... byłam strasznie zajęta - tłumaczyła się Valerie. -W weekend miałam dyżur i wezwano mnie do nagłego przypadku. Przez to...

- Ta klinika - Marguerite wykrzywiła z niesmakiem usta. -Wiecznie ta twoja klinika. Wiedziałam. Spędzasz tam za dużo czasu. I cóż to za niezwykle ważny przypadek sprawił, że zapomniałaś o własnych zaręczynach?

- Stonelair - odrzekł ponuro Teddy, nie dopuszczając Valerie do głosu. - I jego tajemniczy właściciel.

- Ależ kochanie... Nie wierzę! - jęknęła wstrząśnięta Marguerite. - Nie mów, że pojechałaś do tamtego okropnego domu. Przecież wiem z pewnego źródła, że ów człowiek ma powiązania z kartelami narkotykowymi czy coś w tym rodzaju. Czy to prawda?

- Skąd mam wiedzieć? - Valerie wzruszyła ramionami. - Wezwano mnie do chorego konia. Nawet nie widziałam właściciela. Ale nie zauważyłam po drodze gór narkotyków ani stert broni.

Nikt się nie roześmiał.

- Cóż - podjęła Marguerite ze świętym oburzeniem - moim zdaniem, ten mężczyzna musiał maczać palce w handlu narkotykami lub czymś równie obrzydliwym, jeśli stać go na utrzymanie takiej posiadłości. Nawet młodych dorobkiewiczów z Wall Street, którzy wykupują wszystkie domy w okolicy, nie było stać na Stonelair... -Urwała i popatrzyła karcącym wzrokiem na córkę.
- Zresztą, z tego, co wiem, nikt ważny go nie zna. A ów jegomość tak się ukrywa, iż założę się, że musi tam się dziać coś bardzo podejrzanego.

- Nie wiem, jakich plotek się nasłuchałaś - odparowała mężnie Valerie - ale poproszono mnie, abym zajmowała się wszystkimi zwierzętami w Stonelair. Ja, osobiście.

- Wielkie nieba! - zawołała Marguerite, szeroko otwierając oczy ze zgrozy.

- Chyba nie zamierzasz przyjąć tej propozycji? - zaprotestował Teddy. Valerie nie odpowiedziała od razu.

- Nie zamierzasz, prawda? - nalegał.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Lecz właśnie w tej chwili postanowiła przyjąć ofertę Conrada. Jutro musi o tym porozmawiać z kolegami z kliniki.

- Jeszcze się nie zdecydowałaś? - powtórzyła Marguerite tonem największej pogardy i oburzenia. - Przyznam, że dziwi mnie twoja postawa. Sądziłam, że nawet nie dopuszczasz takiej możliwości. Ten mężczyzna to z pewnością jakiś bezwzględny mafioso albo ktoś w tym stylu. Wyobraź sobie, ten gbur odrzucił wszystkie zaproszenia.

- A cóż w tym strasznego? - spytała Valerie. -I tylko na tej podstawie zrobiliście z niego mafiosa albo szefa gangu narkotykowego? Może po prostu nie lubi towarzystwa?

- Co świadczy, że jest osobnikiem aspołecznym. A już to samo budzi podejrzliwość.

- Nie widziałem domu - wtrącił się Teddy - ale rozmawiałem z ludźmi, którzy tam dorywczo pracowali. Podobno gość wydał miliony na remont budynku. Wszystkich wykwalifikowanych robotników ściągnął aż z południa, z Florydy czy skądś. W każdym razie ma kieszenie bez dna. Mnie nie byłoby stać nawet na cząstkę tego, co on tam zrobił.

Valerie bacznie obserwowała Teddy'ego i dostrzegła u niego złość, która pojawiała się nieodmiennie, ilekroć widział, że ktoś go przebił.

Jest zazdrosny o Conrada, uświadomiła sobie. A w każdym razie o jego pieniądze.- Och, dość już tych nieprzyjemnych tematów - ucięła Marguerite. - Wypijmy kawę na werandzie, wieczór jest taki piękny. -Uśmiechnęła się do obojga.

- Tylko tego mi brakowało do pełni szczęścia - zapewnił ją Teddy. Marguerite wstała, a Teddy poszedł w jej ślady, ujął ją pod rękę i poprowadził na werandę. Valerie poszła za nimi. Effie już zapaliła tam świece. Po dość oficjalnej atmosferze jadalni weranda wydała jej się podwójnie przytulna. Teddy podprowadził Marguerite do fotela, a Valerie usadowiła się na staroświeckiej, wygodnej wiklinowej kanapie.

- Przepraszam, zaraz wracam - powiedział Teddy, zostawiając je same.

Ledwo znalazł się poza zasięgiem głosu, Marguerite utkwiała wzrok w córce. Nawet w słabym blasku świec Valerie widziała, że matka jest zdenerwowana.

- Mam nadzieję, że okazujesz Teddy'emu uwagę, na którą w pełni zasługuje. Bo przyznam, że zaręczyny potraktowałaś z wyjątkowym stoicyzmem.

- Jestem ogromnie zajęta, mam - tłumaczyła się Valerie.

- Zajęta! Wiecznie ta sama wymówka! - Marguerite nachyliła się do córki. - Nie zapominaj, że Teddy może dać ci wszystko, o czym marzy każda młoda kobieta. Ma pieniądze, Val, a co więcej, świetnie je pomnaża. W dodatku jest powszechnie lubiany, wszyscy za nim przepadają.

- Albo się go boją.

- Co takiego? - Marguerite wyglądała na zaskoczoną. - Nonsens. Cóż to za pomysł? Kto miałby się bać Teddy'ego?

- Z tego co słyszałam, nie wszyscy lokatorzy jego domów darzą go sympatią.

- Może dlatego, że zalegają z czynszem? Zresztą, co cię obchodzi zdanie

jakichś lokatorów?

- To też ludzie - odparła spokojnie Valerie.

- Phi! - zbyła uwagę córki Marguerite i wyprostowała ramiona, szykując się do kolejnego ataku. - I jak mogłaś zapomnieć o włożeniu pierścionka zaręczynowego! To ni mniej ni więcej, tylko brak taktu. A w dodatku Teddy wspomniał, że nie chcesz wyznaczyć daty ślubu. Co, na Boga, się z tobą dzieje?

- Nic, po prostu nie jestem jeszcze gotowa - odpowiedziała Valerie, czując narastający gniew.

- To bzdura - oświadczyła matka. - Nie masz nikogo innego, a Teddy to idealny kandydat. W najśmielszych nawet snach nie marzyłam, że ktoś taki mógłby zwrócić na ciebie uwagę.

Valerie przełknęła ślinę. Obiecała sobie, że nie da się sprowokować, ale nie mogła puścić płazem tej uwagi.

To Valerie sprzed lat stuliłaby uszy, powiedziała sobie. Dawna Valerie siedziałaby jak mysz pod miotłą i pozwalała się obrażać.

- Dlaczego zawsze próbujesz mnie upokorzyć? - spytała. Marguerite przez moment nie mogła wykrztusić ani słowa, ale błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą.

- Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, kochanie. Nigdy nie grzeszyłaś nadmiarem urody. Choć przyznam, że kiedy dorosłaś, zyskałaś pewien... urok. Ale dawniej w ogóle go nie miałaś. Poza tym zawsze byłaś nieco... inna... wręcz odrobinę dziwaczna. I to się nie zmieniło.

Uśmiechnęła się do córki. Postronny obserwator dostrzegłby w tym uśmiechu wyłącznie słodycz, lecz Valerie rozpoznała pełną wyższości pogardę.

- Nigdy nie należałaś do szczególnie towarzyskich dziewcząt - podjęła matka. - Wiecznie siedziałaś z nosem w książce. Albo zamiast z koleżankami

bawiłaś się z tymi swoimi zwierzakami.

Valerie w milczeniu słuchała tej tyrady, dotknięta obojętnością, z jaką Marguerite opisywała nieśmiałą dziewczynkę, spragnioną miłości.

Mogę głośno się tego wypierać, ale prawda wygląda tak, że nadal pragnę jej aprobaty i miłości, zrozumiała nagle. I choć wmawiam sobie, że jestem niezależna, nadal potrafi mnie zranić.

- Poszperaj w pamięci, mamó - powiedziała spokojnie. - Nie było tak wielu dziewcząt, z którymi pozwalałaś mi się bawić. Jeżeli chciałam się z jakąś zaprzyjaźnić, zwykle uważałaś ją za niegodną mnie.

- Każda matka osłania dziecko przed... niepożądanym towarzystwem, Valerie. A ciebie wyjątkowo ciągnęło w niewłaściwym kierunku.

- A później, gdy dorastałam, skutecznie dbałaś, bym czuła się brzydka i nic niewarta. Unikałam moich rówieśnic i rówieśników, bo uważałaś, że wszyscy są ode mnie znacznie inteligentniejsi i ładniejsi.

- Bo tak było - odparła Marguerite. - Stawiałam ci ich za wzór. Nie rozumiesz, Val? Robiłam, co mogłam, byś się podciągnęła i dorównała tamtym. Ale nie, nie chciało ci się zadbać o fryzurę ani ubranie. Nie raczyłaś pomyśleć o swoim wyglądzie i nawet nie próbowałaś przyciągnąć do siebie odpowiednich młodych ludzi. Chwała Bogu, że pojawił się Teddy. I chwała Bogu, że zaczęłaś się znośnie prezentować, a przy tym wyrosłaś z tej niemądrej nieśmiałości i nie zachowywałaś się jak mól książkowy. Dzięki temu Teddy dostrzegł w tobie jakiś potencjał.

Valerie nie odpowiedziała. Wiedziała, że wszelkie próby argumentacji spełzłyby na niczym.

- Ach - zaszczębiotała Marguerite. - A oto i nasz czarujący narzeczonny. Właśnie rozmawialiśmy z Val, jaki z ciebie cud, Teddy.

- Ja? - spytał rozbawiony.

Stanął obok Valerie, czekając, aż zrobi mu miejsce obok siebie, a potem

usiadł i ujął jej dłonie.

- Mam nadzieję, że twoja córka podziela ten pogląd.

- Chyba potrzynam cię w niepewności. - Valerie uśmiechnęła się do niego.

Czuła jednak coraz poważniejsze wątpliwości, czy rzeczywiście Teddy jest taki wspaniały, za jakiego uważała go matka. W tej chwili marzyła tylko o tym, by wstać i wrócić do domu, do Elvisa.

Przez jakiś czas jeszcze siedzieli, gawędząc przy kawie, w końcu Teddy spojrzął na zegarek.

- Robi się późno, nadużyliśmy twojej gościnności, Marguerite.

- Ależ skąd, było mi bardzo przyjemnie.

- Ja w każdym razie jutro bardzo wcześnie zaczynam - włączyła się Valerie. - Muszę się zbierać.

- Zapomniałem. Ja tu sobie baluję, bo mam cały tydzień wolny, i zapominam, że przecież ty normalnie pracujesz.

- Szkoda, że nie mogłaś wziąć urlopu na ten tydzień, kochanie - wtrąciła Marguerite.

Valerie wstała, tłumiąc ziewnięcie.

- Nie było szans, mamó. I tak ledwo dajemy sobie radę w klinice. Teddy wstał i objął Valerie.

- Sami trafimy do drzwi, Marguerite. Nie wstawaj.

- Dziękuję, Teddy, ale chyba też już wrócę do salonu.

Cofnął rękę z ramienia Valerie i pomógł Marguerite wstać. Nadstawiła mu policzek do pocałunku.

- Tak się cieszę, że znaleźliście dla mnie czas. I niezwykle mnie uradowała wasza decyzja.

- Dziękuję, Marguerite - powiedział Teddy.

- Dobranoc, mamó. - Valerie pocałowała ją w policzek. - Kolacja była

pyszna.

- Miło mi, że ci smakowała. I mam nadzieję, że częściej będziecie do mnie wpadać. Odprowadziwszy ich do drzwi, Marguerite na pożegnanie poklepała Teddy'ego po ramieniu.

- Niedługo zadzwonię - powiedziała.

- Koniecznie - odrzekł. - Bardzo proszę.

Przez chwilę odprowadzała ich wzrokiem, gdy szli do samochodów, potem zdmuchnęła świece i cofnęła się do holu.

Na parkingu Teddy przyciągnął do siebie Valerie i namiętnie ją pocałował, gładząc dłońmi jej plecy. Odsunęła się szybko.

- Muszę pędzić, Teddy. Robi się późno, powinnam już wracać do domu.

- Co takiego? - nadał się. - Liczyłem, że przenocujesz dziś u mnie.

- Nie mogę, Teddy. Muszę wyprowadzić Elvisego.

- To pojedź do domu, wyprowadź tego cholernego kundla, a potem wróć do mnie.

- Nie dziś - tłumaczyła. - Jutro muszę wstąpić i mam przed sobą ciężki dzień.

Muskał ustami jej szyję.

- No, proszę - nalegał. - Zabawimy się. Moglibyśmy przez całą noc się kochać.

- Teddy! Tłumaczę ci, że jutro wstaję z samego rana i mam ciężki dzień.

- Zadzwoni, że jesteś chora - namawiał, przyciągając ją mocno do siebie, by poczuła jego erekcję.

- Nie. Mówię poważnie.

- Nie bądź taka, Val - jęknął. - Przecież możesz. Niech te wszystkie psy, koty i konie same zadbają o siebie. Ten jeden raz.

- Nie, Teddy - powtórzyła zdecydowanie, próbując się wyślizgnąć z jego ramion. - Jutro mam dużo pracy. A teraz puść mnie, muszę się zająć

Elvisem.

Teddy wreszcie skapitulował.

- To idź sobie - powiedział, puszczając ją. - Idź do tego swojego pieprzonego kundla.

Spojrzała mu w oczy z wyzwaniem.

- I właśnie tak zrobię.

Wsiadła do dżipa i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Uruchomiła silnik, a potem jeszcze raz spojrzała na Teddy'ego. Stał samotnie obok jaguara.

Wyglądał jak nadąsany chłopczyk, który nie zdołał postawić na swoim, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej. Trudno, powiedziała w duchu. Nikt, kto nazwie Elvisa pieprzonym kundlem i nie przeprosi, nie może liczyć, że pójdę z nim do łóżka.

Odjechała szybko żwirowaną drogą do domu, do Elvisa.

- Suka - warknął pod nosem Teddy, patrząc na znikające tylne światła dżipa.

Potem wsiadł do samochodu i ruszył prosto do Tiffani. Miał nadzieję, że ją zastanie.

A jeśli nie, pomyślał, znajdę sobie inną. Żaden problem.

Rozdział 7

Arielle Conrad krążyła po obrosniętej bugenwillą loggii luksusowej rezydencji w Palm Beach. Wysokie obcasy pantofli z czerwonej skóry, ozdobionych na czubkach kwiatuśkami, stukały po marmurowej posadzce. Fale Atlantyku leniwie rozbijały się o piaszczystą plażę tuż za wypielegnowanym trawnikiem. Morska bryza chłodziła upał parnej, letniej nocy.

Ani ten piękny dom, ani zadbany ogród nie cieszyły Arielle. Otaczający ją luksus dziś bardziej niż zwykle wydawał jej się tylko kosztowną scenografią. Trzymając w jednej ręce szklanekę ginu z tonikiem, a w drugiej cienką, brązową cygaretkę, młoda kobieta krążyła po otoczonej balustradą loggii. Od czasu do czasu smukłymi palcami przeczesywała platynowe włosy.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Blask świateł podkreślał jej urodę i Arielle spodobało się to, co zobaczyła. Długie włosy były seksownie potargane. Inne kobiety godzinami siedziały u fryzjera, by osiągnąć ten efekt, lecz włosy Arielle układały się tak same, w sposób naturalny. A to tylko jeden z długiej listy jej nie zawsze naturalnych przymiotów. Arielle jak zwykle miała staranny makijaż. Rzęsy pociągnięte warstwą tuszu, oczy podkreślone cienką, czarną kreską i umalowane miodowym cieniem z okruciami bursztynu, doskonale pasującym do jej oczu. Puder w odcieniu terakoty podkreślał wysoko sklepione kości policzkowe. Błyszcząca czerwona szminka, taka sama jak lakier do paznokci, uwydatniała zmysłowe, poprawione kolagenem usta. Pełne, zawsze jakby odrobinę wydęte wargi, zdaniem Arielle, prosiły się wręcz o pocałunek. Odwróciła się od lustra i podjęła nerwowy spacer, zaciągając się co chwila dymem. Pocieszała ją świadomość, że jednego przynajmniej może być pewna: wyglądała pociągająco. Wtem obcas wpadł jej w szparę między wydeptanymi marmurowymi płytami i Arielle omal nie runęła na posadzkę.

Cholera! To się nazywa mieć pecha! - pomyślała, patrząc w dół na swoją rozpiętą bluzkę, związaną na brzuchu w fantazyjny węzeł. Cały gin z tonikiem wylał się na pomarańczowy jedwab, ani kropla nie skapnęła na odsłonięte ciało.

Chyba muszę być odrobinę pijana. Nie, nie pijana, skarciła się w duchu. Najwyżej leciutko wstawiona.

Stukając obcasami, podeszła do dużego, marmurowego stołu, na którym czekała bateria trunków i akcesoriów do przyrządzania drinków. Odstawiła

szkłankę, zwilżyła serwetkę wodą sodową i energicznie zaczęła czyścić bluzkę.

No i proszę, uznała po paru machnięciach. Od razu lepiej.

Rzuciła serwetkę na blat i podeszła do leżaka. Zrzuciła klapki i wygodnie się na nim ułożyła. Sięgnęła po ostatni numer francuskiego „Vogue'a” i leniwie przerzuciła kartki. Po paru minutach, znudzona, z westchnieniem rzuciła pismo na podłogę.

Gdzie się podziewa ten sukinsyn? - zastanawiała się, sącząc gin. Powinien był wieki temu przyjść na kolację. Nie wierzę, że teraz, właśnie teraz, postanowił mnie wystawić do wiatru. A może zadzwonić do klubu?

Zgniotła cygaretkę w popielniczce i wyjęła z pudełka drugą.

Już sięgała po telefon komórkowy, gdy usłyszała charakterystyczne ciężkie kroki kochanka. Podniosła oczy i zobaczyła, jak biegł do niej z salonu przez duże drzwi balkonowe. Nie zdjął nawet jeszcze stroju do gry w polo, był brudny i spocony.

- Lolo! - zawołała, siadając. - Szalałam z niepokoju! Gdzieś ty się podziewał?

Jego śniada opalona twarz rozjaśniła się na widok Arielle. Kiedy jednak usłyszał w jej głosie niepokój, w jego ciemnobrązowych oczach pojawiła się troska.

- Co się stało, Arielle? - spytał. W jego angielszczyźnie wyraźnie brzmiał obcy akcent.

Podbiegł do kobiety, stukot jego kroków rozległ się echem po kamiennej posadzce loggii.

- Co się stało? - powtórzyła zjadliwie. - Spóźniłeś się! I to wtedy, gdy cię potrzebuję, Lolo!- Nie spóźniłem się, jestem punktualnie według czasu hiszpańskiego - zażartował, błyskając w uśmiechu białymi zębami. Ujął jej twarz w dłonie, pochylił się i pocałował Arielle w usta. - Wiesz, jacy są

Argentyńcy - zażartował.

- Dlaczego tak późno przyszedłeś? - spytała Arielle. Przesunęła się, robiąc mu miejsce obok siebie. Wzruszył ramionami i usiadł.

- Do zmierzchu grałem w polo - wyjaśnił. - Przecież cię uprzedzałem.

Pochylił się nad nią i zaczął ją całować, wodząc ręką po odsłoniętej piersi. Z satysfakcją poczuł, jak sutek błyskawicznie sztywnieje pod jego palcami. Po chwili westchnął i wyprostował się.

- A potem Palmer Johnson chciał, żebym zerknął na nowe kuce do polo, więc pojechaliliśmy do niego...

- Och, pieprzyć Palmera Johnsona.

- Arielle - powiedział łagodnie, zaglądając jej w oczy - nie wyładowuj na mnie swojego gniewu. Nie zrobiłem nic złego. Po prostu odrobinę się spóźniłem. Nie wiem, co cię tak zezłościło...

Usiadła i zarzuciła mu ręce na szyję, wtulając się w niego, rozkoszując się dotykiem jego umięśnionego, twardego, wilgotnego od potu ciała.

- Och, to nie twoja wina, mój drogi - tłumaczyła się skruszona. - Masz rację. Przepraszam. Wszystko przez tego mojego okropnego męża. Najchętniej bym go zabiła.

Lolo ciężko westchnął.

- Co zrobił tym razem?

- Stare numery - odrzekła, rozplatając ręce. - Nie podpisał tych przeklętych papierów rozwodowych, a doskonale wie, że nie da się przeżyć za te grosze, które przyznał mi sąd do czasu ostatecznego podziału majątku.

- Dotarł dzisiaj? - spytał pozornie obojętnym tonem Lolo. - Znaczy się, czek.

- Nie - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Chryste! Pojechałbym do Nowego Jorku i osobiście zabił tego sukinsyna! Ja nie żartuję, Arielle.

- Gdyby tak można było... - odrzekła, bacznie mu się przyglądając i zastanawiając się, czy mówił poważnie. - To by rozwiązało wszystkie nasze problemy.

W zadumie wysączyła łyk ginu. Nie po raz pierwszy myślała o zabiciu Wyna.

- Gdybym wiedziała, że ujdzie nam to na sucho, poprosiłabym cię o to. A najchętniej sama bym to zrobiła. Nienawidzę go! - Uderzyła pięścią w tors mężczyzny. - Nienawidzę go, nienawidzę, nienawidzę!

Lolo ujął jej zaciśniętą dłoń, podniósł do ust i pocałował.

- Wiesz, Arielle, że zwleka specjalnie, żeby cię dręczyć. Dręczyć nas oboje.

- Tak, wiem. Ale od tego wcale nie robi się lżej. Tak długo to już trwa i trwa.

- Niedługo podpisze - uspokajał ją Lolo. - Musi. Nie martw się. - Uniósł lekko podbródek Arielle i spojrzał jej w oczy. - Wtedy nasze kłopoty się skończą. Będziemy mieć wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Przekonasz się.

Zasypywał pocałunkami jej czoło, oczy, policzki i usta, aż wreszcie ich wargi się spotkały. Gwałtownie przywarli do siebie. Lolo delikatnie pchnął Arielle na leżak i sam ułożył się przy niej. Jęknął z rozkoszy, czując ciepło jej cudownego, miękkiego ciała.

Palce Arielle powędrowały po jego torsie w dół. Czują zapach przepoconego ubrania, obcisłych spodni i skórzanych butów kochanka.

- Jesteś cały mokry - mamrotała, niemal drżąc z podniecenia. Lolo się odsunął.

- Może wezmę prysznic i się przebiorę - zaproponował, doskonale wiedząc, że Arielle się nie zgodzi.

- Nie, zostań. Lubię cię takiego. Roześmiał się cicho.

- A ja lubię cię taką.

Znów wsunął rękę pod jej bluzkę, pieszcząc piersi. Arielle mruczała jak kotka.

- To takie cudowne.

Lolo musnął ustami jej wargi.

- Nie spieszmy się tak - szepnął. - Może przygotuję nam coś do picia?

Znowu zamruczała i mocniej przyciągnęła go do siebie, a potem stopniowo rozluźniła uścisk.

- Doskonały pomysł. Ja się tym zajmę - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Mogę to zrobić dla mojego mężczyzny.

Podeszła do stołu, posyłając kochankowi przez ramię kokieterijny uśmiech. Wrzuciła kostki lodu do szklanek, hojną ręką wlała gin Boodles, dodała symbolicznie toniku, wcisnęła sok z cytryny.

Potem prowokująco kołysząc biodrami, wróciła ze szklankami do kochanka. - Proszę - podała z uśmiechem. - Tak jak lubisz.

Lolo wziął od niej drinka, a Arielle stuknęła w jego szklankę swoją.

- *Salud* - powiedział.

- *Salud* - powtórzyła. Upiła łyk i ciężko westchnęła.

- Co cię tak nagle zasmuciło? - spytał Lolo, gładząc ją po udzie.

Opadła na oparcie i zapatrzyła się w gin. Lolo miał rację, straciła dobry humor. Myśli o Wynie i rozwodzie powróciły niczym uporczywa, złośliwa wysypka. A przecież na samym początku małżeństwa uważała się za najszczęśliwszą kobietę pod słońcem. Spośród wszystkich swoich zdobyczy - a było ich wiele - wybrał właśnie ją. Nigdy nie zapomniała tamtej blondynki, która go uwielbiała, a potem musiała się wycofać, gdy Arielle zgarnęła jej Wyna sprzed nosa.

Ależ była z niej suka, pomyślała Arielle. Miała wielką satysfakcję, kiedy tamta zniknęła z horyzontu. Lecz wspomnienie dawnego triumfu nie

przyniosło jej teraz szczególnej pociechy.

Lolo odstawił gin i otoczył ją ramieniem.

- Chodź tu do mnie - przyciągnął ją do siebie. - Nie bądź taka smutna, Arielle. Jestem tutaj. - Wargami muskał jej szyję. - Wiem, że ten skurczybyk wszystko nam psuje - szeptał. - Ale już wkrótce usłyszysz od prawników, że dłużej zwlekać nie może.

Arielle znowu pociągnęła długi łyk ginu, westchnęła i odstawiła szklanekę.

- Wiem, ale w tym momencie skutecznie utrudnia mi życie. Ledwo mi wystarcza pieniędzy na pensję dla służby i kompletnie mnie nie stać na rozrywki. Dzięki Bogu, że w sklepach i klubie mogę zapłacić później.

Uciszył ją, kładąc jej palec na ustach.

- Ciii, nie myśl teraz o tym, Arielle. - Delikatnie masował jej kark i plecy.

- Fantastyczne uczucie, Lolo - powiedziała, wreszcie się rozchmurzając.
- Byłam taka... spięta przez to wszystko. No bo co my tu jeszcze robimy? W ogóle nie powinno nas tu być.

- Jak to?

- Jest lato. Powinniśmy szaleć w Southampton albo w innym miłym miejscu w Europie czy chociaż w Adirondack. Gdziekolwiek, byle się stąd wyrwać. Wszyscy na lato uciekają z Palm Beach.

Ujął jej dłonie i zaczął je całować.

- Najważniejsze, że jesteśmy razem, Arielle. - I dzięki Bogu. Gdyby nie ty, chyba bym oszalała.

- Szkoda, że nie mogę więcej. - Czule spojrzął jej w oczy. - Ale wiesz, że nie płacą mi zbyt wiele za grę. Gdybym miał własną forszę i stajnię, wszystko wyglądałoby inaczej...

- Nie, nie, nie - zaprzeczyła gorąco Arielle. - Nie to miałam na myśli.

Nie oczekuję od ciebie pieniędzy, Kochany. To ostatnie, czego bym chciała. Wiem, że Palmer Johnson jest taki sam jak Wyn i cała ta banda bogatych sukinsynów, grających w polo. Trzymają swoich najlepszych zawodników niemal o chlebie i wodzie. - Spojrzała w jego ciemne oczy. - Choćby ciebie, najlepszego z najlepszych.

- Cóż, w każdym razie jednego z najlepszych - potwierdził z uśmiechem.

- Ja uważam, że jesteś najlepszy - oświadczyła dumnie Arielle. - Ale najważniejsze, że jesteśmy razem. Tylko dzięki temu jakoś wytrzymuję.

Spoważniał.

- Rzeczywiście, humor ci dziś nie dopisuje, biedactwo. Bardziej niż zwykle.

Sączył drinka, czekając, aż zacznie mówić. Wiedział, że Arielle musi się wygadać. Ciężko westchnęła.

- Nigdy, nawet w najgorszych snach nie przypuszczałam, że moje życie tak się skomplikuje. Przez myśl by mi nie przeszło, że Wyna stać na takie okrucieństwo, złośliwość i egoizm! A przecież nie przypominał innych gości z kasą. Nigdy nie żałował mi pieniędzy. Nie był takim kutwą jak tamci pozostali, wiesz? Szastał forszą na lewo i prawo, jakby jutro miało nie nadejść.

Wyjęła z pudełka cygaretkę. Lolo podał jej ogień.

- Dziękuję - powiedziała, wydechając smugę dymu. - Wiesz, muszę przyznać, że za jedno go lubiłam: nie przywiązywał wagi do pieniędzy, pozwalał mi wydawać je na wszystko, co chciałam. Od tego są, powtarzał. Miał tyle forsy, że nie wiedział, co z nią robić. -W jej oczach pojawiła się wściekłość. - Ale teraz ten drań zmienił śpiewkę. I za co? Nie zrobiłam nic aż takiego, żeby tak obrzydliwie mnie traktował.

- Już niedługo będzie lepiej - pocieszał ją Lolo, nie wiedząc właściwie, co powiedzieć. - Może... może załapię się do jakiejś roboty albo...

- Wykluczone! To w ogóle nie wchodzi w grę! - Nagle się roześmiała. - Już to widzę: żadnego chodzenia po klubach i balangowania po nocach. Zero podróży. Wczesnie do łóżeczka, pobudka z samego rana. Nie, Lolo. - Szturchnęła go palcem w tors. - Ani ty, ani ja nie nadajemy się do takiego życia. To dobre dla głupców.

Pogładziła go po twarzy. Wyrzuciwszy to, co ją złościło, od razu lepiej się poczuła.

- Jakoś się ułoży. Najważniejsze, że mam cię wyłącznie dla siebie. Co za frajda patrzeć na te wszystkie rozwódki, które skręcają się z zazdrości.

Pocałowała kochanka w nos. Lolo uśmiechnął się szeroko.

- To ty doprowadzasz facetów do wrzenia. Każdy w Palm Beach o tobie marzy, Arielle.

- Tak sądzisz?

- Przecież wiesz. - Przyciągnął ją do siebie. - Każdy, czyli również ja. Całował ją łakomie, gorąco, wodząc rękami po jej ciele. Skończyły się poważne rozmowy, nadszedł czas na poważne figle.

Arielle natychmiast przyłączyła się do gry. Dotyk kochanka wzbudził w niej płomień. Gładziła jego mocne, muskularne bary, ramiona, płaski jak deska brzuch. Zsunęła rękę niżej, czując pod palcami twardy członek. Jęknęła z rozkoszy, gdy Lolo zaczął całować jej piersi, drażniąc zębami sutki, i głośno wciągnęła powietrze, gdy włożył dłoń między jej uda.

Jednym ruchem ściągnął z niej szorty i bieliznę, a potem rozpiął suwak przy spodniach. Przykrył Arielle sobą, jednym, szybkim ruchem wszedł w nią i zaczął nacierać, nie panując nad pożądaniem.

Boże, pomyślała Arielle w ekstazie, rozpłomieniona i drżąca. I to kiedy już uznałam, że dla mnie wszystko skończone, spotkałam mężczyznę swojego życia. I to jakiego! Nie takiego jak tamten drań, Wyn.

Rozdział 8

Colette! - zawołała Valerie, odrywając wzrok od wypełnianej karty. -
Jak miło cię widzieć!

Elvis ze swego legowiska radośnie pomerdał ogonem.

Do gabinetu wkroczyła starsza kobieta, Colette Richards, sąsiadka Valerie, wnosząc ze sobą zapach egzotycznych perfum. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne i dopiero wtedy Valerie zauważyła, że w błękitnych oczach przybyłej maluje się niepokój.

- Och, moja złota Val! - zawołała zachrypniętym ze zdenerwowania głosem. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię zastałam. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Zauważyła Elvisa i posłała mu całusa.

Valerie wstała zza biurka, pocałowała Colette w policzek, potem wskazała jej krzesło.

- Usiądź, proszę. Czy mi się wydaje, czy też coś się stało?

Obie usiadły. Colette położyła na kolanach drogą plecioną torbę ze skórzanymi paskami, delikatnie przytrzymując ją pokrzywionymi przez reumatyzm dłońmi, jak zwykle ozdobionymi olbrzymimi pierścionkami.

- Och, Val - westchnęła starsza dama. - Już sama nie wiem, od czego zacząć.

Colette lubowała się w dramatycznych scenach, dlatego Valerie w pierwszej chwili nie przejęła się westchnieniami ekscentrycznej sąsiadki. Dopóki nie uświadomiła sobie, że z rąk przybyłej nie wrywa się z jazgotem

uwielbiający zwracać na siebie uwagę Puff Puppy.

Dziwne, pomyślała. Colette nigdy nie rozstawała się z maleńkim, śnieżnobiałym maltańczykiem. Wszędzie go nosiła, jakby stanowił nieodzowny element jej stroju.- Colette, a gdzie ten mały rozrabiaka Puff Puppy? - spytała.

- W domu, skarbie.

- To co się stało? Zobaczyłam twoje nazwisko na liście pacjentów i sądziłam, że coś mu dolega.

- Och, moja kochana Val...

W dużych oczach Colette błysnęły łzy. Valerie błyskawicznie sięgnęła po pudełko chusteczek higienicznych, które właśnie na takie wypadki zawsze miała pod ręką, i wyciągnęła parę sztuk.

- Dziękuję, kochanie. Przepraszam, że tak się mażę, ale chodzi... chodzi o Haydena. - Po jej uróżowanych i upudrowanych policzkach popłynęły łzy.

Valerie szybko wyciągnęła kolejne chusteczki, podała Colette i zaczęła uspokajająco gładzić ją po ramieniu.

- Kto to jest Hayden? - spytała łagodnie. Starsza dama wydmuchwała nos.

- Och, moja kochana Val - spojrzała na nią ze zdziwieniem - nie mówiłam ci?

- Nie, Colette.

Staruszka przez moment wyglądała na zmieszaną, wreszcie poklepała Valerie po rękę.

- Proszę, skarbie, usiądź. I dziękuję ci za wsparcie duchowe. Ostatnio jest mi bardzo potrzebne.

Osuszyła łzy kolejną chusteczką.

Valerie wróciła za biurko i przyglądała się przyjaciółce. Colette była dziś ubrana na biało - w biały kitel malarski, białe spodnie, a także białe pantofle.

Wokół szyi okręciła kilka sznurów pereł, miała też perłową bransoletkę i kolczyki do kompletu, a na głowie olbrzymi, słomkowy kapelusz. Jeszcze dotąd na jej twarzy można było dostrzec ślady niezwyklej urody. W młodości Colette musiała być prawdziwą pięknoscią, a do dziś, mimo podeszłego wieku, zachowała młodość ducha i witalność. Interesowało ją wszystko dookoła. Nieustannie na nowo odkrywała życie i cieszyła się nim jak nastolatka. Pozostała także kokietką i przywykła, że zawsze znajduje się w centrum uwagi. Dziś jednak zwykle starannie uczesane siwe włosy były nieco potargane, a łzy wypłukały na policzkach dwie strużki.

- Aż mi się wierzyć nie chce, że wcześniej ci o nim nie wspomniałam, ale racja, ostatnio rzadko się widywałyśmy. - Głęboko odetchnęła. - Hayden, skarbie, jest tu ze mną i najwyższy czas, byście się poznali.

Otworzyła plecioną torbę i ostrożnie wyjęła z niej zawiniątko. Ręcznik? - zdziwiła się w duchu Valerie. Co to, u licha, może być? Colette delikatnie trzymała zawiniątko w dłoni, drugą ręką rozwijając mały ręcznik.

- To właśnie jest Hayden - oznajmiła, wyciągając do Val złożone ręce. Valerie wstała z krzesła i nachyliła się, by lepiej przyjrzeć się maleńkiemu stworzeniu, które tamta tuliła w dłoniach.

- Och, Colette! - zawołała. - Jakież on maleńki! I rozkoszny.

Wolno wyciągnęła rękę do zwierzątka i palcem delikatnie musnęła jego pokryty igłami grzbiet. Natychmiast zwinęło się w kulkę i drżąc na całym ciele, podejrzliwie łypało na lekarke.

- To afrykański jeż miniaturka - wyjaśniła starsza dama. - Czyż nie jest cudowny?

- Zachwycający. - Valerie znowu go pogładziła. - A co o nim sądzi Puff Puppy?

- Puff Puppy go uwielbia, ale boję się, że Hayden nie odwzajemnia jego uczucia. Za to widzę, że ciebie polubił. Niewiarygodne. Zwykle jeśli dotyka go

ktoś inny niż ja, wpada w szal.

- Cóż, nie wygląda na zachwyconego moją obecnością - zauważyła Valerie. - Mogę go potrzymać?

Colette wyciągnęła rękę, a Val ostrożnie wzięła jeża, tak by nie upadł ani jej nie uciekł.

- Ale skąd, na Boga, wytrzasnęłaś to imię?

- Jak to, skąd? Nazwałam go od tego aktora, Sterlinga Haydena, naturalnie - odparła Colette, ze zdumienia wysoko unosząc brwi. - Był miłością mojego życia, choć nigdy go nie poznałam osobiście. Niewiarygodnie romantyczny i taki przystojny, opalony, rozumiesz. Marynarz, prawdziwy łowca przygód. Nie jak współcześni mężczyźni, którzy wydają majątek na zabawę w poszukiwanie przygód. Wiesz, co mam na myśli. Ci teraz zawsze muszą mieć asekurację. Ale nie on, nie Hayden. Przemierzył siedem mórz. Och, Val, należał do gatunku na wymarciu. A jaki był seksowny...!

Valerie parsknęła śmiechem. Nie zdziwiło jej, że Colette Richards, dama bądź co bądź zbliżająca się do osiemdziesiątki, nadal była zdolna do romantycznych westchnień. Ta kobieta miała za sobą nie byle jaką przeszłość.

- A cóż dolega naszemu małemu poszukiwaczowi przygód?

- Sama nie wiem - odrzekła z niepokojem Colette. - Ostatnio jest jakiś nieswój i bardzo dziwnie się zachowuje. Mieszka w ślicznej klatce, śpi na podgrzewanej macie... One uwielbiają ciepło. Co wieczór przed snem bawię się z nim przez dobrą chwilę. To, rozumiesz, nocne marki, więc gdy już się pobawimy, wchodzi na swój kołowrotek i niestrudzenie w nim tupta. Uwielbia siedzieć w kieszeni mojego szlafroka i fartucha, w którym chodzę po mieszkaniu, więc noszę go ze sobą po domu.

- Ma apetyt?

- Strzał w dziesiątkę, Val. Dopiero gdy spytałaś, uświadomiłam sobie, że parę dni temu Hayden stracił apetyt, więc przyrządziłam mu pyszny rosół z

indyka. Podobno jeże za tym przepadają.

- Smakował mu?
- Zjada się nim! Pochłania do ostatniej kropli. Wylizuje wszystko:

wywar, kawałki mięsa i warzywa.

Valerie ostrożnie przewróciła jeża na grzbiet. Hayden rzeczywiście był maleńki, miał najwyżej osiem centymetrów długości. Delikatnie badała jego ciało, co nie było łatwe ze względu na igły. Przez dłuższą chwilę przyglądała się ślepkom, potem rozchyliła pyszczek, szukając tam przyczyny problemów. Już miała się poddać, gdy nagle coś zauważyła.

- Co się stało? - dopytywała się Colette.
- Spójrz, Colette - odrzekła cicho Valerie. - Chyba znalazłam.

Staruszka przyłożyła pomarszczoną rękę do piersi.

- Och, co to takiego, Val? - wyszeptała bez tchu.
- Jego zęby.
- Zęby?!
- Tak. Prawie na sto procent widzę u niego początki zapalenia dziąseł.
- Naprawdę? I co teraz?
- Trzeba będzie oczyścić mu zęby - wyjaśniła Val, nadal uważnie

oglądając pyszczek jeża.

- Oczyścić mu zęby? Kto by pomyślał? Poradzisz sobie z tym? Jak to można...?

- Będę musiała podać mu znieczulenie, ale to da się zrobić. Trzeba tylko bardzo starannie dobrać dawkę.

- Wielkie nieba, Val, jesteś cudowna - zachwyciła się przyjaciółka.
- Na razie zaś musi przejść kurację antybiotykową.
- Antybiotyki - powtórzyła Colette. - A kiedy zajmiesz się zębami?
- Im szybciej, tym lepiej. Zajrzę do grafiku. Trzeba koniecznie to zrobić

w ciągu najbliższych dni.

- Mój biedaku - powiedziała czule staruszka, gładząc jeża.- Proszę - Valerie delikatnie podała jej ulubieńca. - Potrzyj go chwilę, a ja sprawdzę mój rozkład zajęć. - Zajrzała do kalendarza, potem wstała. - Za chwilę wrócę. Lepiej upewnię się w recepcji i zobaczę, jak wygląda grafik całej kliniki.

Szybko wróciła i przez chwilę obserwowała Colette z Haydenem.

- Wszystko ustalone, Hayden. W piątek - odezwała się. - Przynies go koło siódmej.

Staruszka podniosła głowę.

- Rano?

Valerie skinęła głową.

- Och, malutki, będziemy musieli położyć się wcześniej niż zwykle, prawda, biedaku? A oboje jesteśmy takimi nocnymi markami. - Delikatnie owinęła go w ręcznik, włożyła do torby i zapięła skórzany pasek. - Dziękuję, skarbie. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- Na tym polega moja praca - uśmiechnęła się Valerie.

- Ha! - zawołała Colette, a potem zniżyła głos do szeptu. - Gdyby twoi koledzy mieli choć w połowie tyle serca co ty, świat byłby o wiele lepszy. Nawet mój własny lekarz nie dba o mnie tak jak ty o te zwierzaki, ale ja jestem już stara, więc to bez znaczenia. Rozumiesz, jedną nogą w grobie...

Valerie roześmiała się i poklepała przyjaciółkę po plecach.

- Jeszcze nie. Nie tak szybko, Colette.

- Tak czy owak, zjawimy się tu z Haydenem raniutko w piątek. A ty zajrzyj do mnie przedtem. Stęskniłam się za naszymi pogawędkami.

- Ja też - zapewniła Valerie. - Ale byłam ogromnie zajęta.

- Wiem, skarbie - Colette puściła do niej oko. - Teddy wyjeżdżał na weekendy, więc nadrabiałaś zaległości w ogrodzie i mieszkaniu.

- Właśnie. Na pewno zobaczymy się w piątek tutaj, a może wcześniej uda nam się spotkać. - Przytrzymała drzwi wychodzącej kobiecie.

- Pa, pa! - zawołała Colette.

W swoich pantoflach na niewiarygodnie wysokich obcasach przedreptała obok rejestracji, roztaczając wokół ciężką woń perfum. Pożegnała ruchem ręki Annie i Tami, a przy wyjściu jeszcze na moment się zatrzymała, by posłać całusa Valerie, która wyszła za nią do holu.

Valerie pomachała ręką i Colette zniknęła za drzwiami.

- Nie wiem, jak wytrzymujesz z tą starą wariatką bez piątej klepki - odezwała się Annie.

- Wcale nie jest wariatką - broniła przyjaciółki Valerie. - I wcale nie brakuje jej piątej klepki, jak to byłaś łaskawa ująć. Po prostu różni się od przeciętnych kobiet.

- Doprawdy? Kto by pomyślał? - zachichotała Annie.

- Val - odezwała się Tami zza kontuaru - jest do ciebie telefon na trzeciej linii.

- Kto dzwoni? - spytała Valerie.

- Ktoś ze Stonelair - odparła rejestratorka. - Odbierzesz czy powiedzieć, żeby zatelefonowali później?

- Odbiorę - zdecydowała Valerie.

Wróciła do gabinetu, zamknęła drzwi i zerknęła na chrapiącego cicho Elvisa. Wybrała na aparacie trzecią linię.

- Doktor Rochelle.

- Pani doktor - odezwał się męski głos. - Tu Santo Ducci ze Stonelair.

- Tak, panie Ducci, czym mogę służyć?

- Wszystkie nasze psy, czwórkę wilczarzy irlandzkich, trzeba kontrolnie przebadać, odrobaczyć i zaszczepić przeciwko boreliozie. A oprócz nich mamy jeszcze kota. Im szybciej, tym lepiej, bo i tak już przegapiliśmy terminy. Zechciałaby pani przyjechać do nas? Przywiezienie do lecznicy czterech wilczarzy to jednak pewien problem.

- Rozumiem.

Rzeczywiście to rozumiała - irlandzki wilczarz jest wielkości małego kuca. Zresztą na wsi dość często weterynarze sami jeździli do większych zwierząt. Dlatego Valerie nierzadko pół dnia spędzała w rozjazdach, badając pacjentów wszelkiej maści - od koni po lamy - u ich właścicieli.

- Proszę momentik poczekać, panie Ducci, sprawdzę, jak wygląda mój grafik i kiedy mam czas na wizyty domowe. Możliwe, że szef przyśle innego lekarza.

- Albo pani, albo nikt - odparł olbrzym.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedziała Valerie, zaskoczona tak stanowczym postawieniem sprawy.

Przerwała rozmowę i połączyła się z rejestracją. Odebrała Tami.

- Tami, czy zmieszczę wizytę domową dzisiaj po południu? Jakąś godzinę.

- Sprawdzę.

Valerie czekała cierpliwie, gdy dziewczyna przeglądała rozkład zajęć.

- Masz czas dzisiaj między wpół do czwartej a wpół do piątej, ale musisz wrócić punktualnie, bo jest już zapisana czwórka pacjentów.

- Świetnie. To zanotuj, że jadę na wizytę domową do Stonelair.- Już się robi - odrzekła Tami, rozłączając się. Valerie znowu przełączyła się na trzecią linię.

- Panie Ducci? - odezwała się.

- Tak? - burknął.

- Przyjadę o wpół do czwartej.

- Dziękuję. - Teraz jego głos wprost ociekał słodyczą. - To wspaniale.

- Ile psów, pan mówił, trzeba przebadać?

- Cztery. I kota.

- W porządku.

- A przy okazji, nie odezwała się pani do nas w sprawie przejęcia opieki nad naszą menażerią.

Valerie poczuła ukłucie wstydu. Rzeczywiście, nie oddzwoniła.

Odsuwała tę sprawę, bo zimno jej się robiło na myśl o rozmowie z Charlesem.

- Zakładam, że jeszcze nie rozmawiała pani z szefem - ciągnął Ducci - skoro powiedziała pani, że może przyjechać kto inny. A my nadal czekamy na pani decyzję. Mamy tu dużo zwierząt, ich zdrowie wiele dla nas znaczy.

- Rozumiem i bardzo przepraszam. Obiecuję, że przy najbliższej okazji porozmawiam o tym z kolegami.

- Lecznica powinna się cieszyć, że pozyska pani tak dużego klienta - tłumaczył Ducci z niezachwianą logiką.

- Zapewne ma pan rację - przyznała Valerie - ale tak czy owak, muszę to ustalić z kolegami. Postaram się porozmawiać z nimi dzisiaj i przekazać panu decyzję albo dziś po południu, kiedy wpadnę do Stonelair, albo jutro w ciągu dnia.

- Dobrze. Będziemy wdzięczni.

- Czyli ustalone. Przyjadę o wpół do czwartej. Do widzenia. Santo Ducci nie odpowiedział, bo już się rozłączył.

- Ależ drobiazg - mruknęła Valerie, odkładając słuchawkę. Spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Jakże ten czas pędzi. A wydawało jej się, że dopiero co przyszła.

Cóż, uświadomiła sobie, odtwarzając w pamięci wydarzenia poranka, nie można dziś narzekać na brak zajęć.

Najpierw nieco przedwczesny poród u klaczy w gospodarstwie Breezy Hills. Śliczny źrebak. Potem lama z chorą nogą w Maplecrest. Później koń z pasożytami w Silver Fox i ogier z wrzodami żołądka w Streamside. Wreszcie dwa psy oraz kot, tu na miejscu. Rutynowe przypadki. No i Colette z Haydenem. A teraz świeża i kwitnąca mam się pojawić u Teddy'ego na lunchu,

westchnęła w duchu.

Zamyślona siedziała przy biurku. Minał już miesiąc od dnia, gdy Teddy dał jej pierścionek. Potem wrócił do Nowego Jorku i nie przyjeżdżał na weekendy. Choćby tydzień temu: wypadła mu służbowa kolacja z ważnymi klientami w Hamptons. Ale często dzwonił. Teraz przyjechał na parę dni w środku tygodnia, żeby trochę odpocząć. Akurat kiedy ona była najbardziej zajęta.

I co najdziwniejsze, pomyślała, tak naprawdę wcale za nim nie tęskniłam i dziś najchętniej bym się z nim nie spotykała.

Ale obiecała, a nigdy nie łamała słowa. Wstała, przeciągnęła się, zdjęła i odwiesiła fartuch. Elvis natychmiast zerwał się z legowiska i ziewnął. Wiedział, że zbliża się obiad.

- Chwila cierpliwości, kochany.

Schyliła się i pogłaskała psa, potem wzięła torebkę i przeszła do łazienki. Zapaliła światło, nałożyła świeżą warstwę szminki i trochę się przypudrowała. Dzięki pracy w ogrodzie tak się opaliła, że prawie nie potrzebowała makijażu. Splecione w warkocz włosy zwinęła rano w węzeł tuż nad karkiem.

Rozpuścić czy zostawić, jak jest? - zapytała swoje odbicie. Wiedziała, że Teddy nie lubił jej „służbowego wydania”, zwłaszcza włosów, ale postanowiła niczego nie zmieniać. Po lunchu wraca do pracy, Teddy musi po prostu to zaakceptować. Polubić albo przestać narzekać. Zgasiła światło i wróciła do gabinetu.

- Chodźmy, piesku - powiedziała, schylając się i przypinając mu smycz.

Przy rejestracji stała Daphne Collins, stukając notesem w blat.

- Cześć, Val - przywitała ją z uśmiechem. - Podobno odwiedziła nas Colette.

- Tak. Z afrykańskim jeżem miniaturką.

- Naprawdę? Szkoda, że minęłam się z nią i z jej ulubieńcem. To

cudowna staruszka. A jeż pewno jest tak samo rozkoszny jak ona. Co też ona jeszcze wymyśli?

- Trudno przewidzieć - odpowiedziała Valerie. - A przy okazji, masz chwilę? Mam sprawę do ciebie i Charlesa.

- Właśnie wychodziłam na lunch, ale jeśli Charles jest wolny, mogę zostać chwilę. Doktor Bradford ma teraz pacjenta? - zwróciła się do Annie.

- Nie - odrzekła rejestratorka. - Jest w gabinecie.

- Chodźmy. - Daphne ruszyła do pokoju szefa. Valerie poszła za nią z Elvisem, drepczącym przy nodze. Daphne zastukała do drzwi gabinetu i weszła, nie czekając na odpowiedź. Charles podniósł wzrok znad papierów. W jego szarych oczach malowało się pytanie.

- Val ma do nas jakąś sprawę - wyjaśniła Daphne.

- O co chodzi? - spytał Charles.

- Właściciel Stonelair chce, żebym opiekowała się jego zwierzętami - oznajmiła Valerie.

- Tylko ty? - upewniła się Daphne. Val skinęła głową.

Koleżanka najwyraźniej nie była zachwycona tą informacją. Odwróciła głowę, by ukryć niezadowolenie, ale Valerie zdążyła je dostrzec.

Charles zdjął okulary i popatrzył na Valerie.

- Wiesz, że działamy na innych zasadach. Chyba że chodzi o jakąś nadzwyczajną sytuację.

- Oczywiście - zgodziła się Valerie - ale wiercą mi dziurę w brzuchu, żebym spytała, więc...

- To już kolejna taka sytuacja - przerwała Daphne z rozdrażnieniem. - Czemu nie polecisz kogoś z nas, żebyśmy sprawiedliwiej dzielili się obowiązkami.

- Wyraźnie im powiedziałam, że pacjentów przyjmuje ten, kto akurat jest wolny - tłumaczyła Valerie - ale nie przyjęli tego do wiadomości. Chcą,

by ich zwierząt doglądał stale jeden lekarz, a ponieważ mnie już znają... Cóż, chcą, żebym to ja zajmowała się ich menażerią. A że jest tam dużo zwierząt, oznacza to duże wpływy do kasy kliniki.

Daphne przyglądała jej się spod gniewnie ściągniętych brwi, ale Charles wybuchnął śmiechem.

- Musiałaś zrobić prawdziwe wrażenie na tych mafiosach. Przyznaj się, jak ich obsłużyłaś, Val?

Postanowiła zignorować tę uwagę, ale poczerwieniała z gniewu. Nie będę tak stać i pozwalać się obrażać, postanowiła.

- Tak czy nie? - spytała twardo.

- Co o tym sądzisz, Daphne? - zwrócił się do tamtej Charles.

- Nie podoba mi się to - odrzekła. - Val doskonale wie...

- Jeśli odmówię, Stonelair poszuka weterynarza gdzie indziej. W ogóle zrezygnują z naszych usług.

Daphne z oburzeniem otworzyła usta, a potem je zamknęła. Zaplotła ramiona na piersi i spojrzała na szefa. - Cóż, to znacznie poprawi finanse lecznicy. Jak powiedziała Val, mają tam dużo zwierząt. Pomyśl o tym, Charles.

Bradford na chwilę popadł w zadumę.

- Racja - odezwał się wreszcie i uśmiechnął. - Właściwie, jeśli trochę pomyśleć, to niezły układ. Valerie będzie zajmowała się ich zwierzakami, a my nie będziemy musieli mieć do czynienia z tymi podejrzanymi typami. Chyba dobrze radzisz, Daphne. Ale nie obejdzie się bez pewnych warunków.

- Jakich? - spytała Valerie.

- Na przykład nagłe wypadki - wyjaśnił. - Sama rozumiesz, że nie możesz wszystkiego rzucać i lecieć tam na złamanie karku. Będiesz nadal miała swoje normalne obowiązki.

- Naturalnie - zgodziła się Val.

- Jeśli jednocześnie otrzymamy dwa wezwania wymagające pilnej

interwencji, będziesz musiała wybrać, która sytuacja jest poważniejsza, i tam jechać najpierw. Co może oznaczać, że Stonelair będzie musiało poczekać.

- Tak - powiedziała.

Zaczynała się niecierpliwić, przecież to wszystko jest oczywiste.

- I pamiętaj - wtrąciła Daphne - jeśli akurat cię nie będzie, bo weźmiesz urlop albo coś w tym stylu, muszą się zgodzić, że przyjedzie ktoś z nas.

Prawda, Charles?

- Oczywiście.

- Rozumiem - odrzekła Valerie. - Czy to wszystko?

Charles spojrział na Daphne. Najwyraźniej bezgłośnie osiągnęli porozumienie, bo skinął głową.

- Chyba tak.

- Dziękuję. Chodź, Elvis.

Obróciła się na pięcie i szybko wyszła. Kiedy już była na korytarzu, usłyszała, jak drzwi gabinetu zatraskują się z hukiem.

Muszę jak najszybciej otworzyć własną lecznicę, pomyślała. Dłużej nie wytrzymam takiego traktowania. Zżera ich zazdrość, to jasne jak słońce, dlatego za wszelką cenę próbują mi dogryźć.

W rejestracji zawołała ją Tami.

- O co chodzi? - spytała Valerie.

- Jeśli po południu w klinice nie będzie dużego ruchu, mogłabym pojechać z tobą do Stonelair i pomóc? - spytała dziewczyna.

- Naturalnie - uśmiechnęła się Valerie. - O ile Daphne i Charles się zgodzą.- To byłaby dla mnie podróż do krainy dzieciństwa - wyjaśniła Tami.

- Naprawdę?

- Kiedy byłam małą, mieszkaliśmy niedaleko Stonelair. Razem z bratem często się tam bawiliśmy.

- W Stonelair? - powtórzyła zaskoczona Valerie. Dziewczyna skinęła

głową.

- Wtedy mieszkał tam tylko stróż. Ja i Jimmy przeskakivaliśmy przez płot w lesie. Udało nam się nawet kiedyś wejść do domu tak, że nikt nie zauważył.

- W takim razie jesteś jedyną moją znajomą, która wie, jak tam jest w środku - roześmiała się Valerie. - Porozmawiaj z Daphne i Charlesem. Jeśli się zgodzą, ja nie mam nic przeciwko temu, choć nie liczę, że wiele się nauczysz. To tylko szczepienia i ogólne badanie.

- Nie o to chodzi - powiedziała dziewczyna. - Po prostu chciałabym zobaczyć, jak tam teraz jest.

- Cóż, jeśli dziś cię nie puszczą, będzie jeszcze wiele okazji, bo mam zajmować się ich zwierzyńcem.

- Super! - zawołała Tami.

- Muszę lecieć, umówiłam się na lunch.

- Teddy? - spytała dziewczyna z domyślnym uśmiechem.

- Tak - odrzekła Valerie, idąc do drzwi.

- Miłej zabawy! - zawołała za nią rejestratorka. - Oby.

Val szybkim krokiem ruszyła do samochodu, zastanawiając się, w co właściwie się wpakowała.

Stonelair, pomyślała. Prawdziwe zakazane miejsce.

I dlaczego ten cały Conrad uparł się, żeby to właśnie ona zajmowała się jego zwierzętami? Nigdy jeszcze nikt tak uparcie nie naciskał, by zaopiekowała się czyimiś pupilami. I nigdy nie był to ktoś, kogo nawet nie widziała na oczy.

Pewnie tajemniczy pan Conrad uważa się za zbyt ważną osobistość, by zniżać się do tak przyziemnych spraw, uznała.

Nagle zaczęła się zastanawiać, czy w plotkach krążących na temat Conrada i tego, co dzieje się w Stonelair, nie ma żdźbła prawdy.

A nawet jeśli, to co? - pomyślała. Jestem tylko weterynarzem. Nie zrobią mi krzywdy.

Rozdział 9

Valerie i Teddy siedzieli przy basenie pod dużym parasolem, który chronił ich przed piekącym słońcem. Hattie podała lunch na dużym, wysłużonym stole z drewna tekowego. Elvis chytrze zajął strategiczną pozycję między Valerie a Teddym, próbując ich oczarować. Ślepia błyszczały mu z łakomstwa, a wywieszony różowy język sprawiał, że pies wyglądał, jakby szeroko się uśmiechał. Wyczekująco szorował po tarasie czarnym, lśniącem ogonem, zwłaszcza gdy zauważył ruch przy stole.

- Dziękuję, Hattie, to wygląda niezwykle apetycznie - pochwaliła lunch Valerie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła gospodyni. - Może wezmę ze sobą Elvisa? Mam dla niego w kuchni parę kąsków.

- Właściwie... - Valerie grała na zwłokę.

Nie za bardzo chciała się zgodzić, bo wiedziała, że Elvis wyżebrze u Hattie, co tylko zechce. A będzie tego zbyt dużo.

- Niech zostanie tutaj, z nami.

- Zlituj się nad nim, Val - zaprotestował Teddy. - Niech i pies użyje sobie trochę. Tak rzadko dostaje coś dobrego do jedzenia.

- Czy to przytyk do moich talentów kulinarnych, panie de Mornay? - roześmiała się Valerie.

- Wiem, czym go żywisz - uśmiechnął się Teddy. - I siebie też.

Poprzestańmy na stwierdzeniu, że preferujesz niezwykle zdrową kuchnię.

- Dobrze, niech wam będzie - ustąpiła. - Elvis, idź z Hattie. Zaszalej

sobie.

- Chodź, piesku - zawołała go Hattie, wracając do domu. Ulubieniec Valerie natychmiast się poderwał i pobiegł za gospodynią, przewidując, jaka uczta czeka go w kuchni. Valerie odprowadziła ich wzrokiem. Była gotowa się założyć, że Hattie i Teddy wcześniej wszystko uzgodnili, żeby zabrać Elvisa od stołu. Niepokoiło ją to, że Teddy'emu chyba nigdy nie odpowiadała obecność psa. Och, naprawdę świetnie udawał. Traktował Elvisa niemal równie serdecznie jak swoich gości, ale Valerie czasem zastanawiała się, czy Teddy tak naprawdę w ogóle lubi zwierzęta. Nie miał ich w domu i bardzo zaniedbywał biednego Kaisera, swojego konia.

Teddy wyjął ze srebrnego koszyczka zroszoną butelkę schłodzonego wina *pouilly fuisse* i chciał nalać Valerie, ale szybko zasłoniła kieliszek.

- Nie. Nie dla mnie, Teddy. Przede mną jeszcze długi dzień pracy.
- Doprawdy, Val - nadał się. - Jeden kieliszek.
- Nie - odparła zdecydowanie. - Poprzestanę na wodzie mineralnej.
- Bo co? Boisz się, że zaszlachtujesz pudła?
- To mnie nie śmieszy, Teddy. A gdyby twój lekarz wypił parę głębszych, zanim... na przykład...
- Wygrałaś - roześmiał się. - Nie zapędzajmy się tak daleko.
- Chciałam tylko, żebyś spojrział na to z mojego punktu widzenia.
- Nieważne. Tak czy owak, zdrowko - powiedział przyjaźnie, unosząc kieliszek.

- Zdrowko - powtórzyła, podnosząc swoją szklankę i stukając się z nim.
- Wygląda przepysznie - zachwyciła się, patrząc na talerz.
- Hattie uwielbia dla ciebie gotować.

Teddy nabrał na widelec porcję sałatki z homara. Valerie posmarowała masłem grzankę z zapieczonym cheddarem i szalotką, specjalność Hattie.

- Zapomniałam już, że na świecie istnieją takie rozkoszne pokusy -

westchnęła zachwycona.

- A ja wrócę do miasta i tego okropnego żarcia dla królików - jęknął Teddy. - Jedyna moja pociecha to posiłki tutaj i te kolacje w Hamptons. A poza tym w kółko sałata, sałata i jeszcze raz sałata.

- Więc musisz przyznać, że Hattie to prawdziwy skarb. Jest nie tylko wspaniałą gospodynią, ale jeszcze uwielbia cię jak własnego syna.

- Może stać się również twoim skarbem - przypomniał jej Teddy. Valerie na moment znieruchomiała, ale potem wsunęła widelec do ust, postanawiając nie reagować na tę uwagę. Teddy sączył wino i dalej bacznie jej się przyglądał.

- Tylko pomyśl, Val - kusił. - Hattie wzięłaby na siebie całe gotowanie i sprzątanie. Lydia zajmowałaby się sprawami organizacyjnymi, płaciła rachunki, zatrudniała ludzi i tak dalej. Nic nie musiałybyś robić, wszystko dostawałabyś na tacy. Wystarczyłoby tylko, żebyś pojawiła się w domu. Byłabyś królową Apple Hill.

Valerie poczuła ucisk w żołądku.

Królowa Apple Hill? Co za nonsens. Jest weterynarzem, na miłość boską!

- Królowa Apple Hill? - powtórzyła na głos z rozbawieniem. - Chyba nie do twarzy byłoby mi w koronie.

Teddy zaczął roztaczać przed nią wizje sielskiego życia w Apple Hill, powtarzając to, co przed chwilą powiedział, i wzbogacając ów obraz o przyjemności bycia panią tak idealnego gospodarstwa. Valerie kompletnie się wyłączyła, w milczeniu skubiąc jedzenie. Doskonale wiedziała, do czego prowadzi ta rozmowa, a właściwie monolog Teddy'ego, i nie podobało jej się to. Nie życzyła sobie nacisków ze strony narzeczonego. Nie teraz.

Westchnęła ciężko w duchu i dalej udawała, że słucha go z uwagą. Jednocześnie zaś gdzieś głęboko pojawiło się nieprzyjemne poczucie winy.

Założę się, że brał korepetycje u mojej matki, pomyślała.

Uświadomiła sobie jednak, że istotnie już od dłuższego czasu zachowuje się nie fair wobec Teddy'ego, nie rozmawiając z nim o tym, co czuje; w ten sposób pozwoliła, by uważał, że w ich związku nic złego się nie działo.

Kiedy jeszcze w college'u zaczęli się umawiać, Val uszczęśliwiona, iż taki mężczyzna zwrócił na nią uwagę, przez jakiś czas szczerze wierzyła, że naprawdę go kocha. A gdy stali się parą, ich związek zyskał aprobatę obu rodzin i przyjaciół, uważających to za idealny alians. Później, kiedy Teddy kończył studia ekonomiczne, a ona wyjechała studiować weterynarię, ich znajomość trwała.

Val polubiła okazjonalne weekendowe wypady i wakacyjne imprezy, dzięki którym odkrywała zupełnie nowy świat eleganckich znajomych Teddy'ego. Przystojny de Mornay cieszył się niezwykłą popularnością, a ponieważ jego przyjaciele ją akceptowali, Valerie nabrała pewności siebie. Bardzo też wyładniała. Zniknęła niezgrabna, koścista nastolatka, a pojawiła się smukła, wysoka, elegancka piękność. Stopniowo Valerie zaczęła dostrzegać, że otwiera się przed nią mnóstwo możliwości. Możliwości innych niż ślub z Teddym de Mornayem.

Wypiła łyk wody, otarła serwetką usta, jednym uchem słuchając jego monologu. Wszystkie te kwestie znała już na pamięć. Patrzyła na narzeczonego z przyklejonym do ust uśmiechem, ale myślami błądziła gdzie indziej. Analizowała ich rozsypujący się związek, podczas gdy Teddy mówił o przypieczętowaniu go ślubem, scementowaniu poprzez małżeństwo, które wszyscy uważali za właściwe i nieuniknione.

Już w college'u miała owo poczucie nieuchronności. Przez ostatnie cztery lata, gdy ciężko pracowała, aby wyrobić sobie nazwisko i opinię, właściwie każdy weekend spędzali razem, zawsze u niego, choć teraz ona także kupiła sobie dom. I wszyscy zakładali, że kolejnym krokiem będzie ich

małżeństwo.

Przez jakiś czas Valerie też tak sądziła, lecz w miarę jak przygasała jej miłość do Teddy'ego - jeśli to w ogóle była miłość - ten pomysł budził w niej coraz większą niechęć. Nie mogła zrzucać winy na Teddy'ego. W każdym razie nie wyłącznie na niego. On prawie wcale się nie zmienił. To ona stopniowo zaczęła dostrzegać jego pewne cechy i zachowania, których początkowo nie widziała, a które zawsze były obecne. Uświadomiła sobie, że Teddy to czarujący pozer, fantastyczny aktor.

Odłożyła widelec i patrzyła na niego, czekając na przerwę w monologu. Kiedy wreszcie Teddy zamilkł, błyskawicznie skorzystała z okazji.

- Teddy - odezwała się spokojnie. - Rozmawialiśmy o tym setki razy. I nadal jest tak samo. Nic na to nie poradzę. - Wzruszyła ramionami. - Chcę jeszcze trochę poczekać.

Próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko grymas. Dolał sobie wina.

- Przecież wiesz, że doceniam wszystko, co mi oferujesz - ciągnęła Valerie. - Naprawdę. Ale tłumaczyłam ci też wiele razy, że w tym momencie muszę się skoncentrować na pozyskiwaniu klientów, by otworzyć własną lecznicę. Poza tym chcę wyjść z długów. Ciągle jeszcze nie spłaciłam pożyczki studenckiej, a w dodatku zaciągnęłam kredyt na kupno domu. Po prostu...

- Och, Val, na miłość boską. Czasem wydaje mi się, że zapominasz, kim jesteś. Przecież nazywasz się de la Rochelle. Pochodzisz z francuskiej arystokracji. Nawet twoje imię, Valerie, znajduje się na liście imion niegdyś akceptowanych przez francuski dwór. Pamiętaj o tym.

Wpatrywała się w niego zdumiona. Zupełnie jakby słyszała swoją matkę z jej wszystkimi snobizmami.

- Nie zawracaj sobie głowy takimi przyziemnymi zmartwieniami - ciągnął. - Wiesz, że w każdej chwili mogę spłacić twoją idiotyczną pożyczkę.

A kiedy się pobierzemy, sprzedasz ten swój domeczek. Tak więc rozwiąże się problem kredytu. Zaraz, Val, przecież już teraz możesz go sprzedać.

Przeprowadź się do mnie. - Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. -

Zacznijmy od tego, że w ogóle nie musiałaś kupować domu.

- Właśnie że musiałam - odparowała. - Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Tłumaczyłam ci, że chcę przez jakiś czas pomieszkać sama. -

Westchnęła ze zniecierpliwieniem. - Nie rozumiesz? Chcę stanąć na własnych nogach, Teddy. I nie mogę wyjść za mąż, dopóki tego nie osiągnę. Dlatego pragnę jeszcze trochę poczekać i...

- Powiedziałaś, że w Boże Narodzenie - przypomniał jej. Uśmiechał się, ale w jego głosie zabrzmiała ostra nuta. Przyłapaną na wykretach Valerie poczerwieniała ze wstydu.

- Chyba rzeczywiście tak powiedziałam - bezskutecznie próbowała obrócić to w żart.

Teddy nie roześmiał się, tylko patrzył na nią z miną nadąsanego chłopca.

Boże Narodzenie na początku roku wydawało się tak odległe. To wtedy powiedziała Teddy'emu, że do zimy powinna dojrzeć do zmian. Teraz już lato dobiegło końca, a ona przyjęła pierścionek zaręczynowy.

- To prawda - podjęła - mówiłam o Bożym Narodzeniu i wtedy naprawdę tak myślałam. Ale...

- Ale co, Val? - rozgniewał się Teddy. - Chyba nie próbujesz mnie znowu spławić. Zresztą, niby co takiego zmieni nasz ślub? - Wyciągnął rękę i zaczął wyliczać na palcach. - Niemal każdy weekend spędzamy razem. - Pierwszy palec. - I każdy urlop. - Drugi palec. - A jeśli jestem tu w ciągu tygodnia, właściwie nie ma dnia, żebyśmy się nie spotkali, nie zjedli razem obiadu albo kolacji. - Trzeci palec. - Na miłość boską, przecież my już właściwie żyjemy jak małżeństwo. - Czwarty palec.

Jeśli rzeczywiście żyjemy jak małżeństwo i tak ma wyglądać nasze

małżeństwo, to ja się na to nie piszę. Nigdy, pomyślała.- Oczywiście, znowu masz rację, Teddy - przyznała głośno. -Ale po prostu... Sama nie wiem...

Zrozumiał, że natarł za ostro. Wyciągnął rękę i ujął palce Valerie.

- Boże, Val, strasznie przepraszam - sumitował się. Znajome błagalne spojrzenie psiaka zajęło miejsce znajomego twardego wzroku. - Bo... bo po prostu tak cię kocham, że czekanie... To prawdziwe piekło.

- Ja też przepraszam, Teddy - powiedziała łagodnie, ale zdecydowanie.

- Przecież wiesz, że darzę cię uczuciem. Ale w tym momencie mam wrażenie, że ze wszystkich stron jestem osaczana.

Teddy przytaknął szybko, chcąc zakończyć ten temat.

- Masz rację, Val. Nie myśl już o tym. A teraz jedzmy. Energicznie, z apetytem zaatakował sałatkę z homara. Valerie

sięgnęła po widelec, lecz choć sałatka była pyszna, odechciało jej się jeść.

- Miałaś pracowity poranek? - spytał, wypiwszy trochę wina. Skinęła głową.

- Tak. Ogromnie. To, co zawsze, plus Colette.

- Colette? - zdziwił się. - A jej co dolega?

- Jej afrykański jeż miniaturka zachorował, musimy go postawić na nogi.

- Nie potrafię jej rozgryźć. Zero demencji, bystra, z naszego środowiska, a do tego wręcz nieprzyzwoicie dziana. A mimo to - uderzył pięścią w stół - nie chce, abym zarządzał jej portfelem.

- Zaproponowałaś jej to? - spytała zaskoczona Val.

- A bo to raz. Ale ta stara jęzda się uparła. Mówi, że jest zadowolona ze swoich doradców finansowych. Nie rozumiem... Przecież znała moich rodziców, a nic do niej nie trafia, nie chce się do mnie przenieść.

- Nie wiedziałam. Ani słowem mi o tym nie wspomniała.

- Ale gdyby coś powiedziała, powtórzysz mi? Zgoda?
- Jasne - obiecała Valerie, choć jednocześnie pomyślała, że pewnie i tak tego nie zrobi.

- A jak popołudnie? Znosi się na pracowite?
- Jak zwykle przyjmuję pacjentów w klinice i muszę wyskoczyć do Stonelair.

- Do Stonelair? - powtórzył zaalarmowany Teddy. - Znowu?
- Są tam cztery wilczarze irlandzkie - wyjaśniła. - Wszystkie trzeba zaszczepić przeciwko boreliozie, podać tabletki na robaczycę serca i przebadać. A oprócz tego jest jeszcze kot.- Dlaczego tam jedziesz? Nie mogą ich przywieźć do kliniki?

- Teddy! Trzeba by je chyba załadować do przyczepy dla koni! To przecież wilczarze! To potężne psy, prawie jak kuce!

- Czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - zapytał złowieszczym tonem Teddy. - Po co się zadawać z takimi podejrzanymi typami?

- Kiedy wezwali mnie do konia, nie widziałam tam nic podejrzanego - broniła się Valerie. - Moim zdaniem to wszystko tylko plotki. Nic poza tym.

- Nie ma dymu bez ognia - odparował Teddy. - A z tego, co wiem, dzieją się tam dziwne rzeczy.

- Zupełnie jakbym słyszała matkę.

- A jeśli nawet? Twoja matka ma niezawodny instynkt. Z daleka potrafi wyczuć coś podejrzanego. - Utkwił wzrok w narzeczonej. - Właśnie, czy w końcu zadzwoniła do starego Docka Wainwrighta?

- Nie mam pojęcia. - Val spojrzała na niego zaintrygowana. - Czemu? - spytała, choć z góry potrafiła przewidzieć odpowiedź.

Teddy wzruszył ramionami.

- Tak tylko pytam, z ciekawości. - Bawił się kieliszkiem. - Wspomniała o tym wtedy wieczorem, kiedy byliśmy u niej na kolacji. Pamiętasz? Mówiła,

że stary Dock zasypia gruszki w popiele. Nie pilnuje należycie jej interesów, inwestycje nie przynoszą spodziewanych zysków. Pewnie zamiast czytać raporty finansowe, drzemie nad nimi.

- Więc teraz ty chcesz położyć rękę na forsie mojej matki - zażartowała Valerie.

Popatrzył na nią uważnie, ignorując lekki ton Valerie.

- A właściwie czemu nie? Twoja matka wyglądała na zainteresowaną przejściem do mnie. Wie, co się dzieje na rynku, i widzi, że Dock nie pomnaża jej majątku. Tak genialnie inwestuje, że zyski pewnie nawet nie pokrywają inflacji.

Valerie od dawna zastanawiała się, kiedy Teddy zaproponuje matce, że przejmie prowadzenie jej interesów. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu - może to po prostu był instynkt - nie chciała, by odpowiadał za finanse Marguerite. Wciąż nie dawało jej spokoju przekonanie, że matka popełniłaby błąd, choć zdawała sobie sprawę, że pewnie zachowuje się irracjonalnie.

W końcu podobno Teddy znał się na robieniu pieniędzy, prawda? A w każdym razie żył jak człowiek zamożny, któremu na niczym nie zbywa. Imponujące mieszkanie w Nowym Jorku, zadbane dom na wsi, co roku nowy jaguar dla siebie i furgonetka na potrzeby gospodarstwa. Garderoba warta setki tysięcy dolarów. Drogie weekendy w Hamptons.

Nagle zorientowała się, że Teddy zadał jej pytanie.

- Słucham?

- Nie słuchałaś - skarcił ją Teddy. - Pewnie myślisz o tych biednych psach, które dziś wykastrujesz.

- Och, daj sobie spokój z głupimi kawałami o weterynarzach - odpowiedziała wesoło.

- Pytałem, czy domyślasz się, jaką sumę twoja matka powierzyła Dockowi.

- Nie mam pojęcia.

Była zaskoczona, że zadał jej tak osobiste pytanie. Teddy potrafił atakować, ale zwykle robił to o wiele subtelniej.

- To wyłącznie jej sprawa, nie rozmawia ze mną o pieniądzach. -

Spojrzała na zegarek. - Muszę już uciekać.

- A deser? - zaprotestował Teddy. - Co prawda to tylko owoce, ale...

- I tak rano zjadłam dziś w pracy za dużo pączków - zmyśliła na poczekaniu Valerie, wstając.

Teddy podszedł do niej, objął ją w pasie i cmoknął w policzek.

- Cieszę się, że przyszłaś. Tęskniłem za tobą przez te parę weekendów.

Valerie skinęła głową z uśmiechem.

- Muszę... muszę już pędzić, jeszcze tylko zabiorę Elvisa.

- Odprowadzę cię.

W milczeniu poszli do domu, ale przy drzwiach Teddy zatrzymał się i spojrzał Valerie w oczy. Popatrzyła na niego pytająco, z uśmiechem.

- Nie nosisz pierścionka zaręczynowego - odezwał się cicho. -Dlaczego, Val?

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Teddy, zastanów się chwilę. Czy twoim zdaniem taki klejnot nadaje się do noszenia podczas pracy? A w każdym razie podczas mojej pracy?

Wyobrażasz sobie, że miałabym coś takiego na palcu, odbierając poród u klaczy albo nastawiając nogę lamie? Chciałbyś, żeby był cały umazany w krwi?

- No... nie - ustąpił. - Ale mogłabyś go mieć przy sobie i włożyć na dzisiejszy lunch.

- Nie będę nosiła pierścionka w torebce, żeby co chwila go wkładać i zdejmować. To najskuteczniejszy sposób, abym go zgubiła. Albo by padł łupem złodzieja.

- Chyba masz rację - przyznał.

- Na pewno mam rację. Zresztą, jest taki duży, że rozdierałby mi rękawiczki chirurgiczne.

- Coś w tym jest. - Teddy się roześmiał i otworzył drzwi. Weszli do oranżerii. - Wpadniesz dziś wieczorem? Jutro wracam do Nowego Jorku.

Valerie nie zatrzymała się, tylko ruszyła dalej, do kuchni.

- Nie mogę. W domu czeka na mnie mnóstwo roboty.

- Ale... - zaczął Teddy, lecz zaraz umilkł. Nie będzie jej namawiał, żeby tu przenocowała.

Osaczanie, przypomniał sobie. Opuść sobie, Teddy, chłopie. Chyba nie chcesz, aby teraz cię rzuciła.

- Ale co? - spytała.

- Nic. Tylko głośno myślałem. O pracy, którą Lydia zostawiła mi na biurku.

- Sam widzisz. Na ciebie też czeka robota, więc nie muszę mieć wyrzutów sumienia.

W kuchni Elvis powitał ich radośnie, niechętnie odrywając się od Hattie. Potem dumnie pomaszerował do dżipa przy nodze Valerie. Teddy patrzył, jak wpuściła psa do samochodu, a potem zamierzała wsiąść sama.

- Nie zapomniałaś o czymś? - spytał. Odwróciła się do niego, zdziwiona.

Wyciągnął ramiona, więc podeszła, by dać się objąć. Lekko ją pocałował i wypuścił.

- Wiem, jak się spieszysz do pracy. Zadzwoń wieczorem, dobrze?

- Jasne - odrzekła. - To do usłyszenia wieczorem.

Wsiadła do dżipa, a Teddy zatrzasnął za nią drzwiczki. Uruchomiła silnik, tyłem wyjechała z parkingu i skręciła na podjazd. Skinęła ręką na pożegnanie, a Teddy stał, machając, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Boże, myślała, czemu coraz częściej spotkania z Teddym traktuję jak dopust? I dlaczego, dlaczego, dlaczego nie czuję się jak kobieta, która w Boże Narodzenie wychodzi za swojego ukochanego? Czemu brakuje mi odwagi, by zrobić to, na co w końcu i tak będę musiała się zdobyć? Lydia poszła na obiad do domu, więc nikt nie zakłócał Teddy'emu spokoju w gabinecie. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- Cześć, tu Tiffani - odezwał się głos dziewczyny. - Nie ma mnie w domu, więc zostaw numer i wiadomość. Aha, zaczekaj na sygnał. Dzięki.

Jej głos był zadziorny i zmysłowy. Zupełnie jak ona.

- Cześć, kiciu - odezwał się po sygnale - tu Teddy. Wystarczył twój głos, żebym się napalił. Może wpadnę, jak przyjdiesz z pracy? Moglibyśmy nieźle się zabawić. Przygotowałem dla ciebie łakocie. Przekręć, kiedy wrócisz.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się, myśląc o Tiffani, jej ponętnych kształtach i o tym, co mogą dziś robić. Nie wątpił, że oddzwoni.

Leci na mnie, pomyślał. I lubi ten sport.

Zresztą, przecież nie zrezygnowałaby z okazji, by spróbować swoich ulubionych łakoci!

Rozdział 10

Valerie podjechała przed żelazną bramę Stonelair i stanąwszy przy słupku, nacisnęła guzik domofonu.

- Kto tam? - odezwał się męski głos. Niezbyt przyjazny łyсы Mister Proper, poznała.

- Doktor Rochelle - odrzekła.

- Na rozwidleniu proszę skrócić w prawo - polecił mężczyzna. -Do

domu.

- Dobrze.

Tym razem również zauważyła, że kamery wideo, umieszczone na kamiennych słupach, na których była zawieszona brama, wycelowały obiektywy w dżipa. Pewnie mają czujniki ruchu, pomyślała Valerie. Korciło ją, by pomachać do obiektywu i pokazać język, ale uznała, że na monitorach wyglądałoby to dość głupio. I średnio profesjonalnie.

Brama się otworzyła i Valerie wjechała na teren posiadłości, ciesząc się, że wreszcie zobaczy wszystko za dnia. Kiedy poprzednio tu była, panowały takie ciemności i tak lało, że tylko z trudem widziała zarys stajni.

Półtorakilometrowy podjazd był malowniczy i starannie utrzymany: dwa szpalery pięknych, starych świerków, zza których wylaniały się potężne klony i dęby. Tuż przy drodze w kępach rosły krzewy: rododendrony, górski laur i azalie. Teraz już dawno przekwitły, ale wiosną, w pełnej krasie musiały wyglądać zachwycająco. Valerie jechała, zachwycając się wzorowo utrzymanym parkiem.

Dotarła do rozwidlenia i zgodnie ze wskazówką Ducciego skręciła w prawo. Kiedy wreszcie zbliżyła się do rezydencji, w pierwszej chwili zobaczyła jedynie wysokie kominy i skośny dach, górujące nad wierzchołkami drzew. Dopiero później budynek objawił jej się w całej okazałości. Valerie przyhamowała i przyglądała mu się zszokowana. Boże! - pomyślała. Toż to mały zamek!

Bo też rzeczywiście, wzniesiona z piaskowca budowla przypominała potężną, choć niepozbawioną uroku i stylu twierdzę. Valerie od dziecka słyszała opowieści o tej rezydencji i oglądała ją na starych zdjęciach, a mimo to nie spodziewała się aż tak olbrzymiego gmachu.

Wiedziała, że wybudował go na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku bezwzględny milioner, który zbił majątek na kolejach

żelaznych. Posiadłość przechodziła potem z rąk do rąk, a żaden właściciel nie spędzał tu wiele czasu, zwykle jakiś miesiąc, dwa w roku. Na początku lat sześćdziesiątych rodzina, która zdążyła przehulać majątek przodków, zamknęła dom na kołek, a wreszcie sprzedała całą posiadłość Conradowi.

Na środku podjazdu przed budynkiem znajdowała się duża fontanna, z brązowych pysków koni tryskały strumienie wody. Valerie zatrzymała się przed dużym, kamiennym tarasem. Wysiadła z samochodu, wzięła swoją nieodłączną torbę, przeszła na tył dżipa i z bagażnika wyjęła sakwojaż lekarski.

Wtem otworzyły się masywne, drewniane drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła w nich Santa. Nawet taki olbrzym jak on nie wypełniał swą posturą całej futryny. Szybko podszedł do dżipa.

- Już to od pani biorę - powiedział.

- Nie trzeba - uśmiechnęła się Valerie. - Przywykłam do noszenia tych rzeczy.

- Jak sobie pani chce. - Wzruszył ramionami.

Ruszył przodem, prowadząc ją przez taras do wnętrza domu. Ich kroki rozlegały się echem w dużym, wyłożonym kamiennymi płytami holu. Valerie zwróciła uwagę na kominek z piaskowca i rzeźbione, klasycystyczne sztukaterie oraz stare płótna olejne, oświetlone małymi, punktowymi lampkami, rozjaśniającymi mrok pomieszczenia. Nie zdążyła jednak im się przyjrzeć, bo Ducci skręcił w lewo, w długą galerię. Na ścianie z lewej strony wisiały obrazy, ścianę z prawej zaś przecinały duże, przeszklone drzwi, prowadzące na kolejny kamienny taras i wielki jak boisko, wypielegnowany trawnik.

Wreszcie dotarli do imponujących, dwuskrzydłowych drzwi. Ducci zatrzymał się i gestem zaprosił Valerie do środka.

- Psy już tam są - powiedział. - A kotka pewnie też - dodał z

uśmiechem.

- Chyba że chodzi gdzieś własnym drogami?

- Z nią nigdy nie wiadomo, ale lubi przesiadywać z psami. Valerie

stała w progu. Okazało się, że jest to biblioteka, obszerny, wysoki na dwa piętra pokój, częściowo otoczony galerią, do której prowadziły kręte schody. Prawie całe ściany zasłaniały półki z książkami. Na jednej ścianie dominował olbrzymi kominek, podobny do tego w holu. Duże, przeszklone drzwi prowadziły na kamienny taras, ten sam, przez który weszli do korytarza. Z sufitu zwieszały się dwa mosiężne, barokowe żyrandole. Wokół kominka zaś powieszono olejne scenki z polowań i niezliczone portrety koni oraz psów. Na biblioteczkach i półkach stały brązowe figurki koni, podłogę zasłaniały ręcznie tkane kobierce. Mimo tego splendoru biblioteka wyglądała na pomieszczenie, które naprawdę żyje.

Valerie weszła do środka i zaskoczona, ale i ucieszona zobaczyła, że wśród tych luksusów wylegają się cztery olbrzymie wilczarze irlandzkie. Dwa wybrały sobie dywan przy drzwiach balkonowych, a dwa - stare, skórzane kanapy przed kominkiem. To po części tłumaczyło, czemu pokój wyglądał na zamieszkania.

Zauważywszy gościa, psy poderwały się i w paru susach znalazły obok Valerie. Natychmiast odstawiła torby i rozpromieniona zaczęła głaskać kosmate łby, czule przemawiając do sympatycznych, przyjacielskich olbrzymów.

- Jakież one piękne! - zawołała.

- Ale potrafią też dać się we znaki - odrzekł Santo.

- W to wierzę, łobuzy - zwróciła się do psów, próbując sprawiedliwie dzielić pieszczoty między całą czwórkę. - Jak się wabią?

- Paddy, Katy, Sheila i Seamus.

Valerie parsknęła śmiechem, słysząc te typowo irlandzkie imiona.

- Widzę, że są Irlandczykami nie tylko z nazwy. Ducci skinął głową.
- Tak. Kupiliśmy je, gdy były jeszcze malutkie, od hodowcy z Castleknock pod Dublinem i stamtąd przywieźliśmy do Stanów.

- Nie dziwię się, to wyjątkowo piękne okazy. Które są które? -spytała Valerie.

- Paddy i Katy to te siwe, Sheila jest brązowa, a Seamus morełowaty.

Valerie dalej gładziła psy i przemawiała do nich pieszczotliwie, aby się z nią oswoiły. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Podniosła głowę. Ze spiralnej klatki schodowej schodził duży, gruby, pręgowany kot o długiej sierści. Właściwie nie tyle schodził, ile zstępował z istic królewskim majestatem.

- Ooooch - zachwyciła się. - A kogo my tu mamy?Kotka ruszyła w jej stronę, jej łapy ginęły pod długą sierścią i tłustym brzuszkiem. Przecisnęła się między wilczarzami i zaczęła się łaścić do Valerie. Najwyraźniej była przyzwyczajona do psów i nie zwracała uwagi na ich przyjacielskie sapanie i liźnięcia. Valerie pogłaskała kotkę po jedwabistym futerku, z zachwytem patrząc w jej olbrzymie, zielone ślepie.

- A to Mina - przedstawił ją Santo.

- Och, Mino, jakaś ty piękna. Prawdziwa dama, nieprawdaż? I podejrzewam, że gdzieś w twoim drzewie genealogicznym znalazłby się *maine coon*.

- Tak przypuszczamy, ale pewności nie mamy - odrzekł Santo. -Wyn... to jest pan Conrad wykupił ją od hycła parę lat temu.

- Widzę, że wcale nie boi się psów.

- Jest nieustraszona. Raz wyszła obronną ręką z bliskiego spotkania z prawie dwumetrowym węzem. Chyba nie potrzebuje żadnych szczepień, ale niech pani sprawdzi w jej karcie. Mam tu papiery całej piątki.

Valerie spojrzała zaskoczona.

- Zwykle karty zdrowia zwierząt przechowuje klinika.
- Kazałem wczoraj przesłać je do pana Conrada, żeby dziś mogła pani do nich zajrzeć - wyjaśnił z kamienną twarzą. - Wracając, może je pani zabrać.

Wygląda na to, że pan Conrad umie postawić na swoim, pomyślała Val.

- Świetnie - powiedziała na głos. - Mogę do nich zerknąć?
- Oczywiście, leżą tutaj.

Podszedł do gigantycznego, stylowego biurka. Valerie wzięła torby i ruszyła śladem olbrzyma, za nią zaś sunęły psy i kotka.

Santo przesunął plik kart zdrowia na brzeg biurka, tak by Valerie miała je w zasięgu ręki. Odstawiła torby, przez chwilę studiowała karty, po czym odłożyła je na skórzany blat i spojrzała na olbrzyma.

- Miał pan rację co do Miny, wszystkie szczepienia są w porządku. Czyli dziś wezmę w obroty tylko was - zwróciła się do psów, po czym pytająco spojrzała na Ducciego. - Mogę się tu rozłożyć?

- Jasne, jak tylko pani wygodnie.

Valerie postawiła na biurku torbę lekarską i wyjęła z niej cztery już napełnione strzykawki, waciki, spirytus salicylowy oraz opakowanie z lekarstwem.

- Będę je przytrzymywał - zaoferował się Santo, siadając okrakiem na Paddym.- Nie - odrzekła Valerie. - Niech pan go zostawi, poradzę sobie.

- Pozwolę sobie zauważyć, że będzie pani gorzko żałować, jeśli nie zgodzi się pani, żebym pomógł.

- Nie - powtórzyła z naciskiem, kręcąc głową. - Proszę mi zaufać. Santo zorientował się, że ta kobieta wie, co robi, tak samo jak parę tygodni temu, gdy poradziła sobie ze Zwiastunem Burzy, więc poddał się niechętnie.

- Zgoda, ale popełnia pani błąd.

Nie zwracając na niego uwagi, Valerie wzięła nasączony spirytusem wacik i powiodła spojrzeniem po merdającej ogonami czwórce.

- Dobrze, kto pierwszy?

Psy patrzyły na nią wyczekująco.

- Aha, czuję, że Katy chce pójść na pierwszy ogień. W końcu tak nakazuje bon ton: najpierw panie, prawda, Katy?

Zaczęła gładzić sukę po karku, przemawiając do niej uspokajającym tonem. Jednocześnie zaś wcierała alkohol w miejsce, gdzie zamierzała zrobić zastrzyk. Po chwili odłożyła wacik, sięgnęła po strzykawkę i pewnym ruchem wbiła ją suce w skórę. Katy odwróciła łeb, ale uspokoiły ją pieszczotliwe szepty Valerie.

Santo przypatrywał się, jak powtórzyła tę czynność z pozostałymi psami i bez najmniejszego problemu zaszczepiła całą czwórkę. Kiedy skończyła, pokręcił głową.

- Zdumiewające, ani jednego warknięcia. Valerie uśmiechnęła się i dalej głaskała wilczarze.

- Bo przecież bardzo grzeczne z was pieski, prawda? Dobra, teraz pigułki na robaczycę serca. Zobaczycie, to pestka. Smakuje jak wasz ulubiony przysmak.

Otworzyła opakowanie i wyłuskała cztery tabletki.

- Powinny brać po jednej raz w miesiącu - wyjaśniła Ducciemu. - Tu ma pan kalendarz z magnesem, może go pan przyczepić do lodówki, żeby nie przegapić terminu. Wystarczy zaznaczyć dzisiejszą datę i potem już się tego trzymać.

- Dziękuję - powiedział, biorąc kalendarzyk.

Kiedy już podała każdemu psu po tabletkę, cała czwórka wróciła na swoje ulubione miejsca i przeżuwała lekarstwo. Mina z cichym miauknięciem wskoczyła na fotel przy biurku, a potem na blat.

- Oho, widzę, że ktoś tu jest zazdrosny - powiedziała Valerie, głaszcząc kotkę. Nagle pochyliła się nad nią, bacznie się czemuś przyglądając. - Ojej, Mino, masz pod pyszczkiem kleszcza.

- Co takiego? - spytał Ducci, patrząc na kotkę.- Proszę, niech pan sam zobaczy. Tutaj, tuż pod pyszczkiem. Kleszcz.

- Nie zauważyłem go - tłumaczył się Santo.

- Cóż, łatwo go przeoczyć, musiał dopiero co się wbić. Zaraz go usunę. Wyciągnęła rękę do kotki, by usunąć pasożyta.

- Niech pani tego nie robi! - rozkazująco zadudnił za jej plecami męski głos.

Valerie drgnęła i rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Za to wszystkie wilczarze poderwały się i podbiegły do schodów.

- Jeśli chce pani usunąć kleszcza, trzeba podać Minie narkozę albo mocny środek znieczulający - kontynuował ów głos już nieco ciszej, lecz nadal autorytatywnie.

Valerie przesunęła wzrokiem za spojrzeniem psów i wreszcie zauważyła swojego rozmówcę w drugim końcu pokoju, na galerii. Stał na tle okna, przez które wpadało słońce, więc widziała tylko zarys jego sylwetki. Mężczyzna był bardzo wysoki, szczupły, ale muskularny. Koszulka polo z krótkimi rękawami odsłaniała kark i potężne bicepsy. I to właściwie wszystko, co Valerie udało się zauważyć, bo miał głęboko nasuniętą na oczy baseballówkę, której daszek rzucał cień na całą twarz.

Czyżby to był tajemniczy pan Conrad? - zastanowiła się Valerie. A ktoś inny? - odpowiedziała sobie od razu. Kto inny mógłby tu wydawać rozkazy z góry?

- Sądzę, że poradzę sobie bez tego - oświadczyła wreszcie spokojnym tonem.

- Co tylko świadczy, jak słabo pani zna to zwierzę - odparował.

- To tylko świadczy, jak słabo pan zna mnie - odpaliła bez namysłu.
- Racja, nie znam pani. Za to doskonale znam Minę.

Valerie poczerwieniała ze złości i zażenowania. Co on sobie wyobraża? Zamierza kwestionować jej kwalifikacje? Najpierw niemal błaga, żeby podjęła się opieki nad jego zwierzyńcem, a potem obraża ją, sugerując niekompetencję. A przecież to właśnie ze względu na jej umiejętności ją zatrudnił!

- Panie Conrad - odezwała się, próbując zapanować nad rozdrażnieniem. - Oczywiście, zakładając, że to właśnie pan. Wydaje mi się, że wiem, co robię. I doprawdy obejdę się bez pańskich rad.

Usłyszała, jak Santo gwałtownie wciąga powietrze, a potem w bibliotece zapadła głucha cisza, przerywana po chwili wybuchem śmiechu z góry.- W końcu to pani ręka - odezwał się mężczyzna. -I to pani będzie ją miała poharataną, nie ja.

Valerie usłyszała w jego głosie rozbawienie. Nie była pewna, czy jeszcze bardziej się zjeżyć czy odpuścić. Żałowała, że nie widzi twarzy mężczyzny, ale twardo stał w tym samym miejscu i jego głowa nadal ginęła w cieniu.

- Tylko niech pani nie mówi, że nie ostrzegałem. A przy okazji -dodał po krótkiej przerwie - owszem, Conrad to ja. Nazywam się Wyn Conrad.

Nadal wzburzona Valerie zmusiła się, by chłodno odpowiedzieć:

- A ja jestem doktor Rochelle.

Dla ciebie doktor, nie Valerie Rochelle, dodała w duchu.

- Miło mi panią poznać, pani doktor - odrzekł Conrad.

- A teraz, jeśli pan pozwoli, wezmę się do pracy.

- Jakże bym śmiał przeszkadzać.

Valerie skupiła się na Minie, delikatnie ją głaszcząc i pieszcząc.

- Radzę mocno ją trzymać - ostrzegł Santo.

Ale Val zignorowała go i dalej głaskała kocicę. Potem błyskawicznie

chwyciła kleszcza kciukiem i palcem wskazującym i w mgnieniu oka, bez najmniejszego wysiłku go usunęła.

Mina nawet nie zareagowała, tylko dalej mruczała, podsuwając grzbiet do dalszych pieszczot. Valerie kątem oka dostrzegła, jak Santo najpierw napina się i pochyla do przodu, a potem rozluźnia. Była zadowolona z siebie. Pomyślała z satysfakcją, że gładko i bez najmniejszych problemów uporała się z zadaniem, które zdaniem obu mężczyzn najwyraźniej groziło śmiercią lub kalectwem.

- Pierwszy raz widzę coś takiego - zachwycił się Santo. - Nie... nie wierzę własnym oczom. Nigdy nie pozwala sobie wyjąć kleszcza. A nawet wyczesać farfocli z sierści.

Podniósł wzrok ku galerii, gdzie pan domu nadal stał w tym samym miejscu, choć przesunął się o krok do przodu, by lepiej widzieć.

- Widziałeś to? - spytał Ducci.

- Widziałem - odburknął Conrad.

- Jest wyjątkowo zadbana jak na kotkę, która nie pozwala się wyczesać ani usunąć kleszcza - zauważyła Valerie z żelazną logiką.

- Cóż... pozwala się czesać Wynowi... panu Conradowi - wyjaśnił Santo. - A nawet co dzień po obiedzie przychodzi do niego, by ją wyszczotkował. Ale tylko on może to robić, nikt inny. Absolutnie nikt.

Zatem wielki pan Conrad zniża się do czesania kota, pomyślała ubawiona Valerie. Warto by to zobaczyć.- Ale - ciągnął olbrzym - za nic w świecie nie daje sobie wyciągnąć kleszcza ani rzepów. Nawet jemu.

Val uśmiechnęła się i ostatni raz pogłaskała Minę.

- Cóż, chyba już ze wszystkim się uporałam - oświadczyła z zadowoleniem. - W takim razie będę się zbierać. Uzupelnę i wypełnię karty zwierząt, więc na bieżąco będziemy pana informować o terminach szczepień. Proszę dać znać, gdyby jeszcze czegoś pan potrzebował.

- Bardzo dziękuję - odrzekł Santo, wkładając karty zwierząt do dużej koperty. - Chyba niczego nie zgubiłem.

- Dziękuję, panie Ducci - powiedziała Valerie, biorąc kopertę.

- Santo, jeśli można prosić. Lekko skinęła głową.

- Dobrze, Santo.

- A przy okazji, przesłałem dziś pani kserokopie kart wszystkich koni.

- Świetnie.

Włożyła zużyte strzykawki do specjalnego plastikowego pojemnika, który w lecznicy trafi do zbiornika na odpady stanowiące zagrożenie biologiczne, stamtąd zaś zostanie potem wywieziony do Kanady i zneutralizowany. Zatrzasnęła skórzany sakwojaż lekarski, zarzuciła na ramię swoją pakowną torbę i ruszyła do wyjścia. Zerknęła na górę; właściciel zwierząt szybko cofnął się o krok.

- Miło było pana poznać, panie Conrad! - zawołała na pożegnanie.

Skinął jej głową.

- Mnie również, pani doktor. - Odwrócił się i zniknął w korytarzu.

- Mogę teraz wystawić pani czek? - spytał Santo.

- Klinika przyśle rachunek. - W porządku.

Santo ruszył do drzwi, którymi wcześniej weszli. Wracali tą samą długą galerią i Valerie zdążyła pomyśleć, że parę płócien wyszło chyba spod pędzla George'a Stubbsa, jednego z największych malarzy koni. Zauważyła też sporo obrazów Alfreda Munningsa.

Nagle znieruchomiała przed maleńkim szkicem węglem, wielkości znaczka pocztowego. Oczarowana przyglądała się cudownemu studium końskiego łba autorstwa Stephana della Belli. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Pan Conrad musi być miłośnikiem i kolekcjonerem sztuki - zwróciła się do Ducciego, który przystanął, czekając na nią. - Mniej więcej - przytaknął. -

Większość płócien odziedziczył, ale od czasu do czasu coś kupuje. Jak na przykład ten szkic, na który pani patrzy. Sam go wybrał.

- Jest naprawdę piękny.

- On też tak uważa. Doszli do drzwi wejściowych.

- Jeszcze raz dziękuję, pani doktor - powiedział Santo. - Muszę przyznać, że świetnie pani sobie poradziła.

- Miło mi - uśmiechnęła się, z przyjemnością przyjmując komplement. -

Gdyby pojawiły się jakieś problemy, proszę do mnie zatelefonować.

- Na pewno.

Zeszła po szerokich stopniach tarasu. Wstawiła do bagażnika sakwojaż, otworzyła drzwiczki i z torbą na ramieniu usiadła za kierownicą.

Santo pomachał jej z progu i odpowiedziała mu tym samym gestem.

Wolno ruszyła w drogę powrotną. Wtem, gdy wyjeżdżała zza zakrętu, zahamowała gwałtownie, a potem głęboko odetchnęła.

Cholera! - zakląła w duchu. Była pewna, że widziała sylwetkę mężczyzny. Ktoś omal nie wszedł jej pod koła. To człowiek, nie zjawa, powtarzała sobie. Ów ktoś skrył się szybko za świerkami.

Valerie poczuła na ramionach gęsią skórę, serce biło jej jak młotem. Już, już miała zjechać na bok, by chwilę ochłonać, ale potem zmieniła zdanie.

Należy uciekać z tego podejrzanego miejsca. I to jak najszybciej.

Dodała gazu i już po chwili znalazła się przed bramą, która automatycznie się otworzyła. Dopiero dalej, już na szosie, Valerie zjechała na pobocze i zaczerpnęła parę głębokich oddechów.

Co tam się właściwie dzieje? - zastanawiała się. I dlaczego Conrad zachowuje się niczym jakiś duch? Ukrywa się na galerii i obserwuje mnie z daleka?

Sprawdziła, czy nic nie nadjeżdża, i wróciła na drogę.

Chyba więcej tam nie pojedę, postanowiła. Za dużo nerwów mnie to

kosztuje.

Choć śmiała się z głupich plotek, musiała przyznać, że w Stonelair panuje jakaś... upiorna atmosfera. A przecież wszystkie zwierzęta wyglądały na zadowolone i szczęśliwe.

Conrad musi bardzo je kochać. Ale co właściwie mogła o nim powiedzieć? Na pewno ma imponującą posturę. Żałowała, że nie widziała jego twarzy, była ciekawa, czy robi takie samo wrażenie, jak cała reszta sylwetki. Jego zachowanie, godne starszego sierżanta sztabowego, a potem rozbawienie, gdy zobaczył jej gniew, powinny podziałać na nią niczym kubek zimnej wody. Zwykle z góry skreślała takich facetów. A mimo to, choć sama nie rozumiała czemu, ten mężczyzna ją zaintrygował.

Nagle sobie uświadomiła, że pragnie bliżej go poznać. Intrygowały ją ten stary park, imponujący dom i jego właściciel. A choć zaledwie przed chwilą odgrażała się, że jej noga więcej tam nie postanie, nie mogła się już doczekać, kiedy znowu zostanie wezwana do Stonelair.

Rozdział 11

Rozpalona do białości Arielle rzucała głową w lewo i w prawo, a zlany potem Lolo coraz szybciej i mocniej wbijał się w nią, stękając i oddychając głośno. Nagle krzyknęła, wbijając mu paznokcie w plecy, i w tej samej chwili poczuła w sobie ciepłą powódź. Lolo wyprężył się jak struna, z jego ust wyrwał się jęk rozkoszy, przypominający skowyt bólu.

Opadł na Arielle całym ciężarem. Spoceni i zdyszani, przywarli do siebie z całej siły, obsypując się pocałunkami. Leżeli wśród skłębionych prześcieradeł, porzrzuconej bielizny i stroju do polo. Na szafce nocnej stały na wpół opróżnione szklanki.

W powietrzu unosiła się mieszanina ciężkiego zapachu perfum Caron, wody lawendowej, w której płukano pościel z egipskiej bawełny, i olejku sandałowego, używanego przez Arielle. Ze słodkimi, kobiecymi aromatami mieszały się woń przepoconych skórzanych butów, nakolanników i nuta korzennej wody kolońskiej, której Lolo użył rano. Nad wszystkim zaś dominowała niedająca się pomylić z niczym innym woń seksu.

- Och, Lolo - wydyszała Arielle - to było fantastyczne. Parsknęła gardłowym śmiechem i mocniej przycisnęła się do kochanka.

- To ty jesteś fantastyczna. - Lolo czubkiem palca przesunął po jej nosie i uśmiechnął się, ukazując białe zęby. - Chyba na dobre zakochałem się w Palm Beach - powiedział, głaszcząc Arielle po pośladkach.

- Mam nadzieję, że nie w samym Palm Beach. Wolałabym, żebyś zakochał się tylko we mnie.- Zgoda, tylko w tobie.

Sięgnął po pudełko papierosów Arielle i jej złotą zapalniczkę. Podciągnąwszy się nieco, wyjął dwie długie, wąskie cygaretki i włożył je sobie do ust. Zapalił i podał jedną Arielle.

- Dziękuję - powiedziała, całując go w policzek.

Lolo objął ją i mocno, zaborczo przytulił do siebie. Palił bez słowa, leniwie wydmuchując dym i wpatrując się w przestrzeń.

Arielle przyglądała mu się, zaniepokojona tą ciszą i zamyśleniem. Zwykle po seksie rozwiązywały im się języki i snuli marzenia o wspólnej przyszłości. Przyszłości, którą zbudują, kiedy wreszcie rozwód się uprawomocni, a Arielle dostanie swoją część majątku.

- Czemu jesteś dzisiaj taki milczący, kochany? - spytała wreszcie, dłużej nie mogąc wytrzymać jego milczenia. Ta cisza ją przerażała.

Nadal nie odpowiadał na jej pytanie. Szare obłoczki dymu płynęły pod sufit, poruszane lekką bryzą od morza.

- Powiedz - nalegała Arielle łamiącym się z niepokoju głosem. -Co się

stało? Dlaczego nic nie mówisz? Coś jest nie tak?

Nerwowo zgmiotła cygaretkę w kryształowej popielniczce. Lolo wzruszył ramionami i ciężko westchnął. Spojrzał Arielle w oczy i słabo się uśmiechnął.

- Przepraszam, najdroższa. Po prostu... - Znow westchnął i zamilkł, jak gdyby wraz z tym bezradnym westchnieniem opuściła go cała energia.

- Powiedz - naciskała, na dobre już zaniepokojona. - Przecież możesz mi zaufać, Lolo, wiesz o tym. Możesz mi wyjawić wszystko.

- No bo... - odezwał się wreszcie, nie patrząc jej w oczy. - Problem w tym... - Spojrzał na nią i odwrócił oczy. - Nie mam pieniędzy na następną ratę za ferrari.

- To znaczy, że ten cholerny wóz jest na kredyt?! - wykrzyknęła ze zgrozą. - W głowie się nie mieści.

Zaczęła walić pięściami w poduszki, a jej ładną twarz wykrzywił grymas wściekłości.

Lolo wiedział, że Arielle wpadnie w furję, ale nie mógł dłużej unikać tego tematu. Inaczej będzie musiał pożegnać się ze swoim czerwonym ferrari, bo za parę dni bank zabierze jego ukochany wóz.

Zgasił cygaretkę i znowu popatrzył kochance w oczy.

- Przepraszam, najdroższa. Powinienem był wcześniej się przyznać, ale nie chciałem cię zmartwić. - Na jego twarzy malowała się tak szczerza skrucha, że Arielle złagodniała.

- Och, mój kochany - powiedziała miękko, gładząc go po policzku. - Nic, co mi powiesz, nie może mnie zmartwić.

Pocałowała go w usta, odsunęła się i patrzyła na niego z miłością. Próbował się uśmiechnąć, ale okazało się to zbyt trudne. Bezradnie wbił wzrok w pościel.

- Powiedz, jak to się stało? - spytała. - Sądziłam, że zapłaciłeś za ferrari, kiedy Palmer dał ci premię za przejście do jego drużyny polo.

Lolo lekko pokręcił głową i podniósł na Arielle zawstydzone spojrzenie.

- Nie. Wpłaciłem tylko zaliczkę, resztę rozłożono mi na raty. Arielle smętnie zwiesiła ramiona.

Chryste, pomyślała, ile to znowu będzie kosztować? I na co poszła reszta forsy?

- A co się stało z pozostałymi pieniędzmi, Lolo? - zapytała spokojnie, próbując nie okazać zdenerwowania.

- Rozeszły się.

- Wszystkie?! Skinął głową.

- Ale... ale na co, u licha ciężkiego? - drążyła.

- Musiałem pospłacać trochę zaległych rachunków - przyznał się pokornie. - Rozumiesz. Za ciuchy i tak dalej.

- Co?! - Spojrzała na niego zdumiona. - Ciuchy i tak dalej? Wydałam fortunę na twoje ubrania! I to w każdym cholernym sklepie w całym przeklętym Palm Beach! Co takiego kupiłeś, że wydałeś na to majątek?

- Do diaska, Arielle - zdenerwował się Lolo. - Masz pojęcie, ile kosztuje strój do polo szyty na miarę? Same buty to ponad dwa patyki...

- Więc czemu, do cholery, nie powiedziałeś Palmerowi, aby to sfinansował? - warknęła. - W końcu grasz w jego drużynie!

- Przecież wiesz, że nie mogłem tego od niego żądać - odrzekł już bez irytacji w głosie. - Spodziewał się, że mam strój albo że kupię go sobie za pieniądze z premii.

Arielle powiodła wzrokiem po jego męskiej twarzy, wspaniałym torsie i umięśnionych ramionach, w które tak dobrze było się wtulić. Wiedziała, że taki macho jak Lolo nigdy nie przyzna się Palmerowi ani nikomu innemu, że nie stać go na nowe buty do gry w polo. Nie przeszłoby mu przez usta, że coś przekracza jego możliwości finansowe. Na miłość boską, przecież on nie ma nawet forsy na nową koszulkę do gry, ale to też skrzętnie będzie ukrywał.

Arielle zdawała sobie sprawę, że w kręgu ludzi uprawiających ten sport Lolo nie stanowi odosobnionego wypadku. Podobnie jak wielu jego kolegów z Ameryki Południowej był niewykształconym, biednym chłopakiem, który nauczył się grać w polo na *estancias* tamtejszych krezusów. Tam dostrzegli go bogaci właściciele amerykańskich drużyn, ściągnęli na północ, a tu trzymali krótko.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie, kiwając głową.

Bo rzeczywiście rozumiała. Lolo pragnął mieć wszystko, zupełnie jak ona. I chciał to mieć teraz, natychmiast, nie czekając do jutra. Też zupełnie jak ona.

Przeczesała palcami potargane kosmyki, a potem wyciągnęła rękę i zaczęła się bawić włosami kochanka. Lolo patrzył na nią wyczekująco, lecz Arielle milczała i w zadumie nawijała na palec jego wilgotne, ciemne kędziory. Wreszcie pochyliła się i przytuliła wargi do jego ust.

- Przepraszam, Lolo - powiedziała. - Naprawdę nie wiedziałam. Po prostu sądziłam...

- Uważasz, że nic z siebie nie dajesz. Że tylko cię wykorzystuję.

- Ależ nie! Nieprawda! Jestem z tobą taka szczęśliwa. Boże, bez ciebie dawno już bym zginęła. - Pochyliła się i znów pocałowała go w usta. - Proszę, nie kłóćmy się. Przepraszam, Lolo. Palnęłam bez namysłu. Proszę, wybacz.

Lolo przez chwilę milczał z odwróconą głową. Wreszcie spojrzał na Arielle.

- Zgoda. Ale to nadal nie rozwiązuje problemu ferrari.

- Rzeczywiście - westchnęła. - Nie rozwiązuje.

Wyciągnęła się na wznak i wbiła wzrok w sufit, jakby szukała tam natchnienia.

- Zawsze mogę zastawić część biżuterii - zaproponowała po chwili.

- Nie! - oburzył się Lolo. - Nie mogę ci na to pozwolić!
 - Ale ja chętnie to zrobię. Dla ciebie. - Poglądziła go po twarzy.
- Zresztą, i tak wkrótce ją wykupię. Kiedy tylko ten cholerny Wyn przeleje mi forszę.
- Wszystko sprowadza się do tego drania. Parszywy dusigrosz.
 - Właśnie. Wszystko sprowadza się do niego. - Twarz Arielle wykrzywił brzydki, gniewny grymas. - Boże, jak ja go nienawidzę! To przez niego te wszystkie nasze problemy! Gdyby nie on...! -Uderzyła pięścią w prześcieradło. Lolo chwycił ją za rękę, przyciągnął i pocałował, próbując uspokoić.
- Nie martw się - powiedział pieszczotliwie. - Już niedługo. Może jakoś uda mi się dogadać z salonem samochodowym. Zresztą, tak sobie myślałem...
- Spojrzał na Arielle. Popatrzyła na niego zaciekawiona, oczy jej zabłyśły.
- O czym?
 - Jeśli chcesz, jak pojedziesz do Saratogi, mogę tam się z tobą wybrać, spotkać się z Wynem i przemówić mu do rozumu.
- Arielle poderwała się gwałtownie.
- Racja, zapomniałam o Saratodze!
- Wbiła spojrzenie w barokowe, włoskie lustro nad toaletką, jakby skrywało ono w sobie rozwiązanie ich problemów.
- Co? - Lolo pociągnął ją za ramię. - O co chodzi, Arielle? Przecież widzę, że chodzi o coś ważnego.
 - Tak sobie myślę - zbyła go. A potem wolno odwróciła się w jego stronę. - Tak, może spotkanie z Wynem to dobry pomysł.
 - Bardzo chętnie bym się z nim spotkał i pogadał jak mężczyzna z mężczyzną.
 - Założę się, że Bibi i Joe Whitmanowie polecą swoim odrzutowcem - zastanawiała się na głos podekscytowana. - Może się z nimi zabierzemy? Albo

z Connollymi. I co z tego, że nie trawię tej jędzy, Peggy Connolly?

Oczy Arielle pojaśniały, klasnęła w ręce. Lolo niespokojnie obserwował tę przemianę.

- Co... co właściwie masz na myśli, Arielle?

- Och, jeszcze nie wiem - odrzekła wymijająco.

- Arielle... Znam tę minę. - Znowu pociągnął ją za ramię. - Co ty kombinujesz?

- Ja? - spytała niewinnym tonem. - Czemu sądzisz, że coś kombinuję?

- Mów - ponaglił. - Co tam wymyśliła ta śliczna główka? Co zamierzasz zrobić?

W oczach Arielle zapłonął jakiś dziwny ogień, jej kochankowi wydawało się, że dostrzega w nich podniecenie, gniew i odrobinę szaleństwa. To ostatnie go przeraziło, bo wiedział, że Arielle jest zdolna do szalonych czynów.

- Ja nic nie zamierzam zrobić - oświadczyła spokojnie. - To ty coś zrobisz, Lolo. - Stuknęła go w pierś pomalowanym paznokciem. Przez chwilę patrzył zaintrygowany, a potem wyprostował i przysunął do Arielle.

- Momencik... Co właściwie masz na myśli? Uśmiechnęła się tajemniczo i ponownie wyciągnęła na łóżku.

- Napijmy się jeszcze - zaproponowała i wsunęła mu rękę między uda. - I zabawmy trochę.

Głaskała go delikatnie i po chwili z zadowoleniem przekonała się, że jej magiczny dotyk znowu nie zawiódł.

- Potem o tym porozmawiamy.

Lolo odetchnął głośno i powiódł oczami po cudownych kształtach Arielle. Jak za dotykiem czarodziejskiej różdżki pierzchły wszelkie myśli o ferrari i Saratodze, a on znów płonął z podniecenia. Uśmiechnął się i zaczął gładzić jej piersi, najpierw wolno i delikatnie, potem, w miarę jak jego pożądanie rosło, coraz gwałtowniej i mocniej.

- Ach, przed nami cudowna przyszłość, Arielle - szepnął, przygniatając ją sobą.

Gdybyś tylko wiedział, pomyślała. Żebyś wiedział.

Rozdział 12

Zapadał zmierzch, gdy Wyn Conrad samotnie wybrał się do stajni.

Idealny wieczór u schyłku lata, pomyślał.

Zbliżał się do zakrętu drogi, gdy usłyszał kroki i ciche głosy.

To Helmut i Gerda Reinhardtowie wychodzą, odgadł natychmiast.

I rzeczywiście, po chwili zobaczył, jak żwawo idą ścieżką, wiodącą z ich domku na parking przy stajniach. Gerda zmieniła swój uniform gospodyni na luźną, kwiecistą bluzkę i szorty. Helmut też włożył luźne szorty i jasną koszulkę z krótkim rękawem. Oboje mieli na nogach sandały. Trzymali się za ręce jak para nastolatków, choć dawno już przekroczyli sześćdziesiątkę.

- O, dobry wieczór, panie Conrad! - przywitała go Gerda.

W jej angielszczyźnie, podobnie jak w angielszczyźnie męża, nadal pozostały bardzo silne ślady ojczystego niemieckiego języka.

- Panie Conrad... - Helmut skłonił się z szacunkiem.

Służą tu tyle lat, a nadal się upierają przy tym staromodnym „panowaniu”, pomyślał Wyn. Wielokrotnie proponował, by zwracali się do niego po imieniu, ale już dawno zaakceptował fakt, że tego nie zrobią. Uważali się za jego podwładnych, a on był ich chlebodawcą. Najwyraźniej tym światom nie było pisane spotkanie.

- Witaj, Gerdo - powiedział. - Cześć, Helmucie. Wybieracie się na spacer?

- Jedziemy do kina - wyjaśniła Gerda.

- Wzięłaś moje lekarstwo? - spytał ją mąż.
- Tak, Helmucie - uspokoiła go. - Mam je tutaj.

Podniosła rękę, w której ścisnęła małą torebkę ze sznureczkami, prawie tak starą jak ona sama.- I telefon komórkowy też, panie Conrad - dodała, zwracając się do Wyna. - Zawsze go nosimy, na wypadek gdyby nas pan potrzebował. Tak jak nam pan polecił.

- Bawcie się dobrze - uśmiechnął się Wyn.
- O to jesteśmy spokojni - odpowiedziała Gerda.
- Pospieszmy się - ponaglił Helmut - bo się spóźnimy.
- Do zobaczenia - pożegnał się Wyn.

Z ukłuciem zazdrości odprowadził ich spojrzeniem, gdy energicznie dreptali na oświetlony parking. To małomówne, bezdzietne małżeństwo praktycznie pozbawione poczucia humoru nadal potrafiło czerpać radość ze wspólnego życia. Wyn był zaskoczony, że pozwolili sobie na taką ekstrawagancję jak wypad do kina. Musiał jednak przyznać, że oboje bardzo uczciwie pracowali i byli wobec niego wyjątkowo lojalni. Poza tym od czterdziestu lat żyli ze sobą w harmonii, co w jego świecie stanowiło absolutny rekord.

Jeszcze raz zerknął w ich stronę: właśnie wyjeżdżali z parkingu swoim starym volkswagenem. Ruszył dalej, próbując się otrząsnąć z nagłego poczucia osamotnienia. Powiódł wzrokiem po lesie i polance. Dom Ducciego tonął w mroku, paliło się tylko słabe światło na ganku. Pewnie Santo, jak to czasem lubił zrobić, wyskoczył do siłowni, choć na miejscu miał doskonale wyposażoną własną salę. Albo, pomyślał Wyn, wybrał się do baru w którymś z okolicznych miasteczek. Conrad właściwie nie wiedział, jak jego zaufany służący spędza wolny czas, ale przypuszczał, że siłacz potrzebuje towarzystwa. Może i wyglądał jak napakowany sterydami mięśniak, pozbawiony ludzkich uczuć, Wyn domyślał się jednak, że olbrzymia musiała nużyć monotonia złotej

klatki, jaką stało się Stonelair. Nigdy o tym nie rozmawiali, a Wyn nigdy nie zastanawiał się nawet nad prywatnym życiem Ducciego, lecz całkowicie mu ufał. Przez ostatnie dziesięć lat Santo wiernie trwał u jego boku, w dobrych i złych chwilach, nigdy na nic nie narzekając, i zawsze sumiennie wykonywał polecenia. Wierny jak Reinhardtowie, pomyślał z goryczą Conrad, ale w końcu, czyż nie za to im wszystkim płacę?

Wszedł do gabinetu przy stajni, zapalił światło i skierował się do siodlarni. Tam też zapalił światło, wydobywając z mroku pamiątki dawnych triumfów świętowanych na boiskach do gry w polo: skrzyżowane podbijaki, trofea i zdjęcia drużyn. Podszedł do wyłożonej świerkową boazerią ściany i popatrzył na swoją ciemnozieloną koszulkę z białymi literami. Koszulka miała na rękawie jego numer -jedynekę, na piersi zaś logo DC, Drużyna Conrada, i była poszarpana, niemal w strzępach, pokryta rdzawymi plamami. Zasnęta krew.

Wyn przeniósł wzrok z koszulki na zdjęcia. Część fotografii z ostatnich lat zniknęła, bo Ducci starannie ocenzurował te, na których pojawiała się Arielle oraz Lolo wśród graczy Conrada. Przez chwilę zatrzymywał wzrok na każdym zdjęciu i wtedy powracały dawne wspomnienia: otwarte mistrzostwa Francji w paryskim klubie Bagatelle; angielskie trofea: puchar księcia Walii w klubie Royal Couth of Berkshire, puchar Windsorów i puchar królowej; wreszcie pamiątki rodzimych zwycięstw w Greenwich, Houston, Santa Fe, Santa Barbara, Wellington i Saratodze. Lista ciągnęła się w nieskończoność. Niemal na każdym zdjęciu Wyn był spocony i brudny, ale promiennie uśmiechnięty.

To już przeszłość, pomyślał z goryczą. Poczucie osamotnienia, które wcześniej go dopadło, odezwało się ze zdwojoną siłą. Magia i piękno tamtych chwil zniknęły, cieniem kładły się na nich późniejsze wydarzenia, które doprowadziły do dramatycznych zmian w jego życiu.

Nie mam nikogo, z kim mógłbym zachwycać się urodą letnich wieczorów. Bo i któż wytrzymałby z potworem, jakim się stałem? -pomyślał zniechęcony.

Tęsknie powiódł wzrokiem po wypolerowanych, błyszczących siodłach, aż proszących, by na nie wskoczyć. Przypomniawszy sobie wiatr chłozący mu policzki, ekstatyczną radość i swobodę, jaką czuł, ilekroć wsiadał na konia.

Do cholery! - powiedział sam do siebie. Mam dość tej nudy, dość siedzenia w zamknięciu, dość tych wszystkich problemów. I tylko ja mogę coś zrobić w tej sprawie.

Obrócił się na pięcie i poszedł do przebieralni. Tam usiadł, zrzucił adidasy, a potem ściągnął lewisy.

Wiem, że to szaleństwo, pomyślał półprzytomnie, ale wsiadę na konia. Za długo czekałem.

Nie dając sobie czasu na zmianę decyzji, włożył bryczesy, chwycił łyżkę i wciągnął buty do konnej jazdy, na których zbyt długo zbierał się kurz. Wyprostował się, poruszył nogą, by ułożyła się w bucie. Nagle zrobiło mu się słabo, a wszystko wokół zawirowało. Usiadł, czekając, aż przejdzie mu ten nagły zawrót głowy.

To pewnie jeszcze działa ostatni zastrzyk, pomyślał. Parę razy głęboko wciągnął powietrze i starł z czoła krople potu. Rzeczywiście, odbiło mi. Żeby w moim stanie, przy takich ilościach leków...Ale teraz nie będzie się nad tym zastanawiał. Nie, zrobi to bez względu na konsekwencje. Wstał, włożył pierwszy lepszy kask i wrócił do siodlarni. Tam zdjął ze ściany wodze, uprząż i popręg, a potem wziął siodło angielskie z poduszką.

Nadal musiał być osłabiony, skoro siodło wydawało mu się ciężkie, ale jakoś przeciągnął je do stajni. Zostawił je na ławce i zapalił światło. Weźmie Demona. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dosiadał tego starego wcielonego diabła. Ruszył wzdłuż boksów, zaglądając do koni, zagadując do nich i

głaszcząc je po karkach - dawniej robił to codziennie, a ostatnio jakoś się zaniedbał.

Nie spieszył się, wolnym krokiem przechodził od boksu do boksu, aż wreszcie dotarł do Demona. Z zachwytem spojrział na cudownego araba. Pogładził go, tak samo jak pozostałe wierzchowce, przemawiając doń pieśczośliwie. Demon od dawna był jego ulubieńcem. Wyn nie mógł się już doczekać, kiedy wskoczy na jego grzbiet.

Już otwierał boks, gdy nagle znieruchomiał, nasłuchując. Odczekał moment, ale słyszał tylko normalne odgłosy stajni. Znowu sięgnął do skobla. I znowu rozległ się ten sam, dziwny dźwięk.

Co, u licha? - pomyślał. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, a potem najciszej, jak to możliwe w butach do konnej jazdy, ruszył wzdłuż bokсів. I teraz też usłyszał ten odgłos, wyraźnie z prawej strony. Wyn zajrzał do boksu, z którego dobiegał. Oczy rozszerzyły mu się najpierw z niepokoju, a potem ze zgrozy, gdy zobaczył wpatrzoną w niego klacz. Santo kupił ją zaledwie parę dni temu, nazywała się Layla. Nie ulegało wątpliwości, że zwierzę bardzo cierpi. Owe tajemnicze odgłosy były jękami bólu.

Wyn wszedł do boksu. Z chrapów klaczy płynęła krew, miała potwornie opuchnięte nogi i kark. Po chwili dostrzegł coś jeszcze: cała była pokryta dziwną, śliską wydzieliną.

W życiu czegoś takiego nie widziałem, pomyślał zszokowany. Co to, u diaska, może być?

Przyklął na jedno kolano, by przyjrzeć się opuchniętym pęcynom. Były białe, ale wyraźnie widział sine wybroczyny. Obmacał jej opuchniętą szyję. Zupełnie jakby miała świnkę. Rozpaczliwie zastanawiał się, co robić. Serce mu się ścisnęło, bo wiedział, że Layla musi niewyobrażalnie cierpieć. Przez chwilę gładził ją po karku, potem szybko wyszedł z boksu i zamknął drzwiczki.

Odrzuciwszy wszelką myśl o przejażdżce, popędził przez stajnię do

telefonu. Musi natychmiast ściągnąć do Layli weterynarza. Wtem uświadomił sobie, że jest w Stonelair sam. Santo gdzieś się urwał, a Reinhardtowie pojechali do kina.

Ale to nie problem, pomyślał. Mają komórki. Najpierw zadzwonię do Ducciego i każę mu natychmiast wracać. On będzie gadał z tą lekarką.

Wbiegł do gabinetu, chwycił telefon i wybrał numer Santa. W słuchawce rozległ się sygnał.

Zapadał zmrok, Valerie usadowiła się wygodnie na leżaku na osłoniętym tarasie z tyłu domu. Obok, na kamiennej podłodze spał Elvis. Valerie leniwie patrzyła na księżyc odbijający się w sadzawce.

Idealny wieczór u schyłku lata, pomyślała.

Powiodła wzrokiem po kwiatach, kwitnących z obu stron kamiennych stopni tarasu, które prowadziły do sadzawki. Wszystkie rośliny tonęły teraz w srebrzystej poświacie księżyca, jakby jego odbicie w tafli wody rozpostarło się na cały ogród. W stworzenie go włożyła mnóstwo wysiłku, choć nie do końca wierzyła, że jej praca przyniesie efekty, które obiecywała jej Colette. Teraz z zachwytem przekonywała się, że staruszka nie kłamała. Rośliny cudownie się przyjęły, a ogród miał w sobie prawdziwą magię. Patrząc nań, odnosiła wrażenie, że podziwia jakiś tajemniczy, pełen uroku obraz, który nie od razu zdradza wszystkie sekrety, prowokując, by sięgać głębiej i wydobywać to, co ukryte w nieustannej grze światła i cienia.

Valerie objęła się rękami. Choć wieczór był piękny, dokuczała jej samotność. A przecież nie musiała spędzać go sama. Dzwonił Teddy, że przyjeżdża na parę dni, by wynagrodzić jej nieobecność podczas weekendu. Bo na sobotę i niedzielę musi wyjechać. Ma spotkanie z ważnymi klientami w Connecticut. Prosił Valerie, by wpadła i spędziła z nim tę noc, ale się wykręciła.

Żaby wraz z chórem niewidocznych nocnych stworzeń rozpoczęły swój

wieczorny koncert, lecz ta kakofonia nie przynosiła ukojenia. Valerie musiała się przyznać sama przed sobą, że dobrze by jej zrobiło czyjeś miłe towarzystwo. Nie pozwoli jednak, by samotność popchnęła ją w ramiona Teddy'ego.

Nagle z boku domu dał się słyszeć jakiś szmer. Elvis poderwał się i zaczął poszczekiwać. Valerie ogarnął nagły lęk, ale potem uświadomiła sobie, że to tylko skrzywienie zawiasów ogrodowej furtki.

Colette, pomyślała. Była to jedyna osoba oprócz matki i Teddy'ego - a ci najpierw uprzedziliby telefonicznie o wizycie - która mogła wejść tędy, nie dzwoniąc do drzwi wejściowych. Elvis przestał ujadać i czekał przy schodkach, merdając ogonem. Valerie uśmiechnęła się lekko. Jednak będzie miała towarzystwo.

- Val? - Szept Colette zabrzmiał niczym egzotyczne westchnienie unoszące się w ciepłym, letnim wietrze. - Jesteś tam, skarbie?

- Tak, Colette. Na tarasie.

- Przeszkadzam?

- Przecież wiesz, że nie, Colette.

W mroku zajaśniały srebrne włosy. Staruszka ostrożnymi, małymi kroczkami pokonywała kamienne schodki, wiodące na taras.

- Czekaj, Colette - powiedziała Valerie - zapalę światło.

- Nie, nie, nie, skarbie. Nie psuj tej chwili. Tu jest tak uroczo. Tak romantycznie.

Valerie wstała i podeszła do sąsiadki.

- To chociaż pozwól się poprowadzić.

Na tarasie staruszka usiadła w fotelu, głaszcząc Elvisa, Valerie zapaliła świeczki na stole.

- Może kieliszek wina? - zaproponowała.

- Och, bardzo chętnie, skarbie. Mój dziadek, lekarz, zawsze powtarzał:

nie ma to jak kieliszek przed snem.

- Zaraz wracam - powiedziała Valerie.

Przez drzwi balkonowe weszła do kuchni, wyjęła z szafki kryształowy kieliszek, a z lodówki butelkę schłodzonego białego wina. Postawiła przed Colette kieliszek i naląła jej wina.

- Och, Val - wzruszyła się przyjaciółka. - Prawdziwy z ciebie anioł, że wytrzymujesz z taką starą nudziarą jak ja.

Valerie parsknęła śmiechem.

- Nie bądź niemądra, przecież wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziana, Colette.

Dolała sobie wina i usiadła na fotelu przy stole. Wolno sączyła trunek, przypatrując się ćmom, krążącym wokół płomienia. Słodki zapach kapryfolium przyjemnie pieścił jej nozdrza. Czuła na sobie spojrzenie Colette, ale starszka nie przerywała ciszy.

Delikatnie trzymała kieliszek, obracając w palcach nóżkę. Potem wypła łyżek.

- Pyszne - pochwaliła wino, odstawiając kieliszek. Valerie leniwie podniosła na nią oczy.

- Prawda? Dostałam od Teddy'ego. - Urwała, znowu wpatrując się w płomień. - Doskonale zna się na winach i zawsze świetnie je dobiera. W tej sprawie nigdy nie zdaje się na mnie. Nie dowierza mi.

Roześmiała się, ale nie było w tym śmiechu radości. - Rzeczywiście, Teddy ma świetny gust - zgodziła się sąsiadka. - Tylko że to chyba nie wszystko.

Valerie spojrzała na Colette, która uniosła brwi. Znowu się roześmiała, tym razem szczerze, z prawdziwym rozbawieniem.

- Ależ ty jesteś bystra, Colette.

- Za to ty jesteś nieszczęśliwa.

Sąsiadka znów sięgnęła po kieliszek. Płomienie świec tańczyły w dużych kamieniach jej pierścionków. Valerie już miała odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Bez słowa przyglądała się sączącej wino przyjaciółce i zastanawiała nad jej słowami. Prawie wszyscy uważali Colette za bezmyślną, kapryśną ekscentryczkę, rozbestwioną przez nadmiar pieniędzy i nieraz Val przyznawała im rację. Ale to nie była cała prawda. Valerie nie dawała się zwieść pozorom. Colette bowiem, oprócz wielu innych zalet, miała bystre oko, intuicję, a także życiową mądrość i doświadczenie.

Nie zawahałabym się jej nazwać najbystrzejszą kobietą, jaką znam, pomyślała Valerie.

Przypuszczała, że ekscentryzm Colette to maska, którą przyjaciółka wiele lat temu przywdziała, by trzymać ludzi na dystans. Z pozoru Colette wydawała się beztroską, kochającą zabawę i błazenadę gadatliwą staruszką. I zapewne taka była. Ale gdzieś głębiej kryła się doświadczona kobieta, którą życie nie raz zraniło, a która wolała zachować dla siebie własne rozczarowania. Dlatego Valerie postanowiła nie lekceważyć uwagi przyjaciółki i spytała:

- Czemu tak sądzisz, Colette?
- To proste, Val. Jakoś nie dostrzegam tego delikatnego rumieńca, który powinien krasić liczko każdej zakochanej dziewczyny. Teddy cię nie podnieca, to nie ulega wątpliwości. W każdym razie dla mnie.

Valerie poczerwieniała z zażenowania.

Aż tak to widać? - zastanawiała się. Zapatrzyła się w przestrzeń, a potem odchrząknęła.

- Chyba... Chyba coś w tym jest - przyznała pokornie. - Od tak dawna chodzę z Teddym, że... - Urwała, szukając odpowiedniego słowa.

- ...że ci się przejadł? - dokończyła za nią Colette. - I nic w tym dziwnego. Ma urodę i wdzięk. Ma pieniądze i wpływy. To doskonale

wychowany mężczyzna i... potworny nudziarz. Przynajmniej z twojego punktu widzenia. I, dodajmy, z mojego też.

Valerie wybuchnęła śmiechem.- Jestem na dobrym tropie, skarbie?

Młoda kobieta skinęła głową i odgarnęła włosy.

- Może trochę, Colette. - Spojrzała przyjaciółce w oczy. - Ech, co tu kryć. Jak zwykle trafiłaś w dziesiątkę.

Staruszka pokiwała głową, nie odrywając oczu od Valerie, która upiła trochę wina i odstawiła kieliszek.

- Ale nie wiem, co z tym robić - podjęła z westchnieniem. - Czuję potworne wyrzuty sumienia. Tak długo ze sobą chodziliśmy, a on tak się uparł. No i mama też, to wiadomo. - Umilkła. W jej oczach pojawiła się zaduma. - Kiedyś wyobrażałam sobie, że kocham Teddy'ego. Jest taki przystojny, czarujący, troskliwy. W każdym razie, na ogół. I ma wszystko to, o czym mówiłaś. - Uśmiechnęła się smutno. - Ale dopiero niedawno dotarło do mnie, że był pierwszym mężczyzną, który zwrócił na mnie uwagę. Podejrzewam, że poczułam do niego wdzięczność, którą uznałam za miłość.

Colette wyciągnęła rękę i pogładziła Valerie po policzku.

- Tak się w życiu zdarza, Val. To bolesne i przykre, ale tak bywa. Ty zaś nie możesz pozwolić, by poczucie winy wzięło górę, skarbie. Jeśli naprawdę uważasz, że twoje uczucie do Teddy'ego wygasło, a z tego, co mówisz, wynika, że właśnie tak jest, masz tylko jedno wyjście. Przetnij to. O, tak! - Machnęła ręką w powietrzu.

- Musisz z tym skończyć. Bo jeśli tego nie zrobisz, skążesz was oboje na cierpienie. Przecież ty tylko odsuwasz to, co i tak nieuniknione. Nie dostrzegasz tego?

Zażenowana Valerie wierciła się na fotelu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Colette ma rację, ale nie potrafiła tego przyjąć. To był problem, któremu zwyczajnie nie chciała stawiać czoła.

- Chyba... Chyba po prostu jestem tchórzem - przyznała się wreszcie. - Najchętniej w ogóle bym tego nie ruszała. Ja... Boję się, Colette. Zwłaszcza od kiedy przyjął pierścione zaręczynowy.

- Och, biedactwo - westchnęła staruszka, ściskając ją za rękę.
- Doskonale to rozumiem i bardzo mi ciebie żal. Przepraszam. Wiem, że czasem zachowuję się niedelikatnie i wtrącam się do nie swoich spraw, ale naprawdę leży mi na sercu twoje dobro. Płakać mi się chce, gdy widzę, że jesteś nieszczęśliwa. A już od dawna nie wydaje mi się, byś była szczęśliwa z Teddym.

Dziewczyna skinęła głową.

- Jedynym lekarstwem na twój dylemat jest absolutna szczerłość. Wobec siebie. Wobec Teddy'ego. Niełatwe zadanie, wiem, ale im szybciej, tym lepiej. Nie spuszczała wzroku z Valerie, w jej dużych, błękitnych oczach odbijały się płomyki świec.

- Wszystko przed tobą, kochanie - ciągnęła. - Wszystko. Masz wyjątkową urodę. Cudowny zawód. Niezwykłą osobowość. I jakby jeszcze tego było mało, mocno stąpasz po ziemi. Poza tym jesteś dobra, Val. Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem. A o takich coraz trudniej.

Valerie znowu poprawiła się w fotelu. Miło było słuchać komplementów, ale nie umiała ich przyjmować. Nie wierzyła, że naprawdę jej dotyczą.

- I na pewno - mówiła z naciskiem Colette - już wkrótce spotkasz kogoś dla siebie. Tego wymarzonego mężczyznę, który będzie idealnie do ciebie pasował. Jestem o tym przekonana.

- Naprawdę... naprawdę w to wierzysz, Colette? - spytała Val.
Staruszka zdecydowanie skinęła głową.

- Z całego serca. Znajdziesz kogoś, z kim będziesz szczęśliwa. - Wypiła trochę wina. - Och, jasne, że trzeba patrzeć realistycznie na życie. Wiadomo,

że czasem każdy musi iść na kompromis. To naturalne. Ale to nie znaczy, że musisz od razu wiązać się z mężczyzną, z którym nie czujesz się szczęśliwa, nawet jeśli ma on wiele zalet. Wyobraź sobie, co będzie za pięć lat. Za dziesięć. Jeśli dziś nie jesteś szczęśliwa z Teddym, to co będzie wtedy?

- Och, Colette -jęknęła Valerie. - Wiem, że masz rację. Do diaska!

- I nigdy nie uwierzę, że nie pojawi się mężczyzna, który wniesie w twoje życie radość.

- Bardzo mnie podniosłaś na duchu. I... już trochę mniej się boję.

- Nie ma czego, skarbie - ciągnęła Colette - owszem, Teddy jest upartym mężczyzną. Do tego silnym i zdecydowanym, ale co ci zrobi? - Wzruszyła ramionami. - Nie zakuje cię w kajdany. Jeszcze nie jesteście małżeństwem, a takie sytuacje się zdarzają, i to często. Jasne, że nie będzie zachwycony i przez jakiś czas będzie lizał rany, ale wreszcie poszuka sobie kogoś innego. Na pewno musisz się spodziewać paru ostrych słów, bo poczuje się bardzo zawiedziony; niewątpliwie czeka cię nieprzyjemna rozmowa, ale przejdiesz przez to. Przekonasz się.

Valerie zapatrzyła się na odbicie księżyca w sadzawce i ogród tonący w srebrzystej poświacie. Ale tylko przez chwilę zachwycała się jego pięknem. Bo mimo szczerych chęci i wysiłków, Colette nie na długo udało się podnieść ją na duchu i tchnąć w nią odwagę. Ostatnie zdania przyjaciółki niemal zmroziły Valerie. Przez te wszystkie lata zdążyła się zorientować, że Teddy ma znacznie słabszą konstrukcję psychiczną, niż się wydawało, i stąd to jego pragnienie, by kontrolować wszystko i wszystkich dokoła, także ją. Tuż za kontrolą szła manipulacja, a zaraz za nią pojawiała się bezwzględność. Teddy bowiem bezwzględnie parł do celu i nie cofał się przed niczym, aby go osiągnąć. Miażdżył każdą przeszkodę, stającą mu na drodze.

Valerie skuliła się, bo nagle przebiegł ją dreszcz.

Czy to dotyczy również mnie? - zastanowiła się. A jeśli Teddy nie

pozwole mi odejść?

W duchu zadrzała na samą myśl o tym. Cieszyła się jednak, że porozmawiała szczerze z Colette. Choćby dlatego, że wreszcie jasno sobie uświadomiła to, co do tej pory tylko podejrzewała: nie kocha Teddy'ego i nie chce za niego wyjść. Rozumiała, że musi jak najszybciej porozmawiać z narzeczoną. Colette zaś dodała jej odwagi, by przejść od myśli do czynów.

Mimo to Valerie nie opuszczały zdenerwowanie i lęk. Jedno nie ulegało wątpliwości, sprawę z Teddym trzeba będzie rozegrać niezwykle taktownie.

- Coś ty taka milcząca, skarbie? - odezwała się Colette. - Czyżbym aż tak cię poruszyła albo dotknęła wtykaniem nosa w nie swoje sprawy?

- Ależ skąd, Colette. Jestem ci bardzo wdzięczna za szczerość.

-Uścisnęła dłoń przyjaciółki. - Dzięki tobie wreszcie ujrzałam wyraźniej swoje uczucia. Dziękuję ci.

Przyjaciółka uśmiechnęła się serdecznie.

- Kocham cię, Val, wiesz o tym.

- Tak. I ja też cię kocham. Czasem żałuję, że nie jesteś moją matką.

Colette roześmiała się głośno.

- Choć bardzo cię kocham, za nic w świecie nie chciałabym konkurować z Marguerite o ten zaszczyt.

Valerie też parsknęła śmiechem.

- A przy okazji, jak się miewa Hayden?

- Wspaniale. Właśnie ugotowałam dla niego kolejny garnek rosółu.

Przygotowuję go dużo, a potem rozlewam do foremek do lodu i mrozę. Potem rozmrażam dla niego po kostce. Uzależnił się od tego. Kręci noskiem na mączniaki, którymi zajada się każdy szanujący się jeź. Ale cóż, Hayden zapewne lubi łamać zasady, co wcale mnie nie dziwi. Chcesz zamienić z nim słówko?- Co? - zdziwiła się Valerie. - Masz go ze sobą?

- Naturalnie. Siedzi u mnie w kieszeni jak u Pana Boga za piecem.

Colette delikatnie wyjęła Haydena z kieszeni luźnej bluzy i podała go Valerie.

- Uwielbia moją kieszeń - wyjaśniła - i wraz ze mną porusza się w niej po domu.

Valerie lekko pogładziła miniaturowego jeża. Nieustannie zdumiewało ją, jak ostre są jego szpilki. Zwierzątko drgnęło, ale potem uspokoiło się, rozpoznawszy ją dzięki doskonałemu powonieniu. Słyszac, jak jego pani przemawia do jeża, Elvis zaczął się wiercić.

- Oho, lepiej schowajmy Haydena do kieszeni, żeby Elvis nie zaczął nim się nadmiernie interesować.

- Czasem pozwalam Puff Puppy'emu go obwąchać - powiedziała Colette - ale wątpię, by Haydenowi sprawiało to taką przyjemność jak Puff Puppy'emu. Chyba go jednak schowam. - Ostrożnie wsunęła jeża do kieszeni i przez chwilę głaskała jego łebek palcem. - Prawda, że to dziwne - zwróciła się do Valerie - jak niezwykle rzeczy sprawiają nam przyjemność?

- Nigdy nie przestaje mnie to zdumiewać - zgodziła się z nią młoda kobieta. - Zwłaszcza zwierzęta...

Zadzwonił telefon na stole, jego ostre brzęczenie zakłóciło spokój wieczoru.

- Muszę odebrać - powiedziała Valerie. - To może być wezwanie.

- Naturalnie, skarbie - odrzekła Colette, sięgając po wino. Val podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się.

- Doktor Rochelle? - usłyszała znajomy głos. - Tak.

- Mówi Doty z centrali. Przepraszam, że przeszkadzam, ale otrzymaliśmy pilne wezwanie ze Stonelair.

Valerie poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Oho. Czy aby na pewno czuję się na siłach, by dziś stawić czoło temu, co mnie tam czeka? - zastanowiła się. Ależ oczywiście, że tak.

- Co się tam wydarzyło, Dotty?
- Zdaje się, że mają problemy z koniem. Nie zrozumiałam dokładnie.

Chyba coś z opuchlizną i krwotokiem. Ten mężczyzna był poruszony, a nawet wstrząśnięty.

- I nic więcej nie zapamiętałaś?

- Przykro mi, pani doktor, ale mówił tak szybko, że nie wszystko załapałam.- W porządku, Dotty. I dziękuję. Gdyby znowu zadzwonił, powiedz, że już jadę.

- Załatwione - powiedziała operatorka, rozłączając się. Valerie westchnęła i odwróciła się do Colette.

- Muszę jechać do Stonelair, zachorowało jakieś zwierzę.
- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - spytała z niepokojem Colette.
- W tym momencie trudno powiedzieć. Osoba, która zadzwoniła, była

bardzo zdenerwowana i Dotty nie wszystko zrozumiała. Wiem tylko, że chodzi o konia. Muszę się zbierać.

- Oczywiście, skarbie. Ja i Hayden już zmykamy.

- Zostań tu i dopij wino. Nie musisz uciekać tylko dlatego, że ja wychodzę.

- To może posiedzimy jeszcze chwilkę i dotrzymamy Elvisowi towarzystwa. A potem już naprawdę znikamy.

- Zaraz wrócę, tylko spakuję parę rzeczy.

Wbiegła do kuchni, potem do korytarza. Wyciągnęła z szafy czysty fartuch, potem usiadła i szybko zawiązała adidasy.

I już, gotowe, pomyślała. Miała na sobie dzinsy i starą koszulkę, więc nie musiała się obawiać, że zniszczy sobie lepsze ubranie, z czym zawsze trzeba było się liczyć przy nagłych wypadkach. Chwyciła swoją torbę i wybiegła na ganek.

- Gotowa? - spytała Colette.

- Gotowa. Ale ty i Hayden zostańcie tu, jak długo chcecie. Elvis będzie wam wdzięczny za towarzystwo.

- Dobrze - odrzekła przyjaciółka. - A ty zmykaj.

Valerie pomknęła po schodach do furtki, prowadzącej na podjazd, gdzie stał samochód.

Colette usłyszała, jak Val ruszyła ostro, spiesząc na pomoc choremu zwierzakowi. Staruszka wypila jeszcze trochę wina i pochyliła się nad Elvisem, głaszcząc go.

- Twoja pani niedługo wróci - uspokajała go.

Zerknęła na zegarek. Nie było tak późno. Wpół do jedenastej, jeśli wzrok jej nie mylił.

Znowu zadzwieczał telefon.

Odebrać? - zastanowiła się, patrząc na aparat. W końcu podniosła słuchawkę.

- Słucham, mieszkanie doktor Rochelle - powiedziała.

- Kto mówi? - rozległ się męski głos. Colette nie podobał się ostry ton rozmówcy.

- Jestem Colette Richards, sąsiadka doktor Rochelle.

- A, to pani.

Staruszka nasłuchiwała, ale dobiegł ją tylko ciężki oddech. Wreszcie mężczyzna znów się odezwał: - Gdzie jest Val?

- Wezwano ją do nagłego przypadku - wyjaśniła Colette. Już chyba wiedziała, z kim rozmawia.

- Chryste! Te jej nagłe przypadki!

- To ty, Teddy? - zaryzykowała.

- Tak - warknął.

- Jak miło cię słyszeć. Nie widziałam cię od wieków.

- Byłem zajęty - oświadczył wyniośle. - Ogromnie zajęty. I dokąd to

wezvano ją tym razem do owego tak niezwykle nagłego przypadku?

- Do Stonelair. Zdaje się, że jednemu z koni coś się stało.

- Stonelair! - zawołał podniesionym głosem Teddy. - Mówiłem jej, żeby tam nie jeździła! Ten właściciel koni to mafioso albo ktoś równie okropny!

- Valerie jest chyba wystarczająco dorosła, by samodzielnie podejmować decyzje, Teddy. Wezwano ją do chorego zwierzęcia. To jej praca, poradzi sobie.

- Ze zwierzęciem może tak - warknął. - Ale z takim śmieciem jak Conrad niekoniecznie.

- Chyba nie doceniasz naszej Val. Nie z takimi sytuacjami potrafiłaby sobie poradzić. Powinieneś ją za to szanować.

- A co, kurwa, pani może o tym wiedzieć? Colette była wstrząśnięta jego słownictwem. Pił, pomyślała. Albo się zaćpał.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nie zachowywał się normalnie. Mówił szybko, urywanie, dysząc. Zupełnie inaczej niż czarujący, doskonale wychowany młody biznesmen, którego wszyscy tak podziwiali.

Czemu nie jestem zdziwiona? - zapytała się w duchu.

- Wydaje mi się, że znam Val - odparła wreszcie. - Za to ty chyba w ogóle jej nie znasz.

Przerażona zasłoniła usta i wzniosła oczy ku niebu. No, pięknie, pomyślała. Ale się popisałam. Co tam, mam to w nosie. Temu łobuzowi należało się kilka ostrych słów.

- Co pani bredzi? Upiła się pani czy co?

- Jeszcze nie - odrzekła Colette rozbawiona.- Stara wariatka.

- Zgadza się. Byłabym wariatką, kontynuując tę idiotyczną rozmowę.

- Ty... ty... Szkoda słów. Jeszcze pożałujesz!

Teddy z trzaskiem cisnął słuchawkę, a Colette delikatnie odłożyła swoją.

Przez moment wirowało jej w głowie.

Ale dałam temu łajdakowi po uszach, pomyślała, wolno sącząc wino. Bo rzeczywiście, to kawał drania. Muszę się dowiedzieć, co naprawdę robi Teddy i co się z nim dzieje. Tak, muszę lepiej poznać sytuację, jeśli mam pomóc Val. Bo nie ulega już wątpliwości, że będzie potrzebowała pomocy.

Rozdział 13

Valerie pokonywała kolejne kilometry, jadąc równym - szybkim, ale nie szaleńczym - tempem. W głowie kotłowało jej się od myśli o rozmowie z Colette i o tym, co może czekać ją w Stonelair. Wreszcie dotarła do bramy posiadłości, zatrzymała się, wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik domofonu.

- Doktor Rochelle? - odezwał się męski głos. Na pewno nie należał do Ducciego. Czyżby to był sam Conrad?

- Tak - odrzekła.

- Przez bramę i na rozwidleniu w lewo, do stajni - udzielił jej krótkiej instrukcji. - Będę tam czekał.

- Dobrze.

Skrzydła bramy zaczęły się już rozsuwać. Valerie przemknęła obok kamiennych filarów i zatrzymała się dopiero na dobrze oświetlonym parkingu przed stajniami. Wyjęła z samochodu obie torby.

Nikt nie wyszedł na powitanie, więc skierowała się do pomieszczenia, w którym była za pierwszym razem. Widziała, że i w gabinecie, i w stajni pałą się światła. Drzwi były otwarte, więc weszła do środka. Nadal nikogo nie było widać.

Bardzo dziwne, pomyślała. Zwłaszcza że mają tu chorego konia.

Zwykle w takich sytuacjach pojawiała się cała rodzina i stajenni, każdy

starał się jej wyjaśnić, co się stało, oferował pomoc. Tu jednak panowała niezwykła cisza, jakby nie działo się nic szczególnego.

- Panie Ducci? - zawołała. Nikt się nie odezwał.

- Panie Ducci? - powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem. Nadal nic. Przeszła przez jasno oświetloną siodlarnię, tu jednak również nikogo nie zastała.

Pewnie jest w stajni, uznała.

Nikt nie włączył dużych lamp pod sufitem, ale obok boksów paliły się latarnie, a nad jednym płonął mały, punktowy reflektor. Nadal jednak Valerie nie widziała żywego ducha.

- Santo? - zawołała kolejny raz.

- Nie ma go - odezwał się męski głos, zapewne samego Conrada, gdzieś z głębi stajni. - Ja muszę pani wystarczyć.

- Doskonale - odrzekła Valerie. - Ale kim pan jest i gdzie pan się ukrywał?

Oczywiście, doskonale wiedziała, z kim rozmawia, nie mogła jednak odmówić sobie przyjemności zmuszenia go, by jej się przedstawił.

- To ja, Wyn Conrad - powiedział dziwnie spokojnym, przygaszonym tonem. - I jestem w dziesiątym boksie po prawej stronie. Tam, gdzie pali się światło.

- Już idę.

Ruszyła w tamtą stronę. Przed boksem zatrzymała się, postawiła torby i weszła do środka.

- Boże... - szepnęła, patrząc na wierzchowca przywiązanego do przegrody.

Pierwsze, co zauważyła, to krew płynącą z nozdrzy klaczy. Delikatnie obmacała jej kark. Był wyraźnie opuchnięty, jakby zwierzę miało świnkę. Val ostrożnie przesunęła dłońmi po szyi klaczy.

Cofnęła ręce i spojrzała na nie zdumiona. Całe były umazane dziwną

śliską wydzielinę, jakiej jeszcze nigdy nie widziała. Wytarła dłonie w fartuch, zastanawiając się, co to może być. Dopiero wtedy popatrzyła na przednie nogi konia.

- O, nie... - szepnęła.

Przyklękła, by dokładniej im się przyjrzeć. Były przeraźliwie spuchnięte, pod białą sierścią wyraźnie było widać rozlane wybroczyny. Valerie delikatnie dotknęła pęciny. Na dłoniach znowu został jej ten dziwny śluz. Wytarła ręce w fartuch i wyprostowała się, nadal uważnie przyglądając się klaczy. Wszędzie napotykała tę dziwną, lepłą wydzielinę.

Co jej może być? - zastanawiała się, szukając przyczyny choroby.

Dopiero teraz dostrzegła Conrada, który zaszył się w ciemnym kącie boksu. Stał ze splecionymi rękami i zwieszoną głową. Miał na sobie strój do konnej jazdy, nawet nie zdjął kasku do gry w polo, którego daszek rzucał cień na twarz. Jedynym jaśniejszym punktem były wypolerowane buty do konnej jazdy, w których odbijało się światło. Valerie drgnęła. Przedtem tak ją pochłaniało badanie konia, że zupełnie zapomniała o Conradzie. Teraz poczuła się niezręcznie, patrząc na ukrytego w mroku, milczącego mężczyznę.

- Nie zauważyłam pana - odezwała się przeproszającym tonem.

- Ja tylko się przyglądam - odrzekł cicho.

Rzeczywiście, obserwował ją i podziwiał delikatność, z jaką badała cierpiące zwierzę. Podziwiał też opanowanie i zimną krew, którą zachowała mimo tragicznego stanu klaczy. A może tego należało oczekiwać? - pomyślał. W końcu jest lekarką, musi być oswojona z widokiem krwi i chorób.

- Cóż, wygląda na to, że mamy poważny problem - powiedziała Valerie.

- Tyle to i ja wiem. Właśnie wybierałem się na przejażdżkę, kiedy usłyszałem z boksu Layli jakieś dziwne bulgotanie. Pewnie to ta krew w nozdrzach. Dlatego zadzwoniłem do kliniki.

- I właśnie tak wyglądała, kiedy ją pan znalazł? - spytała Valerie. Czują się niezręcznie, nie widząc jego twarzy.

- Dokładnie tak samo.

- Rozumiem - powiedziała, wciąż nie mogąc się domyślić przyczyny fatalnego stanu zwierzęcia. - A co pan wie o tej kłaczy?

- Nic. Santo kupił ją parę tygodni temu. Od jakichś ludzi z okolic Saratogi.

- Ma pan jej kartę zdrowia? - naciskała Valerie.

- Och... Nie mam pojęcia, gdzie może być. Przypuszczam, że Santo otrzymał ją od właścicieli, ale trudno mi coś powiedzieć.

- Czy on jest gdzieś w pobliżu?

- Nie - odrzekł Conrad rozdrażniony. - Co gorsza, nie mogę go złapać. Dzwoniłem na komórkę, ale nie wiadomo czemu nie odbiera.

- Koniecznie muszę zobaczyć papiery kłaczy albo przynajmniej czegoś się o niej dowiedzieć. Wiem, że trzymają tu państwo kopie wszystkich kart zwierząt, Ducci mi o tym mówił, jako że sam wykonuje niektóre szczepienia. Gdzie trzyma dokumentację?

- W gabinecie.

- Może pan mi je pokazać?

- Cóż... Mogę pani powiedzieć, gdzie powinny leżeć - odrzekł z wahaniem.

- Na litość boską, panie Conrad! - zawołała Val, zirytowana jego zachowaniem. - Layla jest ciężko chora. Jeśli choć trochę zależy panu na zdrowiu pańskich zwierząt, niech pan przyniesie mi te karty. Albo chociaż proszę mnie tam zaprowadzić, a ja pomogę panu poszukać. W karcie powinny znajdować się informacje, które ułatwią mi ustalenie, co dolega Layli. Muszę się dowiedzieć, co jej jest, zanim będzie za późno.

Wyn wbił spojrzenie w wysłaną słomą posadzkę boksu. Wcześniej nie

pomyślał o dokumentach klaczy, bo rozpaczliwie próbował skontaktować się z Duccim i Reinhardtami. A kiedy mu się to nie udało, postanowił sam zająć się sprawą. Nie mógł patrzeć na cierpienia klaczy, musiał wezwać pomoc. A teraz... Co, do diaska, zrobić?

- Nie ma czasu do stracenia! - ponaglała go Valerie. - Im szybciej znajdziemy kartę, tym większa szansa, że zdołam pomóc Layli. Chyba pan nie chce, żeby zdechła?

- Nie! - odrzekł zdecydowanie. - A, niech to szlag. Chodźmy po te karty.

Co jest z tym facetem?, zastanawiała się Valerie. Myślałby kto, że każe mu oddać rodowe klejnoty.

Stała przed boksem, czekając na Conrada, by wraz z nim pójść do biura. Mężczyzna wreszcie opuścił swoją kryjówkę, obszedł konia i wysunął się z boksu. Przemknął obok Valerie, spieszonym krokiem idąc do gabinetu.

- Proszę za mną - rzucił tylko.

Valerie, zaskoczona tym obcesowym poleceniem, ruszyła za nim, zastanawiając się, co go ugryzło, że jest tak nieprzyjemny i arogancki.

Stała w progu siodlarni. Conrad najwyraźniej już tędy przeszedł, bo światło było zgaszone.

A to łajdak, pomyślała. Czyżby kolejny milioner dusigrosz, który płacze nad każdym niepotrzebnie wypalonym kilowatem?

Weszła do gabinetu. Conrad tu też pogasił światła, zostawiając tylko zapaloną lampkę na biurku. Odwrócony plecami, w niemal egipskich ciemnościach grzebał w szafce z dokumentami.

Jak chce, niech sobie szuka po omacku, ale ja nie będę, zbuntowała się Val. Sięgnęła do włącznika i zapaliła górną lampę.

Conrad drgnął i odwrócił się do niej.

Otworzyła usta, by powiedzieć, że może on widzi w ciemnościach, ale

ona nie i potrzebuje światła. Ale wtedy spojrzała na niego i zaczęła krzyczeć z przerażenia.

Część druga

BESTIA

Rozdział 14

W ułamku sekundy, od zapalenia światła do błyskawicznego uniku mężczyzny, Valerie zrozumiała wszystko. Niechęć Conrada do całego świata, jego pragnienie samotności i unikanie kontaktów z nieznanymi.

Nic dziwnego, że posługiwał się Duccim jako pośrednikiem, pomyślała.

Jej początkowe przerażenie ustąpiło współczuciu. Chciała objąć tego człowieka, pogłodzić go po ramieniu i powiedzieć, że to nic. Oczywiście, nie mogła tego zrobić, aby go do siebie nie zrazić. Instynkt podpowiadał jej, że Conrad nie należy do ludzi, którzy pragną litości. Przeciwnie, jej wszelkie przejawy zapewne budzą w nim wściekłość.

Teraz, kiedy już poznała jego sekret, nerwowo zastanawiała się, jak zareagować, i przychodziło jej do głowy tylko jedno rozwiązanie: musi zachowywać się najnormalniej, jak potrafi. Z trudem przełknęła ślinę i zaczerpnęła tchu.

- Chce pan sam poszukać karty? - spytała, myśląc, że może woli zostać sam, z dala od spojrzeń obcej kobiety.

- Nie - odrzekł po chwili wahania. - Wszystko... w porządku, pani doktor. Jest tu pani służbowo. Widać potrzebuje pani światła jak na sali operacyjnej.

Usłyszała w jego głosie nutkę ironii. Najwyraźniej potrafił już podejść do tej sytuacji z humorem, nawet jeśli nieco makabrycznym.

- Dobrze, pokaże mi pan, gdzie szukać?

- Oczywiście, czemu nie? - Wysunął szufladę z dokumentami i ruchem ręki przywołał Valerie. - Karta powinna być gdzieś tutaj. Proszę poszperać w tych papierach, a w razie gdyby pani miała pytania, będę tutaj.

Usiadł na fotelu w rogu, nieco odwracając głowę.

Valerie szybko przerzucała koperty, by się zorientować, w jaki sposób są uporządkowane. Okazało się, że w najprostszy z możliwych. W kolejności alfabetycznej, według imion zwierząt. Cztery psy, kot, kilkanaście koni, w sumie jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści kart. Szukała koperty z wypisanym imieniem Layli i znalazła ją dokładnie tam, gdzie powinna być. Wyjęła papiery i w milczeniu przeglądała informacje o klaczy.

Okazało się, że Santo Ducci kupił ją zaledwie tydzień temu od małżeństwa Hurleyów. W karcie znajdował się ich adres i numer telefonu. Kolejny wpis to informacja o szczepieniu. Akurat wczoraj Ducci sam zaszczepił konia. Podał typową szczepionkę przeciwko wszystkim końskim chorobom oprócz wścieklizny. Też nic nadzwyczajnego. Właściciel ma prawo szczepić konia przeciwko wszystkim chorobom właśnie z wyjątkiem wścieklizny.

Valerie głowiła się nad kartą, zapominając o czekającym w milczeniu Conradzie. W dokumentach nie było nic, co tłumaczyłoby obecny stan konia.

Oczywiście, uświadomiła sobie nagle Valerie. Być może właśnie to jest

przyczyną problemu. W karcie brakowało jakichkolwiek informacji o poprzednich szczepieniach, chorobach czy interwencjach weterynarza.

Odłożyła kartę.

- Muszę zadzwonić do poprzednich właścicieli - odezwała się, myśląc na głos.

- Co jej dolega? - spytał Wyn.

Spojrzała na niego. Przerażenie, jakie ją ogarnęło, gdy pierwszy raz zobaczyła jego twarz, było już tylko odległym wspomnieniem. Teraz całą uwagę Val pochłaniała tajemnicza choroba konia.

- Nie wiem - odrzekła szczerze. - Ale tu nie ma jej rodowodu ani historii chorób. Dlatego muszę się skontaktować z poprzednimi właścicielami. Może oni mają klucz do tej zagadki.

- Jakim cudem?

- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Ale w karcie są wyłącznie informacje o wczorajszym szczepieniu.

- Dziwne - powiedział Wyn. - Co?

- Że Santo kupił takiego konia. Bez rodowodu. A do tego bez żadnej dokumentacji.

- Rzeczywiście - przyznała. - Zwłaszcza jeśli spojrzeć na pozostałe wierzchowce. Wszystkie to końska arystokracja. - Zajrzała do karty. - Jest trochę późno, ale spróbuję zadzwonić do państwa Hurleyów - powiedziała. - Jeśli ich obudzę, to trudno. Muszę się dowiedzieć o tej klaczy najwięcej, jak się da. - Spojrzała na aparat; okazało się, że to mała centralka telefoniczna. - Muszę wystukać jakiś kod - zwróciła się do Wyna - czy jest tu bezpośrednie wyjście? Podeszedł do biurka i popatrzył na telefon.

- Niech pani od razu wybierze numer. Aparat jest przełączony na bezpośrednią linię.

Valerie znów zajrzała do karty i wystukała numer. Nie uszło jej uwagi,

że Conrad zachowuje się coraz bardziej naturalnie.

Może zdał sobie sprawę, że mimo tamtej gwałtownej reakcji na początku nie uważam go za potwora, pomyślała.

Musiała odczekać kilka sygnałów, wreszcie ktoś odebrał.

- Halo? - rozległ się zaspany, rozdrażniony kobiecy głos.

- Czy to pani Hurley? - spytała Valerie.

- Tak. Kto mówi?

- Nazywam się doktor Valerie Rochelle - przedstawiła się. - Dzwonię ze Stonelair, gdzie właśnie badam klacz, Laylę. W ubiegłym tygodniu kupił ją od państwa pan Santo Ducci.

- Co jej jest? - spytała kobieta. - Kiedy ją kupował, nic jej nie dolegało. Nie sprzedalabym chorego konia.

- Oczywiście, że nie - odrzekła łagodnie Valerie. - Nic takiego nie sugerowałam. Problem w tym, że nie jestem pewna, co jej dolega. Dlatego do pani dzwonię.

Ostrożnie dobierała słowa, by nie urazić kobiety. Jeśli poprzednia właścicielka nie opiekowała się klaczą jak należy, zdenerwuje się i niczego nie uda się z niej wyciągnąć.

- Pan Ducci nie dostarczył mi żadnych dokumentów ani wywiadu chorobowego - tłumaczyła, starając się przerzucić winę na nieobecnego. - Liczyłam, że może pani mi coś wyjaśni.

- Powiem pani tyle, ile wiem. - W głosie pani Hurley zabrzmiała ulga. Wiedziała już, że o nic się jej nie oskarża.

- Czy Layla przechodziła jakieś choroby, o których powinnam wiedzieć? - zapytała Valerie.

- Hm... Nic sobie nie... Och, momencik. Coś mi się majaczy... Raz miała kolkę, ale to nie było nic poważnego. Jakiś czas temu, nie pamiętam dokładnie kiedy.

- A coś jeszcze? To naprawdę bardzo ważne. Ma opuchnięty kark i nogi, a do tego...- Spuchnięty kark? - wpadła jej w słowo kobieta.

- Tak - potwierdziła Valerie. - Czemu?

- Właśnie sobie przypomniałam. To ta, która miała zołzy. Miała spuchnięty kark. Okazało się, że w gardle zrobił jej się ropień.

- Jest pani pewna?

- Jasne. Musieliśmy ściągnąć weterynarza.

- Kto ją leczył? Który lekarz?

- Stary doktor Kramer - odrzekła pani Hurley. - Tuż przed przejściem na emeryturę.

- Bardzo pani dziękuję. Spróbuję się z nim skontaktować. Ogromnie mi pani pomogła.

- Mam nadzieję. Ale kiedy ją sprzedawaliśmy, była zdrowiuteńka.

- Wiem - uspokoiła ją Valerie. - I zrobimy wszystko, by wróciła do zdrowia. Jeszcze raz dziękuję i kończę, bo muszę jak najszybciej skontaktować się z doktorem Kramerem. Dobranoc.

- ...branoc - pożegnała się pani Hurley.

Valerie się rozłączyła. Conrad patrzył na nią wyczekująco. Chłonał każde jej słowo, zgadując, co mówiła poprzednia właścicielka, ale nie wtrącał się i nie przeszkadzał.

- Wygląda na to, że wpadła pani na jakiś trop. Co powiedziała ta kobieta?

- Muszę jeszcze zadzwonić do doktora Kramera, żeby się upewnić, ale chyba już wiem, co się dzieje. Pani Hurley wspomniała, że niedawno, tuż przed przejściem doktora Kramera na emeryturę, Layla chorowała na zołzy. Jeśli to prawda, znamy już przyczynę obecnego stanu.

Wynowi to wystarczyło.

- Bo jeśli już raz przeszła zołzy, a Santo ją na to zaszczepił...

- ...to przyczyną dzisiejszych problemów jest szczepionka - dokończyła za niego Valerie. - Szczepionka przeciwko żoźom uruchomiła w organizmie reakcję łańcuchową, powodując opuchlinę i krwotok.

Same żoźy nie były rzadką chorobą, Valerie nieraz się z nią stykała. Wywoływały ją bakterie paciorkowca końskiego, *Streptococcus equi*, powodujące powstawanie ropni w gardle. Taki przypadek jednak widziała po raz pierwszy. Nigdy jeszcze nie leczyła konia, zaszczepionego przeciwko chorobie, którą już raz przeszedł. A najwyraźniej właśnie z taką sytuacją miała tu do czynienia. Santo nie wiedział, że Layla chorowała już na żoźy, i zaszczepił ją przeciwko paciorkowcowi końskiemu.- Muszę zadzwonić do doktora Kramera - zwróciła się do Conrada. - Żeby potwierdzić, czy Layla naprawdę miała żoźy.

Skinął głową.

- Zrobić pani kawy?
- Byłabym bardzo wdzięczna. Jeśli to nie sprawi kłopotu.
- Skąd. Wszystko jest na miejscu. Zaparzę, gdy pani będzie dzwoniła.

Podszedł do ściany, zabudowanej biblioteczkami, po czym otworzył wąskie skrzydła jednej z nich. Książki okazały się atrapami, za „biblioteczką” znajdowała się szafka z małą lodówką, kuchenką mikrofalową, ekspresem do kawy, zlewem i naczyniami.

Conrad zajął się parzeniem kawy, Valerie zaś telefonowała do biura numerów. Po chwili wystukała numer doktora Kramera. Lekarz zaskoczył ją, odbierając po pierwszym sygnale.

- Halo?
 - Doktorze Kramer, tu Valerie Rochelle.
 - Witaj, moja droga. Co u ciebie słyhać? Bo chyba nie muszę pytać, czemu o tej porze dzwonisz do starca na emeryturze? Jakiś nagły przypadek?
- Valerie się roześmiała.

- Trafił pan w dziesiątkę.

Przedstawiła sytuację i streściła rozmowę z panią Hurley. Doktor Kramer potwierdził słowa poprzedniej właścicielki Layli.

- To było tuż przed moim przejściem na emeryturę, w październiku ubiegłego roku. A skoro Layla teraz dostała szczepionkę, pewnie zadziałały przeciwciała i w organizmie biedulki rozpętało się piekło.

- Otóż to - odparła Valerie.

- Cóż. Nie będę cię obrażał, pytając, czy wiesz, co z tym fantem robić.

Na pewno sama dasz sobie radę.

- Tak. Wiem, co robić, ale i tak jestem wdzięczna za pomoc. Bardzo dziękuję.

- Zawsze do usług, Val. Dobranoc.

- Dobranoc - pożegnała się. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Conrada.

- Doktor Kramer potwierdził informacje pani Hurley.

Zerknął na nią, zajęty przygotowywaniem kawy.

- I co zamierza pani zrobić?

- Podam silne antybiotyki i sterydy. A potem będziemy trzymać kciuki. -

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej tym samym.

- Za chwilę kawa się zaparzy. - Świetnie. Pobiegnę do boksu i sprawdzę, jakie leki mam przy sobie.

- Jaką kawę pani lubi?

- Dwie łyżeczki cukru i odrobina śmietanki - rzuciła, ruszając do siodlarni.

- Będzie czekać.

Kiedy wyszła, wlał i posłodził kawę Valerie, potem dolał śmietanki.

Postawił jej filiżankę na biurku, a sam usiadł ze swoją. Wypił łyk. Kawa była gorąca, mocna. Wyjątkowo mu dziś smakowała.

Bogiem a prawdą, pomyślał, nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś mi tak

smakowało.

Doskonale wiedział, dlaczego. Dlatego że Valerie Rochelle tak szybko otrząsnęła się z szoku. A zatem to, co zobaczyła, nie mogło być aż tak przerażające.

Wróciła do gabinetu z torbą w ręku.

- Wygląda na to, że czeka mnie jazda do kliniki.
- Może najpierw wypije pani kawę? - zaproponował, zapraszającym

gestem wskazując filiżankę na biurku.

Postawiła torbę, usiadła i skosztowała kawy.

- Idealna - westchnęła z zadowoleniem. - Dziękuję.
- Wszystko zgodnie z zaleceniem lekarza - zażartował.
- Co prawda lekarza od koni, ale i tak jest pyszna.

W milczeniu sączyli kawę, ale po chwili Wyn przerwał ciszę.

- Sądzi pani, że Layla wydobrzeje?
- Niczego nie mogę obiecać, panie Conrad... - padła natychmiastowa

odpowiedź.

- Proszę, darujmy sobie tego Conrada. Na imię mam Wyn. Valerie lekko poczerwieniała, ale miała nadzieję, że mężczyzna tego nie zauważył.

- Zgoda, Wyn. Pamiętaj, że mam na imię Val. Skinął głową.
- Val... - powtórzył wolno, jakby smakował jej imię. - Och, prze-

praszam, nie pozwoliłem ci skończyć.

- Cóż, Layla ma duże szanse, jeśli szybko podam jej antybiotyki i sterydy. - Umilkła, myśląc o czymś. - Pewnie pan Ducci... Santo się zmartwi. Bardzo jest do niej przywiązany?

Wyn pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Wiem, że kupił tę klacz okazyjnie, ale nie zdążyliśmy jeszcze o tym porozmawiać. Teraz nie ma go w domu, więc

wyciągnę z niego całą historię w nocy albo jutro. - Wypił łyk kawy i spojrzał Valerie prosto w oczy. - Wiesz, co mnie najbardziej zdziwiło? Nie spytałaś, co mi się stało. A przecież powinno cię to ciekawić, zwłaszcza że jesteś lekarzem.

Valerie zastanawiała się, jak na to zareagować.

- Nie chcesz wiedzieć? - naciskał Wyn.

- Owszem, jeśli ty zechcesz mi o tym opowiedzieć. Skinął głową.

- Dobra odpowiedź.

- Ale zanim mi powiesz... jeśli w ogóle masz ochotę coś mi powiedzieć, muszę przywieźć z kliniki lekarstwa dla Layli.

- Oczywiście.

- Pojedziesz ze mną? - zaproponowała.

- Nie. - Pokręcił głową. - Zostanę tutaj, przy koniu. Valerie wstała, wzięła torebkę i ruszyła do drzwi.

- Niedługo wrócę.

Rozdział 15

Santo Ducci stał oparty o bar. W potężnej łapie ścisnął butelkę piwa. Choć lokal tonał w półmroku, olbrzym był dobrze widoczny: jego wygolona czaszka świeciła niczym latarnia morska, złoty kolczyk połyskiwał przy każdym ruchu, a tatuaże - drut kolczasty na prawym bicepsie i łańcuch na lewym - przykuwały uwagę, napinając się przy każdym ruchu. Te dwa stanowiły jedynie przedsmak rajów dla prawdziwego konesera, bo pod t-shirtem kryło się prawdziwe bogactwo inwencji - całe plecy, bary, tors i brzuch pokrywały rysunki.

Santo wiedział, że przyciąga uwagę wszystkich gości w lokalu. Zwłaszcza kobiety patrzyły na niego jak zauroczone.

Lecą do mnie jak ćmy do ognia, pomyślał.

Wypił długi łyk piwa i odstawił pustą butelkę na mahoniowy blat. Wokół baru kłębiło się mnóstwo klientów, ale barman dostrzegł jego spojrzenie i podszedł szybko. Santo pchnął w jego stronę butelkę po heinekenie i rzucił na blat piątkę. Mężczyzna bez słowa skinął głową, wyjął z chłodziarki następne piwo, otworzył i postawił przed Duccim wraz ze świeżą serwetką.

Santo odwrócił się plecami do baru i lustrował wzrokiem tłum klientów. Pozornie wszyscy świetnie się bawili, ale on nie dał się zmylić. Wielu gości było równie samotnych jak on i tak jak on szukali łatwej zdobyczy.

Nic tak skutecznie nie odpędza od drzwi wilka samotności, pomyślał, jak namiętna noc z gorącą sztuką.

Czuł, że dziś mu się poszczęści. Kiedy pracował dla Wyna w Palm Beach, polowanie było znacznie prostsze. Miasto, z pozoru grzeczne i nobliwe, za dnia głosiło pochwałę moralności, ale w nocy odsłaniało swoje mniej święte oblicze. Ludzie mieli za dużo pieniędzy i za dużo wolnego czasu.

Tęsknił za Palm Beach, a choć rozumiał, dlaczego szef się stamtąd wyniósł, nie pojmował, czemu wybrał aż takie zadupie. Ducci tęsknił do miejskiego blichtru, ruchu, nieprzerwanego strumienia imprez i towarzystwa ludzi takich jak on: służących bogaczom, ale często prowadzących równie ciekawe życie jak ich pracodawcy i ocierających się o pieniądze oraz władzę. Brakowało mu też Arielle, jej kokieterii, a nawet bezsensownych kaprysów, fochów i dąsów. Często dawała mu popalić, lecz także nieustannie z nim flirtowała.

Do diaska, pomyślał, że też Wynowi musiał się przydarzyć najpierw ten cały wypadek, a potem rozwód.

Wiedział, że ze swoim doświadczeniem w ciągu kwadransa zdobyłby drugą pracę w Palm Beach, równie dobrą jak ta u Conrada. Znalazłby, gdyby nie jedna zasadnicza przeszkoda. Wyn zapisał mu w testamencie okrągłą

sumkę - za wierną i lojalną służbę, jak powiedział. Santo musi tylko wytrwać u jego boku w zdrowiu i w chorobie. W ten sposób cholerny sukinsyn przykuł go do siebie niczym kajdankami.

Co miał zrobić? Pluć na to i pójść w diabły? W życiu. Kiedy Wyn kopnie w kalendarz, on, Santo, będzie mógł sobie kupić wygodny domek w Lake Worth albo gdzieś w pobliżu. Będzie ustawiony do końca życia. Nie wiedział jeszcze, jak długo przyjdzie mu czekać, ale jeśli Wyn dalej będzie tal się szprycował, możliwe że krótko. Conrad albo przedawkuje, albo któregoś dnia naćpany zleci ze schodów lub utopi się w basenie. Równie dobrze też może sobie zafundować złoty strzał. Santo wcale by się nie zdziwił ani nie winił szefa, gdyby postanowił ze sobą skończyć. Wyn był nieszczęśliwy, a życie, jakie wiódł ostatnio, przypominało prawdziwe piekło.

A w ostateczności, pomyślał, ja sam omyłkowo mogę mu kiedyś podać za dużą dawkę. Albo nie być w pobliżu, kiedy wpadnie do basenu. Czy też zleci ze schodów.

Uśmiechnął się pod nosem. Może dostać swój legat szybciej, niż się spodziewał. Na razie jednak musi coś zrobić, żeby kompletnie nie zwariować. Najważniejsze to zachować spokój i czekać na swoją chwilę.

Przysunęła się do niego blondynka, którą wcześniej zagadnął.

- Masz ogień? - spytała. Santo pokręcił głową.

- Ale na barze powinny leżeć zapalki - powiedział. Odwrócił się, wziął pudełko i zapalił jedną. Blondynka ujęła jego dłoń, przysunęła papierosa do płomienia i zapaliła go, nie odrywając oczu od Santa. W tych okolicach stanowiła prawdziwy wyjątek od reguły. Ten numer zdałby egzamin nawet w przybytkach uciechy w Palm Beach. A tutaj Santo nie widywał żywego ducha prócz Wyna, Reinhardtów i Tiffani, dziewczyny, która pomagała mu w biurze.

- Mówiłaś, że masz wolną chatę? - spytał Ducci.

- Tak, mam chatę. I to całkiem blisko - odrzekła blondynka.

- To może wybierzemy się na małą wycieczkę?
- Zrywamy się stąd.

Chwyliła jego niedźwiedzią łapę i ruszyła do drzwi, odprowadzana spojrzeniami gości. W niektórych oczach odmalowało się zaskoczenie, w innych zawiść.

Na parkingu objęła Ducciego w pasie, a on dał się prowadzić. Zatrzymali się przed jej samochodem.

- Wskakuj - poleciała.
- Może pojedę swoim za tobą?
- Nie. Pojedziesz ze mną. Potem cię tu odstawię. Ducci skinał głową.
- Zgoda.

Blondynka odblokowała centralny zamek i otworzyła drzwiczki dużego terenowego range rovera.

- Niezła bryka - powiedział Santo. - Musisz być dziana. Ja też już wkrótce będę, dodał w duchu.

Reinhardtowie wrócili z kina. Omal nie zapadli się pod ziemię ze wstydu, gdy Wyn spytał, dlaczego nie odebrali jego telefonu.

- *Ach, Gott in Himmel!* - zawołała przerażona Gerda. - Komórka była u mnie w torebce!

Pokazała swoją przedpotopową torebkę, z którą nigdy się nie rozstawała.

- Kiedy poszliśmy do kina, zostawiłam ją w samochodzie.

Wyn uspokoił ich, że nic się nie stało, ale jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by sytuacja się powtórzyła. Dziś, wyjaśnił, tak się złożyło, że obeszło się bez ich pomocy. Ale innym razem sprawa może nie zakończyć się tak bezboleśnie.

Poszli do siebie, a Wyn jeszcze przez chwilę słyszał ich zdenerwowane głosy. Potem wróciła Valerie i oboje natychmiast udali się do boksu Layli. Tam Val jeszcze raz zbadła klacz i zaaplikowała jej potężną dawkę

antybiotyków oraz sterydów. Dopiero wtedy oboje mogli usiąść spokojnie w gabinecie. Wyn zaproponował wino, a ona nie odmówiła.

- Nie wierzę, że się zgodziłam - powiedziała ze śmiechem.

- A ja się cieszę.

- Ale jutro muszę wstać z samego rana, przede mną pracowity dzień.

- Zostań na chwilę - poprosił Wyn. - Od tak dawna nie rozmawiałem z nikim z zewnątrz. - Roześmiał się niewesoło. - A z kimś takim jak ty chyba nigdy jeszcze nie rozmawiałem.

- Co przez to rozumiesz? - spytała Valerie z udawanym gniewem. - Czy to znaczy, że jestem jakimś dziwołagiem?

- Nie. Różnisz się od znanych mi kobiet, jesteś zachwycająco inna, ale z całą pewnością nie jesteś dziwołagiem. - Umilkł, spojrział na kieliszek, a potem znów podniósł wzrok na Valerie. - To ja jestem dziwołagiem, potworem. Stałem się nim od dnia wypadku podczas meczu polo, gdy przeszorowałem twarzą po boisku.

Valerie pokręciła głową i nieoczekiwanie dla samej siebie parsknęła śmiechem.

- Co...? - spytał zaskoczony.

Spodziewał się współczucia, pociechy, litości. Wszystkiego oprócz śmiechu.

- Nie, Wyn - odrzekła. Teraz bez oporów zwracała się do niego po imieniu. - Nie jesteś dziwołagiem ani potworem. Jesteś tylko pechowym graczem, którego podczas meczu polo przeciągnął przez boisko koń. Teraz zaś przypominasz nieco stwora z czarnej laguny.

- Stwór z czarnej laguny, he? - powtórzył z uśmiechem. - Aż tak źle? Skinęła głową.

- Jesteś kropka w kropkę jak on, tylko brzydszy.

- Ty... ty... - zaczął, ale wybuchnął śmiechem i nie dokończył.

- W pierwszej chwili nie wiedziałam, co myśleć - powiedziała szczerze.
- W tej czarnej masce zasłaniającej opatrunki wyglądałeś zupełnie jak sadomasochiści na filmach. Widać ci było tylko oczy i usta.

- Wiem, to przerażający widok.

- Bardzo - zgodziła się. - Naprawdę, maskę powinieneś sobie darować, Wyn. Do tego ten kolor. Czerń to naprawdę niefortunny wybór.

- Może zmienić na cielistą?- Może. Albo w ogóle z niej zrezygnować.
Opatrunki nie wyglądają dużo gorzej.

- Coś w tym jest - przyznał.

- A potem jeszcze zauważyłam świeże blizny na karku, ramionach i dłoniach. Pomyślałam, że wyciągnęli cię z pożaru albo coś w tym stylu. A kiedy dodałam do tego twoją tajemniczość i gburowatość, spodziewałam się najgorszego.

- Gburowatość, powiadasz? - powtórzył urażony.

- A jak inaczej to nazwać? Sam przyznaj, że do tej pory nie zachowywałeś się jak czarujący, uprzejmy pan domu.

- A dziwisz się? Moi tak zwani przyjaciele odsunęli się ode mnie. Nawet ci z dawnych lat. Uważają, że zmieniłem się w potwora. Do diaska, nawet żona ze mną nie wytrzymała. Nie chciała na mnie patrzeć.

- Trudno ją winić - zażartowała Valerie.

- Twarda z ciebie sztuka, wiesz? Ani trochę nie jest ci mnie żal?

Pokręciła głową.

- Nie przeczę, że spotkało cię straszne nieszczęście, ale czas i operacje na pewno pomogą. Może nie będziesz tak przystojny, jak na tych zdjęciach, które widziałam w siodlarni, ale sądzę, że będzie można spokojnie pokazać się z tobą w miejscach publicznych. Dopóki się nie odezwiesz.

- A co to ma znaczyć? Dopóki się nie odezwę?

- Moim zdaniem powinieneś trochę podszlifować maniery. Teraz

zachowujesz się jak dyktator albo udzielny władca.

- Bo jeszcze nie widziałaś, jak ludzie reagują na mój widok. Gapią się na bandażę albo maskę, jeśli ją włożę. Gapią się na moje blizny. Czuję się wtedy jak... jak Quasimodo albo... bo ja wiem? Jak jakiś dziwoląg czy wybryk natury, pokazywany w cyrku. I nie przesadzałem, mówiąc, że moi najlepsi „przyjaciele” zmyli się zaraz po wypadku.

- To straszne - powiedziała ze współczuciem - ale można się było po nich spodziewać takiej reakcji. Ludzie unikają bezpośredniego spotkania z bolesną rzeczywistością, która bardzo łatwo mogłaby stać się również ich udziałem. Weź choćby Christophera Reeve'a. Wiele osób twierdzi, że nie powinien występować, bo patrzenie na niego jest dla nich zbyt bolesne. Po części dlatego, że wtedy odzywają się ich własne lęki, a po części dlatego, że istotnie nie jest to zbyt piękny widok.

W jego oczach odmalowała się przykrość, ale nic nie powiedział.

- Pociesz się, że kiedyś z tego wyjdiesz - podjęła Valerie. - I nie są to puste słowa. Jeszcze kilka operacji... Wiem, są bolesne, a rekonwalescencja trwa długo; ale jeszcze trochę i w końcu wrócisz do swojej dawnej skóry.

- To samo powiedzieli mi po ostatnim zabiegu lekarze w Nowym Jorku. Ale, bo ja wiem, Val... To się tak ślimaczy i tak strasznie boli. Czasem mam ochotę się poddać. Wydaje mi się, że po prostu nie warto już walczyć. Nawet kiedy wszyscy ci wielcy lekarze skończą, nadal będę jednym wielkim przeszczepem. Moja twarz. Mój kark, ramiona i dłonie. Moja klatka piersiowa i uda. Kiedy spadłem, koń włókł mnie przez całe boisko. Nim wreszcie mnie uwolnili, na całym ciele od stóp po czoło nie zostało niemal ani skrawka skóry. Tylko żywe mięso, miejscami rozorane aż do kości. Lekarze nie wiedzieli, jak mnie szyć, bo nie było czego przyszywać. - Skrzywił się na tamto wspomnienie. - Mój nos...

- Będziesz znowu miał swój nos. Współczesna chirurgia plastyczna

potrafi czynić cuda, a zdaje się, że ciebie stać na najlepszych specjalistów.

Opuścił głowę i znów zapatrzył się w kieliszek.

- Wiem, że masz rację - powiedział wreszcie. - Ale tak cholernie trudno pogodzić się z tym, że już nigdy nie będę wyglądał jak dawniej. Że do końca życia nie pozbędę się szram, a skórę będę miał poraną bliznami.

- Tak - powiedziała cicho. - Niełatwo coś takiego zaakceptować. To trochę jak ze starzeniem się, Wyn. Musimy pogodzić się z tym, że w pewnym momencie nasze ciała się zestarzeją, bo nikt, choćby nie wiem jak walczył, nie pozostanie do końca życia takim cudownym, sprawnym osiemnastolatkiem sprzed lat.

Podniósł na nią oczy.

- Naprawdę twarda z ciebie sztuka. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Drgnął.

- I ty też - powiedziała, klepiąc go. - Takiego twardego mężczyzny jak ty coś takiego nie zmoże.

Z pograżonego w mroku zakątka parkingu ktoś im się przyglądał i cierpliwie czekał na swoją chwilę. A teraz patrząc na pożegnanie tych dwojga, obserwator poczuł, jak krew niemal gotuje mu się w żyłach. Ukryty pod ścianą, przysłuchiwał się ich rozmowie, a choć docierały doń tylko fragmenty, bez trudu uzupełniał to, czego brakowało. Potem zaś przypatrywał się, jak Val i Wyn podchodzą do dżipa i z ociąganiem żegnają się, próbując odwlec chwilę rozstania.

Stojąc nieruchomo jak głaz, ale w środku kipiąc z wściekłości, obserwator odprowadzał wzrokiem powracającego do domu Conrada. Szybko przeanalizował nową sytuację, zastanawiając się, jak może wpłynąć na jego zamierzenia. Tak starannie układał to wszystko, tymczasem pojawił się dodatkowy, nieprzewidziany element, który mógł zrujnować misterny plan. Czy można się więc dziwić, że obserwator czuł teraz wściekłość i strach?

Nie! To wcale mu się nie podobało. Zdaje się, że trzeba będzie jak najszybciej tym się zająć.

Mocno zacisnął pięści.

Do cholery! Nikt nie zniweczy moich planów! Nikt ani nic nie pozbawi mnie tego, czego pragnę! Zbyt wiele wysiłku mnie to kosztowało!

Wyn zniknął w domu. Obserwator szybko pobiegł ścieżką i znikł w lesie. Jego mózg pracował na pełnych obrotach, szukając rozwiązania niespodziewanego problemu. Bo była to hydra, której należało jak najszybciej ukrećić łeb.

Rozdział 16

Teddy wlał do szklanki solidną porcję wódki, chwilę się jej przyglądał, a potem wypił jednym haustem. Wzdrygnął się, ale szybko splukał piekący smak wodą.

- Proszę - powiedział na głos, krztusząc się. - Od razu lepiej. Podeszedł do kanapy i usiadł. Na jego twarzy zagościł uśmiech.

Na stoliku leżało lustro, na nim zaś dwie długie smużki kokainy, a obok srebrna fufka, którą dostał od przyjaciela z Nowego Jorku. Choć Teddy był w oranżerii zupełnie sam, instynktownie rozejrzał się, nim sięgnął po fufkę. Pochylił się i wciągnął w nozdrza obie porcje kokainy.

Odłożył fufkę i opadł na kanapę. Nie myślał o niczym, odprężył się po ciężkim dniu i koszarnej kolacji.

- Fantastyczny towar - stwierdził po paru minutach.

Stopy same zaczęły wystukiwać rytm na podłodze, palce powtarzały go na niewidzialnej perkusji.

Teddy zerknął na telefon, a potem na zegarek. Na pewno Tiffani

niedługo wróci do domu. Nie mógł się już doczekać. Miał za sobą potwornie nudny wieczór. Zadzwoił do Lindy i Barry'ego Millerów, swoich klientów, żeby porozmawiać o stanie ich inwestycji. Niechcący wymknęło mu się, że Valerie jest zajęta i nie wpadnie dziś do niego, więc Millerowie na pociechę zaprosili go na kolację. Nie znosił ich i uważał za odrażających, choć wykształconych nuworyszy. Nie trawił ich niekończących się dyskusji o sztuce, muzyce, polityce i postawie obywatelskiej. Mimo to poszedł i oczywiście był czarujący; w końcu powierzyli mu mnóstwo pieniędzy. A jemu zależało, by zainwestowali jeszcze więcej. Cóż, pocieszył się w duchu, przynajmniej powiedziałem tej starej jędzy, Colette Richards, co o niej myślę.

Roześmiał się głośno. Nie przejmował się babsztyłem. Co prawda miała forsy jak lodu, ale wiedział, że nigdy nie załapie się na tę kasę. Pieniędźmi Colette obracali mądrale z wielkich biur maklerskich na trzech kontynentach.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ta starucha powie Val o ich rozmowie, ale uznał, że guzik to go obchodzi. Zawsze przecież można zrobić poczciwej, ufnej i naiwnej Val wodę z mózgu, nie? Zresztą, jak zwykle.

Znów spojrzął na zegarek i sięgnął po telefon. Wystukał numer Tiffani.

- Halo? - odezwała się dziewczyna.

- Cześć, kiciu, gdzie się podziewałaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Czekałem.

- Och, Teddy - zagruchała. - Jak dobrze, że dzwonisz. Właśnie odsłuchałam wiadomości i miałam do ciebie przekręcić. Byłam w barze U Billy'ego, wiesz, tam, gdzie kiedyś pracowałam.

- Tak? A co robiłaś? Zachichotała.

- Skoczyłam na drinka z dziewczynami. Wiesz, babskie ploty.

- Tak? - powtórzył. - To może teraz dla odmiany spotkałabyś się z chłopakiem?

Znowu zachichotała.

- Będę na ciebie czekać.
- Przyjadę za kwadrans.
- Czekam.

Teddy podszedł do barku i nalał sobie następną solidną porcję wódki.

Koka ma jedną zaletę, pomyślał. Można po niej chlać do woli i człowiek wcale nie czuje się pijany.

Opróżnił szklanekę, wzdrygnął się jak po poprzedniej i szybko popił alkohol wodą. Odstawił kieliszek i wrócił do stolika. Wziął lusterko, srebrną fifkę i plastikową torebkę z kokainą i schował wszystko do kieszeni.

Już czuł, jak jego ciało budzi się do życia na myśl o szaleństwach tej nocy. Sama perspektywa spotkania z Tiffani, jej głos, planowanie tego, co dziś zrobią - już to samo nieodmiennie go podniecało. Przeszedł do holu, zgarnął ze stolika kluczyki i pobiegł do jaguara. Kłopoty? - pomyślał, z dumą patrząc na swój elegancki wóz. Jakie kłopoty? Teddy de Mornay nie ma najmniejszych zmartwień. Nie dziś, nie tej nocy. Głośno się roześmiał i wskoczył do samochodu. O, nie, nie. Bo Teddy ma dziś randkę z laską jak marzenie. Ot, co.

Arielle odłożyła słuchawkę przenośnego telefonu na murek przy basenie, a potem odwróciła się do Lola. Wyciągnięte ramiona oparła o obramowanie basenu, jej piersi poruszały się na powierzchni wody. Uśmiechnęła się do kochanka.

- Nigdy nie zgadniesz - powiedziała, ochlapując go wodą. -Co?
- Bibi i Joe Whitman zabiorą nas do Saratogi. Właśnie zostaliśmy zaproszeni na czas nieokreślony do ich letniej rezydencji.
- Super! Kiedy wyjeżdżają?
- Już tam są - odrzekła Arielle. - Jutro przyślą po nas samolot. Lolo podpłynął blisko, położył ręce na jej ramionach i przywarł do niej pod wodą.
- A wiesz, co to znaczy? - spytał.

- Co? Że musimy natychmiast zacząć pakować walizki? - roześmiała się.

Lolo muskał wargami jej szyję.

- Wiesz, co mam na myśli. W samolocie mają przyjemną sypia-lenkę i będziemy mogli się zabawiać aż do Saratogi.

- Wiedziałam, że od razu skupisz się na najważniejszych kwestiach.

Obróciła się pod wodą i objęła udami jego biodra.

- Cały ja. Zawsze praktyczny - powiedział Lolo, wtulając głowę między piersi Arielle i całując je na przemian.

- Jak cudownie, Lolo - jęknęła.

Gwałtownie przywarł wargami do jej ust. Pożądanie wzięło górę, rozmowy musiały poczekać.

Arielle zarzuciła mu ramiona na kark, mocniej przyciągając kochanka do siebie. Głośno wciągnęła powietrze, gdy poczuła dotknięcie jego nabrzmiąłego członka.

Lolo wsunął rękę między jej uda i zaczął ją pieścić. Potem chwycił Arielle pod kolana, podciągnął ją wyżej i wszedł w nią. Poczowała rozkoszny dreszcz.

Wsuwał się i wysuwał, najpierw wolno, leniwymi, długimi ruchami, drażniąc się z nią, słuchając jej ponagleń i westchnień, aż w końcu sam już nie mógł dłużej zapanować nad namiętnością. Przypuścił gwałtowny atak i nacierał z takim impetem, że Arielle jęczała coraz głośniejsze i błagała o więcej. Zniknęły wszelkie zahamowania. Oddawała mu się całkowicie, spragniona jego ciała, a on wchodził w nią z zapamiętaniem, nie mogąc doczekać się spełnienia.

Nagle westchnął głośno, a Arielle poczuła w sobie pulsujące fale. Krzyknęła głośno, szczytując jak nigdy jeszcze, gdy Lolo unosił ją na zupełnie nową, nieznaną orbitę. Przywarli do siebie, z trudem chwytając powietrze i

jeszcze drząc z rozkoszy, a potem wreszcie się rozłączyli.

- Teraz już wiesz, co zaplanowałem na jutro w samolocie? - odezwał się Lolo, gdy już odzyskał głos.

- O, tak - westchnęła. - Na to jutro, i następne, i następne. Tak, mój najdroższy, dodała w myślach. Będzie na to mnóstwo czasu. Całe życie. Już ja się o to postaram. Ale najpierw czeka nas pewne zadanie. Tyle że ty jeszcze nic o tym nie wiesz. Na razie.

Rozdział 17

Wyn zaparzył sobie kawę i zamyślony krążył po bibliotece, popijając parujący napój. Nadal martwił się o Laylę. Był wczesny ranek, tuż po wschodzie słońca, a on zdążył już zajrzeć do stajni. Klacz wyglądała odrobinę lepiej, opuchlizna chyba nieco zesza, Layla była trochę spokojniejsza, ale Wyn nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością.

Podszedł do biurka i właśnie wybierał numer Ducciego, gdy olbrzym stanął w drzwiach.

- Właśnie miałem po ciebie dzwonić - powiedział Wyn, patrząc na niego.

- Strasznie wczesnie dziś się zerwałeś.

Santo nie był zachwycony obecnością szefa. Obudził się dziś z kacem po szaleństwach ubiegłej nocy i wolałby mieć ranek tylko dla siebie. Połknął już aspirynę, by zlikwidować potworne dudnienie w czaszce, teraz potrzebował morza kawy, żeby móc jakoś funkcjonować.

- Siądź do telefonu - polecił Wyn - i skontaktuj się z tą lekarką, Valerie Rochelle.

- Teraz? Przecież klinika na pewno jest jeszcze zamknięta.

- To zostaw dla niej wiadomość. Chcę, żeby jeszcze rano zerknęła na Laylę.

- A co się stało?

- Och, zapomniałem, że wczoraj cię tu nie było - Wyn posłał mu zatrutą strzałę. - Kupując ją, nie wiedziałeś, że już wcześniej miała żolży.

Zaszczepiłeś ją i ciężko to odchorowała.

- Rany. - Santo poczuł, że w głowie łupie go teraz ze zdwojoną siłą. - Nie miałem pojęcia...- Właśnie dlatego tak ważne w tej branży są drobiazgi typu wywiad rodzinny i karta chorób - powiedział ostro Wyn.

- Przepraszam, nie miałem pojęcia - tłumaczył się Santo. - Wyglądała na zupełnie...

- Siadaj do telefonu i ściągnij tę lekarzkę najszybciej, jak się da -wpadł mu w słowo Conrad.

Ducci już bez słowa protestu wziął notes z adresami i odnalazł w nim telefon kliniki. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Kiedy włączyła się poczta głosowa, nagrał prośbę do doktor Rochelle o jak najszybszy kontakt w związku z Laylą. Odłożył słuchawkę i wzruszył ramionami.

- Zostawiłem wiadomość. Jeszcze nikogo tam nie ma.

- Dobra. Pójdę na górę, umyję się i przebiore. Kiedy zadzwoni, powiedz, żeby zaraz tu przyjechała. Rozumiesz?

- Tak. Rozumiem.

Odprowadził wzrokiem szefa, który szedł na górę po krętych schodach.

A tego co opętało? - zastanawiał się zdumiony. Od miesiący łąził w dresie, a mył się od przypadku do przypadku.

Ten dzień nie zapowiadał się najlepiej.

Valerie zaparkowała niedaleko wejścia do stajni i spieszenie ruszyła do biura. Miała nadzieję, że Layli się nie pogorszyło. Kiedy weszła do gabinetu, Santo Ducci wstał na powitanie.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry, Santo. Layla jest w swoim boksie, prawda? Kiwnął głową.
- Może pani do niej zajrzeć?
- Już tam idę.
- Dziękuję.

Przeszła do siodlarni, a potem do stajni, w drodze do Layli mijając kolejne boksy. Kiedy dotarła na miejsce, zobaczyła otwarte drzwi i Wyna, który siedział na stołku, nie odrywając spojrzenia od klaczy.

- Cześć. Podniósł na nią oczy.
- Cześć, Val - przywitał ją, wstając.

Valerie się zawahała. Nie miał maski, zostały same opatrunki.

Najchętniej przyjrzałaby się jego twarzy z bliska w świetle dziennym, by się przekonać, jak poważne są obrażenia, ale się powstrzymała. Miała teraz pilniejsze sprawy. Musi przede wszystkim zająć się Laylą.

- No, dobra. Jak wygląda sytuacja? Jest gorzej?

- Nie mam pojęcia, dlatego cię tu ściągnąłem. Zajrzałem do niej rano, a potem znowu jakiś czas temu i sam nie wiem, czy coś się zmieniło czy nie. Może jestem histerykiem, ale potrzebuję opinii lekarza.

- Nie jesteś histerykiem. Wczoraj rzeczywiście było z nią kiepsko.

Poczekaj chwilę, niech jej się przyjrzę.

Najpierw zbadła kark, potem nogi, szukając opuchlizny i wybroczyn.

Potem wyprostowała się i spojrzała na Wyna.

- Wiesz, co?

- Co? - zapytał.

- Poskutkowało! - zawołała radośnie. - Opuchlizna zdecydowanie już się zmniejszyła, a wybroczyny schodzą. Layla powinna wyjść z tego bez szwanku.

Conrad westchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Sam nie potrafiłem określić, czy jest poprawa czy nie.
- Niełatwo to stwierdzić po tak krótkim czasie, ale jestem więcej niż pewna, że Layla wydobrzeje.
- Dziękuję. Dziękuję, że chciało ci się jechać taki kawał drogi.
- Na tym polega moja praca.
- A skoro już jesteś, może dasz się namówić na małą filiżankę kawy czy coś w tym rodzaju?

Valerie nawet się nie zawahała, choć miała przed sobą pracowity dzień.

- Chętnie - odrzekła. - Z przyjemnością.
- To może przejdziemy do domu?
- Zgoda.

Siedzieli na obszernej kanapie w bibliotece, u ich stóp ułożyły się cztery wilczarze. Przez drzwi balkonowe zagładało słońce i Valerie mogła dokładniej przyjrzeć się twarzy Wyna. Miał jeden opatrunek na czole, drugi - duży - na nosie, trzeci całkowicie zasłaniał oko. Odśloniętą skórę pokrywały blizny

- Bez maski wyglądasz o wiele lepiej - powiedziała cicho.
- Naprawdę? Skinęła głową.
- Jak najbardziej. - Zawahała się. - Nie pogniewasz się, jeśli popatrzę sobie z bliska?- Nie, nie pogniewam się - odrzekł, sam siebie zaskakując tą odpowiedzią.

Odstawiła filiżankę na stolik i przysunęła się do Wyna. Dokładnie przyjrzała się jego twarzy, muskając palcami odśloniętą skórę.

- Zostaną pewnie jakieś minimalne ślady - stwierdziła. - Wystarczy zabieg ścierania naskórka, jeśli kiedyś chciałoby ci się w to bawić. Ale ja nie zawracałabym sobie nimi głowy.

- Mówisz poważnie?
- Oczywiście. Mogę zajrzeć pod opatrunki?

- Proszę - zgodził się, postanawiając jej zaufać. - Skoro wytrzymałaś już tyle...

Valerie uniosła róg opatrunku, zasłaniającego czoło, przyjrzała się ranie, a potem delikatnie przykleiła plaster. To samo powtórzyła z pozostałymi, za każdym razem uważając, by niczego nie naruszyć. Skończywszy, przez dłuższą chwilę bacznie przyglądała się Wynowi.

- I jak? - nie wytrzymał. - Co o tym sądzisz?

- Wszystko goi się nad podziw dobrze. Nie sądzę, by pozostały jakieś większe szramy po wypadku, najwyżej minimalne ślady.

- Nie musisz mnie oszczędzać. Zniosę prawdę.

- I właśnie ją słyszysz - odparła z powagą. - Och, nos będzie pewnie trochę przekrzywiony, jakbyś go złamał w jakiejś bójce, ale poza tym... - Wzruszyła ramionami. - Będziesz wyglądał jak dawniej. Jedno nie ulega wątpliwości: trafiłeś na fenomenalnych chirurgów plastycznych.

Przetrawiał jej słowa w milczeniu.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał wreszcie.

- Moim zdaniem nie jest nawet w połowie tak źle, jak ci się wydaje - odrzekła, starannie dobierając słowa. Poglądziła jego dłoń. - Sądzę, że masz inne, znacznie głębsze rany, które jeszcze się nie zabiły. A przez nie te na twarzy wydają ci się straszniejsze niż w rzeczywistości.

Spojrzał na jej dłoń na swojej i ciężko westchnął.

- Może to i racja, pani doktor - powiedział cicho. - Może i masz rację.

Wyn poszedł z Valerie na parking, a potem odprowadził spojrzeniem jej znikający samochód. Wrócił do biblioteki i usiadł przy biurku. Włączył komputer.

Najwyższy czas, żeby wysłał e-maile do chłopaków na zachodzie, pomyślał. Trzeba się zorientować, co się dzieje. Kontrolować sytuację. Ducci stał w drzwiach balkonowych i obserwował szefa. Wyn nie miał dziś maski ani

nieodłącznej baseballówki, za to starannie się uczesał, włożył czystą koszulkę polo, wyprasowane płócienne spodnie i lśniące mokasyny.

Coś tu się kroi, pomyślał olbrzym. I wcale mi się to nie podoba.

Podszedł do biurka.

- Chcesz przejrzeć dzisiejszą listę spraw do załatwienia? - spytał szefa.

- Dobry pomysł, zerknę do niej, nim zacznę wysyłać e-maile.

- Najpierw przyniosę ci leki - powiedział Ducci, ruszając w stronę schodów.

- Santo!

Olbrzym zatrzymał się i obejrzał. - Tak?

- Nie chcę już zastrzyków.

- Nie chcesz...?

- Słyszałeś. Koniec z narkotykami. Możesz wyrzucić to świństwo.

Ducci stał jak skamieniały.

A może to ta przeklęta lekarka? - pomyślał. Czyżby wszystko to była jej robota? Czy możliwe, żeby jakaś dziwka wparowała tu i zgarnęła cały majątek, łącznie z Wynem?

Musi poważnie się nad tym zastanowić. Bardzo poważnie. Nad swoją przyszłością. Nad przyszłością Wyna. I Valerie Rochelle.

Rozdział 18

Marguerite wydała Effie szczegółowe instrukcje. Miała podać lunch tam, gdzie zwykle, czyli na osłoniętym tarasie, a potem zniknąć na całe popołudnie. Nie będzie serwować deseru ani sprzątać ze stołu. Marguerite zajmie się tym sama.

- Nie rozumiem - protestowała Effie, nieprzyzwyczajona do ja-

kichkolwiek zmian w ustalonym rytmie dnia. - Przecież zawsze podaję deser, a potem sprzątam ze stołu. Czemu właśnie...

- Ani słowa więcej - uciszyła ją Marguerite władczym ruchem dłoni.

Zmarszczyła brwi, a jej szmaragdowe oczy niebezpiecznie zabłyśły. -

Żadnych pytań, Effie. Masz zrobić to, co ci poleciłam. Kiedy podasz do stołu, wyjdź z domu. Idź do miasta i zrób zakupy albo wypij drinka w jakimś barze.

- Pić! Ale... - oburzyła się Effie.

- Och, nie udawajże niewiniątka - zdenerwowała się jej pracodawczyni.

- Przecież wiem, że lubisz gin i, Bogiem a prawdą, jest mi to dokładnie obojętne. Ale życzę sobie, żebyś na dzisiejsze popołudnie zniknęła. Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz, grunt, aby cię tu nie było!

Effie oczywiście posłuchała, ale najpierw musiała okazać swoje niezadowolenie. Dlatego siedziała nadąsana w kuchni, gdy wpadł do niej Teddy, który zjawił się na lunch.

- Tak się cieszę, że zajrzałeś - powiedziała, z przyjemnością na niego patrząc.

Był w garniturze, pod krawatem - taki strój normalni ludzie uznaliby za zbyt uroczysty na zwykły lunch na wsi, ale nie Marguerite de la Rochelle ani Teddy de Mornay.- Dobrze wyglądasz - pochwaliła go Effie.

- Za to ty wydajesz się zmartwiona - odrzekł Teddy. - Co się stało?

- Nie wiem, co w nią wstąpiło - poskarżyła się Effie, ruchem głowy wskazując salon, w którym siedziała Marguerite - ale przydałoby jej się dziś coś na poprawę humoru.

- Dlaczego? Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, zachowywała się normalnie.

- Nie wiem, dlaczego, ale jedno ci powiem. To się zaczęło przedwczoraj, kiedy przyjechał ten jej kuzynek elegancik, pan James de Biron. Dziś potraktowała mnie po prostu obrzydliwie. Kazała mi wyjść z domu i nie

wracać, dopóki nie skończycie.

- Och, Effie - uspokajał ją Teddy. - Na pewno nie chciała ci zrobić przykrości. Nie martw się, wkrótce jej przejdzie. Zapewne jest podenerwowana wizytą tego kuzyna z Francji.

- Phi! - prychnęła Effie. - Nie dziwię się. Może i jest przystojny, zawsze uśmiechnięty, ale powiadam ci, to prawdziwa gadzina. Nawet nie jest Francuzem, tylko tam mieszka. Widział to kto! Żeby pani Marguerite kazała mi się wynosić!

Teddy domyślał się, czemu matce Valerie tak zależało na pozbyciu się dziś gospodyni. Wolała, by Effie nie było w domu, gdy będą snuć plany we troje z Jamiem de Bironem. Zawsze istniało ryzyko, że gospodyni coś podsłucha, a Marguerite wiedziała, że Effie natychmiast doniosłaby o wszystkim Valerie.

Marguerite, Teddy i Jamie siedzieli przy stole na osłoniętym tarasie. Marguerite nie lubiła jeść w ogrodzie. Tu przynajmniej jej delikatnej cerze nie zagrażały ostre promienie słońca i biesiadników nie nękały nieznośne owady.

Czas przy posiłku płynął szybko i ani się obejrzel, jak rozleniwieni upałem i jedzeniem kończyli deser: świeże mango z sorbetem z papai.

Teddy odłożył łyżeczkę i uśmiechnął się do Marguerite.

- Było pyszne - pochwalił. - Ale u ciebie tak jest zawsze.

- U Marguerite wszystko jest szczytem doskonałości - dodał Jamie, uśmiechając się do kuzynki.

Podobnie jak Teddy ubrał się elegancko, lecz swobodnie w granatową marynarkę ze złotymi guzikami, białe spodnie, koszulę w niebiesko-białe prążki i żółty krawat. Przycięte króciutko, niemal w wojskowym stylu jasne włosy kontrastowały z ciemną opalenizną. Nie ulegało wątpliwości, że był w doskonałej formie.- Dziękuję wam obu - odrzekła. - Tak się cieszę, że znalazłeś dziś czas, Teddy, i możemy spokojnie porozmawiać we trójkę. -

Wypiła łyk wody mineralnej i spojrzała mu prosto w oczy. - Pamiętajcie jednak, że nic z tego, co dziś tu ustalimy, nie może dojść do uszu Valerie.

- Nie musisz się obawiać, Marguerite. Sądzę... Nie, jestem pewien, że oboje myślimy jednakowo. I ty, i ja najlepiej wiemy, co dobre dla Val, nawet jeśli ona sama nie zdaje sobie z tego sprawy. A w tym konkretnym wypadku lepiej, by o niczym nie wiedziała.

- Właśnie - zgodziła się pani de la Rochelle. - Jestem przekonana, że my dwoje doskonale będziemy się dogadywać, Teddy. Zawsze tak było i nie widzę powodów, by to się miało zmienić. Mówimy jednym głosem. W każdym razie w tym wszystkim, co dotyczy mojej córki. - Przeniosła spojrzenie na Jamiego. - A ty znasz ją niemal od kołyski, Jamie, nie wątpię więc, że rozumiesz, czemu właśnie tak postępuję.

Biron odstawił kieliszek. Teddy zauważył, że gość nie żałował sobie do lunchu wina, ale jakoś w ogóle nie było tego po nim widać.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć, Marguerite - odpowiedział kuzyn. - Doskonale znam Val i pamiętam, jaka była kiedyś. Jedyna różnica, jaką w niej dostrzegam, to ta, że od paru lat stała się bardziej... niezależna. Jeśli to właściwe słowo. Ja powiedziałbym wręcz, że wyrwała się spod kontroli. - Spojrzał na Teddy'ego z ciepłym uśmiechem. - A przy okazji, Teddy, moim zdaniem idealnie do niej pasujesz. Cieszę się, że się pobieracie. Val potrzebuje kogoś praktycznego, kto mocno stąpa po ziemi. Marguerite świadkiem, bardzo kocham Val, ale ona nigdy nie szanowała swojego dziedzictwa i wiecznie ciągnęła ją do jakichś... outsiderów. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Święte słowa - przytaknęła gorliwie Marguerite. - Dlatego bardzo się cieszę, że wy dwaj wreszcie mogliście się poznać. Jestem przekonana, że we trójkę dopilnujemy, by mój testament został należycie spisany, a majątek odpowiednio zabezpieczony. Ostatnio coraz bardziej niepokoi mnie postępowanie Val. Staje się coraz bardziej niezależna, jak to trafnie ująłeś,

Jamie. Dostrzegam też u niej coraz większy upór, oddała się ode mnie.

Szczerze powiedziawszy, obawiam się, że po mojej śmierci weźmie to, co ja i Armand tak pieczołowicie chroniliśmy, i wystawi wszystko na aukcję, a cały dochód przekaże na jakieś schronisko dla zwierząt czy coś w tym rodzaju.

- Nie sądzę, byś musiała teraz się o to niepokoić - oświadczył Teddy autorytatywnie. - Ja i Jamie wszystkiego dopilnujemy i nie dopuścimy do żadnych ekstrawagancji. I nie zapominaj też, Marguerite, że zostanę jej mężem.

- Już ty przywołasz ją do porządku - roześmiał się Jamie.

- Łatwo się mówi - odparła poważnie Marguerite. - Tę jej krnąbrność bardzo trudno będzie wyplenić. Nie wiem, skąd się u niej wzięła, ale jest, i to niezwykle silna. - Spojrzała na Teddy'ego. - Przygotujesz dokumenty, Teddy? Jak najszybciej.

- Będę miał je jutro. Zaraz po powrocie każę sekretarce tym się zająć. Jutro, gdy już wszystko będzie gotowe, zadzwonię do ciebie. Jeśli chcesz, prześlę je tutaj, albo ty i Jamie możecie do mnie wpaść na drinka i podpisać je na miejscu. Jak wolicie.

- Cudownie - ucieszyła się Marguerite. - Doskonały pomysł, podpiszmy te papiery w Apple Hill. Marzę, by Jamie zobaczył, jak wszystko tam odnowiłeś. - Przeniosła spojrzenie na kuzyna. - Teddy fantastycznie się spisał. Urządził dom z niewiarygodnym smakiem. Będziesz oczarowany.

- Z przyjemnością tam zajrzę - powiedział Jamie.

- Doskonale. Wpadnijcie gdzieś koło piątej. Dopilnuję, aby wszystko było gotowe. Zostanie jeszcze parę spraw, które trzeba później pozalátwiać z Dockiem Wainwrightem, ale większość rzeczy uda nam się sfinalizować od ręki. A teraz wybac, Marguerite, że tak się podrywam i z wami nie posiedzę, ale muszę pędzić, żeby zająć się papierkową robotą.

Wziął plik dokumentów, które leżały po jego prawej stronie.

- Nie gniewam się - odrzekła Marguerite. - Im szybciej, tym lepiej.

Wstała, a obaj panowie też się podnieśli.

- Będziemy u ciebie punktualnie o siedemnastej, Teddy.

Odwróciła się, by odprowadzić go na parking. Jamie przytrzymał drzwi, przepuszczając ich oboje, a potem poszedł za nimi. Teddy wsiadł do jaguara.

- Nie zapomniałeś niczego, Teddy? - upewniła się pani de la Rochelle.

Teddy uniósł teczkę, którą rzucił na siedzenie obok.

- Mam wszystko, Marguerite. O nic się nie martw.

- Doskonale.

Kiedy odjechał z rykiem silnika, Marguerite wzięła kuzyna pod rękę.

- Przespacerujmy się trochę, Jamie.

Weszli do ogrodu i krążyli wśród kolorowych klombów. W ciepłym powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów, brzęczały owady.- Co o nim sądzisz, Jamie? - spytała Marguerite.

- Doskonały kandydat - odrzekł bez wahania kuzyn. - Jeden z nas. Taki jak my.

- Zgadza się.

Przez chwilę spacerowali w milczeniu, podziwiając ogród.

- Kochają się? - spytał Jamie.

- Miłość! - zawołała Marguerite, szeroko otwierając zielone oczy i wzruszając ramionami. - Cóż za niemądre pytanie, Jamie!

Parsknął śmiechem.

- Pytałem z czystej ciekawości.

- Och, naturalnie, jest między nimi pewien pociąg - ustąpiła Marguerite.

- Przynajmniej był na początku, jak to się często zdarza. Sądzę jednak, że początkowe zauroczenie już minęło. U obojga. Co zaskakujące, chyba u Val szybciej niż u Teddy'ego.

- Doprawdy? Podejrzewasz, że znalazła sobie kogoś innego?

- Ależ skąd! Nie! Nic podobnego. Po prostu chyba w ogóle nie-szczególnie interesuje się mężczyznami. Woli zwierzęta.

- A jak on to przyjmuje? - drażył Jamie. - Twierdzisz, że nadal jest nią zauroczony.

- Podejrzewam, że jemu zależy na małżeństwie bardziej niż Valerie. Trudno mi powiedzieć, czy Val pociąga go fizycznie. Oczywiście, wiele weekendów spędzają razem, ale nie wyczuwam u nich... ładunku... fascynacji... seksualnej.

- Cóż, zdaje się, że mamy idealny układ - podsumował Jamie. - Jeśli Val się nim znudzi, będzie miała swoje zwierzaki.

- Otóż to. - Marguerite ścisnęła go za ramię. - Bardzo się cieszę, że tak uważasz. Szkoda tylko, iż Val nie docenia tego szczęścia, że ma rodzinę, która tak się o nią troszczy. Ale nie może się dowiedzieć o naszych planach. Aż żal, że nie rozumie, ile trudu sobie dla niej zadajemy. - Spojrzała na Jamiego ze smutkiem. - I nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo ją kochamy.

Kiedy Teddy wszedł do gabinetu, Lydia właśnie pisała na komputerze. Oderwała wzrok od klawiatury i spojrzała na niego z naganą.

- Telefony się urywały, na niektóre musisz odpowiedzieć natychmiast, Teddy. Nie żartuję, natychmiast. Na przykład do kilku banków i maklerów w Nowym Jorku.

- Nie przejmuj się, Lydio - odrzekł z uśmiechem. - Przekrećę do nich.

Była zaskoczona jego nonszalancką reakcją na ponaglenia. - Wyglądasz jak kot, który połknął kanarka - zauważyła, uśmiechając się domyślnie. - Lunch z tą starą jędzą, panią Rochelle, musiał się udać.

Teddy wiedział, że sekretarka próbuje go pociągnąć za język. Postanowił jeszcze trochę się z nią podrażnić.

- Muszę wykonać parę telefonów. Potem zajmę się wszystkimi twoimi pilnymi sprawami.

Zmarszczyła brwi. Nie zamierzał jej opowiedzieć, co się wydarzyło u Marguerite!

- W porządku, Teddy - odrzekła krótko. - Jak sobie chcesz. Spojrzała na klawiaturę i zaczęła błyskawicznie pisać, na złość

Teddy'emu ze zdwojoną siłą walił w klawisze. On jednak nie zwracał na nią uwagi i usiadł przy biurku. Przerzucał kartki z telefonami, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Z triumfującą miną czekał na połączenie. Po trzecim sygnale odebrała sekretarka.

- Biuro Dockeringa Wainwrighta - powiedziała.

- Cześć - przywitał się beztrąsko. - Mówi Teddy de Mornay, muszę natychmiast porozmawiać z Dockiem Wainwrightem.

- Sprawdź, czy jest u siebie.

- Chodzi o sprawy pani Marguerite de la Rochelle - dodał Teddy.

- Tak, proszę pana. Proszę chwilę poczekać.

Teddy czekał, choć w środku skręcał się z niecierpliwości. Dałby wiele, by móc zobaczyć reakcję starego Docka.

- Witam, Dockering Wainwright - odezwał się starszy mężczyzna. - Co słychać, Teddy?

- W porządku. A jak u pana?

- Jeśli wziąć pod uwagę mój wiek, nie mogę narzekać. Wspomniałeś, że dzwonił w sprawie Marguerite de la Rochelle - przeszedł do rzeczy Wainwright.

- Tak. Właśnie wróciłem ze spotkania przy lunchu z nią i jej kuzynem, Jamesem de Bironem.

-Tak?

- Marguerite, Jamie i ja - nie spieszył się Teddy, przedłużając niepewność mężczyzny - ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę o stanie finansów de la Rochelle'ów.

- Doprawdy? - rzucił Wainwright, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie Teddy przejdzie do rzeczy.

- Marguerite postanowiła przekazać mi kontrolę nad wszystkimi jej rachunkami inwestycyjnymi. Wreszcie rzucił swoją bombę.

- Aha - powiedział spokojnie Dockering Wainwright i odchrząknął. - Nad całym jej portfelem?

- Tak - potwierdził Teddy, z trudem ukrywając satysfakcję. - Calutkim.

- Rozumiem.

- Mam u siebie już wszystkie papiery, pełnomocnictwa i pozostałe dokumenty. Prześlę je panu, gdy tylko wszystko przygotuję.

- Dobrze. Oczywiście będzie mi potrzebne pisemne oświadczenie pani de la Rochelle.

- Leży przede mną - dobił Wainwrighta Teddy. - Dołączę je do dokumentacji. Marguerite życzy sobie, by jak najszybciej przelał mi pan całą sumę - dodał po chwili. - Oczywiście, proszę sobie potrącić prowizję i koszty.

- Naturalnie - zapewnił go chłodno Wainwright. - Zajmę się tym natychmiast po otrzymaniu dokumentów.

- Wielkie dzięki. Rano powinien zjawić się u pana posłaniec.

- Tak, no cóż... Życzę powodzenia, Teddy - pożegnał go z wymuszoną serdecznością Dockering.

- Dzięki.

Teddy najchętniej powiedziałby staruchowi, gdzie może sobie wsadzić swoje życzenia. Już odkładał słuchawkę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Nigdy nie pał za sobą mostów, skarcił się w duchu. Nie wiadomo, czy kiedyś nie będziesz go potrzebował; Dock Wainwright, choć stary, może się jeszcze przydać. W każdym razie w nieodległej przyszłości.

- Mam nadzieję, że nie żywi pan do mnie pretensji. Przypuszczam, że Marguerite zrobiła to wyłącznie dlatego, że Val i ja się pobieramy.

- Och, to wspaniała nowina - odrzekł Wainwright. - Obojgu wam życzę wiele szczęścia.

- Dziękuję. Jeszcze się odezwę.

- W takim razie do usłyszenia. I pozdrów ode mnie Val.

- Nie omieszkam. Na razie.

Odłożył słuchawkę, a potem spojrzął na Lydię. Przerwała pisanie i przypatrywała mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi?

- Proszę, proszę, mamy dziś niespodziankę za niespodzianką - powiedziała.

- Owszem.

Otworzył teczkę z dokumentami, które dostał od Marguerite. Wyjął kopertę, a z niej podłużne druki. Wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę.

- Jutro rano w drodze tutaj wstąp z tym do banku. Podał sekretarce czek. Zerknęła na nie i oczy jej zabłyśły.

- Jak pragnę podskoczyć! Sądziłam, że stary Dock Wainwright miał całą ich kasę.

- To tylko kwartalne czeki z dywidendami - wyjaśnił. - W przyszłości będą przychodzić prosto do mnie.

- Boże! Nie sądziłam, że mają aż tyle forsy! Biuro inwestycyjne de Mornaya będzie miało czym obracać.

- Nie - odrzekł Teddy. - Przelej je na moje prywatne konto.

- A-ale to są...

- Nic ci do tego, Lydio - uciął zdecydowanie. - Na razie umieść te pieniądze na moim koncie osobistym.

- Skoro tak każesz - powiedziała, ścigając brwi.

- Tak każę.

- Ale jak mam to zaksięgować, Teddy?

- Ja się tym zajmę - oświadczył.

Z całą pewnością, dodał w duchu. Marguerite de la Rochelle i Jamie de Biron nie od razu zauważą zniknięcie dywidend. Zwłaszcza w tym zamieszaniu z przelewami od Docka. Zresztą, zwrócę im te pieniądze, nim dostaną rozliczenia z nowych kont inwestycyjnych w mojej firmie. A świat się nie zawali, jeśli przez jakiś czas sam poobracam tymi pieniędzmi, żeby trochę się odkuć. Bo czy to moja wina, że akcje firm komputerowych poleciały na łeb na szyję? Ta okrągła sumka wystarczy, żeby załatać co większe dziury i zamknąć usta tamtym nudziarzom z banków.

- No, dobrze - zwrócił się do Lydii. - Cóż to za rzekomo niecierpiące zwłoki telefony powinienem wykonać?

Rozdział 19

Naprawdę nie ma pani powodów do niepokoju, pani McDougall - uspokajała Valerie właścicielkę małej suczki. - Lexi doskonale się czuje.

- Niezupełnie się z panią zgadzam - odparła wysoka, szczupła kobieta - ale jeszcze zobaczymy.

Przytuliła do siebie ulubienicę.

- Gdyby pojawiły się jakieś problemy, proszę dać znać - powiedziała Valerie.

- Oczywiście.

Valerie przytrzymała pani McDougall drzwi, a potem wyszła za nią do rejestracji. Pomachała kobiecie na pożegnanie i wróciła do gabinetu wypełnić kartę suczki.

Lexi naprawdę nic nie dolega, myślała, robiąc notatki. To pani McDougall powinna się udać do lekarza. I to dobrego. Najlepiej do psychiatry.

Kobieta od trzech lat zjawiała się w klinice z psem i kilometrową listą dolegliwości, których jakoś żaden weterynarz nie potrafił u jej kundelka dostrzec. Lexi była zdrową, może odrobinę neurotyczną suczką, ale temu akurat trudno się dziwić - to naturalne u zwierzęcia otaczanego nadmierną troską.

Valerie skończyła wpisywać notatki i przeszła do rejestracji, by dać je Tami.

- Proszę, Tami. Karta Lexi.

- Dziękuję - odrzekła dziewczyna, biorąc od niej kartki. - To ta suczka chora z urojenia? Co dolega jej w tym tygodniu?

- Kuleje. Po raz dwudziesty, jeśli nie więcej.

Tami ze śmiechem wzniosła oczy ku niebu. Zadzwoił telefon, odebrała Annie.

- Momencik - powiedziała do słuchawki i spojrzała na Valerie. - Val, do ciebie. Pan Conrad ze Stonelair na trzeciej linii.

- Odbiorę w gabinecie.

Poszła do siebie, nieświadoma pełnych ciekawości spojrzeń rejestratorek. Usiadła przy biurku, przełączyła aparat na trzecią linię i podniosła słuchawkę.

- Cześć, Wyn. Czym mogę służyć?

- Mam prośbę. Mogłabyś jeszcze raz zerknąć na Layłę? Najlepiej jeszcze dziś po południu.

Po raz drugi tego samego dnia? - jęknęła w duchu Valerie.

- W porządku, tylko zajrzę do grafiku - powiedziała głośno. - Poczekasz moment?

- Jasne, Val.

Valerie przez chwilę siedziała zamyślona. Podejrzewała, że to nie Layła potrzebuje kolejnej wizyty, tylko Wyn. Otworzyła wrota przyjaźni i teraz musi

przez nie przejść. Nie tylko musi, ale chce, zauważyła zdziwiona.

Szybko przejrzała swój plan zajęć i zapytała:

- Może być o osiemnastej? Wtedy kończę pracę.
- Doskonale. To do zobaczenia.
- Na razie.

Odłożyła słuchawkę, ciągle myśląc o telefonie Wyna i zastanawiając się, czy intuicja dobrze jej podpowiada. Ale szybko otrząsnęła się z zadumy. Nie pora teraz na rozmyślanie, przed nią pracowite popołudnie.

Valerie zaparkowała dzipa i weszła do stajni. Za biurkiem w gabinecie nie było nikogo.

Pewnie siedzi u Layli, pomyślała. Minęła siodlarnię i weszła do stajni. Tam między boksami czekał Wyn z dwoma osiodłanymi końmi. Uśmiechnął się na jej widok.

- A to co?
- Pomyślałem, że wybierzemy się na przejażdżkę.
- Przecież chciałeś... - zaczęła.
- Layla czuje się świetnie, ale pomyślałem, że obojgu nam dobrze zrobi chwila wytchnienia. Co ty na to?

Valerie poddała się z uśmiechem.- Ja na to, że to świetny pomysł. Dobrze się składa, że włożyłam dziś spodnie i adidasy.

- To Dixie - przedstawił klacz Wyn. - Z temperamentem, ale nie rozrabia.

Odstawiła torbę i pogłaskała piękną arabkę.

- Jest na co spojrzeć - pochwaliła.
- A to Demon.
- Domyślam się, że imię mówi samo za siebie?
- Owszem, ale panuję nad nim. - Podał Valerie wodze Dixie.
- Gotowa?

- Tak.

Wzięła wodze, bez trudu wskoczyła na siodło i poczekała, aż Wyn dosiądzie Demona.

Razem wyjechali przez otwarte wrota stajni na krętą ścieżkę wśród porośniętych bujną trawą łąk i otaczającego Stonelair gęstego lasu. Na łące Wyn popędził konia. Valerie zrobiła to samo, ciesząc się jazdą, pieszczotą słońca i wiatru. Wyn od czasu do czasu zerkał na nią, upewniając się, czy wszystko w porządku.

- Prawdziwa z ciebie amazonka! - zawołał.

- Ty też niezgorzej sobie radzisz! - odkrzyknęła.

To wspaniały jeździec, zauważyła w myślach. Rewelacyjnie trzymał się w siodle, doskonale panując nad sobą i smukłym arabem. Blizny jeszcze się nie zagoiły, a Wynowi nie pozostał żaden uraz ani lęk przed jazdą konną.

Popędził wierzchowca do cwału, wyprzedzając Valerie, lecz ona znów go dogoniła. Podobała jej się ta zmiana tempa, zwłaszcza że dawała jej okazję, by przyrzeć się Wynowi i Demonowi.

Oni naprawdę stanowią jedność, pomyślała. Takiej gracji, płynności ruchów i harmonii nie spotyka się nawet u doświadczonych, wytrawnych jeźdźców.

Tuż przed lasem Wyn popędził Demona do pełnego galopu i obejrzał się na nią z uśmiechem. Valerie ścisnęła boki Dixie i szczęśliwa, w swoim żywiole, ruszyła naprzód, nie pozwalając mu zbyt daleko uciec. Kiedy znowu się z nim zrównała, Wyn szarpnął wodze, a Demon zwolnił do truchtu. Valerie szybko zrobiła to samo i razem jechali leśnym traktem wśród drzew, przez które przeświecało słońce, rzucając na ścieżkę cętkowane cienie.

Kiedy w końcu wrócili do Stonelair, Valerie nie potrafiła określić, ile czasu spędzili na przejażdżce. Tylko jednego była pewna: nie pamiętała, kiedy ostatnio tak cudownie się czuła. Zeskoczyli z siodła, ze stajni wyszedł Helmut

Reinhardt, aby wziąć od nich wodze.

- Helmucie - odezwał się Wyn - to Valerie Rochelle, nasza pani weterynarz.

Mężczyzna skinął głową i stuknął obcasami, jak przystało na stajennego ze starej, europejskiej szkoły.

- Bardzo miło mi panią poznać - powiedział swoją silnie naznaczoną niemieckim akcentem angielszczyzną.

- Mnie również - odrzekła Valerie i odprowadziła wzrokiem Helmuta, który zniknął w stajni z wierzchowcami. - To była cudowna wycieczka.

- Cieszę się, że ci się podobała. - Zawahał się. - Co byś powiedziała na drinka przed powrotem? Chyba że masz jakieś plany...?

- Nie mam. To świetny pomysł.

Siedzieli na kanapie w bibliotece, popijając szampana, którego otworzył Wyn. Wilczarze spały, każdy na swoim ulubionym miejscu. Valerie i Wyn z zapalem rozprawiali o koniach, o swojej miłości do jazdy konnej, dzielili się wspomnieniami i śmiali, zapominając o upływie czasu. Dopiero kiedy zapadł zmrok i Wyn wstał, by zapalić światło, uświadomili sobie, że rozmawiają już tak od wielu godzin.

Wrócił na kanapę i przyglądał się Valerie z wyrazem absolutnego szczęścia. Popatrzyła mu w oczy, a jej serce przepełniła radość. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak szczęśliwa i tak... podniecona.

Przysunął się bliżej.

- O czym myślisz?

- M-myślałam o tym, jak cudownie nam się gawędziło.

- Ja też. Nawet... Nie spodziewałem się, że to możliwe.

- Ani ja. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie przypuszczałam, że może tak właśnie być.

Chwycił jej dłoń, rozkoszując się jej delikatnym, a jednocześnie silnym

uściskiem.

Nie wierzę, pomyślał. Czy to naprawdę mnie spotyka? Nas spotyka?

Zaczął gładzić dłoń Valerie; nie chciał tak szybko jej wypuszczać.

Kiedy Val poczuła dotyk jego palców, nagle przeszedł ją dreszcz, jakby przeskoczyła między nimi iskra. Nie potrafiła tego opisać. Zupełnie jakby zaszła pomiędzy nimi jakaś reakcja; jakby stali się igraszką w rękach potężnych mocy, nad którymi nie mieli władzy. To uczucie i ta świadomość z jednej strony budziły w niej strach, a jednocześnie dawały euforyczną radość.

Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego. Ani z Teddym, ani z nikim innym.

Czy to wyłącznie pociąg seksualny? - zastanawiała się. A może coś więcej?

Nie wiedziała, lecz w tej samej chwili uświadomiła sobie, że chce pójść dalej, jest gotowa zaryzykować, stawić czoło nieznanemu, byle tylko lepiej poznać tego mężczyznę.

Wyn jak zauroczony wpatrywał się w jej dłoń i gładził ją, bojąc się spojrzeć Valerie w oczy, by nie dostrzec w nich litości lub, co gorsza, odrzucenia. Wreszcie podniósł wzrok, dłużej nie mogąc oprzeć się pokusie. Serce zabiło mu z radości, gdy w jej cudownych zielonych oczach zobaczył czułość, a może nawet niepokój rodzącej się miłości i pożądania. Nie patrzyła na niego z litością ani nawet ze współczuciem. W jej spojrzeniu było coś znacznie, znacznie gorętszego. To nie ulegało wątpliwości.

Odstawił kieliszek i podniósł rękę Valerie do ust, muskając palce wargami i nie odrywając wzroku od jej oczu, jak gdyby szukał w nich odpowiedzi. Nie zawiódł się, bo kiedy poczuła jego pocałunki, jej usta zadrżały, ale nie odwróciła głowy. Bez strachu, wręcz śmiało, z wyzwaniem dalej patrzyła mu w oczy.

Gdy wreszcie uwolnił jej dłoń, Valerie odetchnęła głośno. Serce waliło

jej jak młotem, puls uderzał w szaleńczym tempie. Chciała coś powiedzieć, ale najpierw musiała odzyskać panowanie nad sobą. Miała wrażenie, że ktoś rzucił na nich czar, i nie mogła się wyrwać spod jego wpływu.

- Chcę znowu cię zobaczyć - odezwał się cicho Wyn. - Niedługo.

Skinęła głową, lekko rozchylając usta.

- Tak - wyszeptała niemal bezgłośnie. - Och, tak.

Wpatrywali się w siebie jak urzeczeni, wreszcie Valerie potrząsnęła głową i westchnęła.

- Muszę iść. Jutro mam naprawdę ciężki dzień.

- Wiem - odrzekł Wyn. - Ale najchętniej bym cię nie puścił.

Chciałbym... Cóż, chciałbym, żebyś wcale nie musiała odchodzić.

Skinęła głową. Doskonale wiedziała, doskonale rozumiała, czego pragnął, bo nagle zapragnęli tego oboje. Ale teraz powinna się zmusić, by wstać, wyrwać się z tego magicznego kręgu i wrócić do rzeczywistości.

- Odprowadzisz mnie do samochodu?- Jasne.

Podnieśli się jednocześnie, a Valerie zebrała swoje rzeczy. Razem poszli do dzipa. Wyjęła z torby kluczyki i zaczęła otwierać drzwiczki, gdy poczuła, jak od tyłu obejmują ją ramiona Wyna. Mogłaby tak na zawsze już zostać w jego uścisku, nie przerywając tego błogostanu. Wiedziała jednak, że musi uciec teraz, w tej chwili, albo już nie zdoła się wyrwać. Odwróciła się do Wyna, lekko pocałowała go w usta i sięgnęła do klamki.

- Naprawdę muszę jechać. Póki jeszcze mogę.

- Cieszę się, że ty też to czujesz - powiedział z radosnym uśmiechem.

Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik, a potem zapatrzyła się na Wyna.

- Zadzwoń, dobrze? - spytał. -Tak.

- Jutro, dobrze?

Albo wcześniej, pomyślała.

- Tak - odrzekła.
- Dobranoc, pani doktor.

Przyłożył palce do swoich ust, a potem do jej warg.

- Dobranoc, Wyn.

Wrzuciła bieg, wyjechała z parkingu i długą aleją ruszyła w drogę powrotną, nie mogąc już doczekać się jutra i marząc o dotyku Wyna, gdzieś w największych głębinach swego serca pewna, że to jest dobre, prawdziwe i czyste marzenie.

Wyn zaś stał na podjeździe, dopóki nie zniknęły reflektory jej samochodu, a potem wrócił do domu. Wszystkie jego myśli wypełniała Valerie. Nie chciało mu się wierzyć, że nie wymyślił sobie tego wieczoru, i miał ochotę wykrzyczeć światu swoją radość. Szedł jednak w milczeniu, po raz pierwszy od wielu miesięcy nie mogąc doczekać się jutra. Wciąż się uśmiechał. Nie spodziewał się, że w ogóle kiedyś będzie mógł myśleć o czymś takim, a na pewno nie teraz, kiedy jest w takim stanie. Nie sądził, że jeszcze będzie chciał myśleć o kimkolwiek. Nie po żalonych doświadczeniach z Arielle.

To dzięki Valerie Rochelle, powiedział do siebie. To niezwykła kobieta.

Rozdział 20

W porządku, Noe - powiedziała Valerie, drapiąc za uszami starego husky. - Jesteś zdrow jak ryba. Naprawdę jest w świetnej formie - zwróciła się do Eddiego Lowella.

Smagła, opalona twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jesteś prawdziwą cudotwórczynią, Val. Nie spodziewałem się, że biegi z „zającem” tyle dadzą. Jeszcze niedawno sądziłem, że Noe nie dożyje końca roku, a teraz, proszę, ma energię szczeniaka.

- Zupełnie jak ty - odpowiedziała Valerie.
- Ho, ho! Chciałbym! Powiedz to Jonathanowi. Nie wytrzymuję jego

tempa.

Spojrzała na Eddiego, zaskoczona, że ten antykwariusz mający dobrze po pięćdziesiątce tak otwarcie mówi o swoim dwudziestokilkuletnim kochanku.

- Może właśnie temu zawdzięczasz swoją młodość, Eddie - odrzekła. - Młodszemu partnerowi. W ogóle nie przybywa ci lat.

- Cóż, bardzo to miłe z twojej strony, Val, ale czasami ledwo łączę, zupełnie jak jeszcze niedawno mój Noe. Może ja też powinienem rozejrzeć się za jakimś „zającem”, który będzie mi narzucał tempo.

- Nie liczyłabym na to, Eddie - zażartowała. - Musiałbyś jeszcze mieć drugie serce.

Parsknął śmiechem.

- Słuszna uwaga. Ale wtedy nie odniósłbym takiego sukcesu jako antykwariusz.

Valerie nachyliła się i poklepała go po policzku.

- Wiem, że masz serce z czystego złota, i ty wiesz, że za tobą szaleję.- A ja za tobą, Val. - Uśmiechnął się serdecznie. - To jak, wpadniesz dziś wieczorem na drinka?

- Tak, wpadnę. Stroje wieczorowe, zgadza się?

- Oczywiście. Włóż swoje najwytworniejsze dżinsy albo bojówki.

Dobra, znikam i nie przeszkadzam ci w robocie.

Podążyła Eddiemu smycz Noego.

- Do zobaczenia koło wpół do siódmej - pożegnała się, głaszcząc psa na pożegnanie.

- Doskonale. - Eddie z Noem ruszył do drzwi. - Aha i oczywiście możesz przyprowadzić Teddy'ego. Naturalnie, jeśli chcesz - dodał po krótkim wahaniu.

- Dziękuję, Eddie, ale Teddy jest dziś chyba zajęty. Przyjdę sama.
- W porządku. Na razie.

Otworzyła drzwi i odprowadziła go spojrzeniem. Szybko naniosiła parę uwag na kartę Noego i wyszła z gabinetu zabiegowego do rejestracji.

- Karta Noego do uzupełnienia - zwróciła się do Tami, dając jej notatki.
- Zaraz to zrobię - powiedziała dziewczyna. Z korytarza weszła

Daphne.

- Czy to pana Lowella i jego psa widziałam przed chwilą? - spytała.
- Tak - potwierdziła Valerie.
- Pamiętam, jak ostatnio wyglądał Noe - powiedziała Daphne. - Ledwo łąził. A teraz jest jak nowo narodzony, prawda?
- Rzeczywiście - zgodziła się Val.
- Pan Lowell pewnie nie posiada się ze szczęścia. - Daphne bacznie jej się przyjrzała. - Zdaje się, że jesteście w świetnej komitywie.
- Długo się znamy.
- Szczęściara z ciebie. Masz tylu miłych przyjaciół takich jak on.
- To prawda, mam szczęście, mogąc nazywać Eddiego przyjacielem.

Zwłaszcza że nigdy dość szczerych przyjaciół.

- Raz byłam u niego, kiedy zachorował pies - ciągnęła Daphne. - Zachwyił mnie tamten dom. Tyle obrazów i innych cudów. Naprawdę piękny. Ten człowiek musi być bardzo bogaty.

- Nic mi o tym nie wiadomo - roześmiała się Val. - Ale rzeczywiście, dom ma piękny.

Zadzwonił telefon. Odebrała Tami.

- Dzień dobry, klinika weterynaryjna - powiedziała. Valerie ruszyła do swojego gabinetu, ale Tami ją zawołała.

- Co się stało?- Mam pana Conrada ze Stonelair na drugiej linii. Chce z tobą rozmawiać.

- Dzięki.

Mocniej zabiło jej serce. Liczyła, że Wyn zadzwoni.

Daphne odprowadziła uważnym wzrokiem Valerie, idącą szybko do gabinetu, po czym wróciła do siebie.

Valerie zamknęła za sobą drzwi i głęboko zaczerpnęła tchu. Tłumaczyła sobie, że zachowuje się idiotycznie.

Nie jestem nastolatką, myślała. Co się ze mną wyprawia?

Dopadła do biurka. Elvis natychmiast zaczął radośnie merdać ogonem, tłukąc nim o ścianki mebla.

- Cześć, skarbie. - Pochyliła się, by pogłaskać psa, który polizał ją po ręce i znowu ułożył się do snu. Szybko przełączyła aparat na drugą linię i podniosła słuchawkę. - Valerie Rochelle - odezwała się.

- Cześć. - Usłyszała jego głęboki głos. - Tu Wyn Conrad. Co u ciebie?

- W porządku - odrzekła automatycznie. - Jak zwykle zapracowana po uszy.

- Tak pomyślałem... - zaczął z namysłem. - A może... Cóż, może zjadłabyś ze mną kolację?

W jego głosie brzmiało wahanie, zupełnie jakby był nastolatkiem, umawiającym się na pierwszą randkę.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Valerie.

- Wspaniale - ucieszył się. - Może koło wpół do ósmej albo ósmej? Co ty na to?

- Lepiej o ósmej. Po drodze muszę jeszcze gdzieś wpaść.

- Świetnie, to do zobaczenia o ósmej.

- Będę.

Odłożyła słuchawkę i osunęła się na krzesło.

Po prostu nie do wiary, myślała oszołomiona. Pan Wyn Conrad zaprosił mnie na kolację. A może on też... Nie, skarciła się w duchu. Nie myśl tak. Nie

wyobrażaj sobie Bóg wie czego, Val. Może opacznie zrozumiałas to, co się wczoraj wydarzyło. Może tylko postanowił się z tobą spotkać, by wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie. Nie masz pojęcia, czego od ciebie chce.

A mimo to uśmiechała się promiennie. Wyn pragnie się z nią spotkać!

Z zadumy wyrwał ją ostry dźwięk telefonu. Podskoczyła przestraszona, a potem odebrała. - Valerie Rochelle.

- Kolejny telefon od kolejnego wielbiciela - odezwała się Tami. - Tym razem Teddy. Trzecia linia.

- Dzięki, Tami - odpowiedziała rozdrażniona uwagą sekretarki.

Odłożyła słuchawkę i przypatrywała jej się w zamyśleniu. Czego może chcieć Teddy? I co mu powie, jeśli będzie próbował

się z nią umówić na wieczór? Przypomniała sobie radę Colette. „Powiedz prawdę. Im wcześniej, tym lepiej”. Valerie poczuła nieprzyjemne łaskotanie w żołądku.

Nie mogę tego zrobić teraz, nie przez telefon, usprawiedliwiała się przed samą sobą. Trzeba będzie ostrożnie to rozegrać.

Podniosła słuchawkę.

- Cześć - odezwała się pogodnie.

- Co tak długo? - spytał zirytowany Teddy. - Czekam i czekam.

- Co za miłe powitanie. Wyobraź sobie, że jestem w pracy.

- Przepraszam - wycofał się. - Nie chciałem zrzędzić.

Co nie zmienia faktu, że ostatnio niemal wyłącznie zrzędzisz, pomyślała.

- Drobiazg - odrzekła, przyjmując przeprosiny.

- Wszystko dlatego, że ostatnio jestem strasznie zajęty i miałem okropny tydzień - podjął szybko Teddy. - Wiesz, co?

- Co?

- Niektórzy klienci po prostu są niemożliwi - skarżył się, wyrzucając w pośpiechu słowa. - Stopy procentowe rosną, rynek jest niestabilny, te cholerne

wróżki przepowiadają wszystko: od końca świata po fantastyczną hosę, trwającą w nieskończoność, a ja siedzę w samym środku tego kotła.

- Klientom puszczaają nerwy?

- Boże, Val, gdybyś to widziała. Niektórzy w życiu nie stracili nawet centa, nieustannie wypracowywaliśmy dla nich zyski. A teraz wystarczyło, że tylko raz coś nie wypaliło i proszę! Całą winę zwalają na mnie! Robią ze mnie jakiegoś bezdusznego potwora!

- Współczuję ci, Teddy.

Coś z nim jest nie tak, zaniepokoiła się. Nigdy jeszcze nie był taki spięty i zdenerwowany. Nie poznawała go. Wahnięcia rynku zawsze przyjmował bez emocji, nieustępliwie idąc naprzód. Bez wysiłku też pacyfikował histerycznych klientów, śmiechem kwitując ich nerwowe reakcje, i nigdy nie brał sobie do serca czyichś wymysłów.

- To musi być dla ciebie bardzo trudne.

- Owszem, jest - odrzekł. - Tak czy owak, zostaję w domu. Nie zniósłbym całego weekendu w towarzystwie Neda i Edyth Chamberlainów. Sama wiesz, to tacy cholerni nudziarze, że wyc się chce. Nie mógł się przyznać, że ma ręce pełne roboty, bo przejmuje portfel jej matki. Zresztą, nie zamierzał też powiedzieć Valerie, że zaprosił na dziś Marguerite i jej kuzyna Jamiego.

- Nie znam ich.

- Och, zapomniałem. Nieważne. Powiedz, o której wpadniesz?

- Wpaść do ciebie? - powtórzyła. - J-już mam inne plany. Zapowiadałeś, że wyjeżdżasz do Nowego Jorku.

- Inne plany? - oburzył się. - Jak to, inne plany?

Dlaczego to ona zawsze powinna być w weekend gotowa na każde skinienie? - pomyślała z rozdrażnieniem Valerie. W każdym razie w te weekendy, kiedy Teddy raczy znaleźć dla niej czas.

- Tak to - odparła twardo. - Mówiłeś, że przyjeżdżasz w tygodniu, bo nie będziesz mógł spędzić tutaj weekendu. Dlatego już porobiłam własne plany.

- To je zmień - rozkazał.

Gotowała się w środku, ale zapanowała nad złością.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Mam własne plany i nie zamierzam ich zmienić. Nie lubię sprawiać ludziom zawodu.

- A mój zawód się nie liczy? - spytał rozgniewany.

- Teddy - tłumaczyła mu jak dziecku - przecież ciebie miało tu nie być.

Pamiętasz?

- Zresztą, co to za ludzie? Dokąd się wybierasz? Jakież to wielkie plany porobiłaś?

- Nie lubię przesłuchań - oświadczyła. Usłyszała jego ciężkie westchnienie.

- P-przepraszam, Val - odezwał się spokojniej. - Miałem naprawdę ciężki tydzień, to przez to.

- Mnie też jest przykro, ale nie ponoszę winy za twój ciężki tydzień i nie życzę sobie, abyś rozładowywał swoje stresy na mnie.

- Proszę, nie gniewaj się. Nie chciałem być taki... despotyczny. -Zamilkł na chwilę. - Zresztą, może to i dobrze? Muszę się porządnie wyspać.

Powinienem odpocząć, zrelaksować się.

- Doskonały pomysł. Połóż się wcześniej, to ci nie zaszkodzi.

- Może - zgodził się. - Ostatnio mało spałem. A może wpadniesz, kiedy już... no, kiedy zrobisz to coś, co sobie zaplanowałaś?

- Raczej nie, Teddy.

- Nie bądź taka, Val. Ty i ja. Późnym wieczorem. Taka wieczorna randka.- Nie, Teddy. Tłumaczyłam ci, że mam już własne plany i nie chcę ich zmieniać. Zresztą, na ten weekend wzięłam dyżur, więc lepiej, żebym się dziś

wcześnie położyła.

- Ty zawsze masz dyżur - nadąsał się.

- Nieprawda, Teddy, nie zawsze. Zachowuje się jak obrażony dzieciak, pomyślała.

- Doskonale wiesz, że zmieniam się z Daphne i Charlesem.

- Ale sama mówiłaś, że masz jakieś plany - nie ustępowałam. -Więc coś innego możesz robić, a spotkać ze mną już nie?

- Teddy, nie chcę się z tobą kłócić. Zapowiedziałeś, że na weekend wyjeżdżasz, toteż sama już sobie zaplanowałam czas. Proste i jasne. Dlaczego nie potrafisz tego zaakceptować?

- Dokąd się wybierasz? - przyparł ją do muru.

Valerie najchętniej by się nie przyznawała. Teddy nie lubił Eddiego i Jonathana i nie chciała wysłuchiwać niegrzecznych uwag na ich temat. A na myśl, że miałyby mu powiedzieć o kolacji z Wynem Conradem, przeszły ją ciarki. Pewnie Teddy urządzi piekło. Potem jednak uświadomiła sobie, zresztą kolejny raz w ciągu ostatnich tygodni, że Teddy ma prawo wiedzieć, jak ona spędza czas. W końcu są zaręczeni. Przynajmniej na razie.

Po raz kolejny też przypomniała sobie pełne otuchy słowa Colette, toteż głęboko zaczerpnęła tchu i powiedziała prawdę.

- Idę na drinka do Eddiego i Jonathana. A potem jadę na kolację do Stonelair.

Proszę, wyrzuciła to z siebie!

- Co takiego? - zawołał zdumiony.

- Naprawdę wszystko trzeba ci powtarzać, Teddy?

- Nie wierzę własnym uszom. Dobra, drinka u Eddiego jeszcze mogę zrozumieć. Nie wiedzieć czemu zawsze lubiłaś tę cholerną starą ciotę, ale...

- Ani słowa więcej! - przerwała mu gwałtownie. - Nigdy więcej nie waż się go obrażać! Zachowujesz się jak dwunastoletni smarkacz, popisujący

się w szatni brzydkimi wyrazami. Eddie zawsze odnosił się do ciebie bez zarzutu, a mnie okazywał przyjaźń i życzliwość.

- Nie wściekaj się tak, Val. - W jego głosie zabrzmiała skrucha. -Wiesz, że nie myślałem nic złego. Nic nie mam do Eddiego.

- Dziwne, nikt by się nie domyślił.

- Zostawmy to. Ale tak naprawdę nie mieści mi się w głowie, że wybierasz się do tego świra ze Stonelair.- Nie obchodzi mnie, co ci się mieści w głowie - odparła rozdrażniona. - Umówiłam się i nie potrzebuję twojej aprobaty. Ani ja, ani osoby, z którymi się spotykam.

Teddy przez chwilę w milczeniu przetrwał jej słowa. Valerie czuła, jak wszystkie jej zmysły się wyostają, a po plecach przebiegają gwałtowne dreszcze.

Emocje, jak to przy kłótni, wytłumaczyła sobie. I wyznanie Teddy'emu prawdy. Dziwne, sądziłam, że gorzej się będę czuła. Może Colette miała rację. Może częściej powinnam zdobywać się na szczerść.

- Nie wiem, co się z nami dzieje, Val - odezwał się wreszcie Teddy cicho, z bólem.

- Chyba powinniśmy przełożyć tę dyskusję na później - oświadczyła. - Jestem za bardzo zdenerwowana, żeby z tobą rozmawiać.

- A ja sądzę, że powinniśmy ją kontynuować - odparował Teddy. - Bo zaczynam się naprawdę niepokoić.

- Nie, nie teraz.

Próbował zmusić ją do defensywy, a na to mu nie pozwoli.

- Porozmawiamy jutro, Teddy.

- Val, powinniśmy jednak...

- Porozmawiamy jutro - powtórzyła stanowczym tonem. - Do widzenia, Teddy.

- Val...

Delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki, a potem ukryła twarz w dłoniach.

Co ja najlepszego zrobiłam? - myślała. Przez moment była bliska zadzwonienia do Teddy'ego, żeby mu obiecać, że spędzi z nim jutro cały dzień.

Ale wtedy przypomniała sobie jego uwagi na temat Eddiego i znowu zakipiał w niej gniew.

Nie ma mowy, postanowiła. To nie moja wina, że ma zły humor i jest nieszczęśliwy. Zasłużył sobie na to swoim zachowaniem.

Znów zadzwonił telefon na biurku. Podniosła słuchawkę.

-Tak?

- Przyszła pani Sutherland z Happy'm - odezwała się Annie. W jej głosie brzmiała nutka złośliwej satysfakcji.

- Już idę - odrzekła Valerie.

To się nazywa mieć pecha. Teraz jeszcze ta stara jędza, pani Sutherland, z równie wrednym jak ona złośliwym i jazgotliwym Happy'm, który gryzł każdego, kto się nawinął. Jaka pani, taki pies, pomyślała Valerie. Wstała i wzięła ze stertki kart dzisiejszych pacjentów kartę Happy'ego. Elvis znowu zadudnił ogonem o ścianki biurka. Pochyliła się i pogłaskała psa.

- Och, kochany, teraz będzie już z górki. Bo przecież gorzej być już nie może.

Arielle odsunęła perkalową zasłonkę i wyjrzała przez okno pawilonu dla gości. Przed sobą miała basen, w dali widziała kort tenisowy. Nigdzie żywego ducha, prócz ogrodnika, przycinającego żywopłot. Sącząc szampana ze smukłego kieliszka, przypatrywała się nieskazitelnie białej rezydencji.

- Patrz, Lolo! - zawołała. - Wrócili Bibi i Joe! Tak mi się wydawało, że słyszałam samochód.

Lolo stanął z tyłu i spojrzał jej przez ramię. Zauważył dwie znajome sylwetki, które nieraz widział w Palm Beach. Gospodarze weszli przez taras do

domu.

- Nie przyjdą tutaj - potwierdził to, co i tak widzieli.

- Nie. Szofer wspomniał, że spodziewają się nas na koktajlu o szóstej, tak że lepiej, jeśli wcześniej nie będziemy się pokazywać. Bibi to straszna formalistka.

Lolo otoczył ją ramionami, poczuła na szyi jego ciepły oddech.

- Świetnie - powiedział. - Zdażymy się zabawić przed kolacją.

Opuściła zasłonkę i zwróciła się twarzą do niego. Odstawiła kieliszek.

- Odsuńmy się od okna - powiedziała. - Nie chcę, żeby ta stara jęcza zobaczyła nas w bieliźnie.

- Stamtąd i tak nas nie zobaczy - wymruczał z ustami wtulonymi w jej kark.

- Założę się, że ma lornetkę wycelowaną w nasze okna i nic nie robi, tylko podgląda.

- Bredzisz - roześmiał się Lolo, pociągając za górę jej cielistych stringów.

- Wierz mi, Bibi jest stuknięta, stać ją na to. Może nawet założyła tutaj podsłuch.

Odsunął się i spojrział na Arielle z nieskrywanym niepokojem.

- Naprawdę sądzisz, że mogłaby to zrobić? Wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Wcale bym się nie zdziwiła. Może odstawiać świętszą od papieża cnotkę i nosić zapięte pod szyję chanelki, ale w głębi ducha to niewyżyta stara jęcza. Założę się, że Joe to impotent.

Lolo parsknął śmiechem. - Masz nierówno pod sufitem, Arielle.

Przyciągnął ją do siebie, rozkoszując się gładkością jej jedwabnej bielizny i delikatnej, jędrnej skóry.

- Może - przyznała Arielle - ale nie dam się skazać na dożywocie z takim starym nudziarzem jak Joe Whitman. - Przywarła do niego biodrami, a

potem lekko musnęła ustami wargi kochanka. -Może napijemy się jeszcze szampana? - spytała cicho.

Lolo pocałował ją, a potem wypuścił z objęć.

- Dobra myśl. Ja naleję.

Wziął kieliszek Arielle i podszedł do przykrytego drogim obrusem stołu, na którym stał jego prawie pusty kieliszek, a w wiaderku z lodem chłodził się szampan.

Arielle usiadła na wygodnej kanapie, podwijając pod siebie nogi, i przyglądała się, jak napełniał kieliszki. Ziewnęła i przeciągnęła się. Miała za sobą ciężki dzień po długiej i wyczerpującej nocy spędzonej na miłosnych igraszkach. Na szczęście zdrzemnęła się na pokładzie odrzutowca Whitmanów. Bez problemu dotarli na lotnisko, gdzie w ciemnozielonym rolls-roysie czekał już na nich Larry, szofer gospodarzy.

- Państwo musieli wyjechać - wyjaśnił. - Przepraszają, że nie mogli osobiście państwa powitać. Zapraszają państwa na koktajl o szóstej, a potem na kolację.

W gigantycznej, starej rezydencji Whitmanów w Saratodze powitała ich gospodyni, Mildred. Zaprowadziła oboje do pawilonu dla gości, gdzie już czekała butelka schłodzonego szampana. W pokojach stały wazonry pełne róż, a centralne miejsce na stole w jadalni zajmowała kompozycja ze świeżych owoców. Kuchnia była doskonale zaopatrzona, w lodówce leżały smakołyki, które zadowolilyby najbardziej wybredne podniebienie: sery, pasztety, kawior, pokrojone w plastry mięsa. Oczywiście nie zabrakło też wody mineralnej, soków i obficie zaopatrzonego barku.

Bibi, przypomniała sobie Arielle, słyęła z zamięłowania do luksusu i legendarnej wręcz gošcinności. Ta sława, jak widać, była uzasadniona. Szkoda tylko, że Arielle nie przepadała ani za Bibi, ani za Joem. Ale nawet ta stara jędza i jej stary osioł nie zepsują jej radości z pobytu w Saratodze.

Jestem o rzut kamieniem od Wyna, pomyślała. Już czuję ten rozkoszny zapach kochanych pieniędzy.

Lolo podszedł do niej z szampanem. Uśmiechnęła się i wzięła kieliszek.

- Dzięki, kochany. Przesunęła się i poklepała kanapę, zapraszając go do siebie. Kiedy usiadł, przerzuciła zgrabne, długie nogi przez jego uda.

- O czym myślisz, moja szalona Arielle? - spytał, wodząc dłonią po jej łydce.

- Hmm... o niczym - zbyła go.

Wypiła łyk szampana i odstawiła kieliszek na marmurowy blat niskiego stolika. Spojrzała na mężczyznę, uśmiechnęła się tajemniczo i wyjęła z paczki papierosa. Lolo sięgnął po zapalniczkę, a potem wziął drugiego dla siebie.

- Coś kombinujesz, Arielle - powiedział. - Co?

- Oooh, to tylko luźny pomysł - droczyła się z nim, wypuszczając nosem dym.

- Jaki? - Patrzył pytająco w oczy Arielle, nie przestając gładzić jej uda.

- Tak sobie pomyślałam... A może wpadlibyśmy do Wyna? W końcu... skoro już jesteśmy tak blisko...

W jej oczach błysnęły figlarne iskierki. Lolo nagle znieruchomiał. Wbił w nią niespokojny wzrok.

- To żart, prawda? - spytał, choć wiedział, że Arielle jest śmiertelnie poważna. - Obiecałem, że z nim pogadam jak mężczyzna z mężczyzną, ale próbować się tam dostać? To szaleństwo. Nie przyjmie cię, mnie zresztą też nie dopuści przed swoje oblicze.

Na ustach Arielle pojawił się leciuteńki uśmiech.

- Może i masz rację, ale ja nie żartuję. Nigdy nie byłam równie poważna jak teraz.

- Ale... ale co zamierzasz? - wyjąkał. - Wymyśliłaś jakiś plan? Toż to szaleństwo, Arielle. Nie widzisz tego?

Nie odrywając od niego oczu, pokręciła głową.

- Nie - odrzekła cicho. - Nie widzę. Co więcej, uważam to za jeden z moich najgenialniejszych pomysłów.

Leniwie strzepnęła popiół z cygaretki.

- Arielle - zaniepokoił się na dobre Lolo. - Co ty kombinujesz?

Przecież wiesz, że Wyn nie życzy sobie twoich wizyt. To naprawdę szaleństwo.

- Nawet się nie dowie, że tam byliśmy - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Jeśli sprawy ułożą się po mojej myśli.

Zgniotła cygaretkę w popielniczce i wyciągnęła rękę do kochanka.

- Chodź do mnie - szepnęła.

Lolo odstawił kieliszek i zgasił cygaretkę. Nadal patrzył na Arielle z niepokojem. - Bo ja wiem... - mówił wolno, potrząsając ciemnymi lokami.

- Chodź do mnie - powtórzyła.

Gdy się nad nią nachylił, przyciągnęła go do siebie i oplótła nogi wokół jego torsu. Drugą rękę wsunęła pod bokserki, pieszcząc budzący się do życia członek.

- Pocałuj mnie, Lolo - poprosiła. - Pocałuj mnie mocno.

Teddy siedział w swoim gabinecie w Apple Hill z nogami na biurku.

Właśnie przejrzał dokumenty, które zostawiła mu Lydia, i niedbale cisnął je na blat. Westchnął głośno. Wzloty i upadki ostatnich paru dni nieźle dały mu w kość. A teraz jeszcze będzie musiał dać przedstawienie przed Marguerite i Jamiem.

Wiedział, że to dzięki jego ulubionym łakociom, wciągany przez nos, wzloty były tak wysokie, a upadki - niestety - tak bolesne, ale nie potrafił już bez tego funkcjonować. Bo jak inaczej pogodzić prowadzenie firmy, zajmowanie się klientami i czarowanie Val z igraszkami z Tiffani? No cóż, to wszystko coraz bardziej zaczynało go męczyć.

Na szczęście teraz opanował już sytuację. Ostatnio sporo klientów wycofało pieniądze z jego biura inwestycyjnego - z powodu bessy na giełdzie - i musiał wykonać prawdziwą gimnastykę na przyrządach, aby wypłacić wszystkim należne sumy.

Wreszcie spławiłem tych cholernych sukinsynów, pomyślał. Ale to żadna satysfakcja. W ubiegłym tygodniu zarządzał portfelami

o łącznej wartości ćwierci miliarda dolarów, co dla rekinów Wall Street stanowiło nędzne grosze, choć w jego niszy było niezłą sumką. Teddy bowiem specjalizował się w inwestowaniu pieniędzy niezbyt licznej, lecz ekskluzywnej grupki krezusów. W tym tygodniu jednak kapitał, którym obracał, skurczył się do zaledwie pięćdziesięciu milionów dolarów. Były to pieniądze tych inwestorów, którzy nie wycofali się mimo bessy na rynku.

Dzięki Bogu, że Marguerite de la Rochelle i James de Biron akurat teraz zdecydowali się do niego przejść, pomyślał kolejny raz.

I dzięki Bogu, że Dock Wainwright w ciągu jednego dnia dostarczył papiery i чеки.

Już on, Lydia i Dock dopilnowali, by wszystko poszło gładko. Teraz to Teddy zarządzał całym portfelem Marguerite i sporą częścią portfela Jamesa. Kapitał spadł jak z nieba, w chwili gdy Teddy na gwałt potrzebował gotówki, żeby pospłacać klientów, którzy od niego odeszli. Teraz musi tylko dopilnować, by, gdy nadejdzie chwila, dowieść Marguerite i Jamiemu, że pod jego czujnym okiem kapitał obojga nie tylko się nie kurczy, ale spektakularnie wzrasta.

I zrobi to, przekonywał sam siebie. W poprzednich latach skutecznie grał na giełdzie i teraz też mu się powiedzie. Potrzebuje tylko szansy, musi w odpowiedniej chwili kupić właściwe akcje i... *voila!* Odzyska pozycję i wygrzebie się z długów. Trzeba tylko obchodzić się z Marguerite i Jamiem jak ze zgniłym jajkiem.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jedynie udawali, iż nie przywiązują wagi do pieniędzy, jakby to było coś brudnego, a pomnażanie majątku stanowiło działanie poniżej ich godności. Nie dał się zmylić ich arystokratycznej pozie. Wiedział, że gdyby wpadli na ślad najmniejszych nieprawidłowości, bez wahania oddaliby go w ręce policji.

Powrócił w myślach do telefonicznej rozmowy z Valerie. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Marguerite. Ona jedna potrafiła wzbudzić w córce poczucie obowiązku - albo zwyczajny strach. Wiedział, że matka Val jest jego sojuszniczką. Wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że córka tak lekceważąco potraktowała swojego narzeczonego.

Schylił się i z najniższej, prawej szuflady biurka wyciągnął małe pudełko. Postawił je na blacie i wyjął plastikową torebkę z białym proszkiem oraz srebrną firkę. Darował sobie lusterko i żyletkę. Tu, na wsi, obchodził się bez nich. Wystarczyło otworzyć torebkę, zanurzyć w niej jeden koniec firkę, a drugi wsunąć w nozdrze. Głęboko wciągnął powietrze nosem i na dłuższą chwilę wstrzymał oddech. Następnie zrobił to samo, włożywszy firkę do drugiej dziurki. Potem odchylił się w fotelu, rozkoszując się błogostanem, który przyniósł mu narkotyk.

Spojrzał na telefon. Może by już teraz zadzwonić do Marguerite? Po namyśle zmienił zdanie. Porozmawia z nią, kiedy tamci dwoje przyjdą podpisać papiery. Spotkanie może się okazać interesujące, bo Teddy ciągle jeszcze nie rozgryzł Jamiego. Kuzyn Marguerite stanowił dla niego zagadkę. Musi bliżej go poznać. Im lepiej będzie go znać, tym łatwiej będzie go kontrolować.

Fiu! Dopiero w tym momencie kokaina naprawdę zadziałała. Teddy czuł, że całe jego ciało zaczyna wibrować, budzi się do życia.

Spróbuję złapać Tiffani, postanowił. Umówię się z nią na wieczór. Skoro nie czeka go randka z Val, może sobie pohulać.

Wykręcił numer i czekał. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Cholera! - zaklął w myślach Teddy.

- Cześć, kiciu - odezwał się po komunikacie. - Tu Teddy. Zadzwoń, jak tylko wrócisz. Zabawimy się dziś wieczorem. A mam dużo zabawek.

Cisnął słuchawkę na widełki i zmarszczył brwi.

Gdzie, do cholery, podziewa się ta Tiffani? Najpierw Val, teraz ona. Pewno siedzi w tej swojej spelunie i pije z okolicznymi bysiami. A on musi się przygotować do odegrania przed Marguerite i Jamiem roli gościnnego pana domu. Pokazać się od najlepszej strony.

Wiedział jednak, że tamci nie pozostaną długo, góra dwie godziny. Tiffani pewnie też szybko nie odbierze jego wiadomości. Co oznacza, że będzie miał parę pustych godzin.

Nagle wpadł na genialny pomysł. Już wiedział, jak wykorzysta te dwie wolne godziny czy więcej. Roześmiał się głośno i wziął z biurka pudełko. Wsunął je pod pachę i ruszył do drzwi.

Najpierw wezmę prysznic, układał plan. Potem przebiorę się na spotkanie z Marguerite i Jamiem. Będę dla nich czarującym panem domu. Kiedy już się wyniosą, podjem trochę pyszności, które Hattie zostawi w kuchni. Jeśli będę głodny. A potem ostro wezmę się do roboty. Wiem, jak śmiertelnie przerazić Val. Zasłużyła sobie na to. Dobrze jej tak. Bardzo dobrze im wszystkim!

Rozdział 21

Na kamiennym tarasie obok biblioteki czekał już stół nakryty dla dwóch osób. Pośrodku stała niska waza z bukietem ze stokrotek i barwnych polnych kwiatów. W dwóch symetrycznie ustawionych świecznikach ze szklanymi

osłonami płonęły świece, stwarzając romantyczny nastrój. Dopełniały go kolorowy, prowansalski obrus i ładne porcelanowe talerze oraz proste, ale gustowne kieliszki i sztućce.

Właśnie tak powinien wyglądać wakacyjny stół: nakryty ze smakiem, naturalny i nieprzeładowany, pomyślała Valerie. Chwała Bogu, nic tu nie wygląda, jakby należało do dawno zmarłej rodziny królewskiej albo do jakiegoś krezusa, który właśnie dorobił się majątku, krzywdząc i oszukując ludzi.

Ta prostota ujmowała ją tym bardziej, że kontrastowała ze splendorem domu Wyna. Oczywiście, Valerie nie wiedziała, czego oczekiwać, ale miała nadzieję, że kolacja nie będzie tak oficjalna, jak można by się tego spodziewać w tak imponującej rezydencji.

Była zaskoczona, że nie przywitał jej Santo Ducci. Co więcej, w ogóle się nie pojawił. Drzwi otworzył jej sam Wyn, ubrany w spodnie khaki, wyprasowaną, czarną lnianą koszulę i markowe pantofle firmy Top-Siders.

Kolejny szok przeżyła, gdy sam przygotował dla nich drinki: dla niej wódkę z tonikiem, dla siebie szkocką z wodą, a potem sam podał kolację, do pomocy mając jedynie Valerie.

W kuchni oznajmił, że Gerda, czyli pani Reinhardt, przyrządziła prosty posiłek: faszerowanego łososa w sosie koperkowym; nieco inną od tradycyjnej, rozpływającą się w ustach sałatkę ziemniaczaną z kukurydzą, estragonem oraz homarem; szparagi na zimno z balsamicznym winegretem i wreszcie pomidory, prosto z przydomowej grządki, z mozzarellą i aromatyczną bazylią, również z ogrodu, wszystko to skropione wprost bajeczną oliwą z oliwek.

Wyn otworzył też butelkę białego burgunda, idealnie pasującego do tej kolacji.

- *Antonin Rodet Chateau de Rully, rocznik dziewięćdziesiąty ósmy* -

powiedział. - Chyba dobre. Nie zdążyłem się jeszcze bliżej zapoznać z tutejszą piwniczką.

- Znakomite - pochwaliła Valerie, skosztowawszy odrobinę.

Teraz siedziała sama na tarasie, sącąc wino i rozkoszując się urokiem letniego wieczoru. Mrok rozjaśniały tylko płomyki świec. Val czekała, aż Wyn przyniesie deser z położonej w drugim końcu domu kuchni. Chciała mu pomóc, ale kazał jej zostać i przetrwać kolację, nim wróci z obiecanyymi słodkościami: domowymi lodami waniliowymi polanymi czekoladą.

Słaby wietrzyk unosił jej rozpuszczone włosy. Valerie miała na sobie cienki, kremowy sweter i kremowe spodnie do pół łydki, do tego sandały w tym samym kolorze. Swobodne, ale doskonale skrojone rybaczki z odrobiną szyku - tylko Armani potrafi takie uszyć. W uszach połyskiwały jej brylantowe kolczyki, a na szyi miała sznurek pereł, odziedziczonych po babci ze strony ojca. Efektu dopełniał „wyjściowy” złoty zegarek, który przed laty dostała od ojca. Rzadko go nosiła, nie chcąc, by się zniszczył - a podczas jej pracy byłoby to nieuniknione.

Kiedy pojawiła się tak ubrana u Eddiego, on, Jonathan i Colette rozplýwali się z zachwytem. Dla Valerie ich pochwały były jak miód na zbolełą duszę, ponieważ popołudnie i wieczór nie upłynęły jej najlepiej. Po rozmowie telefonicznej z Teddym pozostał niesmak, którego nie potrafiła się pozbyć. Mimo to bardzo starannie dobrała strój na kolację z Wynem tak, by - gdyby się okazało, że nie ubrała się wystarczająco oficjalnie - wyglądać przynajmniej elegancko i pociągająco.

A więc wysiłki się opłaciły, pomyślała. Eddie, Jonathan i Colette zasypywali ją komplementami i natychmiast zażądali wyjaśnienia, cóż to za szczególna okazja. Usłyszawszy, że wybiera się na kolację do Stonelair, okazali zdziwienie połączone z zachwytem, po czym poddali Val drobiazgowemu przesłuchaniu. Opowiedziała im, że zajmuje się zwierzętami

w Stonelair i poznała ich właściciela. A kiedy wypytywali o jego niezrozumiałą awersję do życia towarzyskiego, wytłumaczyła, iż Wyn wraca do zdrowia po wypadku podczas gry w polo. Nie wdawała się jednak w szczegóły, uważając, że byłoby to nadużycie zaufania Conrada.- A pieniądze? - dopytywał się Jonathan. - Sądzisz, że naprawdę dorobił się na narkotykach albo jest mafiosem czy kimś w tym rodzaju?

- Nie gadaj od rzeczy - skarciła go surowo Colette. - Ten pan Conrad ma zbyt dobry gust, żeby być zwykłym rzezimieszkiem. Bo tylko człowiek o wyrafinowanym smaku mógł kupić Stonelair. Że nie wspomnę o zaproszeniu naszej Val na kolację. Nie, on musi mieć i rozum, i klasę. Inaczej nie zainteresowałby się Valerie.

Roześmiali się na tę uwagę, ale Val musiała się przyznać, że nie zna źródeł jego bogactwa.

- Wiem tylko, że przedtem żył w luksusie w Palm Beach - powiedziała. - A to dlatego, że widziałam w jego siodlarni mnóstwo zdjęć z meczów polo.

- Widzicie! - zawołała Colette. - To tylko potwierdza, że miałam rację. Gdyby był gangsterem, nie grałby w polo w Palm Beach. -Puściła oko do Val. - Skarbie, pamiętasz naszą niedawną pogawędkę? Kiedy rozmawialiśmy o Teddym i mężczyznach?

Valerie skinęła głową, czując, co się święci.

- Oczywiście, że pamiętam, Colette.

Starsza dama uśmiechnęła się promiennie i pokiwała głową znacząco, jakby miały wspólną tajemnicę.

- Chyba wreszcie dostrzegam rumieniec, który krasi twoje liczko.

Valerie poczerwieniała, ale się nie wypierała.

Kiedy w Stonelair wysiadła z samochodu i stanęła przed drzwiami rezydencji, Wyn otworzył je, nim zdążyła nacisnąć dzwonek.

- Proszę, proszę... - powiedział żartobliwie, obrzucając ją wesołym

spojrzeniem. - A gdzie zabrudzony krwią fartuch? Prawie cię nie poznałem.

- Ciebie też trudno poznać - odparowała.

- Czemu? - spytał zaskoczony.

- Bo przypomniałeś sobie o uśmiechu. Nie wiedziałam, że masz go gdzieś w szafie.

- *Touche, madame* - skapitulował, lekko się kłaniając. Szeroko otworzył drzwi i poprowadził Valerie do biblioteki, gdzie czekał na nią komitet powitalny złożony z czterech wilczarzy i kotki Miny.

Później, gdy już jedli, Wyn kolejny raz pochwalił jej wygląd.

- Naprawdę pięknie dziś wyglądasz. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zwykły strój, w jakim na ogół cię widuję.

- Jeśli to komplement, przyjmuję. I odwzajemniam się takim samym. - Spojrzała na niego. - Lepiej wyglądasz bez tego wielkiego nocha i opatrunku na oku. Prawie przypominasz już człowieka.

- Prawie przypominam? - powtórzył.

- No może trochę ponosi mnie optymizm - zażartowała. - Dostrzegam jednak wyraźnie podobieństwo do istoty ludzkiej. Opaska na oku jest znacznie bardziej twarzowa niż tamten monstrualny bandaż. W ogóle lepiej wyglądasz. Całkiem ładnie się to wszystko goi.

Teraz, przypominając sobie te parę godzin w jego towarzystwie, nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Grosik za twoje myśli - odezwał się Wyn, pojawiając się z tacą w drzwiach.

- Dusigrosz - zażartowała. Uśmiechnął się kpiąco.

- Za to ty masz wysoką stawkę. A co powiesz na ćwierć dolara?

- Może być. Ale... Och, właściwie o niczym nie myślałam. Wieczór jest taki piękny, a mnie tak przyjemnie się tu siedzi...

- Nie spodziewałaś się tego? - spytał, stawiając tacę.

- Nie, nie w tym rzecz. Właściwie nie wiedziałam, czego się spodziewać. A teraz wiem jedno: nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłam.

- Mówisz szczerze?

Wziął z tacy talerzyk i postawił go przed Valerie.

- Tak. - Skinęła głową. - Zapomniałam już, jak to jest... po prostu miło spędzać czas, bez żadnych komplikacji.

Usiadł i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czuję dokładnie to samo. Mam wrażenie, jakbym wyszedł z więzienia na wolność. I nie tylko dlatego, że dowiedziałas się o moim wypadku, bliznach i tym wszystkim. Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego, Val.

Serce jej zabiło szybciej, krew napłynęła do policzków.

- Ch-chyba wiem, co masz na myśli - wyjąkała.

Czule przykrył ręką jej dłoń, a potem lekko uściśnął. Valerie poczuła dreszcz, jakby poraził ją prąd.

- Lepiej zabierzmy się do jedzenia, nim lody się rozpuszczą - uśmiechnął się Wyn, zabierając rękę.

- Wyglądają niezwykle apetycznie - pochwaliła je Valerie, sięgając po łyżeczkę.

- To domowej roboty. Polewa czekoladowa to również dzieło Gerdy.

Włożyła łyżeczkę do ust. - Fantastyczne - powiedziała, rozkoszując się cudownym smakiem lodów.

- Cieszę się, że apetyt ci dopisuje. Lubię to u kobiet.

- Może, ale podejrzewam, że nie byłbyś zachwycony wyglądem kobiety, która na co dzień tak by sobie dogadzała.

Roześmiał się lekko.

- Nie da się ukryć, jest w tym racja, ale naprawdę podoba mi się, że wszystko jesz. Moja eks, a właściwie dopiero wkrótce eks, jadła tyle co

ptaszek. A to i tak tylko wtedy, gdy sobie pozwoliła.

- Miała obsesję na punkcie odchudzania?

- W jej kółku rozmowy toczyły się wokół procentowego udziału tłuszczu w masie ciała. Każde pół kilograma w jedną lub w drugą stronę doprowadzało ją do hysterii. Ale jej ukochanym tematem były chyba operacje plastyczne. Kto najlepiej robi biust, kto jest największym specem od kolagenu, a kto od... Rozumiesz, w czym rzecz. - Zapatrzył się w przestrzeń. Potem znowu spojrzął na Valerie. - Zresztą, ona i tak miała kłopoty sama ze sobą.

Valerie się zawahała. Byłe żony stanowiły niebezpieczny temat, a choć płonęła z ciekawości, bała się zapuszczać na ów zdradliwy grunt. Ale chyba dla Wyna ten temat nie stanowił tabu. W końcu on pierwszy o tym wspomniał.

- Jaka jest naprawdę? - zaryzykowała. - Domyślam się, że nie może być kompletną wariatką, bo wtedy byś się z nią nie ożenił. To jaka była? Szalona i niebezpieczna czy po prostu zwariowana, co przecież może się okazać całkiem sympatyczne.

- Zawsze była odrobinę szalona. Zwariowana w sympatyczny sposób, jak to trafnie określiłaś. Ale z czasem stała się zbyt niezrównowazona jak na mój gust. Pochodziła z niezbyt majątnej rodziny z West Palm Beach. Nie byli biedni, ale na luksusy też nie mogli sobie pozwolić. Jest piękna, bardzo seksowna, a do tego ma główkę nie od parady. Błyskawicznie dostrzegła, co może jej zaoferować Palm Beach, w przeciwieństwie do tego, co dawało jej West Palm.

- Nieustannie pięła się w górę? - domyśliła się Val.

- Zawzięcie. I przyznam, że to mi się u niej podobało. Co w tym złego, że człowiek chce w życiu coś osiągnąć?

- Absolutnie nic - przyznała mu rację.

- Jakoś załapała się na sekretarkę w Palm Beach, poznała bogatego, podstarzałego nowojorczyka, który miał letnią rezydencję w Palm Beach.

Wyszła za niego za mąż. Po dwóch latach gość zmarł na atak serca, a ona odziedziczyła prawie cały majątek.

- Wtedy na horyzoncie pojawiłeś się ty? - domyśliła się Valerie.

- Mniej więcej. Miała trochę kasy, zaczęła się spotykać z facetami.

Zwykle wybierała konserwatywnych, bogatych rozwodników. Zaangażowała się w działalność charytatywną, by dostawać zaproszenia na bale dobroczynne. Sama też organizowała u siebie imprezy, ale już dla bardziej rozrywkowego towarzystwa. Włóczyła się po klubach. Żyłem podobnie jak ona, kobiety mnie lubiły, zmieniałem partnerki jak rękawiczki i w ogóle używałem żywota. Na jednej z imprez znajomi przedstawili nas sobie. Spodobała mi się od pierwszej chwili. Nie tylko dlatego, że była piękna. Zachwyciła mnie jej odmiennosc. W niczym nie przypominała tych surowych cnotek z wyższych sfer Palm Beach. Była buntowniczką, ożywym podmuchem wiatru. Potem okazało się, że kiedy ją poznałem, przeputała już niemal cały majątek po biednym Sydneyu Goodmanie.

Roześmiał się smutno.

- I co zamierzała robić? - spytała Valerie, szczerze zaciekawiona.

- Nie miała pojęcia. Uważała, że na pewno jakoś to będzie. A jeśli nie?

Nie bała się. Niczego. W każdym razie wtedy jeszcze się nie bała.

- Rzeczywiście, twarda dziewczyna. Na ogół kobiety marzą o poczuciu bezpieczeństwa. Zresztą, nie tylko kobiety. Każdy szuka oparcia. Czy to w partnerze, czy w pieniądzu.

- Owszem. Właśnie ta jej beztroska tak mnie oczarowała. Ale po paru latach małżeństwa sytuacja zaczęła się zmieniać.

- Przyszła zażyłość, a wraz z nią nuda? - domyśliła się Val.

-Przepraszam, chyba jestem wścibska.

- Nie, wcale. Arielle błyskawicznie przywykła do zbytku. Rozumiesz, co mam na myśli. Uwielbiałem ją rozpieszczać, ale po pewnym czasie nic nie

potrafiło jej zadowolić. Wszystkiego było jej mało.

- Zależało jej tylko na pieniądzach?

- I to jak! Zresztą, kiedy ja zajmowałem się interesami albo grałem w polo, ona się nudziła. Znalazła sobie rozrywkowe towarzystwo, które nie gardziło narkotykami. Przestała pojawiać się na imprezach charytatywnych i cały czas spędzała z tamtymi ludźmi. A oni szli na całość. Towarzystwo składało się głównie ze znudzonych, kompletnie zdemoralizowanych, nieprzyzwoicie dzianych gości z dobrych rodzin.

- Najwyraźniej sama nie wiedziała, co ze sobą zrobić - zauważyła Valerie. - Wygląda na to, że nie miała własnych zainteresowań, więc się nudziła.

- Pewnie tak. Zaraz po ślubie często towarzyszyła mi, gdy jeździłem na mecze polo. Kiedy podróżowałem w interesach, też. Bardziej jednak odpowiadały jej wyjazdy związane z polo. Na rozgrywki ściągało sporo ludzi o znanych nazwiskach, organizowano imprezy, kwitło życie towarzyskie. Podróże w interesach śmiertelnie ją nudziły. Nie dziwię jej się: zwiedzanie kopalń i oglądanie sprzętu wydobywczego to średnia przyjemność. To wyjątkowo brudna i mało estetyczna branża. Ale mimo to początkowo wszędzie podróżowaliśmy razem. - Umilkł i popatrzył na Valerie. - A potem całkowicie straciła do mnie serce. Pod każdym względem.

- Nadal cię to boli - odezwała się Val po chwili. - To, że przestało ją interesować twoje życie... i ty sam.

Skinął głową.

- Nie będę próbował ukrywać, że nie. - Próbował się uśmiechnąć. - Ignorowała mnie już przed wypadkiem, a po nim zupełnie nie chciała mieć ze mną do czynienia. W ogóle.

- Rozumiem.

Najwyraźniej Arielle, u której już wcześniej wygasły resztki uczucia do

męża, absolutnie nie była w stanie zaakceptować go po wypadku. Jeśli istotnie, tak jak mówił Wyn, miała obsesję na punkcie urody, uprawianie seksu z pokaleczonym mężem musiało być dla niej nie do pomyślenia.

- Może napijemy się brandy? - Zmienił temat.

- Dla mnie tylko kropelkę - powiedziała Valerie. - Nie zapominaj, że muszę dziś wrócić samochodem do domu.

- Pamiętam, choć liczyłem, że cię spiję, żebyś była łatwiejsza, a potem zatrzymam tu na cały weekend i wykorzystam - zażartował Wyn.

- W ten weekend mam dyżur, więc musisz to przełożyć na inny termin. Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Może przejdziemy na drinka do biblioteki? - zaproponował. - Psy były takie grzeczne i wcale nam nie przeszkadzały, zasłużyły na nagrodę w postaci naszego towarzystwa.

- Świetny pomysł.

Wstał i stanął za krzesłem Val, wysuwając je, gdy wstawiała. Potem objął ją w talii i zaprowadził do biblioteki. Na ich widok psy poderwały się z legowisk i podbiegły, domagając się pogłaskania. Wyn podszedł do barku i nalewał do kieliszków brandy, Valerie zaś sprawiedliwie obdzielała całą czwórkę pieszczotami, dopóki usatysfakcjonowane wilczarze nie wróciły na swoje miejsca.

- Boże, są po prostu rozkoszne.- To tylko w stosunku do ciebie. Innych nie traktują tak przyjaźnie. - Podał jej kieliszek i wskazał jedną z wygodnych, skórzanych kanap. - Zaraz - zmitygował się. - Może lepiej tam nie siadajmy. Będziesz cała w kłakach.

- Och, daj spokój, Wyn. Psia sierść to mój chleb powszedni, zapomniałeś?

- Jeśli jesteś pewna...

- Jestem pewna.

Usiadła, a Wyn ulokował się obok, zostawiając między nimi trochę miejsca. Zsunął pantofle i oparł nogi na niskim stoliku.

- Usiądź wygodnie - powiedział.

- Jest mi wygodnie.

- Ale nie zdjęłaś pantofli.

- Trzeba natychmiast to naprawić - powiedziała, zrzucając sandaalki i też wyciągając nogi na stoliku. Poruszyła palcami. - Teraz naprawdę jest mi wspaniale.

- Wiedziałem. Założę się, że kiedy byłaś mała, rodzice ciągle na ciebie krzyczeli, żebyś nie biegała boso.

- Zgadza się - roześmiała się Val. -I to mi zostało do dziś.

- Na zdrowie - powiedział, unosząc swoją brandy.

- Na zdrowie - powtórzyła.

Stuknęli się kieliszkami, patrząc sobie w oczy.

- Cudowny pokój - przerwała ten magiczny moment Valerie, rozglądając się po bibliotece.

- Prawie bez przerwy tu przesiaduję. I, jak na pewno zauważyłaś, psy też. Tu jem, tu czytam, stąd dzwonię. Na komputerze też tutaj pracuję - dodał, wskazując laptop, stojący na francuskim biurku.

- A co robisz na komputerze? - spytała.

- Sprawdzam wszystko, co dotyczy kopalń. Kontroluję stan wydobycia, wysokość sprzedaży i tak dalej. No i wysyłam setki e-maili do zarządu.

- Czyli pracujesz w przemyśle wydobywczym?

- Tak, dziadek pierwszy zainteresował się kopalniami, a potem przekazał je mojemu ojcu. Po śmierci taty przejąłem firmę i rozszerzyłem działalność na pokrewne branże, głównie na przemysł chemiczny. Od kiedy skończyłem piętnaście lat, spędzałem wakacje, pracując w kopalniach, więc mam pojęcie, jak to wygląda od podszewki.

- A twoja matka? - spytała. - Żyje?

- Nie. Zmarła dwa lata po tacie. Bez niego nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Byli nierozłączni. Kiedy umarł, straciła całą chęć do życia.-

Współczuję.

- Pozbierałem się. W końcu minęło już parę lat.

- Czyli teraz sam kierujesz kopalniami? Skinął głową.

- Od paru lat prawie wszystkim mogę zarządzać z domu, ale cztery, pięć razy w roku jadę na parę dni na zachodnie wybrzeże. Dzięki temu dla nowych pracowników szef nie jest tylko abstrakcyjną figurą. Nie ma to jak szczegółowa kontrola i obecność właściciela, żeby machina sprawnie się kręciła. - Wyn się uśmiechnął.

- Założę się, że jesteś twardym pracodawcą.

- Tak - odparł bez wahania. - Ale i sprawiedliwym. Zauważam i doceniam osiągnięcia moich podwładnych. Zresztą wiedzą, że zaliczyłem w firmie każde stanowisko, od najniższego po najwyższe, więc nie widzą we mnie dzianego kapitalisty, żerującego na ich krwawicy. Z niektórymi z nich pracowałem ramię w ramię. - Umilkł i spojrzał na Valerie. - Ale dość o mnie. A jak to wyglądało u ciebie?

- Co wyglądało u mnie?

- Założę się, że rodzice wydali bal, by wprowadzić cię w wielki świat, studiowałaś w jednym z elitarnych żeńskich college'ów Seven Sisters, a tatuś zafundował ci studia na weterynarii.

Parsknęła śmiechem, omal nie dławiąc się brandy.

- Co tak cię ubawiło?

- Twoje... twoje schematyczne myślenie.

- Ale chyba się nie pomyliłem?

- I tak, i nie. Owszem, rodzice wydali bal, by wprowadzić mnie w wielki świat. Tu zgadłeś. Ale to mnie w ogóle nie bawiło. Nie czułam się dobrze w

tym środowisku. Na balu wystąpiłam w pożyczonej sukni i potem już nie poszłam na żadne przyjęcie.

- Robiłaś to, czego wymagali od ciebie rodzice?

- Właśnie. To było prostsze od użerania się z nimi. A jeśli chodzi o szkołę, to o własnych siłach przebrnęłam przez Cornell.

- Żartujesz - powiedział zdumiony.

- Nie. Pracowałam w księgarniach, byłam kelnerką, wyprowadzałam psy na spacer, niańczyłam dzieci, pilnowałam mieszkań, imiałam się wszystkiego. I żyłam na kredyt. Brałam olbrzymie pożyczki studenckie. Które zresztą spłacam do dziś. - Roześmiała się, a Wyn jej zawtórował. - Czasem myślę, że do końca życia nie wyjdę z długów.

- Toś mnie zaskoczyła - przyznał. - Rodzice wprowadzili cię w wielki świat i tak dalej, ale nie opłacili twoich studiów?

- Nie. Mama upierała się przy snobistycznej szkole w Szwajcarii albo studiowaniu literatury czy romanistyki w którymś z college'ów Seven Sisters. Ale się nie zgodziłam. Chciałam zostać weterynarzem. Wtedy oświadczyła, że sama muszę zapłacić za swoją naukę.

- Kpisz sobie?

- Nie. - Pokręciła głową. - Pewnie nie spodziewała się, że sobie poradzę. Przypuszczam, że czekała, aż wrócę do domu z podkulonym ogonem.

Wyn z aprobatą pokiwał głową.

- Tym większe brawa. To wymagało nie lada determinacji. Wzruszyła ramionami.

- Po prostu wiedziałam, czego chcę. Studiowałabym weterynarię, choćby się paliło i waliło.

- Co teraz o tym sądzą twoi rodzice?

- Tata zmarł, nim zdałam na studia. A mama... Cóż, nadal jej to nie zachwyca. Ma jakieś staroświeckie wyobrażenia, że powinnam wyjść za kogoś

z nowojorskiej śmietanki towarzyskiej i żyć przy mężu. Wiesz, zostać jedną z tych eleganckich dam, które spędzają czas na lunchach w wytwornych restauracjach, bawią się w dobroczynność i tak dalej. Jednym słowem, żyć tak jak ona, dopóki nie zmarł tata.

- To nie jest świat dla ciebie. Dusiłabyś się w nim i męczyła - powiedział bez wahania.

- Ja o tym wiem, ale spróbuj to wyjaśnić mojej matce.

- Powinna być z ciebie dumna. Ja bym był i jestem.

- Z czego? - spytała Valerie z uśmiechem.

- Widziałem cię w akcji - przypomniał. - I uważam, że jesteś fantastycznym weterynarzem. I człowiekiem.

Valerie się zaczerwieniła.

- Dziękuję, miło mi to słyszeć.

- A teraz - zmienił temat Wyn - opowiedz mi o tym szczęściarzu, swoim narzeczonym.

- O k-ki...? - Wpatrywała się w niego oszołomiona, nie mogąc dokończyć słowa.

Ukryta w mroku postać wolno, niechętnie opuściła lornetkę. Palce rozmasowały zmęczone oczy.

Przyglądanie się tym dwojgu miało w sobie coś fascynującego. Zupełnie jakby się obserwowało jakiś tajemny rytuał czy szczególnie podniecający film pornograficzny. Choć trzeba przyznać, że w ich zachowaniu nie było nic lubieżnego ani zmysłowego. Nie, oboje zachowywali się absolutnie bez zarzutu. Cały smaczek polegał na naruszeniu ich prywatności. Stąd to dziwne uczucie. Naruszać czyjąś prywatność, obserwować kogoś na jego terenie, bez czyjejś wiedzy i zgody. To ma w sobie coś ekscytującego. Ekscytującego, bo pachnącego zakazanym owocem.

Prawdopodobnie owo podniecenie brało się z samego faktu podglądania.

Nieważne, czy obserwowana osoba robi coś nieprzyzwoitego. Ale tu podniecenie brało się skądinąd. Ta obserwacja miała swój głębszy cel. Ważny cel. Dzisiejszy seans z lornetką uświadomił obserwatorowi, że sytuacja staje się coraz poważniejsza i może źle się skończyć.

Chodziło o to, jak tych dwoje zachowywało się przy kolacji: byli swobodni, odprężeni, roześmiani, a potem następowały nagłe chwile powagi i skupienia. To, jak mężczyzna przysuwał kobiecie krzesło, a potem je odsunął, gdy wstawała. Czują gest, jakim przykrył w czasie kolacji jej palce, a potem objął ją w talii, gdy wchodzili do środka.

Teraz rozsiedli się na kanapie, opierając stopy na stoliku, zupełnie jak para zakochanych nastolatków. Siedzieli blisko, prawie się dotykając, i gadali, gadali, ciągle gadali.

Ta rozmowa! Zwierzenia, opowieści o swoim życiu, przeszłości i teraźniejszości, poznawanie się... Te brednie, głodne kawałki o rodzinie, dzieciństwie... A wszystko to prowadziło tylko do jednego: żeby wskoczyć do łóżka i rzucić się na siebie.

Rzygać się chciało.

Ukryty w mroku obserwator splunął, jakby chcąc się pozbyć goryczy z ust. Potem zerknął na tarczę fosforyzującego zegarka. Minęła jedenasta. Robi się późno, a tu trzeba się brać do roboty. Najwyższy czas wkroczyć do akcji.

- K-kto ci powiedział? - wyjąkała wreszcie Valerie. W głowie kłębiły jej się miliony pytań.

- Nikt - odrzekł Wyn z dumną miną.

- Jak to, nikt? To jakim cudem się dowiedziałeś?

- To proste. - Parsknął śmiechem.

Niech go szlag, pomyślała. Droczy się ze mną i jeszcze go to bawi.

- Co mianowicie jest takie proste?

- Pamiętasz, jak pierwszy raz się tu zjawiałaś?

- Oczywiście. Zwiastun Burzy miał kolkę. A bo co?

- Przyglądałem ci się tamtej nocy - przyznał się Wyn. W jego tonie wreszcie pojawiła się lekka skrucha. - Byłem w stajni. Widziałem cię przy pracy. Ukryłem się w mroku, żebyś mnie nie widziała.

- Rozumiem. Skinęła głową, przypominając sobie tamto nieprzyjemne uczucie, że ktoś ją obserwuje.

- Trudno było nie zauważyć, że masz na palcu prawdziwy kastet - ciągnął Wyn. - Kiedy padło na niego światło lampy, rozjaśnił cały boks. To musiał być pierścionek zaręczynowy. Przynajmniej według mnie, moja miła.

Przełknęła ślinę.

Oczywiście! Zgadzało się, przecież tamtej nocy dostała pierścionek od Teddy'ego. Miała go na palcu, gdy przyjechała do Stonelair. Jeszcze nie zdążyła się z nim oswoić, dlatego zapomniała go zdjąć, kiedy badała chorego wierzchowca. Normalnie zdjęłaby go i schowała, żeby się nie pobrudził.

Spojrzała Wynowi w oczy i skinęła głową.

- Oskarżona przyznaje się do winy - powiedziała z wątlým uśmiechem.

- Czyli jesteś zaręczona? - Na twarzy Conrada malował się wyraźny zawód.

- Można by... W pewnym sensie - powiedziała wreszcie.

- Jak to, „w pewnym sensie”? Może jesteś zaręczona, a może nie jesteś?

Czy jej się wydawało, czy w jego głosie pojawił się cień nadziei?

- Cóż... - Spojrzała w sufit i wzruszyła ramionami. - Od czego zacząć?

- Powiadają, że najlepiej od początku - odrzekł, biorąc ją za rękę.

Popatrzyła na swoją rękę, zamkniętą w jego dłoni. Jego uścisk

był tak naturalny, kojący i... cudowny. Podniosła oczy na Wyna.

- Chodziłam z nim od bardzo dawna, już w college'u. Wszyscy spodziewali się, że wcześniej czy później się pobierzemy. Również ja. - Ciężko westchnęła. - Darujmy sobie szczegóły. Tak czy owak tamtego

wieczoru dał mi pierścionek. Właśnie wtedy, gdy wezwaliście mnie do Zwiastuna Burzy.

Wyn nie odrywał od niej oczu.

- Ale od tamtej pory nie widziałem, żebyś go nosiła.

- Jesteś... jesteś strasznie spostrzegawczy - odrzekła, parszkając śmiechem.

- Jestem strasznie zainteresowany - poprawił z uśmiechem. Milczała.

- Więc jesteś nadal zaręczona czy nie? - drażzył. - Bo nie wyglądasz mi na szczęśliwą narzeczoną.

Znowu wzruszyła ramionami.- Cóż, można powiedzieć, że formalnie nadal jesteśmy zaręczeni.

- Formalnie? - powtórzył. Potaknęła.

- Innymi słowy, nie... - Urwał.

- Innymi słowy - dokończyła za niego - nie powiedziałam Ted-dy'emu, że za niego nie wyjdę.

- Aha - odrzekł cicho Wyn. Na jego wargach pojawił się uśmiech. - To staje się coraz bardziej interesujące. A kiedy zamierzasz poinformować narzeczonego, że nic z tego nie będzie?

- Nie wiem - jęknęła Valerie. - To takie... takie trudne, ciągle brak mi odwagi i odwlekam tę chwilę. Ale wiem, że wcześniej czy później będę musiała to zrobić.

- Lepiej zrób to wcześniej.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- D-do czego zmierzasz?

- Słyszałaś. I doskonale wiesz, do czego zmierzam.

- Chyba... - Bała się powiedzieć na głos, do czego jej zdaniem mógł zmierzać.

- Chcę, żebyś była wolna. Dla mnie.

Valerie zadrżała, jakby przeszył ją prąd. Serce biło jej jak młotem, krew dudniła w uszach. Nie mogła złapać tchu ani wydobyć z siebie słowa. Wybiła godzina prawdy.

Kocha mnie, uświadomiła sobie. A ja jego.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Wyn pochylił się i przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się, tylko z radością wtuliła się w jego ramiona, jakby wreszcie odnalazła swój dom, swoje miejsce na ziemi. Całował ją delikatnie i czuła, jak rozpala w niej ogień. Dłońmi wodziła po jego miękkich, ciemnych włosach, nie przeszkadzał jej szorstki opatrunek, zakrywający część głowy.

I pomyśleć, że ludzie się go boją. Że wymyślają idiotyczne, krzywdzące plotki na jego temat. Pomyśleć, że mnie kocha.

Odpowiedziała na jego pocałunek z żarem, zapominając o całym świecie, żyjąc tylko tą jedną chwilą. Niezapomnianą, czarodziejską chwilą nie z tego świata.

Wreszcie Wyn wypuścił ją z objęć i zajrzał jej w oczy, chcąc odgadnąć myśli i uczucia Valerie. Odpowiedziała pełnym szczęścia uśmiechem, a potem wyszeptała:

- Na pewno wcześniej niż później.

Rozdział 22

Valerie przekreśliła się na bok i spojrzała na stojący na szafce nocnej budzik.

Wpół do siódmej?! Kto to może być, u licha?

Telefon wciąż dzwonił, jego przenikliwy sygnał wwiercał się w uszy. Valerie najpierw próbowała go zignorować, ale potem uświadomiła sobie, że ma dyżur, więc sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - odezwała się, starając się nadać głosowi przytomne brzmienie.
- Valerie?

Kobiecego głos na drugim końcu linii brzmiał władczo i rozkazująco.

Valerie natychmiast się ocknęła.

- Mama? - spytała. - C-co się stało? Jakies problemy?

- Problemy? - powtórzyła Marguerite de la Rochelle. - Ależ skąd. W każdym razie nie u mnie.

- Och. Bo dzwonicz tak wcześnie... Pomyślałam, że... Sama nie wiem.

Zwykle w weekendy nie telefonujesz o tej porze.

- Chciałam cię zaprosić na śniadanie. To był rozkaz, nie propozycja.

- Śniadanie? - zdumiała się Valerie. - Ale... m-mam mnóstwo roboty w domu i...

- Śniadanie będzie punktualnie o dziewiątej - przerwała jej Marguerite.

- I masz przyjechać. Musimy omówić parę spraw. Jak ci wiadomo, odwiedził mnie kuzyn Jamie, a ty nawet nie byłaś łaskawa się z nim zobaczyć.

- Wcale nie unikam Jamiego - broniła się Valerie. - Zamierzałam go zaprosić do siebie albo wpaść do ciebie, by się z nim spotkać. Ale wiesz, jaka byłam zajęta. Mam mnóstwo pracy w klinice i po prostu nie zdążyłam tego zorganizować.

- Najwyraźniej brakuje ci czasu dla rodziny, prawda? - odparła Marguerite. - Właśnie dlatego dzisiejszy poranek to idealny moment, przyznasz. W końcu jest weekend, nie pracujesz, możemy więc zjeść razem śniadanie.

- Jestem na dyżurze - zastrzegła się Valerie. - W każdej chwili mogę...

- Niech piekło pochłonie tę klinikę! - rozgniewała się Marguerite. -

Chyba możesz wygospodarować trochę czasu na śniadanie z matką i kuzynem.

A jakiś chory kundel najwyżej sobie poczeka. Dziewiąta!

Valerie nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle w uchu jej zadudniło: to

matka z impetem rzuciła słuchawkę. Val przez chwilę wpatrywała się w swoją słuchawkę, a potem ją odłożyła. Westchnęła, zastanawiając się, czym sobie na to zasłużyła, ale zaraz wybuchnęła głośnym śmiechem.

Słyszając to, Elvis, który leżał na podłodze w nogach łóżka, zaczął wesoło merdać ogonem. Valerie spojrzała na niego, nie mogąc zapanować nad szaleńczym, wyzwajającym śmiechem, który oczyszczał jej myśli.

- Och, Elvisie - wykrztusiła, uspokoiwszy się. - Nie zepsują mi dziś humoru. Nikt nie może mi dziś go popsuć.

Objęła się rękami, z radością wracając do wspomnień z ubiegłego wieczoru. Do wspomnień o Wynie Conradzie.

Elvis patrzył na swoją panią z - była tego pewna - promiennym uśmiechem, nadal z entuzjazmem tłukąc ogonem o podłogę. Valerie wstała z łóżka, wspięła się na palce i wyciągnęła rozłożone ramiona ku sufitowi.

- O nie, Elvisie - powtórzyła. - Marguerite de la Rochelle nie zdoła mi dzisiaj dokuczyć, choćby nie wiem jak próbowała.

Pobiegła do łazienki, a potem na bosaka, wciąż jeszcze w obszernej koszulce, którą nosiła zamiast piżamy, podreptała do kuchni. Za nią jak cień ruszył Elvis. Wlała mu świeżą wodę i przygotowała śniadanie: jego ulubioną suchą karmę z tuńczykiem. Potem wsypała kawę do pojemnika i włączyła ekspres. Kiedy Elvis skończył jeść, wypuściła go do ogrodu, a sama wróciła do łazienki i wzięła szybki prysznic. Otulona w szlafrok, wlała sobie do kubka kawę i wyszła na taras, by tam ją wypić. Ranek zapowiadał się pięknie i Val żałowała, że nie spędzi go w ogrodzie, krzątając się wśród roślin. Z nadzieją nasłuchiwała, czy przypadkiem nie rozlegną się ciche kroki Colette, przychodzącej w odwiedziny z Haydenem. Marzyła, by z nią poplotkować. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie przyjaciółce o wydarzeniach ubiegłego wieczoru, ale to będzie musiało poczekać. Za wcześnie, żeby teraz do niej dzwonić.

Dopiła kawę i wróciła do mieszkania. Spojrzała na zegar kuchenny. Już prawie ósma, trzeba się szykować na to nieszczęsne śniadanie z matką i Jamiem.

Poszła do łazienki, delikatnie podkreśliła oczy kredką i tuszem, przypudrowała twarz, musnęła policzki odrobiną różu. Potem starannie umalowała usta imbirową szminką, świetnie harmonizującą z jej rudawymi włosami i zielonymi oczami. Wreszcie energicznie rozczesała włosy, nie wiążąc ich. Odsunęła się i przyjrzała sobie w lustrze.

Nie jest źle, pomyślała, choć wiedziała, że bez względu na jej wysiłki, matka i tak nie będzie zadowolona. Nie, mama zawsze dopatry się jakiegoś feleru i nie omieszka mnie o tym poinformować.

Uśmiechnęła się do swego odbicia.

Cóż, dziś krytycyzm Marguerite nie na wiele się zda, powiedziała sobie w duchu. Bo nic, absolutnie nic nie zdoła zepsuć mi humoru.

Przypomniała sobie o perfumach i szybko spryskała się odrobiną wody toaletowej Femme.

Wybiegła z łazienki do sypialni, zrzuciła szlafrok, włożyła bieliznę, a potem zaczęła szperać w szafie.

Gdzie, u diaska, jest moja zielona jedwabna bluzka? - zachodziła w głowę. Lubiła ją, bo była prawie w kolorze jej oczu. Otwierała szufladę za szufladą w nadziei, że złożyła bluzkę i tam ją schowała. Na próżno.

Przetrząsnęła całą szafę. Również bez efektu.

No, trudno, pomyślała. Złapała granatową bluzkę, też jedwabną jak ta zielona, i szybko ją włożyła, a potem wyjęła kremowe obcisłe spodnie za kolana, podobne do tych, które nosiła dzień wcześniej. Wreszcie wsunęła na nogi kremowe sandały i wróciła do kuchni po torebkę.

Gotowa, pomyślała. Nie, jeszcze Elvis.

Wyszła na taras i zawołała psa. Przybiegł w podskokach. Otworzyła

drzwi i wpuściła go do środka.- Elvisie, jadę do mamy, więc muszę cię zostawić. - Pochyliła się i przez chwilę go głaskała. - Przykro mi, ale i ty, i mama będziecie znacznie szczęśliwsi, jeśli tam się nie pojawisz.

Zamknęła drzwi, zostawiając uchylone wejście kuchenne, aby Elvis mógł wylegiwać się na ganku albo zostać w środku, zależy, na co będzie miał ochotę. Tęsknie popatrzyła na ogród, potem odwróciła się i wyszła z domu.

Strasznie jej się nie chciało jechać do matki, ale dziś i tak nic nie zdołałoby popsuć Val humoru.

Dwadzieścia minut później Valerie zatrzymała dzipa na podjeździe przed domem matki i mina jej zrzędała.

Srebrny jaguar Teddy'ego.

O, nie, pomyślała. Dlaczego mnie nie uprzedziła? I co on tu robi tak wcześnie?

Ale nie trzeba było mieć geniuszu Einsteina, by się domyślić, czemu Teddy się tu pojawił. Oczywiście, Marguerite go zaprosiła. I zapewne wpadła na ten pomysł wspólnego śniadania po tym, jak wczoraj Teddy poinformował ją, że mimo jego nalegań Valerie nie zgodziła się zmienić wieczornych planów.

Cały Teddy. Natychmiast musiał polecieć na skargę do mamy, by pomogła mu utrzymać mnie w ryzach. Cóż, tym razem wam się nie uda, robaczki.

Weszła na zabudowany taras, gdzie stał już nakryty do śniadania stół. Zajrzała do kuchni. Effie pochylała się nad piekarnikiem, wyjmując blachę z croissantami. Usłyszawszy kroki, odwróciła się z radosnym uśmiechem.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powitała Val, kładąc blaszkę na blat.

Valerie ucałowała i uściskała gospodynię.

- Doskonale wyglądasz, Effie.

- Nie musisz mi się podlizywać, ale i tak miło, że to mówisz. -Przyjrzała

się jej i zmrużyła oczy. - Za to ty...! Ty wyglądasz naprawdę wspaniale, Val. Promieniejesz od stóp do głów.

- Tak sądzisz? - Młoda kobieta uśmiechnęła się promiennie.

- Sama wiesz, że to prawda. Powiedz Effie, co kombinujesz. Doskonale znam tę minę: wydarzyło się coś naprawdę dobrego.

- Ależ, Effie. Nie mam pojęcia, o co może ci chodzić.

- Śmiało - zachęcała ją gospodyni. - Możesz mi się zwierzyć, panienko.

Valerie pochyliła się i znów pocałowała ją w policzek.

- Opowiem ci później - obiecała. - Kiedy nikt nie będzie się tu kręcił.

- Słowo? - spytała Effie, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

- Słowo.

- Wiedziałam! - rozpromieniła się Effie. - Po prostu wiedziałam!

- Gdzie mama? - zmieniła temat Valerie.

- Jest razem z panami przy starym basenie. Dziwne, że ich nie zauważyłaś.

- Basen? - zdziwiła się Valerie. - Co oni tam mogą robić o tej porze?

- A bo ja wiem? - wzruszyła ramionami gospodyni. - Od kiedy zjawił się tu ten twój kuzyn, ciągle szepczą po kątach jak para spiskowców. Jakby planowali morderstwo. I o niczym mi nie mówią.

Valerie ściągnęła brwi, ale zaraz się rozchmurzyła.

- Nie przejmuj się, to pewnie nic ważnego, Effie. Może opowiadają sobie jakieś stare sekrety rodzinne. Przypominają, co kto przeskrobał.

- Phi! - prychnęła Effie. - To nie byłaby dla mnie żadna nowość.

Usłyszały głosy i zamilkły. Val odwróciła się do drzwi.

- Pogadamy później - obiecała i wyszła się przywitać.

Matka uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz Valerie ani przez chwilę nie dała się zwieść.

- Dzień dobry, skarbie. - Marguerite podstawiła policzek do uca-

łowania.

- Dzień dobry - odrzekła Val, całując ją. - Jamie! Jak miło cię widzieć.

Kuzyn objął ją i oboje cmoknęli powietrze.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

- Ty też doskonale. Chyba sporo trenowałeś. Południe Francji wyraźnie ci służy.

Nagle poczuła na ramieniu dłoń Teddy'ego.

- Dzień dobry - powiedział, całując ją w policzek.

- Dzień dobry, Teddy - odrzekła, unikając jego spojrzenia.

Z kuchni wyszła Effie, niosąc na tacy dzbanek kawy, koszyki i półmiski z jedzeniem.

- O, widzę, że Effie już wszystko przygotowała - odezwała się matka. - Siadajmy. Jamie wysunął krzesło dla Marguerite, która przydykowała u szczytu stołu, a Teddy dla Valerie. Usiadła, mimo wcześniejszego optymizmu czując narastający niepokój.

Effie postawiła tacę, zdjęła półmiski, a potem zaczęła nalewać kawę. Na śniadanie była jajecznica, smażony boczek i kiełbaski, croissanty i bułeczki, marmolada oraz owoce. Marguerite nakładała sobie jedzenie, a potem podawała półmiski dalej. Wszyscy zajadali z apetytem.

- Pyszne - westchnęła z zachwytem Valerie. - Już zapomniałam, jakie śniadania przyrządza Effie.

- Powinnaś więc częściej tu wpadać - odparła Marguerite, patrząc na córkę z wyrzutem. - Jak zapewne ci wiadomo, Effie robi je co dzień.

- Założę się, że Val ma w domu więcej jedzenia dla Elvisa niż dla siebie - roześmiał się Teddy.

Valerie poczerwieniała, ale nie dała się sprowokować. Niech sobie mówią, co chcą. Dziś nikt ani nic nie może mnie zranić, powtarzała sobie w duchu.

- U Marguerite zawsze wszystko jest na najwyższym poziomie -
pochwalił Jamie. - Czy to dla człowieka, czy dla zwierzęcia.

Jedli, prowadząc lekką konwersację. Rozmowy koncentrowały się wokół ogrodu i basenu, który -jak się okazało - z bliżej nieokreślonych powodów matka postanowiła całkowicie przerobić. A choć ten pomysł zainteresował Valerie, nie włączała się do rozmowy. Postanowiła, że będzie tylko słuchać, a przy pierwszej okazji postara się zniknąć. Nieoczekiwanie jednak znalazła się w centrum uwagi zebranych.

- Val, skarbie - odezwała się matka swoim najbardziej protekcyjnym tonem. - Tak się cieszę, że mogłaś dziś przyjechać. Sądzę, że już najwyższy czas, abyśmy porozmawiali o ślubie. Sporo o tym dyskutowaliśmy z Teddym i twoim kuzynem Jamiem i zdecydowaliśmy, że wybierzemy jak najbliższy termin. Niczego nie będziesz musiała robić, my wszystkim się zajmiemy.

Valerie nie wierzyła własnym uszom. A mimo to wiedziała, że słuch jej nie myli. Wiedziała też, że matka nie żartuje. Parokrotnie już miała wpaść jej w słowo, ale powstrzymała się, przynajmniej chwilowo. Niech Marguerite powie wszystko, co sobie ułożyła.

- Od lat spotykacie się z Teddym - ciągnęła - na dobrą sprawę razem mieszkacie, uważamy więc, że najwyższy czas zalegalizować ten związek. Jestem przekonana, że gdyby twój ojciec żył, też by sobie tego życzył. Ani on, ani ja nigdy nie pochwalaliśmy wspólnego mieszkania przed ślubem, ale wierzyliśmy, że ty i Teddy wkrótce się pobierzecie.

Popatrzyła pytająco na Valerie. Wyglądała na zaskoczoną przedłużającym się milczeniem córki.

- Rozumiem - odezwała się wreszcie Valerie obojętnym tonem, popijając kawę.

- Och, doskonale. Bardzo się cieszę - podjęła Marguerite. - Postanowiliśmy też, że darujemy sobie wielki ślub kościelny i huczne wesele. To

tylko strata czasu i pieniędzy, zwłaszcza że oboje jesteście tacy zajęci. Teddy robi karierę, a ty masz te swoje zwierzątka. To zupełnie niepotrzebne, zgodzisz się ze mną? - Uniosła brwi i popatrzyła na córkę.

- W całej rozciągłości - odpowiedziała Valerie.

- Cudownie - oświadczyła Marguerite, klaskając w dłonie. -Urządźmy więc jak najszybciej skromny ślub tu, u mnie w domu. Tylko najbliższa rodzina. Effie przygotuje weselny obiad albo inny poczęstunek. Tak się cieszę, że twój kuzyn Jamie będzie mógł być świadkiem tej radosnej chwili. Może poprowadzi cię w zastępstwie ojca? Co ty na to?

Valerie uznała, że dłużej nie może słuchać przemowy matki, bo wybuchnie. Na usta cisnęła jej się ostra replika, ale postanowiła nie wypowiadać jej na głos. Wystarczająco oburzające było to, że tych troje rościło sobie prawo do decydowania o jej życiu! W dodatku porozumieli się za jej plecami, co przepełniło czarę goryczy.

Za kogo, a raczej za co oni mnie uważają? - myślała rozwścieczona. Za pionka na ich prywatnej szachownicy. Zawsze tak... pokornie ugiinałam się i ustępowałam, że wyobrazili sobie, iż zdołają siłą wepchnąć mnie w to małżeństwo?

Marguerite wpatrywała się w nią z błyskiem w oku i uśmiechem na ustach, spokojnie czekając na stosowną reakcję córki. Po chwili jednak, zauważyła Valerie, matka zaczęła stukać w blat stołu wypielegnowanymi, starannie pomalowanymi paznokciami. Również Teddy i Jamie nie odrywali wzroku od nich obu.

Są jak demoniczne bliźniaki, pomyślała Val. Tyle że Jamie był mocniej zbudowany i krócej ostrzyżony.

Wreszcie odstawiła filiżankę i głośno nabrała powietrza. Spojrzała Marguerite prosto w oczy.

- Nie będzie żadnego ślubu, mamó - oświadczyła spokojnie, ale

nieugiętym tonem.- Nie mów od rzeczy - roześmiała się Marguerite, zupełnie jakby nie przyjmowała do wiadomości słów córki.

Popatrzyła na Teddy'ego, a potem na kuzyna i wymownie wzruszyła ramionami.

- Nie mówię od rzeczy - odparła Valerie.

- Co to właściwie ma znaczyć? - spytała matka. Z jej głosu ulotniło się całe rozbawienie.

- To, co słyszeliście. Nie będzie żadnego ślubu, bo nie wychodzę za mąż.

- Ależ skarbie, chyba... - zaczęła Marguerite.

- Przepraszam, że musiałam to powiedzieć publicznie, Teddy -zwróciła się do narzeczonego Valerie. - Nie wyjdę za ciebie za mąż.

Nad stołem zawisło pełne zdumienia milczenie, gdy tamci troje przetrawiali jej słowa. Valerie zauważyła w drzwiach kuchni szeroko uśmiechniętą Effie. Ciszę przerwał wybuch śmiechu Jamiego.

- Och, Val, zawsze byłaś taka... taka inna. Uwielbiam te twoje dowcipy.

- Ja nie żartuję, Jamie.

-Val, chyba powinniśmy o tym porozmawiać na osobności. - Teddy wyciągnął do niej rękę, ale ją odsunęła.

- Nie ma o czym rozmawiać - odrzekła cicho.

Podniosła z podłogi torebkę, chwilę w niej szperała, wreszcie wyjęła czarne pudełko z napisem „Bulgari”. Położyła je na stole i popchnęła w stronę Teddy'ego.

- Nie tak zamierzałam to zrobić, ale chyba nie dałeś mi wyboru.

Zaplanowaliście wszystko bez mojej wiedzy. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zwrócić pierścionek i zerwać zaręczyny, teraz, tutaj, nim znowu ustalicie coś bez mojej zgody.

- Ale my... - zaczął Teddy. W jego głosie brzmiała wściekłość i

niedowierzenie.

- Ty niewdzięcznico! - wpadła mu w słowo Marguerite, łamiącym się z furii głosem. - Jak śmiesz sprzeciwiać się mojej woli! I co za niewyobrażalny brak taktu! Czy tak postępuje moja dobrze wychowana córka?! Jak mogłaś tak bezdusznie potraktować tego cudownego mężczyznę? Powinnaś była przynajmniej wziąć go na bok i powiedzieć mu to w cztery oczy!

- Nie wygłaszaj mi kazań na temat dobrego wychowania. - Valerie z trudem panowała nad gniewem. - Ty i Teddy nie mieliście dość przyzwoitości, by wziąć mnie na bok i zapytać o ślub. Czyż nie tak, mamó? Zaprosiłaś mnie tu, przekonana, że liczą się tylko twoje życzenia i plany Teddy'ego! Że zrobię wszystko, co mi rozkażesz. Marguerite wpatrywała się w córkę, jakby ta nagle oszalała.

- Ale mam dla ciebie niespodziankę. - Valerie odsunęła krzesło i wstała. - Tym razem nie zamierzam cię posłuchać. - Zrzuciła torbę na ramię i odwróciła się do Teddy'ego. - Naprawdę nie chciałam, by tak to się odbyło, Teddy, i bardzo cię za to przepraszam. Ale musisz przyznać, że spiskując za moimi plecami, też postąpiłaś niepięknie. A teraz... - Powiodła wzrokiem po Jamiem i matce - darujcie, ale już pójdę.

Jeszcze w progu zatrzymał ją głos matki.

- Val, skarbie?

- Tak? - zapytała, nie odwracając się.

- Jeszcze sobie o tym porozmawiamy we dwie.

- Nie, mamó - odparła zdecydowanie, patrząc Marguerite w oczy. - Nie będziemy już o tym rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy.

Otworzyła drzwi i energicznym krokiem poszła do dżipa. Cała się trzęsła, gdy uruchomiła silnik i ruszyła w dół długą aleją, wiodącą z willi matki do drogi.

Kiedy wyjechała na szosę, oczy miała pełne łez. Łez wstydu i

upokorzenia. Łez ulgi. A nade wszystko łez radości.

Gdy otworzyła drzwi, Elvis przywitał ją tańcem radości, drapiąc pazurami po drewnianej podłodze.

- Och, piesku, tak się cieszę, że cię widzę. - Uklękła i przytuliła go do siebie. - Miałeś szczęście, że ze mną nie pojechałeś. Ale teraz zaczniemy dzień od nowa. Może być już tylko lepiej.

Przeszła do kuchni, a za nią Elvis. Rzuciła torebkę na okrągły blat na środku pomieszczenia i spojrzała na zegar. Trochę po dziesiątej. Najchętniej od razu chwyciłaby telefon i zadzwoniła do Stonelair z nowinami, ale zdecydowała, że najpierw musi ochłonąć i przetrwać to, co się wydarzyło. Ciągle jeszcze nie odzyskała równowagi po scenie u matki, a nie chciała w rozmowie z Wynem wyjść na histeryczkę.

Może zatelefonuję do Colette, pomyślała. Napijemy się kawy i pogadamy. Muszę się pozbierać, uporządkować sobie wszystko, a ona na pewno mi w tym pomoże.

Sięgnęła po aparat, ale w chwili, gdy podnosiła słuchawkę, zadzwonił. Może to Wyn, pomyślała.

- Halo? - odezwała się z nadzieją. - Val, tu... tu Eddie. - Usłyszała zduszony głos starego przyjaciela.

- Cześć, Eddie. Co się dzieje? Jakoś dziwnie mówisz.

Jej radar wychwytywał niepokojące sygnały. Eddie najwyraźniej był poruszony.

- Cho... chodzi o Noego - wykrztusił i wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

- Eddie, spokojnie - uciszała go Valerie. - Wyjaśnij mi, co się stało.

- O-o-on... n-n-n-nie żyje - szlochał mężczyzna.

Nie żyje? To niemożliwe, pomyślała. Przecież parę dni temu go badałam i był zdrow jak ryba.

- Proszę, Eddie, opowiedz dokładnie, co się stało.

Parę razy głęboko zaczerpnął tchu i z trudem odzyskał panowanie nad głosem.

- Wczoraj koło dziesiątej, może wpół do jedenastej wieczorem wypuściłem go do ogrodu. Jak zawsze zostawiłem uchylone drzwi na taras, żeby mógł wrócić. Rano nie było go w legowisku, więc pomyślałem, że jest już na dworze. Wszedłem i nawoływałem go. Kiedy nie przybiegł, zaczęliśmy go z Jonathanem szukać. Przypuszczałem, że zobaczył wiewiórkę i jest zaaferowany, dlatego nie reaguje na wołanie. - Głos znowu mu się załamał. Valerie cierpliwie czekała, aż Eddie się uspokoi.

- Z-z-znaleźliśmy go przy strumieniu - kontynuował mężczyzna po chwili. - Martwego.

- A może tylko jest ranny? - spytała.

- Został zabity! - zawołał Eddie. - Ktoś go uśmiercił z zimną krwią!

- Uśmiercił? - powtórzyła Val z niedowierzaniem.

- Jestem tego pewien! - upierał się. - Ktoś zamordował Noego!

- Już do ciebie jadę - powiedziała.

- Naprawdę? Możesz, Val? - spytał Eddie pełnym łez głosem.

- Będę za pięć minut.

Odwiesiła słuchawkę, chwyciła torbę i ruszyła do drzwi.

- Niedługo wrócę, piesku. - Pochyliła się nad nim i pogłaskała go na pożegnanie. - Pilnuj domu.

Wybiegła z domu, wskoczyła do samochodu i na złamanie karku popędziła do Eddiego.

Eddie i Jonathan czekali na nią przed domem. Widać było, że płakali. Czerwone i zapuchnięte oczy świadczyły o ich żalu. Uściskała obu, serce ścisnęło jej się ze współczucia. Potem od razu przystąpiła do rzeczy. - Dobrze. Pokażcie mi go.

- To tam. - Jonathan wskazał ręką strumień, wyznaczający naturalną granicę posesji. - Poczekasz tu, Eddie? Ja zaprowadzę Val.

- O, nie. Pójdę z wami.

Przeszli przez bujną zieleń ogrodu i dalej wśród drzew do kamienistego strumyka. Jonathan wskazywał drogę, a Val, ściskając za rękę Eddiego, trzymała się nieco z tyłu.

- Nie ruszaliśmy go - wyjaśnił Eddie. - Chcieliśmy, żebyś najpierw ty go zbadała, bo nie wiemy, czy zawiadomić policję.

- Zobaczymy - odpowiedziała.

- Z daleko wygląda, jakby wyciągnął się i spał. I tak właśnie sądziłem na początku. Pomyślałem, że tylko sobie śpi. Ale kiedy podszedłem bliżej, zrozumiałem, co się stało.

Znaleźli się koło strumienia. Jonathan stanął. Valerie zobaczyła, jak drżącemu ramiona. Dłonią zasłonił usta. Podeszła do psa wraz z Eddiem.

Nie ulegało wątpliwości, że to nie sen zmorzył Noego. Biedak z całą pewnością nie żył. I z pewnością skonał w męczarniach. Eddie chyba bardzo chciał wierzyć, że Noe tylko śpi. Piękny husky leżał na grzbiecie, podkurczone przednie łapy sterczały w powietrzu. Ślepią miał otwarte, zastygł na zawsze z groźnie obnażonymi kłami.

Valerie przyklękała, by zbadać psa, ale jej uwagę przykuł oblepiony przez muchy krwisty ochłap, leżący tuż obok Noego.

Mięso, pomyślała, czując, jak w gardle rośnie jej gigantyczna gula. Pewnie ktoś rzucił biedakowi kawał wołowiny albo coś w tym rodzaju.

Oczy zaszyły jej łzami, ale szybko je otarła i próbowała się skupić na zwłokach Noego. Szybko go zbadała, dostrzegając rozszerzone źrenice.

Prawdopodobnie trucizna, pomyślała. Chyba jakiś narkotyk.

Odwróciła się do Jonathana.

- Macie w domu torebki do mrożonek albo jakieś plastikowe woreczki?

- Oczywiście. Już przynoszę. Zaraz wracam - powiedział i pobiegł w stronę domu.

- Został otruty, prawda? - spytał Eddie. Val wyprostowała się i skinęła głową.

- Tak, Eddie. Wszystko na to wskazuje.

- Val, spójrz. Elektryczny pastuch biegnie tamtędy. Palcem wskazał w powietrzu granicę parceli. Zatrzymał wzrok na mostku, przerzuconym przez strumień w pobliżu.

- Ten, kto to zrobił, musiał zejść z mostu tą ścieżką i iść wzdłuż strumienia. Potem przerzucił mięso nad elektrycznym pastuchem na naszą stronę.

Patrzył na nią pytająco, ciekaw, co sądzi o jego hipotezie. Valerie skinęła głową.

- To ma sens, Eddie.

- Noe nigdy nie przechodził poza tę linię. W każdym razie od paru ładnych lat. Dwa czy trzy ukłucia prądem, gdy był szczeniakiem, wystarczyły.

- Zatem ktoś musiałby przerzucić mięso na waszą stronę specjalnie, aby Noe je zjadł. Ale kto mógł zrobić coś takiego? I po co?

Eddie spojrzał jej w oczy.

- Podstawowe pytanie brzmi: kto chciałby to zrobić? Zwłaszcza że ów ktoś wiedział, którądy biegnie niewidzialne ogrodzenie.

- Wcale nie jest powiedziane, że osoba, która rzuciła psu mięso, wiedziała o elektrycznym pastuchu. Ale jeśli twoje podejrzenia są słuszne, Eddie, oznaczałoby to, że sprawca dość dobrze cię zna.

- Właśnie. - Skinął głową.

- Masz jakieś podejrzenia? Przychodzi ci na myśl ktoś, kto z jakiegoś powodu nie przepadał za Noem? Albo... za tobą?

Eddie wbił wzrok w ziemię.

- Wciąż zadaję sobie to samo pytanie, Val, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Niedaleko mostu często zostawiają auta okoliczni mieszkańcy, którzy przyjeżdżają tu na ryby, i Noe czasem ich obszczekiwał. Ale zawsze trzymał się granicy działki. Nigdy nikogo nie zaatakował. - Wzruszył ramionami. - Sam nie wiem, Val. Nikt nigdy się na niego nie skarżył, a nie przychodzi mi na myśl nikt, kto miałby do mnie jakieś pretensje.

Wrócił Jonathan z dużą plastikową torebką.

- Ta się nada? - spytał.

- Doskonale.

Wzięła torbę i znowu przyklękła. Wyjęła kilka chusteczek higienicznych, chwyciła przez nie mięso i razem z chusteczkami włożyła je do przezroczystego worka. Zacisnęła taśmę spinającą brzegi i wstała.

- Muszę dać to do laboratorium, ale tak samo jak wy jestem przekonana, że w mięsie była trucizna. - Spojrzała na obu mężczyzn. - Bardzo wam współczuję.

- Dziękuję, że przyjechałaś, Val - powiedział Eddie.

- Dasz nam znać, kiedy będzie coś wiadomo? - spytał Jonathan.

- Tak. Zadzwoń, jak tylko dostanę wyniki. Poproszę, żeby szybko przebadali próbkę, więc gdzieś w połowie tygodnia powinnam już coś wiedzieć. Powiedzcie jeszcze, co zamierzacie zrobić z Noem?

- Nie wiem, czy przepisy tego zabraniają czy nie; a nawet jeśli zabraniają, guzik mnie to obchodzi. Pochowamy go tutaj, w naszym ogrodzie. W pobliżu altanki.

- Pomogę wam - zaoferowała się Valerie.

- Nie, Val - podziękował Jonathan. - Nie trzeba, poradzimy sobie.

- Naprawdę chętnie wam pomogę.

- Nie. I tak już bardzo dużo zrobiłaś - powiedział Eddie. - Zajmiemy się tym z Jonathanem.

- Wezwiecie policję? Mogę poczekać, aż przyjadą.

- Chyba nie - odrzekł zrezygnowany Eddie. - Przecież nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- Oprócz słusznych podejrzeń, że Noego ktoś otruł - zauważyła Valerie.

- A za parę dni będę wiedziała, czym.

- I na tym sprawa się zakończy. Policja nic nie znajdzie. Ja sam nie mam pojęcia, kto mógł to zrobić, więc nie pomogę w wykryciu sprawcy.

- A tobie przychodzi coś do głowy, Jonathanie? - zwróciła się do drugiego mężczyzny. - Jakaś osoba? Jakiś powód?

- Nie. Nic mi teraz nie przychodzi do głowy. Może nie wszyscy za nami przepadają, ale nie sędzę, aby ktoś aż tak nas nienawidził. Podejrzewam, że to jakiś szaleniec. Tylko takie wytłumaczenie mi się nasuwa.

- Pewnie masz rację - zgodziła się Val. - To po prostu nie mieści się w głowie. Skoczę z tym do kliniki, ale najpóźniej za godzinę będę w domu. Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie znać.

- Dzięki, Val - powiedział Eddie. - Jesteś naprawdę cudowna. Pocałował ją w policzek i jeszcze raz się objęli. Potem uściskała Jonathana.

- Będę się zbierać.

- Odprowadzimy cię do samochodu - zaproponował Eddie.

- Nie. - Odwróciła się. - Nie trzeba. Macie tu ważniejsze sprawy. Poradzę sobie.

Wróciła przez zagajnik i tonący w zieleni ogród do stojącego na podjeździe samochodu. Coś okropnego, myślała, kręcąc głową. Coś w śmierci Noego - w morderstwie, poprawiła się - nie dawało jej spokoju, ale nie potrafiła sprecyzować, co to.

Kto, na Boga, mógł zrobić coś takiego, zastanawiała się. Może Jonathan ma rację? Może to rzeczywiście robota jakiegoś szaleńca, a Noe stał się

przypadkową ofiarą. Ale jeśli tak, to czemu morderca zadał sobie tyle trudu? Musiał kupić truciznę i mięso. Musiał zaparkować dalej, żeby nikt go nie zauważył ani nie usłyszał. Musiał w środku nocy zejść z mostu, a potem iść wzdłuż strumienia. Dodajmy jeszcze do tego elektrycznego pastucha. Wariat, który wiedział o niewidzialnym ogrodzeniu?

Wsiadła do dżipa i pojechała do lecznicy, by schować próbkę mięsa do zamrażarki. Przeszedł ją lodowaty dreszcz.

To takie podłe i złośliwe. Czemu ktoś miałby z zimną krwią zabijać psa?

Rozdział 23

Na pewno nie chcecie zjeść z nami kolacji? - dopytywała się Bibi Whitman. - To skromne przyjęcie, będzie raptem dwadzieścia osób.

Wypiła łyk swojej wódki z martini i odstawiła szklanę na stolik obok białego, wiklinowego fotela. Siedziała na brzeżku, wyprostowana jak struna, z zaplecionymi nogami. Mocno opierała się o kamienną posadzkę tarasu stopą w pantoflu na niewielkim obcasie.

- Bardzo to miłe z twojej strony, Bibi - podziękował Lolo - ale teraz chciałbym zrzucić z siebie brudne ubranie do polo, umyć się i zdrzemnąć. Później pewnie wybierzemy się gdzieś na hamburgera i wcześniej pójdziemy spać,

- Hm, rzeczywiście nie powinnam zbyt wiele od ciebie wymagać - powiedziała ze zrozumieniem. - Pewnie jesteś skonany. Grałeś dziś jak szatan, Lolo. Założę się, że wszyscy, którzy to oglądali, pragnęliby mieć cię w swoich drużynach. Tak, po swoim dzisiejszym występie powinieneś spodziewać się wielu ofert.

- Dziękuję, Bibi. - Uśmiechnął się szeroko.

- Na pewno Joemu nic się nie stało? - zatroszczyła się Arielle.

- Oczywiście, że nic, Arielle - zaśmiała się kobieta. - To po prostu wiek. Za dużo na siebie bierze. Znasz mężczyzn. Musi tylko trochę odpocząć.

- To dobrze. Martwiłam się o niego - uśmiechnęła się słodko Arielle.

Nic dziwnego, że ten stary cap ledwie żyje, dodała w duchu. Co wieczór przyjęcie, w południe lunch w dużym gronie, obfite śniadania, podwieczorki zakrapiane szkocką. To wykończyłoby nawet o połowę młodszego faceta. A do tego jeszcze musi wytrzymać z tą jędzą.

Wyjęła z pudełka cygaretkę, a Lolo podał jej ogień.

- Dziękuję, skarbie - powiedziała.

Bibi i Lolo zaczęli rozprawiać o właśnie zakończonym treningu, omawiając każde zagranie i ruch. Arielle przykleiła do twarzy uśmiech i śmiertelnie znudzona, myślami błądziła gdzie indziej. Uznała, że serdecznie nie znosi polo, choć lubi mężczyzn, którzy uprawiają ten sport.

Jak zauroczona przyglądała się gospodyni. Dałaby sobie głowę uciąć, że Bibi flirtuje z jej kochankiem, który świetnie się bawił. Arielle z trudem się powstrzymywała, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Na co ta Bibi liczy? Jej ufarbowane na kasztanowaty kolor włosy wyglądały, jakby ktoś układał je na majonez, a perfekcyjnie umalowana twarz w najlepszym razie zasługiwała na miano końskiej. Szyta na miarę garsonka z pieczołowicie dobranymi dodatkami tylko ją postarzała.

Musi mieć dobrze po sześćdziesiątce, a wygląda jak pokojówka, która przebrała się za wielką panią, pomyślała nielitościwie Arielle.

Głęboko zaciągnęła się dymem, po czym wypuściła go z cichym westchnieniem. A mimo wszystko ta kobyła nie musiała przejmować się ani wiekiem, ani brakiem urody. Jej pozycją nic nie mogło zachwiać - Bibi pochodziła z jednej z najstarszych, najbogatszych i najbardziej wpływowych amerykańskich rodzin. Mogłaby nawet mieć wąsy, a w kronikach

towarzyskich dziennikarzy i tak zawsze by ją opisywali jako olśniewającą piękność, wytworną panią domu, damę o wyrafinowanym guście i niezrównanej klasie.

Nie to, co ja, myślała Arielle z zawiścią. Ja muszę ciężko zapracować na każdą sukienkę, każdą błyskotkę, każdy parszywy grosz.

- Cóż, pozwolicie, że pójde sprawdzic, jak tam przygotowania do kolacji - wyrwał ją z zamyślenia głos Bibi. - Ale wy, zakochane ptaszki, możecie robić, co tylko chcecie. Możecie zostać tu i wygrzewać się na tarasie, możecie popływać... Czy na co tam jeszcze macie ochotę. - Uśmiechnęła się znacząco.

- Dziękujemy za cudowny dzień - powiedział Lolo. - Nie mogę się doczekać jutrzejszego meczu.

- Mam nadzieję, że Joe poczuje się lepiej. Pozdrów go ode mnie -zaszczebiotała Arielle.

- Nie omieszkam, skarbie. Och i nie zapomnijcie, że w małym dziupie są kluczyki. W tym ciemnozielonym. Nie krępujcie się, korzystajcie z niego do woli.

- Dziękuję, Bibi. Jesteś niezrównana - rozplýwała się Arielle.

- Drobiazg.

Wstała, a Lolo podniósł się również.

- Do zobaczenia - powiedział.

- Pa, pa! - Pożegnała się Bibi, znikając we wnętrzu domu. Arielle podniosła się i przeciągnęła.

- Chodźmy - rzuciła krótko.

- Skończyłaś już drinka? - spytał Lolo.

- W domu zrobimy sobie świeże.

Ruszyli przez bujną zieleń do pawilonu dla gości.

- Zdaje się, że wpadłeś Bibi w oko, Lolo - powiedziała Arielle, stukając szpilekami o kamienną posadzkę.

Parsknął śmiechem.

- Chyba żartujesz.

- Widziałam, jak ci się przygląda. Zawsze się zastanawiałam, czemu jest dla mnie taka miła. Sądziłam, iż dlatego, że po rozwodzie wyrwę od Wyna kupę szmalu. - Uszczypliła kochanka w pośladek. - Ale teraz znam już prawdziwy powód. Lubi na ciebie patrzeć. I wcale jej się nie dziwię.

- Wariatka z ciebie - odrzekł, obejmując ją i całując w policzek. Potem spoważniał. - Wiesz co? Moim zdaniem jest dla nas taka miła, bo rozwodzisz się z Wynem. Joe był niekwestionowanym królem świata polo, dopóki nie zjawił się Wyn, spychając go w cień.

- Joe od wieków nie gra w polo - roześmiała się Arielle. - A od pół wieku nie siedział na koniu.

- Zgadza się, ale jego drużyny zawsze zwyciężały - ciągnął Lolo. - Dopóki nie pojawili się chłopcy Wyna i nie zaczęli wygrywać z ekipą Joego.

- A to mi nigdy nie przyszło do głowy - przyznała. - Chyba masz rację. Bibi nie znosi przegrywać. Nawet jeśli przegrywa drużyna jej męża.

- Właśnie.

- Czyli nie leci wyłącznie na twoje wdzięki? - przekomarzała się Arielle.

- Nie. Nie przypuszczam. - Znowu pocałował ją w policzek.

- Od razu mi lepiej.

- A zaraz będzie jeszcze lepiej - powiedział, uśmiechając się zmysłowo. - Słowo?

- Czy ja kiedyś cię zawiodłem?

- Nie - odparła. - Jeszcze nie.

Arielle leżała z głową na ramieniu kochanka, wodząc palcem po jego muskularnym torsie, bawiła się kępką czarnych, kręconych włosów, a wreszcie ścisnęła jego heroiczny oręż.

- Przeszedłeś sam siebie - westchnęła. - Chyba to poło tak na ciebie wpływa.

- Nie czuję pociągu do koni, jeśli to masz na myśli - roześmiał się Lolo.

- Nie. Nie to miałam na myśli. Podejrzewam, że jesteś zupełnie jak stara Bibi. Podniecają cię rywalizacja... i niebezpieczeństwo.

- Może - przyznał z wahaniem, przyglądając się jej z ciekawością. - Nigdy o tym nie myślałem, ale chyba coś w tym jest.

- Lubisz wyzwania, prawda?

- Zwykle... tak - odrzekł Lolo.

Czuł, że Arielle do czegoś zmierza, choć nie wiedział, do czego.

- Wiem, że lubisz.

Wodziła palcem po jego piersi i ramieniu, a potem ujęła go za rękę.

- Lolo, musisz mi w czymś pomóc. W czymś, co jest prawdziwym wyzwaniem. - Spojrzała mu w oczy.

- O co chodzi? - Nagle zmarszczył brwi. - Chryste, Arielle, nie mów, że nie zrezygnowałaś z tego szaleńczego planu, by odwiedzić Wyna. O to chodzi?

- Niezupełnie. Wczoraj zadzwoniłam do Santa i...

- Co takiego?! - zawołał, siadając gwałtownie.

- Zadzwoniłam do Santa - powtórzyła, też siadając. - Ucieliśmy sobie niezwykle interesującą pogawędkę. Umówiłam się z nim na dziś wieczór.

- Chyba całkiem straciłaś rozum. Prawnicy radzili ci jak komu dobremu, żebyś go zostawiła w spokoju i czekała. Ale ty wiesz lepiej!

- Lolo, daj mi skończyć. Oboje wiemy, że Wyn jest taki dziany, że może w nieskończoność odwlekać uprawomocnienie rozvodu. Chcesz w tym czasie umrzeć z głodu?

- Nie. - W jego ciemnych oczach pojawił się gniew. - Ale nie mam ochoty zadzierać z Wynem. Ani z tym czubkiem, Duccim.

- Och, Ducciego zostaw mnie. To tylko duży dzieciak. Przynajmniej wobec mnie. Nic mi nie zrobi. Chcę tylko, żebyś był przy tej rozmowie... jako świadek.- O czym zamierzasz z nim rozmawiać? - spytał zdesperowany. - Jak, u licha, Santo może ci pomóc?

- Właśnie o tym będziemy rozmawiać. O tym, jak wzajemnie sobie pomóc.

- To mi się nie podoba, Arielle - powiedział twardo Lolo. - Wcale a wcale mi się nie podoba.

Ujęła go pod brodę i obróciła ku sobie jego twarz.

- Chyba się nie boisz, mój drogi? Zesztywniał.

- Jasne że się nie boję.

- To proszę, zgódź się. Dla mnie. - Błagalnie popatrzyła mu w oczy. - Prawie nigdy o nic cię nie proszę, a tak bardzo cię kocham. Nie kochasz mnie?

Natychmiast zmiękł jak wosk i czule ją objął.

- Och, przecież wiesz, że cię kocham, Arielle. Bardzo.

- To pojedziesz dziś ze mną? Westchnął.

- Nadal uważam, że mój pomysł, abym sam pogadał z Wynem jak mężczyzna, jest lepszy. Ale pojedę. Nie podoba mi się to, ale pojedę.

- Dziękuję, Lolo. - Zasypała jego twarz pocałunkami. - Nie pożałujesz, słowo.

-Oby.

Colette odłożyła słuchawkę i z westchnieniem pogładziła miniaturowego języka po kółkach.

- Och, Haydenie, biedna Val. Musimy natychmiast do niej iść. Posłała mu całusa i ostrożnie schowała go do kieszeni luźnej

bluzy, w której zwykle chodziła po domu. Przeszła do łazienki, zapaliła światło i przejrzała się w lustrze.

- No, no, Haydenie. Pańcia nikomu nie może się pokazać w takim

stanie. - Wzięła z toaletki róż i hojnie nałożyła go sobie na policzki. - Nawet za dużo to za mało - szepnęła. - W każdym razie w moim wieku.

Rozprowadziła pędzlem jeszcze trochę pudru po czole i nosie, z trzaskiem zamknęła puderniczkę i sięgnęła po blad różową szminkę. Pewnym ruchem umalowała usta, a potem usunęła chusteczką nadmiar szminki.

- Świetnie. Jestem już prawie gotowa. Może jeszcze odrobina mascary. Nałożyła na rzęsy tusz szczoteczką i parę razy mrugnęła powiekami.

- Gotowe. Od razu lepiej. Zgasiła światło i wyszła z łazienki.

- O, Puff Puppy! Tu jesteś. Omal cię nie rozdeptałam. - Schyliła się i pogłaskała maltańczyka. - Pani idzie do sąsiadki. Jeśli będziesz się grzecznie sprawował, po powrocie dostaniesz coś pysznego.

Posłała mu całusa.

Podreptała przez kuchnię, zatrzymując się przy wyjściu, by zdjąć z wieszaka duży, słomkowy kapelusz. Włożyła go, leciutko przesunęła na bok i wyszła z domu, kierując się prosto do furki, prowadzącej do ogrodu Valerie.

- Tu jesteś, kochanie! - zawołała na widok przyjaciółki, idącej ku niej z psem. - Całuski, Elvis - przywitała się, klepiąc go po łbie.

- Colette, tak się cieszę, że mogłaś wpaść - powiedziała Valerie. - Masz tam Haydena?

- Oczywiście, kochanie. Ale możemy się uściskać. Tylko ostrożnie.

Objęły się, a potem Colette zmierzyła Val baczny spojrzeniem.

- Zdaje się, że obu nam dziś potrzebny mocny uścisk. Valerie potaknęła.

- Wyjątkowo paskudny dzień.

- Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć - poprosiła Colette. -

Rozmawiałam już z Eddiem. Popłakałam się jak bóbr. Biedny, kochany Noe. Co za tragedia.

Usadowiły się z mrożoną herbatą na tarasie i Valerie opowiedziała Colette, co zaszło u Eddiego.

- Kto mógł zrobić coś takiego? Chyba tylko potwór - oburzyła się staruszka, wysłuchawszy całej opowieści.

- Nie wiem, ale na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

- Mnie też. Teraz już nigdy nie wypuszczę Puff Puppy'ego samego do ogrodu. I ani na chwilę nie będę się rozstawać z Haydenem. To pewnie nic ważnego - zmieniła temat Colette - ale wczoraj wydawało mi się, że kogoś lub coś słyszę. Chciałam cię zawołać, ale zobaczyłam, że nie ma samochodu, więc sobie darowałam.

- Słyszałaś kogoś? - powtórzyła Valerie. - Jesteś pewna? Colette pokręciła głową.

- Nie. Wcale nie jestem pewna. Właściwie nic nie widziałam, to musiał być jakiś zwierzak. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie szop próbował się dostać do pojemnika ze śmieciami albo coś w tym stylu. Nieważne. Umieram z ciekawości, powiedz, co się wydarzyło dziś rano u twojej matki. No i oczywiście wczoraj wieczorem w Stonelair - dodała, patrząc na Valerie konspiracyjnie.

- Wszystko ci opowiem - roześmiała się Valerie - ale chyba zacznę od dzisiejszego ranka.

Zrelacjonowała Colette, jak wyglądało śniadanie u Marguerite. Ale makabryczne odkrycie u Eddiego sprawiło, że tamta sprawa stała się niewyraźnym, nic nieznaczącym wspomnieniem.

- Za dużo wrażeń jak na jeden dzień - powiedziała ze współczuciem Colette. - Oczywiście, Marguerite zachowała się okropnie. Zresztą zawsze podle cię traktowała. Ale z tego wszystkiego wynikła przynajmniej jedna korzyść. - Spojrzała na Valerie z uśmiechem w pięknych, błękitnych oczach. - Zyskałaś idealny pretekst, by dać Teddy'emu kopa na rozped.

- Zgadza się. Wprawdzie nie tak to planowałam, ale co innego miałam zrobić?

- Właśnie to, co zrobiłaś. - Colette zamyśliła się na chwilę. - Nie lubię Teddy'ego - wyznała. - Nigdy go nie lubiłam. Wydawał mi się zbyt idealny, by to mogło być prawdziwe. Ale mam nadzieję, że zniesie odmowę po męsku.

- Ostatnio Teddy ciągle miał jakieś fochy i humory. Czasem potrafił nieźle mi dokuczyć. Pewnie to wina przepracowania i tego, że nie mogłam mu poświęcić wiele czasu, ale... Bo ja wiem? Niepokoi mnie to. No, a mama... Znasz ją. Nie sądzę, by położyli uszy po sobie i zniesli porażkę z pokorą.

- Masz absolutną rację - odrzekła Colette. - Choć z pozoru oboje są słodcy i łagodni, to urodzeni wojownicy, którzy będą się bić dla samej przyjemności walki. Ale kto by się spodziewał? Spiskować za twoimi plecami?! Do tego jeszcze ten twój wredny kuzynek. Cała trójka jest siebie warta, tyle ci powiem.

- Cóż - rzuciła Val z uśmiechem - nie przypuszczam, by to ich pocieszało.

- A nawet jeśli, marna to pociecha. - Colette wypła łyk herbaty i przyjrzała się Valerie. - A jak ty się teraz czujesz, skarbie? Żałujesz?

Młoda kobieta pokręciła głową.

- Ani przez chwilę. Może tylko, że to tak się odbyło, choć to w końcu nie moja wina.

- Ale pewnie będzie ci smutno, będziesz czuła się samotna i będziesz marzyć o zacisznej przystani, w której mogłabyś się schronić.

- Nie - odpowiedziała Valerie, patrząc na gładką taflę sadzawki. - Nie przypuszczam, bym czuła się samotna. Odwróciła się do przyjaciółki, a na jej ustach zagościł lekki uśmiech. Usta Colette także rozciągnęły się wolno w uśmiechu, oczy jej pojaśniały.

- Nie wierzę. Ale tak! Tak, wierzę! - Klasnęła radośnie. - To ten tajemniczy właściciel Stonelair? Kto to jest? A może nie powinnam pytać? Jeśli nie chcesz, nie mów, ale konam z ciekawości.

Valerie przez chwilę milczała.

- Tak - wyznała wreszcie cichutko. - To Wyn Conrad ze Stonelair.

Colette szeroko otworzyła oczy.

- Ch-chyba nie mówisz poważnie? - Znowu klasnęła w dłonie. -A więc to on jest owym tajemniczym samotnikiem? To lepiej, niż sobie wyobrażałam w najśmielszych snach. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Valerie napiła się herbaty i odstawiła szklanekę.

- Opiekuję się zwierzętami ze Stonelair.

Colette skinęła głową i milczała, czekając na więcej.

- Kiedy pierwszy raz z nim rozmawiałam, nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Uznałam go za apodyktycznego, zarozumiałego impertynenta. Ale potem opowiedział mi o wypadku podczas meczu polo i w ogóle. I od tamtej pory... Cóż, przekonałam się, że moje pierwsze wrażenie było mylne. Teraz wydaje mi się, że znam go od zawsze.

Colette uśmiechnęła się rozmarzona.

- Jak siebie samą?

- Mniej więcej. Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy, tak naprawdę rozmawialiśmy, a nie wtedy, gdy się poznaliśmy, miałam wrażenie, że coś między nami zaiskrzyło. Nie - poprawiła się -wiem, że coś między nami zaiskrzyło. A wczoraj przy kolacji poznaliśmy się znacznie bliżej. To po prostu... fantastyczne. - Spojrzała na przyjaciółkę i wzruszyła ramionami. - Proszę, teraz już wiesz.

- Tak się cieszę, Val. To naprawdę cudowne. I pomyśleć, że właśnie teraz! Lepiej nie mogło się ułożyć. Zupełnie jakby ktoś to zaplanował.

- Niesamowite, prawda? Aż chce się wierzyć w przeznaczenie. Starsza dama upiła trochę herbaty i tęsknie westchnęła.

- Jaki on jest? - spytała. - Oczywiście wspomniały, inaczej byś nie czuła tego, co czujesz. I na pewno lubi zwierzęta, inaczej by ich nie trzymał. Ale

możesz mi go opisać?

- Wygląda... Och, trudno to wyjaśnić. Postanowiła jednak zwierzyć się Colette, bo wiedziała, że jej można ufać.

- Jak już wspomniałam, miał tragiczny wypadek podczas meczu polo i długo jeszcze potrwa, nim odzyska zdrowie. Potrzebował wielu przeszczepów skóry, przeszedł już liczne operacje plastyczne, a to dopiero początek drogi.

- Ojej - westchnęła Colette. - I na zawsze zostaną mu blizny?

- Tak. Już samo to jest okropne, ale wydaje mi się, że najgłębsze rany miał w duszy. Wyobrażasz sobie, jak musiała ucierpieć jego miłość własna. Jego ambicja. W niektórych miejscach jego skóra wygląda jak poparzona, jakby wyciągnięto go z pożaru. Większość blizn da się ukryć, ale niektóre są bardzo wyraźne. I tak już pozostanie do końca życia. Nie ma na to lekarstwa.

- Może z czasem nauczy się to akceptować, a może... może ty mu pomożesz?

Valerie poczerwieniała.

- Mam nadzieję, Colette. Nadal jest bardzo przystojny. Tyle tylko, że teraz ma bardziej surową urodę. Między innymi dlatego ukrył się w Stonelair. Chciał uciec przed światem i w domowym zaciszu leczyć rany.

- Ot i cała tajemnica. Taka niewinna i nieszkodliwa. A my zrobiliśmy z niego mafiosa i potentata narkotykowego.

- Wystarczy go poznać, by uświadomić sobie, jaki to nonsens - roześmiała się Val i streściła przyjaciółce wszystko, czego się dowiedziała o Wynie Conradzie. Opowiedziała też, jak przebiegła ich wczorajsza kolacja.

- Właśnie w takich chwilach - oświadczyła Colette, gdy Valerie skończyła - zaczynam wierzyć w istnienie miłosiernego Stwórcy. Może rzeczywiście ktoś kieruje naszymi losami? Bo to przecież nie może być zwykły zbieg okoliczności. - Uścisnęła ją za rękę. - Tak się cieszę.

- Dziękuję, Col... - zaczęła Val, ale przerwał jej dzwonek telefonu. -

Muszę odebrać, mam dyżur - powiedziała przeprasząc, sięgając po słuchawkę.

- Naturalnie, skarbie.

- Halo? - odezwała się Valerie. - Val?

Serce mocniej jej zabiło na dźwięk jego głosu i nagle pożałowała, że nie jest sama.

Chwała Ci, Boże, za telefony bezprzewodowe, wyszeptała w myślach krótką modlitwę i wstała od stołu. - Poczekaj chwilę - powiedziała do słuchawki. - Przepraszam, Colette, za moment wrócę.

Starsza pani uśmiechnęła się domyślnie.

- Mam już iść?

- Nie. To potrwa chwilę.

Przeszła do kuchni, stamtąd przez hol do salonu, gdzie usadowiła się w fotelu. Przełączyła aparat na rozmowę.

- Cześć - powiedziała. - Przepraszam, że musiałeś czekać, ale jest u mnie sąsiadka, więc przeszłam do drugiego pokoju.

- Nie ma sprawy. Co słyhać?

- W porządku. Ale miałam zwariowany poranek. Pies mojego przyjaciela został otruty, musiałam tam pojechać i zająć się tą sprawą.

- Otruty? - powtórzył Wyn. - To okropne.

- Tak, straszne. Najgorsze że nie rozumiem, dlaczego tak się stało.

Zwykle robi się coś takiego z zemsty, ale akurat w tym wypadku to zupełnie nieprawdopodobne. Właściciel psa jest moim starym przyjacielem, więc było mi podwójnie przykro.

- Współczuję. - Umilkł na chwilę. - Ale może uda mi się choć trochę cię pocieszyć?

Serce zabiło jej radośnie.

A więc to tak wygląda, pomyślała. To tego cudownego uczucia

brakowało mi, gdy byłam z Teddym.

- A jak konkretnie zamierzasz to zrobić?

- Nasuwa mi się kilka pomysłów - odrzekł ze śmiechem. - Ale tym razem akurat myślałem o powtórzeniu naszej kolacji we dwoje.

- Liczysz, że kupisz mnie kolacyjkami? - zażartowała.

- Właśnie taki mam plan.

- Co za typowo męskie, szowinistyczne podejście. Od razu czuję się podniesiona na duchu.

- Mam nadzieję. W końcu staram się zaprezentować od najlepszej strony.

- Aż boję się myśleć, jak w takim razie wygląda twoja najgorsza strona.

- Może pokażę ci ją po kolacji?

- Nie mogę się doczekać.

- Czyli jesteśmy umówieni? Ósma?

- Doskonale. Włożę moją przezroczystą sukienkę od Versacego.

- Lepiej nie, bo spłoszysz konie.

- I ty to mówisz? Na moment w słuchawce zapadła cisza, a potem Wyn ryknął śmiechem.

- Jesteś wredną, podłą, złośliwą istotą i nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

- Z wzajemnością.

Rozłączył się, a Valerie siedziała w fotelu, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w ściany salonu. Nie sądziła, że kiedykolwiek może poczuć taką radość, energię i nadzieję na przyszłość. Wróciła na taras, gdzie czekała Colette.

- Widzę po twojej minie, że umówiłaś się na randkę.

- Tak - Valerie skinęła głową i westchnęła radośnie. Colette poklepała ją po ramieniu.

- Niech ci Bozia błogosławi, moja kochana. A teraz zabieram się stąd razem z Haydenem. Nie będziemy ci przeszkadzać w przygotowaniach do...

Znów zadzwonił telefon. Val przepraszająco spojrzała na przyjaciółkę i wzruszyła ramionami.

- Co na to poradzę, że jestem taka rozrywana? - Podniosła słuchawkę. - Halo?

- Val, chcę z tobą porozmawiać.

To był Teddy, przemawiał tonem sierżanta sztabowego, wydającego rozkazy.

- Nie teraz, Teddy. Przyszła do mnie Colette i jesteśmy zajęte.

- Jak to, zajęte? A co takiego ważnego ma do roboty ta stara suka oprócz pudrowania nosa?

Valerie oniemiała, słysząc ów jadowity atak.

- Nie zamierzam tego słuchać - odparła, odzyskawszy głos. - Bardzo chętnie z tobą porozmawiam, gdy już ochłoniesz.

Spokojnie odłożyła słuchawkę i spojrzała na przyjaciółkę.

- Oho - powiedziała starsza dama. - Nie był szczególnie uprzejmy?

- Nie. Ani trochę.

- Biedactwo. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, powiedz tylko słówko, a przybiegnę natychmiast.

- Zdaje się, że ja i Teddy musimy jednak uciąć sobie pogawędkę. Co prawda po tym, co się wydarzyło rano, nie uważam, aby zasługiwał na jakiegokolwiek przeprosiny, ale chyba będę musiała nieco przyglądać te jego nastroszone piórka.

- Cóż, w końcu znaliście się od lat, szkoda byłoby się rozstawać w niezgodzie - przyznała Colette. - Ale nie pozwól się zatupać, Val. - Nie, Colette. - Val pokręciła głową. - Nie musisz się o to obawiać. Nie dopuszczę do tego. Mam już dość szarogęszenia się ich obojga -jego i mojej mamy. Chcę

żyć z nimi w przyjaźni, ale nie pozwolę, aby mną dyrygowali.

- Tak trzymać! - pochwaliła ją Colette. - Wiedziałam, że kiedyś wreszcie się na to zdobędziesz.

- Więc znasz mnie lepiej niż ja sama.

- Ale teraz już sama się przekonałaś, na ile cię stać. I tak byłaś dzielna, stawiając czoło rodzicom i nie pozwalając, by wybrali ci karierę, ale nie wyzwoliłaś się do końca. Tak długo pozwalałaś sobą dyrygować Teddy'emu i Marguerite, że to prawdziwa rozkosz widzieć, jak wreszcie rozpościerasz skrzydła.

- A przy okazji, aż dziwne, że mama jeszcze nie zadzwoniła.

- Spokojnie, odezwie się. - Colette pokiwała głową. - Jak ją znam, na razie zajęła się opracowywaniem nowej strategii i szykowaniem kolejnego natarcia.

- Doskonale ją znasz - roześmiała się Valerie.

- W każdym razie na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeszcze da ci do wiwatu. Niestety. - Zajrzała do kieszeni bluzy. - Wydawało mi się, że Hayden się wierci, ale śpi. Powinnam go zanieść do domu i przełożyć do legowiska.

- Musi porządnie się wyspać, żeby potem mieć siłę do biegania w kołowrotku.

- O, tak - powiedziała Colette. - Prawdziwy nocny marek z niego. Ale mnie to nie przeszkadza, bo wiesz, że nie lubię wcześniej się kłaść. Hayden dotrzymuje mi towarzystwa nocą, gdy czytam, piszę listy albo oglądam telewizję. Puff Puppy wtedy śpi, jak przystało na grzecznego pieska. - Spojrzała na zegarek. - Tak czy owak, kochanie, uciekam. Wiem, że chcesz się zrobić na bóstwo przed dzisiejszą randką.

Wstała, poprawiając kapelusz. Valerie też się podniosła, by odprowadzić przyjaciółkę.

- Skarbie, tak się cieszę twoim szczęściem, aż brak mi słów - po-

wiedziała Colette, całując ją w oba policzki. - Wiem, że przed tobą cudowny wieczór.

- Ja też wiem. I nie obawiaj się, otrzymasz dokładny raport.

- Na to liczę. To takie ekscytujące. - Colette pogłaskała Elvisa. -Pa, pa, kochany chłopczyku.

Pies w odpowiedzi pomachał ogonem. Valerie przytrzymała furtkę, przepuszczając Colette, i staruszka wyszła, zostawiając za sobą mocny zapach perfum. Jeszcze ze ścieżki pomachała do Valerie. Dzięki Bogu za Colette, pomyślała dziewczyna. Lepszej przyjaciółki nie mogłam sobie wymarzyć.

Wlała Elvisowi wodę do miski i dosypała mu suchej karmy. Postanowiła wziąć długą, odprężającą kąpiel. W końcu po lekkim lunchu długo pracowała w ogrodzie, pieląc i obrywając zwiędłe kwiaty, nim wreszcie zdecydowała się zadzwonić do Colette i zaprosić ją do siebie. Teraz czuła wszystkie mięśnie.

A może zrobić sobie pachnącą kąpiel? - pomyślała, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem. To naprawdę cudowne, to niecierpliwe wyglądanie wieczora. Wreszcie rozumiem, co miały na myśli moje niezliczone koleżanki, opowiadając o przygotowaniach do wielkiej randki.

Przed domem Valerie znowu przejechał samochód; wolno, lecz nie na tyle, by wzbudzić podejrzliwość ewentualnych przechodniów. Choć tu akurat nie należało się ich spodziewać. Przy tej piaszczystej, wiejskiej drodze stały tylko dwa domy. Wtem... ktoś się jednak pojawił.

Kierowca lekko dodał gazu, ale zdążył zauważyć, jak przy furtce do ogrodu Valerie pojawia się Colette. Wyjęła coś z kieszeni bluzy i przytuliła do twarzy, jakby to całowała, a potem znowu wsunęła do kieszeni.

Czy tej starej całkiem odbiło? - pomyślał kierowca. Sądzi, że to małe, ohydne stworzenie w ogóle ją poznaje? Ta baba ma nierówno pod sufitem, na szczęście mnie nie zauważyła.

Rozdział 24

Kolację znowu zjedli przy blasku świec na tarasie, ale tym razem Gerda Reinhardt nie przyłożyła ręki do przygotowań. Valerie i Wyn krzatali się po dużej kuchni, popijając białe wino i sami szykując sobie posiłek. Valerie znalazła keczup, musztardę, majonez i pikle, pokroiła pomidory, cebulę, ser i wyplukała sałatę. W tym czasie Wyn układał w grillu węgiel drzewny, rozpałił ogień, zrobił duże hamburgery z mielonego mięsa, wreszcie obrał i pokroił ziemniaki na frytki.

- Ale, jeśli pozwolisz, nie będę ich smażył w oleju - zastrzegł.
 - To jak je przyrządzisz?
 - Spryskam oliwą i wrzucę do piekarnika. Przysięgam, są prawie tak samo pyszne jak tradycyjne frytki.
 - To brzmi zachęcająco. A na pewno będzie mniej kaloryczne
- powiedziała Valerie. - W końcu trzeba się zdrowo odżywiać.
- Może, ale bez przesady. Nie robię z tego wielkiego halo.
 - I dobrze. Bo wtedy bym z tobą nie wytrzymała. Roześmiał się głośno.
 - I to u ciebie lubię. Nie boisz się mówić, co myślisz.
 - Jeśli ja tego nie zrobię, to kto?

Zjedli na tarasie hamburgery z frytkami, a na deser wystarczyły im świeże brzoskwinie. Potem ulokowali się w bibliotece z czwórką psów i kotką, która akurat postanowiła wpaść w odwiedziny. Popijali kawę z kropelką brandy.

- Było pyszne - powiedziała Valerie. - Przepadam za prostą kuchnią.

- Ja też. A uświadomiłem to sobie dopiero po którejś tam z rzędu wykwintnej kolacyjce w Palm Beach, kiedy panie domu prześcigały się we frymuśnych delikatesach i egzotycznych potrawach.

- Niestety, teraz ta moda dotarła i tutaj.

- Zrozumiałem wreszcie, że mam dość prosty gust - podjął Wyn. - Nie żebym chciał w kółko jeść samo mięso i kartofle, lubię dorzucić rybę i jarzyny. Ale nie lubię, kiedy to wszystko jest zbyt wyrafinowane. Rozumiesz mnie?

Valerie skinęła głową.

- U pewnych ludzi to już staje się obsesją. Początkowo to mnie śmieszyło, ale teraz wychodzi mi uszami. Mam dość chodzenia do restauracji, w których serwuje się wyłącznie dania mikro-jakieś tam, makro-jakieś tam czy inne cuda. - Spojrzała na Wyna. - A na widok piramidy zdrowego odżywiania się dostaję wysypki.

- O, tak - roześmiał się. - Teraz wszystko, co trafia na stół, musi być zgodne z piramidą. Nieważne, czy to deser, przystawki czy danie główne. Cieszę się, że ty też to zauważyłaś.

- Cóż, pewnie to tylko kolejna moda. Ciekawe, co czeka nas potem? Może ćwiczenie na trapezie? Ale ja i tak pozostanę wierna hamburgerom i frytkom.

- To rozumiem. Jesteś dziewczyną dla mnie - oświadczył.

- Tak sądzisz?

- Wiem o tym. - Wypił łyk kawy. - I tak doszliśmy do czegoś, czego lepiej nie ruszać.

- Czego? - spytała. - Moich stóp? Tak, mam łaskotki.

- Nie - uśmiechnął się. - Do tego przejdziemy później. - Spoważniał. - Rozmawiałaś już z narzeczonym?

- Owszem, rozmawiałam. Ale nie w cztery oczy.

Przez cały wieczór z trudem się powstrzymywała, by nie opowiedzieć

mu, co się wydarzyło rano. Czekwała na odpowiedni moment. Teraz uznała, że właśnie nadszedł.

- Nigdy nie uwierzysz... - zaczęła.

- Sprawdź, to się przekonasz.

Zrelacjonowała Wynowi, co się stało na śniadaniu u matki.

Skończywszy, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Zatem, jak pan widzi, panie Conrad, jestem wolną kobietą. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał ją przewiercić wzrokiem.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałem lepszą nowinę. Mówię poważnie, Val. - Objął ją i przyciągnął do siebie, a potem czule pocałował w policzek. - Nigdy nie mówiłem poważniej - ciągnął. - Zaciekawiałaś mnie już w pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. A potem... Potem rozpałałaś we mnie prawdziwy ogień. Nawet nie przypuszczałem, że można coś takiego czuć.

- Doskonale rozumiem, co masz na myśli. Bo ja... poczułam dokładnie to samo. Chyba... Nie wiem, jak to nazwać, ale... - Umilkła bezradnie.

Znowu pocałował ją w policzek i wyszeptał:

- Sądzę, że śmiało można powiedzieć, że właśnie to ludzie nazywają miłością, Val.

Na dźwięk tego słowa poczuła cudowny dreszcz. Były w nim radość, ale i lęk, bo ta miłość oznaczała zaangażowanie, kompromis i rezygnację z części owej niezależności, którą z takim trudem sobie wywalczyła. Ale wiedziała też, że dla tego mężczyzny gotowa jest to poświęcić. Każda, nawet najmniejsza cząstka jej jestestwa mówiła, że się nie myli, że Wyn jest dla niej stworzony, że właśnie na takiego mężczyznę czekała.

To miłość, pomyślała. Po prostu.

Nie można było tego określić innym słowem.

- Możesz to powiedzieć, Val - szepnął. - Bo ja powiem. Mocniej

otoczył ją ramieniem. Spojrzała w jego ciemne oczy.

- Kocham cię, Val. Może to szaleństwo, ale wiem, że naprawdę cię kocham.

Zaczerwieniła się i lekko skinęła głową.

- I... i ja cię kocham, Wyn - wyznała cicho.

- Widzisz? Nie było aż takie trudne. Kochamy się.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Potem, patrząc jej w oczy, delikatnie pocałował ją w usta. Odpowiedziała gorącym pocałunkiem, z żarem, jakiego nigdy nie obudził w niej Teddy ani nikt inny. Zaplotła Wynowi ręce na karku, potem wodziła dłońmi po jego plecach, marząc, by z całej siły go do siebie przytulić. Bała się jednak, by niechcący nie sprawić mu bólu. Wyczuł to, bo lekko się odsunął i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Nie jestem ze szkła. Nie stłukę się.

- N-nie wiem, jak wrażliwą masz skórę.

- Ja? Moja skóra jest jak twardy, wyprawiony rzemień! Lepiej to sobie zapamiętaj. No może... z wyjątkiem twarzy.

- Ha! - zawołała triumfalnie. - Nie jesteś więc takim twardzielem, za jakiego się podajesz!

- W twoich rękach miękne jak wosk. Przyciągnął ją do siebie i zaczęli się całować, z narastającym zapamiętaniem dotykając się dłońmi i wzajemnie się poznając. Valerie przestała myśleć o bólu, jaki może mu sprawić, i rozkoszowała się bliskością Wyna. Gładziła go, tak jak i on ją gładził, pragnęła poznać każdy, najmniejszy skrawek jego ciała. Nigdy jeszcze z nikim nie pragnęła tak się zjednoczyć jak z nim. Stopić się w jedność.

Kiedy w końcu się odsunęli od siebie, brakowało im tchu.

- Jakaś ty piękna, Val - wydyszał. - Promieniejesz.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała jego odsłoniętej twarzy, znała ją tylko z fotografii wiszących w

siodlarni.

- Cieszę się, że wreszcie cię naprawdę zobaczyłam. Twoją twarz. Ty też promieniejesz.

- Naprawdę ci się podobam? - upewniał się Wyn.

- Bardzo mi się podobasz. Zresztą, nie przeszkadzałoby mi, nawet gdybyś wyglądał jak Freddy Krueger.

- Jesteś pewna? - zapytał z powagą. Zajrzała mu w oczy.

- Wyn, naprawdę nie musisz się tym zamartwiać. Kiedyś byłeś przystojny i nadal jesteś.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Muszę przejść jeszcze kilka operacji. To nie potrwa krótko. Sądysz, że wytrzymasz?

Żartobliwie pacnęła go w ramię.

- Zapomniałeś, że rozmawiasz z weterynarzem? Przecież wiem coś o tych sprawach i potrafię sobie z tym radzić.

- Racja, ale może wolałabyś zostawiać wszystkie te okropności w pracy i nie patrzeć na nie w domu? W pewnym momencie może ci się to znudzić: to samo w pracy i w domu.

- Nigdy - powiedziała z niezmaconą pewnością. - Ani przez chwilę. Jeśli w tym domu będziesz czekał na mnie ty.

- Jesteś wyjątkowo odważna. Albo głupia. - Uśmiechnął się. - Ale przecież wiem, że głupia nie jesteś.

- Nie jestem ani odważna, ani głupia, tylko zakochana. Czule pocałował ją w usta.

- Ja też jestem zakochany. - Odsunął się i głęboko spojrzął jej w oczy. - Wiesz, kiedy to zrozumiałem?

- Kiedy zobaczyłeś mnie w fartuchu? - zażartowała. Pokręcił głową.

- Nie, oczarował mnie stetoskop. Roześmiali się oboje.

- Zrozumiałem to, kiedy przestałem brać zastrzyki - powiedział.

- Zastrzyki?

- Brałem mnóstwo leków przeciwbólowych. - Umilkł, spuścił wzrok i starannie dobierał następne słowa. - Chyba... Wiem... że przesadzałem. Byłem samotny i załamany. Czułem się jak dziwoląg, potwór. Dzięki środkom przeciwbólowym to wszystko zniknęło. Ale potem zjawiłaś się ty. - Spojrzał Val w oczy i ujął ją za rękę. - Wraz z tobą wszystko się zmieniło. Dzięki tobie znowu chciałem żyć. Czuć. Nawet jeśli to miałyby oznaczać dyskomfort i ból.

Na te słowa serce Valerie wezbrało radością i dumą. Świadomość, że ma na tego mężczyznę taki wpływ, przyprawiała ją o zawrót głowy.

- Stałam na rozdrożu - wyznała. - Nie wiedziałam, co mam zrobić.

Zdawałam sobie sprawę, że nie kocham Teddy'ego, ale naprawdę, Wyn, kusilo mnie, żeby za niego wyjść. To wydawało się prostsze niż kłótnie z matką, a nie chciałam do końca życia być samotna. W końcu nikt tego nie chce. Ale wtedy, nigdy nie zgadniesz...

- Wtedy co?

- Wtedy nieoczekiwanie pojawiłeś się ty - powiedziała z uśmiechem. -

Ostatnie, czego mogłam się spodziewać.

- Wymarzony księżę z bajki, he?

- Hm... Raczej Frankenstein.

Chwycił ją mocno i przyciągnął do siebie. Val śmiała się radośnie.

- Ty podła, podła istoto!

Całował ją namiętnie, niemal brutalnie, nie wypuszczając z mocnego uścisku. Nie minęła chwila, jak oboje bez tchu obejmowali się, dotykali dłońmi, gładzili i przytulali. Kiedy wreszcie na moment odsunęli się od siebie, to Wyn pierwszy odzyskał mowę.

- N-nie wiem... jak... co sądzisz... o odkładaniu tego - wyjąkał, patrząc jej w oczy. - Ale ja już wiem, że pragnę cię najbardziej na świecie. Chcę się z

tobą kochać.

- Cóż ja jestem wolną kobietą - roześmiała się Val, ciągle bez tchu - ale p-pan... nadal jest żonaty, panie Conrad.

- Chyba nie będziesz mi tym wykluwać oczu?

- To się okaże. Chyba powinnam wiedzieć, jak naprawdę wygląda sytuacja.

- Racja. Masz prawo wiedzieć o wszystkim. W końcu opowiedziałas mi o swoim narzeczonym. Jak ci wspomniałem - zaczął mówić po chwili - rozwodzę się z Arielle, ale ciągle jeszcze nie osiągnęliśmy ostatecznego porozumienia. Valerie skinęła głową.

- I co dalej? - zapytała.

- I staram się maksymalnie jej utrudnić życie, bo jestem na nią wkurzony jak diabli - przyznał się Wyn.

- Rozumiem. Tego się po tobie spodziewałam.

- Zdażyłaś mnie nieźle poznać.

- Tak mi się wydaje. Zostałeś skrzywdzony, dlatego postanowiłeś się zemścić.

- I to jak. Oczywiście, mógłbym bardzo szybko to załatwić. Wystarczyłby jeden krótki telefon do prawnika, ale znącałem się nad Arielle. Z premedytacją.

- Jasne, tego też się po tobie spodziewałam. Ale...!

- Ale co?

- Ale czy jest sens dręczyć pierwszą panią Conrad, jeśli pragniesz ją zastąpić drugą?

- Oświadczasz mi się? - spytał z uśmiechem.

- Żebyś wiedział. I dlatego musisz podzielić się częścią swoich ziemskich dóbr z byłą panią Conrad, żeby móc jej pomachać na do widzenia. Zresztą - ciągnęła Valerie - sędzę, że z chwilą gdy ostatecznie jej się

pozbedziesz, twoje samopoczucie zdecydowanie się poprawi. Ja zaś... będę miała cię wyłącznie dla siebie.

- Tak uważasz? -Tak.

- Cóż, moja droga, trudno nie przyznać ci racji, ale czy na pewno chcesz, bym wsunął ci na palec obrączkę?

- Wydaje mi się, że oboje tego pragniemy. Czyste sumienie to jedyny i najlepszy fundament.

Uśmiechał się do niej jak rozradowany chłopak.

- Jutro z samego rana zadzwonię do prawnika. Powiem mu, żeby jak najszybciej sfinalizował sprawy. Dam Arielle wszystko, czego sobie życzy, żeby już raz na zawsze jej się pozbyć.

Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Jak pragniesz podskoczyć?

- Słowo harcerza. - Podniósł rękę.

- A ukłujesz się w palec i podpiszesz własną krwią? - dopytywała się.

- Dla ciebie, Val, nawet to. Ale chyba nie będziesz tak okrutna i żądna krwi?

Rzucił się na nią i zaczął ją łaskotać. Wyrывała się z piskiem, a wtedy ją pocałował i całował tak długo, aż oboje jęczeli z rozkoszy. Parking za barem był ciemny, mrok rozjaśniało jedynie odległe światło ulicznych latarni. Ryk muzyki, puszczonej na potężnych wzmacniaczach, docierał tu jedynie jako stłumione, basowe dudnienie, przybierające na krótko na sile, gdy wychodzący klienci otwierali drzwi.

W samochodzie znajdowały się trzy osoby, pogrążone w rozmowie, która cichła, ilekroć obok wozu ktoś przechodził.

- To szaleństwo - mówił cicho, ale zdecydowanie pierwszy rozmówca, potężny mężczyzna siedzący za kierownicą.

Patrzył przed siebie w przestrzeń, jak gdyby nie zwracając uwagi na parę

z tyłu. Jakby tamci w ogóle nie istnieli. Światło odbijało się w jego gładko ogolonej czaszce.

- Nie, to nie jest szaleństwo - odparła kobieta z tylnego siedzenia. - To pestka. Robisz mu zastrzyk przeciwbólowy, dajesz za dużą dawkę, biedak spada ze schodów czy coś w tym rodzaju. Całkiem proste.

- Czytaj: zrzucam go ze schodów? - powiedział olbrzym.

- Właśnie - potwierdziła kobieta. - I masz dopilnować, żeby skrecił sobie kark. Dostaniesz za to pięćdziesiąt patyków.

- Chryste Panie! -jęknął siedzący obok niej mężczyzna. - Niech ktoś powie, że to mi się śni.

Kobieta odwróciła się do niego: w jej oczach płonął gniew.

- A masz lepszy pomysł? Może ty to załatwisz za pięćdziesiąt patyków? Tak? Jeśli sam wolisz to zrobić, dam ci pukawkę. Mam ją w domu, przywiozłam ze sobą. Pojedziesz tam i załatwisz sprawę? Zapracujesz na swoją dolę?

- Cholera. - Mężczyzna westchnął, odwrócił się od niej i z twarzą niemal przyklejoną do szyby wpatrywał się w parking. - Za dużo wypiałś. Sama nie wiesz, co mówisz.

- Właśnie że wiem - upierała się kobieta. - I wcale nie żartuję. Pięć dych zaliczki i tyle samo po robocie. Sama bym się tym zajęła, gdyby nie to, że mnie pierwszą będą podejrzewali. No i nie za bardzo mogę się tam dostać.

- To mnie pierwszego będą podejrzewali - odezwał się olbrzym z przedniego fotela. - Jestem z nim niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, w dodatku zapisał mi coś w testamencie.

- Nonsens - odpowiedziała kobieta. - Wystarczy, że to będzie wyglądać na wypadek. Powiesz glinom, że czasami sam brał i włóczył się nocą po domu. Ty masz tylko dopilnować, żeby wyciągnął kopyta. Potem wrócisz do siebie i położysz się spać. Ci głupi Reinhardtowie przecież się nie kapną. A wszyscy

wiedzą, że od lat wiernie mu służyłeś i byłeś mu całkowicie oddany.

- Jest tylko jeden problem - stwierdził olbrzym.

- Jaki? - zapytała kobieta.

- Od kiedy spotyka się z tą lekarką, przestał brać prochy. No, chyba że sam robi sobie zastrzyki.

- To żadna przeszkoda - zbagatelizowała kobieta. - Przecież ma jeszcze ślady po kłuciach, tak?

Olbrzym skinął głową.

- To nikt nie udowodni, że przestał brać.

- Mówisz, jakby to było zupełnie proste - odezwał się mężczyzna z tylnego siedzenia.

- Bo jest - oświadczyła kobieta. - A może ty spróbujesz to zrobić? Swobodnie mógłby cię wpuścić i wypuścić. - Spojrzała na mężczyznę za kierownicą. - Prawda?

Olbrzym znowu skinął głową.

- Możemy tak to załatwić.

- Wykluczone - zaprotestował mężczyzna z tyłu. - Wybijcie to sobie z głowy. Nie przyłożę do tego ręki.

- Nawet dla mnie? - zawołała kobieta, uderzając go pięścią w pierś.

- Nie - odmówił.

- Dostałbyś sto patyków - kusila.

Jej towarzysz potrząsnął czarnymi lokami.

- Nie. Nie prosz. Nie dam się namówić. Nie. Przeniosła wzrok na mężczyznę z przodu.

- W takim razie ty musisz się tym zająć - oświadczyła. - Musisz!

- Trzeba to przemyśleć - powiedział olbrzym z westchnieniem. -

Zastanowić się, jak można to zrobić. Może się uda.

Tiffani zmarszczyła brwi.

- A w ogóle, dlaczego tak późno przyjechałeś, Teddy?
- Musiałem załatwić parę spraw.

Wsunął do nosa srebrną firkę i pochylił się nad smużką kokainy, którą przygotowała Tiffani. Wciągnął narkotyk jednym nozdrzem, potem drugim. Później jeszcze parę razy głęboko wciągnął powietrze nosem, by nie zmarnowała się ani drobina. Wreszcie spojrzął na Tiffani z przeproszającym uśmiechem.

- Wybaczysz mi?
- Wybaczę. Nie mogłabym się gniewać na kogoś, kto przynosi mi takie pyszne łakocie. Zachichotała. Czowała się fantastycznie. To nie była jej pierwsza działka dzisiaj. Wciągnęli już kilka wcześniej, kochali się i długo rozmawiali, jako że Teddy miał do niej pewną prośbę.

I pomyśleć, że ona, Tiffani, może coś zrobić dla bogatego pana Mornaya, zachwycała się w duchu, choć właściwie nie była do końca przekonana, czy chce uczestniczyć w tej sprawie. Musi dopilnować, żeby nie była stratna na tym interesie.

- O co chodzi? - spytał Teddy, biorąc ją palcem pod brodę i przekręcając ku sobie jej głowę. - Jesteś taka zamyślona, Tiff.

- Och, bo sama nie wiem, Teddy - odrzekła, potrząsając długimi, gęstymi włosami. - Tak myślę... Ten twój pomysł... To chyba zbyt niebezpieczne. A ja na dobrą sprawę wcale nie znam Stonelair. Tylko stajnie. Przyjeżdżam tam, parkuję, idę do gabinetu przy stajni, pracuję i to wszystko. W dodatku ten cholerny Santo dyszy mi nad głową, a jak nie on, to zawsze może się napatoczyć stary Reinhardt.

Teddy wypił łyk wina, które przyniósł z Apple Hill, i odstawił kieliszek.

- Na razie interesują mnie właśnie stajnie.
- Stajnie? - zdziwiła się. - Ale dlaczego?

Musiał wyjaśnić Tiffani, że planuje niespodziankę dla Wyna Conrada i

Valerie, ale nie chciał, by dokładnie wiedziała, co zamierza. Nie trzeba wyklądać wszystkich kart na stół, bo dziewczyna nie zgodzi się mu pomóc. Wiedział, że na niego leciała, ale podejrzewał, że nie będzie chciała nadstawić dla niego karku.

- Dlatego - wytłumaczył po chwili - że to, o co chcę cię poprosić, można zrobić w stajni, gdy nikt nie będzie się tam kręcił.

Położył dłoń na jej nagich piersiach i delikatnie wodził palcami w górę, a potem w dół, po brzuchu, by wreszcie zatrzymać się na ciepłym wzgórku między udami. Kokaina zaczęła działać, Teddy czuł się potężny i niezwyciężony.

- O nic się nie martw, Tiff. To pestka. A ja szczerze ci wynagrodzę twój wysiłek.

Tiffani mruzczała z zadowolenia.

- Jesteś naprawdę świetny.

- Pomożesz mi, prawda, Tiff? - prosił, pochylając się i łaskocząc językiem jej pierś. - Bardzo proszę.

- Aaaaaach, Teddy - brzmiała jej odpowiedź. Sięgnął głębiej palcami, jednocześnie całując jej sutki.

- Proszę, Tiff, zrób to dla mnie.

- A-ale nie wiem, co właściwie mam zrobić, Teddy - wydyszała.

Płoneła z pożądania. Oby to trwało bez końca.

- Nic wielkiego - wyjaśnił, odrywając usta od jej piersi. - Nikt nie ucierpi.

- Na-na pewno?

- Na pewno - odparł, wysuwając rękę spomiędzy jej ud i siadając.

- Och, nie! - zaprotestowała natychmiast. - To było takie cudowne.

Teddy uklęknął między jej nogami, szeroko rozsuwając je dłońmi.

- A będzie jeszcze cudowniejsze, Tiff- obiecał. - Chcę, byś czuła się

tak, jak nigdy jeszcze. -I wsunął głowę między jej uda.

- Ooooch, Teddy! - krzyknęła Tiffani. - Za-zaraz chyba... Ale on dalej nacierał językiem. Potem nagle się wyprostował.

- Nieee, Teddy -jęknęła. - To było takie...

Nie reagując na jej protesty, chwycił ją za kolana, szeroko je rozsunął i wbił się w nią gwałtownie. Tiffani zachłysnęła się, przeszywały ją kolejne fale rozkoszy. Napierał coraz mocniej i szybciej, a wreszcie uderzył ostatni raz i eksplodował w jej wnętrzu. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Opadł na nią całym ciężarem i przez dłuższą chwilę oboje leżeli bez sił. Wreszcie Teddy przekręcił się na bok, przytrzymując dziewczynę, i zajął jej w oczy.

- Zrobisz to - szepnął. - Prawda, Tiff? Dla mnie. Proszę. Wolno skinęła głową.

- Jeśli dasz słowo, że nikomu nic się nie stanie.

- Jasne - zapewnił ją z szerokim uśmiechem.

Nikommu nic się nie stanie, ty głupia dziwko, pomyślał. Ale za to czemuś może się przytrafić bardzo wiele. Uśmiechnęła się.

- I obiecaj, że częściej będziemy tak robić.

- Wierz mi, kiciu, pragnę tego tak samo jak ty.

W każdym razie dopóki nie nawinie się coś lepszego, dodał w duchu. Tiffani zaczynała go już nużyć. Wkrótce trzeba będzie odejść, podbijać nowe terytoria.

Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie, wsuwając język między jej usta. Tiffani natychmiast zareagowała, mocno zaciskając mięśnie i jęcząc z rozkoszy.

Teddy będzie mój, postanowiła. Wyłącznie i tylko mój, po prostu wiem to. Zostanę bogatą panią de Mornay.

Zapadła już noc, ale postać kryjąca się w mroku wołała nie podchodzić bliżej do budynku, żeby psy nie narobiły hałasu. Zresztą, nie było takiej

potrzeby, jeśli się miało tak doskonałą lornetkę. Zakochane ptaszki leżały na wielkiej, skórzanej kanapie. Nawet nie zgasili światła, jakby nikt nie mógł ich tam zobaczyć.

Ha!

Kochając się w tej cudownej bibliotece, znajdowali się we własnym, bezpiecznym świetle, z dala od wścibskich oczu.

Tylko im się tak wydaje, zachichotał obserwator.

Rozbierali się niespiesznie, jakby sycili się każdą chwilą. Pieścili się delikatnie, gładzili dłońmi, obejmowali, całowali, muskali wargami.

A potem rzucili się na siebie jak zwierzęta, jak podniecone, pałające żądzą kundle. Roznamiętnieni wpijali w siebie paznokcie, pewnie jeszcze jęczeli i wzdychali, bez reszty pochłonięci sobą, aż wreszcie wspólnie doszli do szczytu. I choć opadli zmęczeni i zadyszani, nadal nie mogli się sobą nacieszyć ani od siebie oderwać. Pełna harmonia. Szeptali też pewnie jakieś czułe słówka, albo gładzili, jak to było im cudownie, no i, oczywiście, obiecywali sobie dozogoną miłość.

To się jeszcze okaże.

A potem zaczęli od początku. Szczerze powiedziawszy, było to obrzydliwe. Zachowują się jak zwierzęta. Wstrętne, odrażające zwierzęta.

Ukrytą w mroku postać przeszył dreszcz.

A ja? Ja nie mam nic. Mnie los nigdy nie podarował nikogo ani niczego. Za to im tak. Ale już ja się tym zajmę. Wymyślę jakiś sposób. Już ja załatwię ich oboje.

Rozdział 25

Colette obudziły promienie słońca, wpadające do sypialni.

Musi być późno, pomyślała leniwie, siadając na łóżku i przecierając oczy. Zerknęła na budzik. Wielkie nieba, już dziesiąta.

W nogach łóżka poruszył się Puff Puppy. Pogłaskała go.

- Dzień dobry, Puff Puppy. Twoja pani zasnęła, a ty jej nie obudziłeś, niedobry piesku.

Opuściła nogi na podłogę, wsunęła je we wzorzyste kapcie, a potem wstała, włożyła jedwabny szlafrok i przeszła do łazienki. Przeciągnęła szczotką po włosach, uniesieniem brwi kwitując swoje odbicie w lustrze.

- Do zobaczenia później - powiedziała do siebie. - Tak, później doprowadzę cię do porządku.

Zgasiała światło i przeszła do kuchni, za nią człapał Puff Puppy. Otworzyła drzwi kuchenne i wypuściła go do ogrodu.

- Proszę, kochanie - mówiła. - Idź na spacer. A jak wrócisz, pańcia przygotuje ci śniadanie.

Odprowadziła wzrokiem psa, który obwąchiwał krzaki, a potem podreptał do swojego ulubionego miejsca: kępy paproci, która całkowicie go zasłaniała, zapewne dając poczucie prywatności.

Strasznie jest dziś zaspany, zaniepokoiła się Colette. Co mogło mu się stać? Zwykle tak się nie zachowuje. Będę go obserwować, a jeśli się nie ożywi, zadzwonię do Val.

Zapominając, że miała nie spuszczać wzroku z ulubieńca, wróciła do kuchni. Nalała psu świeżej wody, wsypała suchą karmę, wymieszaną z resztkami kurczaka. Uporawszy się z tym, wyjęła aromatyczną kawę, wsypała ją do ekspresu i zalała wodą. Do drzwi zaskrobał Puff Puppy, więc go wpuściła. - Udało się, kochanie? - zwróciła się do dziwnie spokojnego i osowiałego psa.

Puff Puppy poczłapał zygzakiem do legowiska i natychmiast zamknął ślepią.

- Ojej - zaniepokoiła się na dobre Colette. - Jeśli do południa ci nie przejdzie, ściagnę tu Val.

Nalała sobie świeżej kawy, dodając do niej maleńką łyżeczkę słodzika i dużo odtłuszczonego mleka.

Z filizanką w ręku podeszła do dużej klatki Haydena przykrytej gęsto tkaną, błękitną bawełną, dzięki której jeża nie budziły promienie porannego słońca. Odsunęła tkaninę i zajrzała do środka.

- Witaj, Haydenie. Dobrze się wczoraj bawiłeś? - zaszcebiotała. - Kręciłeś się w swoim kołowrotku.

Hayden nie odezwał się ani nie dał znaku życia. Może śpi pod zabawkami albo zakopał się pod kocykiem? Afrykańskie jeże nie znosiły chłodu, Hayden zawsze leżał na termoforze, przykrytym kocykiem. Colette wyprostowała się i zaniepokojona zdjęła zasłonę z klatki.

- Haydenie? - zawołała. - Jesteś tam, maleńki?

Nadal nie dostrzegła żadnego ruchu, więc otworzyła drzwiczki i ostrożnie uniosła kocyk. Nic. Wyjęła go i ostrożnie przesuwała ręką po klatce, daremnie szukając ulubieńca.

- Haydenie? Haydenie! - wołała. - Gdzie jesteś, skarbie? Wysunęła rękę i zatrzasnęła klatkę.

Jak to możliwe? - pytała się w duchu przerażona. Przecież wiem, że wczoraj przed pójściem spać zamknęłam klatkę. A może nie?

Wtedy zaświtała jej inna myśl.

Właśnie! Może Hayden gdzieś się zgubił? Prawdziwy z niego Jasio Wędrowniczek, mógł uciec z klatki i wybrać się na spacer po domu.

Często wieczorem wypuszczała go i pozwalała myszkować po kuchni, więc ten teren znał nieźle. Ale drzwi prowadzące na przeszklony ganek były uchylone. Podreptała tam i rozejrzała się po pomieszczeniu. Tam również nie było jeża.

Mocno zamknęła drzwi i zaczęła sprawdzać cokoły przy ścianie. Haydena zawsze one bardzo interesowały. Zaglądała wszędzie, ale nigdzie go nie było. Trudno, przyjdzie sam, jak zgłodnieje.

Colette westchnęła i skupiła się na bieżących sprawach. Wzięła notatnik, leżący na blacie. Wczoraj zrobiła listę zakupów i zapisała, czym ma się dziś zająć.

Mrożona herbata, przypomniała sobie. Zielona herbata, osłodzona pysznym miodem o niezwykłym smaku. Colette postanowiła przygotować duży dzbanek dla siebie i Valerie, gdyby dziś do niej wpadła. Odłożyła listę i zajęła się przyrządzaniem napoju. Najpierw lód.

Z walijskiej komódki wyjęła dzbanek i trzymając go w ręku, otworzyła zamrażarkę. Zawsze napełniała dzbanek lodem po sam wrąbek. Zanurzyła rękę w maszynie do lodu i wyjęła garść kostek. Wrzuciła je do dzbanka. Wzięła następną garść i też wrzuciła. Wreszcie sięgnęła po trzecią.

- *Merde!* - zaklęła.

Widocznie skaleczyła się o ostry kawałek lodu. Wyjęła dłoń, w której trzymała podły odłamek, który ją zadrasnął. Już miała go wrzucić do dzbanka, ale najpierw spojrzała, by się upewnić, czy krew nie zabrudziła lodu.

Nagle otworzyła szeroko oczy i wypuściła z ręki dzbanek z lodem. Roztrzaskał się w drobny mak u jej stóp. Puff Puppy zaszczekał przestraszony, ale Colette go nie słyszała. Wszystko zagłuszył jej przeraźliwy krzyk zgrozy i strachu. Wypuściła z ręki lód... Nie, nie lód! - poprawiła się w myślach.

Upadł na pokruszone szkło. Colette odsunęła się, nadal krzycząc. Patrzyła na podłogę, a jej krzyki zmieniły się w jęki rozpacz i rozdzierające szlochy. Zacisnęła poły szlafroka, jakby mogła się w ten sposób obronić przed potworem, który dopuścił się tak niewyobrażalnego czynu. Z jej oczu popłynęły łzy.

Na podłodze, wśród okruchów szkła i lodu leżał zamrożony Hayden.

Jego igły sterczały twarde i ostre jak szpikulce, piękna szara skórka była blada i pokryta szronem, czarne ślepka zastygły w wyrazie śmiertelnego przerażenia.

Colette zasłoniła oczy i szlochała, zanosząc się z rozpacz. Wreszcie jakoś doszła do stołu i ciężko opadła na krzesło.

Kto mógł zrobić coś tak potwornego? I czemu? Czemu?

Nie знаła odpowiedzi, ale te pytania ciągle dudniły jej w głowie. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, nim spokojnie wstała, wzięła ściereczkę, podniosła martwe ciało Haydena i owinęła je. Włożyła zawiniątko do klatki i zamknęła drzwiczki. Potem wyjęła z szafki szufelkę i zmiotkę, by uprzątnąć lód i szkło.

Biedny Puff Puppy mógłby się pokaleczyć, pomyślała.

Uporawszy się z tym, podniosła maltańczyka, przytuliła go, jak automat wyszła na ganek i usiadła, wpatrując się w ogród. Będzie musiała zadzwonić do kliniki do Val, ale była tak zdruzgotana, że odłożyła to na później. Przyjaciółka, mimo najszczerszych chęci, i tak nie wskrzesi Haydena. Lepiej posiedzieć teraz samotnie z Puff Puppym, próbując jakoś ogarnąć bezmiar tego bezsensownego okrucieństwa.

Valerie właśnie zakończyła poranne wizyty w okolicznych stadninach i zamieniła brudny fartuch i wysokie buty na czysty kitel oraz adidas. Myła ręce, szykując się do przyjęcia nowych pacjentów, gdy do gabinetu wpadła Tami.

- Val - wydyszała - dzwoni twoja matka. Podobno to coś niezwykle ważnego.

Val spojrzała na nią zaniepokojona i zakręciła kran w maleńkiej łazience.

- Ważnego? - powtórzyła. - Co się stało?

- Nie wiem, ale sprawia wrażenie roztrzęsionej. Przełączyłam ją na trzecią linię, dobrze?

- Dzięki, Tami. Powiedz, że zaraz odbiorę.

- Już lecę.

Valerie szybko zapięła fartuch i z bijącym sercem podeszła do biurka.

Cóż to za ważna sprawa? - zastanawiała się gwałtownie. Czy w ogóle jest jakaś ważna sprawa?

Przełączyła na trzecią linię i podniosła słuchawkę.

- Halo, mamó - odezwała się najspokojniej, jak potrafiła. - Tami mówiła, że masz do mnie jakąś ważną sprawę. Co się stało?

- Muszę natychmiast z tobą porozmawiać - oznajmiła Marguerite z niezwykłym u niej niepokojem. - A zanim się rozłączysz, dodam, że to rzecz najwyższej wagi.

- O co chodzi?

- Sądziłam, że wyjdiesz za Teddy'ego - zaczęła matka - i...

- Nie zamierzam o tym rozmawiać - ucięła zdecydowania Valerie.

- Ani ja - czym prędzej zapewniła ją matka. - Błagam, Val, nie wyciągaj pochopnych wniosków, tylko spokojnie mnie wysłuchaj. To naprawdę niezwykle ważne.

Ale co, u licha? - zachodziła w głowę Valerie.

- Dobrze - ustąpiła. - Słucham.

- Chodzi o to, że... Ponieważ sądziłam, że wychodzisz za Teddy'ego, udzieliłam mu pełnomocnictw i przekazałam nadzór nad całym moim portfelem inwestycyjnym. Dlatego...

- Co zrobiłaś? - spytała Valerie, nie wierząc własnym uszom. - Niestety, słuch cię nie myli - odrzekła Marguerite z ciężkim westchnieniem. - Sądziłam, że wychodzisz za Teddy'ego, więc wszystko mu przekazałam. Zrezygnowałam z usług Docka Wainwrighta.

- Jak mogłaś to zrobić? Dock zawsze zarządzał majątkiem naszej rodziny. I robił to bardzo ostrożnie, tak jak sobie życzył tata. A doskonale wiesz, że Teddy gra niezwykle ryzykownie. Może i z dobrym skutkiem. Nie

wiem, nie mam o tym pojęcia, ale jednego jestem pewna: Dock zawsze bez zarzutu wywiązywał się ze swoich obowiązków.

- Może i tak, ale podjęłam decyzję i teraz... szczerze powiedziawszy, odrobinę się niepokoję. Nie czułabym tego niepokoju, gdybym wiedziała, że się pobieracie...

- Powiedziałam, że nie zamierzam o tym rozmawiać - przerwała jej stanowczo Valerie. - Podjęłaś decyzję, której teraz żałujesz, ale to nie moja wina. A jeśli próbujesz namówić mnie do wyjścia za Teddy'ego tylko dlatego, że zarządza twoim portfelem akcji, to się przeliczyłaś. Wybij sobie z głowy nasze małżeństwo.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Marguerite. - I nie musisz używać tak stanowczego tonu, by mi to wytłumaczyć. Zresztą, nie do tego zmierzam. Z całą pewnością nie próbuję cię namówić do ślubu z Teddym tylko dlatego, że zarządza moimi inwestycjami. - Westchnęła.

- W porządku - odrzekła Valerie. - Więc w czym rzecz? Czego ode mnie oczekujesz?

- Mówię ci o tym, bo w ogóle zaczynam się niepokoić. Właśnie rozmawiałam z Suzy Brooks. Ona i Harry wycofali swoje pieniądze od Teddy'ego. - Matka zawiesiła głos, jakby zbierała odwagę, by mówić dalej.

- To przecież nic nadzwyczajnego - powiedziała Valerie. - Przecież ty to samo właśnie zrobiłaś z Dockiem Wainwrightem.

- Owszem. - Marguerite znowu westchnęła. - Ale Suzy mówiła, że Teddy zarządzał znaczną sumą, rzędu paru milionów. Początkowo wszystko szło gładko, ale ostatnio rozliczenia pojawiały się późno albo wcale.

- To znaczy, że nic od niego nie dostawali? Jesteś pewna?

- Całkowicie. Suzy by tego nie zmyśliła. Powiedziała, że spytała Teddy'ego. Tłumaczył, że to wina zmiany systemu księgowania w biurze. Nie będę już wnikać w szczegóły, dość że postanowili się wycofać. Miesiącami

czekali na zwrot pieniędzy. Wypłacił je dopiero, gdy zagrozili mu procesem.-
Rozumiem - powiedziała Valerie teraz już poważnie zaniepokojona.

- Co więcej, gdy wreszcie je odzyskali, okazało się, że obciążył ich jakimiś wyssanymi z palca kosztami i oskubał na znaczną sumę.

- Boże! -jęknęła Valerie. - Zrobią coś w tej sprawie?

- Jeszcze nie podjęli decyzji. Ale ja tak. Chcę, by moje pieniądze jak najszybciej wróciły do Docka Wainwrighta. Próbowałam się skontaktować w tej sprawie z Jamiem, nie mogę jednak go złapać.

- Jak to, nie możesz? - zdziwiła się Valerie. - A gdzie się podział?

- N-nie wiem - przyznała się matka. - Wiem tylko, że wybrał się do jakichś przyjaciół w okolicy.

- Nie przejmuj się mammo, wszystko będzie dobrze. W końcu Teddy ma wasze pieniądze od niedawna, prawda?

- Tak, ale po telefonie Suzy bardzo się denerwuję. Sądziłam, że dobrze zrobiłam, zwłaszcza że na wszelki wypadek ustanowiłam Jamiego moim pełnomocnikiem. Byłam przekonana, że nic nie ryzykuję.

- Jamie pełnomocnikiem? Jak to? Co on ma z tym wspólnego?

- Jamie również powierzył Teddy'emu pewną kwotę. A że zna się na inwestowaniu, dałam mu upoważnienie do kontroli nad decyzjami Teddy'ego. Miał się z nim porozumiewać przed każdą transakcją giełdową. Tylko że teraz Jamie jest nieuchwytny. Zdaje się, że wyjechał do jakichś znajomych w Saratodze.

Ależ ta mama namotała, pomyślała Valerie.

- W takim razie - powiedziała na głos - wszystko powinno grać. Skoro Teddy nie może podejmować żadnych decyzji bez konsultacji z Jamiem, nie powinno wydarzyć się nic złego.

- Oby - odparła ponuro Marguerite. - Ale się niepokoję. Teddy to taki manipulant...

Przyganiał kocioł garnkowi. Czy matce naprawdę nie przyszło do głowy, że ten, kto spiskuje z nią, równie dobrze może spiskować przeciwko niej?

- Nie za bardzo wiem, jak mogę ci pomóc - odezwała się głośno. - Ale jeśli mogę coś zrobić, powiedz.

- Liczyłam, że może będziesz rozmawiała z Teddym. Jeśli tak, przekaz mu, że się rozmyśliłam. Uznałam, że twój ojciec byłby bardzo rozczarowany, gdyby się dowiedział, że to nie Dock zarządza naszymi inwestycjami. Nie chcę, by Teddy pomyślał, że straciłam do niego zaufanie. Mógłby poczuć się urażony, a ja pragnę to załatwić kulturalnie. Zupełnie jak mój ślub, pomyślała Valerie.

- Cóż, nie sądzę, bym rozmawiała z nim przed tobą, ale jeśli zadzwoni, poruszę tę sprawę.

- Bardzo byś mi pomogła, Valerie. A w ogóle to porozumiałam się już z Dockiem Wainwrightem. Powiedziałam mu, że chcę, by pieniądze wróciły pod jego zarząd. Obiecał, że przygotuje wszystkie dokumenty i będzie czekał na sygnał od Teddy'ego. Już zostawił wiadomość u jego sekretarki.

- W porządku. Masz do mnie coś jeszcze?

- Nie. Choć nie zaszkodziłoby - dodała po namyśle Marguerite - żebyś, dopóki to wszystko się nie skończy, była dla Teddy'ego miła. Załatwimy tę sprawę szybko i bezboleśnie.

Valerie miała ochotę krzyczeć, ale uspokoiła matkę.

- Oczywiście, będę miła dla Teddy'ego. Dla twojego dobra.

- I swojego też - zwróciła jej uwagę Marguerite. - W końcu to ty po mnie odziedziczysz majątek.

- Dobrze, postaram się. Muszę kończyć, mam dziś mnóstwo pracy.

- Już ci nie przeszkadzam. Do widzenia.

- Pa, mamó.

Valerie odłożyła słuchawkę i siedziała przez chwilę z twarzą ukrytą w

dłoniach, masując czoło, by usunąć zdenerwowanie po telefonie matki.

Wiem, że życie nie jest proste, ale czy naprawdę choć jeden dzień nie może upłynąć spokojnie, pomyślała. Uniosła głowę i spojrzała na Elvisa, wylegującego się przy biurku.

- Wiesz, piesku, przydałyby się nam wakacje. Wyjechalibyśmy tylko we dwoje. - Elvis ochoczo zamerdał ogonem. - Czekaj, nie tak szybko. Po namyśle... nie we dwoje, tylko we troje. Ty, ja i Wyn. To też skreśl! Co mi strzeliło do głowy! Nie we troje tylko... Ile to będzie? Osiem. Ty, ja, Wyn, cztery wilczarze i kotka Mina. Co ty na to, piesku? Wakacje w ośmioro. Na jakiejś zacisznej, słonecznej wyspie, gdzie nie ma telefonów, faksów, pagerów, komórek, poczty elektronicznej ani telewizji. Tylko my i zwierzęta. - Pochyliła się i pogłaskała ulubieńca. - Ten pomysł mi się podoba. Ogromnie. A tobie na pewno też.

Wyn krążył po bibliotece. Psy wodziły za nim wzrokiem, Mina obserwowała go z wyżyn oparcia fotela. Miał już za sobą długą telefoniczną konferencję na temat rozwodu ze swoim prawnikiem w Palm Beach, Dexterem Willinghamem IV. Willingham był uszczęśliwiony, że będzie mógł sfinalizować tę sprawę, bo choć słono liczył sobie za każdą godzinę pracy, to miał już serdecznie dość Arielle Conrad i jej scen. Dopadła go nawet na jakiejś gali dobroczynnej i obrzuciła najgorszymi wyzwiskami w obecności wystrojonej elity Palm Beach. Rozmawiał z mecenasem Myronem Goldmanem, który reprezentował Arielle, ale ten najwyraźniej nie panował nad swoją klientką.

Gdyby wszystko poszło gładko, sprawę można by załatwić do końca tygodnia. Ani Wyn, ani Willingham nie spodziewali się najmniejszych problemów. A jednak telefon od godziny milczał i Wyn zaczynał się niepokoić.

A jeśli Arielle nagle zmieniła front i postanowiła rzucać mu kłody pod

nogi? Albo zażądała więcej, zorientowawszy się, że mężowi zależy na sfinalizowaniu rozwodu.

Do pokoju bezgłośnie wszedł Santo, Wyn zauważył go kątem oka.

- Gdzie się podziewałeś? Od rana cię nie widziałem.

- Zaspałem - przyznał się olbrzym. - Wiem, że gdybyś mnie pilnie potrzebował, zadzwoniłbyś na komórkę, a mój zegar biologiczny dziś nawalił. Nie czuję się najlepiej.

- Dopadła cię grypa?

- Nie. To tylko... jakieś małe przeziębienie.

- Zauważyłem, że ostatnio często gdzieś wybywasz - powiedział Wyn z uśmiechem. - Znalazłeś jakąś interesującą panienkę?

Santo odwrócił głowę, ale potem spojrział Wynowi w oczy.

- Nie, nikogo nie namierzyłem. Ostatnio sporo trenuję, a potem chodzimy z chłopakami z siłowni do baru. Wiesz, pogadać.

Zadzwęczał telefon i Santo podniósł słuchawkę.

- Stonelair - powiedział. Słuchał przez chwilę. - Proszę poczekać.

Dexter Willingham do ciebie - zwrócił się do Wyna.

- Daj go. - Odetchnął z ulgą, biorąc do ręki słuchawkę. - Cześć, Dex. I jak wygląda sytuacja? Już zaczynałem się niepokoić.

- Rozmawiałem z Myronem Goldmanem - odezwał się Willingham. - Nie widzi przeszkód w szybkim załatwieniu sprawy. Ale problem w tym, że nie może znaleźć Arielle.

- Jak to, nie może znaleźć Arielle?

- Tak to. Nie ma jej w domu i nikt nie odbiera telefonów. Dzwonił po jej znajomych, ale na razie niczego nie ustalili. Odezwie się do mnie, gdy tylko z nią pogada.

- Niech to szlag! - jęknął zdesperowany Wyn. - Jak znam Arielle, znalezienie jej potrwa sto lat. - Albo godzinę - uspokajał go prawnik. - Może

po prostu wyskoczyła do fryzjera albo na zakupy? Kto wie? Pewnie raz-dwa ją znajdziemy.

- Oby, bo chcę jak najszybciej mieć to z głowy.

- Rozumiem, Wyn, i cieszę się, że podjąłeś rozsądną decyzję. Niestety, dopóki nie skontaktujemy się z Arielle, mamy związane ręce.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł z westchnieniem Conrad. - Ja też zadzwonię w parę miejsc, Dex. A ty daj mi znać, gdy tylko czegoś się dowiesz.

- Jasne. I nie przejmuj się, Wyn. - Adwokat parsknął śmiechem. - Jeśli Arielle jest w Palm Beach, błyskawicznie ją namierzemy. Wiesz, że tak naprawdę to straszna wiocha.

- Bez dwóch zdań. Dzięki, Dex, i do usłyszenia.

Wyn odłożył słuchawkę. Zapatrzony w przestrzeń, zastanawiał się, od kogo zacząć telefoniczne poszukiwania Arielle.

- Problemy? - spytał Ducci, patrząc na szefa.

- Nie mogą znaleźć Arielle, a musimy natychmiast się z nią skontaktować. Co za pech. Wreszcie postanowiłem sfinalizować nasz rozwód i co? Oczywiście Arielle gdzieś wsiąkła.

Santo wpatrywał się w szefa, w głowie kłębiły mu się setki myśli.

Powiedzieć mu, że wiem, gdzie jest Arielle? Nie, zdecydował natychmiast. Wyn zaczęłyby się zastanawiać, skąd wiem, a nie może się dowiedzieć, że spotkałem się z nią za jego plecami. I jak to wpłynie na plany Arielle?

Musi natychmiast się z nią skontaktować i powiedzieć, jak wygląda sytuacja. Na pewno wtedy Arielle się wycofa. A może wręcz przeciwnie? Nie potrafił odgadnąć.

- Co się z tobą dzieje? Przecież chciałeś, żebym to zrobił. A teraz, gdy podjąłem decyzję, milczysz.

- Przepraszam. - Santo odchrząknął. - Zastanawiałem się, gdzie może

być Arielle. Ale to dobra wiadomość. Najrozsądniejszy twój ruch od dłuższego czasu.

- Cóż, można powiedzieć, że miała na to niejaki wpływ Val, nasza pani doktor. - Wyn uśmiechnął się z lekkim zawstydzeniem.

- Jak to? - spytał Ducci, próbując udawać, że nie ma pojęcia o tym, co jest między szefem a lekarką.

- Daj spokój, Santo. Przecież wiesz, że się z nią spotykam.

- Wiem, ale sądziłem, że to nic poważnego.- Przeciwnie, Santo. To coś poważnego. Bardzo poważnego.

- Hm, czyżby to oznaczało, że zanoszą się na marsz weselny?

- Niewykluczone. Tak czy owak muszę podzwonić, spróbuję sam zapolować na Arielle. Gdyby coś ci przyszło do głowy, daj mi znać.

- Dobrze - obiecał Santo. - Pójdę do stajni, sprawdzę, co się tam dzieje. Ale gdyby mnie oświeciło, przedzwonię.

- To na razie - powiedział Wyn.

Olbrzym wyszedł z biblioteki, starając się nie przyspieszać kroku, i udał się do stajni, skąd mógł spokojnie porozumieć się z Arielle.

Wyn odprowadził go wzrokiem.

Co się z nim dzieje? - zastanawiał się. Ostatnio Santo jakoś dziwnie się zachowuje.

Rozdział 26

Tiffani drgnęła i uderzyła w niewłaściwy klawisz.

Cholera! - pomyślała. Stały numer tego skurczybyka! Kiedyś dostanę przez niego zawału. Choć akurat dziś byle co wystarczyło, aby umierała z przerażenia.

Szybko wywołała uśmiech na pomalowane jaskraworóżową szminką usta. Odwróciła się, wysuwając biust i odrzucając do tyłu długie włosy - ta stała zagrywka w jej mniemaniu wystarczała, by mężczyźni padali plackiem do jej stóp.

- Cześć, Santo - przywitała go z udaną beztroską, żując gumę. - Jak leci?

Olbrzym odpowiedział jej mierną imitacją uśmiechu.

- Jako tako, Tiff. Jak sobie radzisz?

- Dobrze. Mam mnóstwo przepisywania. I muszę przygotować całą stertę czeków do realizacji. - Urwała, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. - Będiesz tu dziś pracował?

Pokręcił głową.

- Właśnie w tej sprawie przyszedłem. Ja też mam mnóstwo roboty.

Możesz zostać sama na gospodarstwie?

- Jasne - odrzekła radośnie, oddychając z ulgą. To się nazywa mieć fart, uznała. - Z przyjemnością. Zrobiły mi się straszne zaległości, więc muszę tu posiedzieć do oporu. Może tylko wyskoczę na chwilę coś przekąsić.

- W porządku - odrzekł Santo. - Aha, gdyby telefonował pan Conrad i o mnie pytał, powiedz, że zaraz oddzwonię, i przekręć do mnie do domu. Będę tam pracował.

- Jasne, załatwione. Tiffani była zaskoczona. Ten cholerny byczek nigdy nie opuszczał swojego stanowiska. A kiedy się zjawiała, jego stanowiskiem najwyraźniej stawała się stajnia. Może pan Conrad zlecił mu coś innego? Albo Santo ściał się z szefem?

E, tam, pomyślała. Guzik mnie to obchodzi. Nie będzie się tu szwendał, a na tym najbardziej mi zależało. Muszę tylko uważać na starego Reinhardta, ale to nie problem. On i tak żyje we własnym świecie. Nawet się do mnie nie odzywa, najwyżej kiwnie głową. Pomogę Teddy'emu i nikt nawet się nie

kapnie. Oprócz Teddy'ego. Mojego Teddy'ego!

- To na razie - pożegnał się Santo, wychodząc.
- Na razie.

Ledwo zniknął, sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer.

Santo zaszył się w mieszkaniu i szybko wybrał numer na komórce.

Pierwszy sygnał. Drugi. Trzeci. Czwarty. Nic. Cholera jasna! Już miał się rozłączyć, gdy odebrała.

- Halo?
- Tu Santo. Chyba musimy pogadać.
- Wierzyłam, że w końcu dasz się namówić - powiedziała Arielle.
- Nie jestem do końca pewien, ale chcę o tym porozmawiać. Sytuacja się zmieniła.

- Jak to?

- Wyn jest gotów podpisać ugode. Już się skontaktował z twoimi prawnikami, ale nie mogą cię złapać.

- Co za odmiana. Pewnie to robota tej nowej ukochanej.

- No.

- Znalazł sobie lalę, na którą ma ochotę - ciągnęła Arielle - i chce się mnie pozbyć.

- Coś w tym stylu.

- Słuchaj, Santo, mógłbyś się teraz urwać ze Stonelair? Chcę z tobą pogadać w cztery oczy.

- A Lolo?

- Trenuje. Może w każdej chwili wrócić, więc musimy się spotkać na neutralnym terenie.

- Nie chcesz go w to włączyć? - zdziwił się Santo.
- Nie ma mowy. To go przerosło. Bardzo się na nim zawiodłam.

Sądziłam, że jest prawdziwym mężczyzną... - Zawiesiła głos - takim jak ty.

Ewidentnie z nim flirtowała, a jemu to bardzo odpowiadało.- Do czego zmierzasz?

- Pogadamy, jak się zobaczymy - odparła. - Możesz się urwać?

- Jasne.

- Znam jedno miejsce między Saratoga Springs a Albany, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Nikt nas nie zobaczy, nawet się nie domyśli, że tam jesteśmy. - Podała mu nazwę i adres motelu.

- Będę najpóźniej za godzinę - obiecał Santo.

- Świetnie. Wiedziałałam, że mogę liczyć na twoją pomoc.

- Niczego nie przyrzekam, ale jestem skłonny o tym porozmawiać.

- Do zobaczenia za godzinę - pożegnała się i rozłączyła.

Santo wcisnął klawisz zakończenia rozmowy i zatrzasnął klapkę komórki. Poczuł w łędźwiach przyjemne łaskotanie. Z uśmiechem na twarzy ruszył do garażu.

Valerie siedziała w gabinecie, popijając kawę i wypełniając karty George'a i Jesse, dwóch labradorów retrieverów, które przed chwilą przebadala i zaszczepila przeciwko boreliozie Lyme, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? - spytała, skupiona na notatkach.

- Val - przekomarzała się z nią Tami - zgadnij, kto wisi na czwartej linii?

- Nie mam pojęcia. Przyjaciel to czy wróg?

- O, zdecydowanie przyjaciel - powiedziała konspiracyjnie Tami. - Podejrzewam nawet, że ktoś znacznie bliższy niż przyjaciel.

Odłożyła słuchawkę, a Valerie przełączyła aparat na czwartą Unię.

- Czym mogę służyć, panie Conrad? - spytała.

- Nie pytaj, co ty możesz zrobić dla mnie, lecz co ja mogę zrobić dla ciebie, moja miła - sparafrazował słowa Kennedy'ego Wyn.

- Nie wątpię, że pańska oferta jest niezwykle bogata - odrzekła ze

śmiechem - ale czy ma pan na myśli coś konkretnego?

- Owszem, mam. Dziś wieczorem znowu chcę cię zaprosić w moje skromne progi, by cię obłaskawić jedzeniem. A potem zastanowimy się, co dalej. Chyba że już ci się znudziło moje towarzystwo?

- Pańskie towarzystwo bynajmniej mi się nie znudziło, panie Conrad, ale może dla odmiany zaszczyciłby pan moje skromne progi i pozwolił mi zabłysnąć talentami kulinarnymi?

- Chętnie, ale zaplanowałem coś wyjątkowego, co należy zrobić właśnie w Stonelair. Zresztą lepiej, żebym to ja cię ugościł, bo będziesz zmęczona po całym dniu pracy.

- Cóż, bardzo dziękuję, panie Conrad.

- Koło ósmej?

- Chyba znajdę dla pana chwilę.

- Zatem do zobaczenia.

- Na razie. - Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się radośnie. - Właśnie to nazywa się błogostanem, piesku - zwróciła się do Elvisa. - Mam nadzieję, że choć raz w życiu tego doświadczyłeś. Jest mi tak błogo, tak cudownie...

Z rozmarzenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Podniosła słuchawkę. - Tak?

- Val - usłyszała pełen niepokoju głos Tami - na drugiej linii masz Colette. Jest kompletnie roztrzęsiona, mówi coś o Haydenie, tym swoim afrykańskim miniaturowym jeżu.

- Już odbieram. - Nacisnęła klawisz drugiej linii. - Colette, co się stało?

- Va-Va-Valerie, skarbie - wykrztusiła przyjaciółka - ktoś za-za-zamordował Haydena!

- Za dziesięć minut będę, Colette.

- Jesteś kochana.

Valerie połączyła się z Daphne.

- Mam nagły przypadek, zajmie mi to godzinę - zwróciła się do

koleżanki. - Zastąpisz mnie?

- Coś się komuś stało? - spytała Daphne.

- Jeżowi Colette Richards.

- Ojej - przejęła się koleżanka. - Jasne, że cię zastąpię. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Przekonam się na miejscu. - Wolała na razie jej nie wtajemniczać. - Zostawię karty u Tami.

- Nie ma sprawy, Val. I odezwiw się, jak będziesz znała sytuację. Valerie odłożyła słuchawkę, zgarnęła karty, wzięła torbę, przyczepiła Elvisowi smycz i wybiegła do rejestracji.

Santo zastukał do pokoju motelowego i Arielle natychmiast mu otworzyła.

- Wejdz - zaprosiła go.

Mijając ją, Santo zauważył, że miała na sobie przezroczystą bluzkę, niepozostawiającą wyobraźni szczególnego pola do popisu, a do niej superminispódniczkę, ledwo zasłaniającą czarne stringi. Na szafce nocnej stały otwarte butelki z wódką i tonikiem oraz dwie szklanki. Na jednej widać było ślady śliwkowej szminki. Arielle podchwyciła jego spojrzenie.

- Chcesz sobie przepłukać gardło? - spytała.

- Lepiej nie - odrzekł Santo. - Nie mam wiele czasu, muszę szybko wracać do Stonelair.

- Nie bądź taki. - Powiodła palcem po jego torsie. - Takiemu wielkiemu facetowi jak ty nie zaszkodzi malusieńki łyeczek. A ja nie lubię sama pić.

Wzruszył ramionami.

- Niech będzie. Tylko jeden drink.

Arielle boso podeszła do szafki i hojną ręką naląła do szklanki wódki, tylko minimalnie dodając toniku. Podała Ducciemu drinka, a potem wzięła

swój.

- Zdrówko - powiedziała, trącając się z nim szklanką. Skinął głową i łyknął odrobinę.

- Rozgościmy się - zaproponowała, wyciągając się na łóżku i poklepując miejsce obok siebie.

- Musimy porozmawiać - bronił się Santo, pozerając ją wzrokiem.

- I rozmawiamy. Tutaj. - Znow poklepała prześcieradło. Santo wzruszył potężnymi barami i podszedł do łóżka, siadając

twarzą do Arielle na wskazanym miejscu. Zajrzała mu w oczy i jeszcze raz przeciągnęła palcem po jego torsie.

- Powiedz, Santo - odezwała się cicho - o czym myślisz?

- Już wiesz, że Wyn chce sfinalizować rozwód, więc spokojnie możesz zrezygnować ze swojego planu. Ale... - Umilkł i upił trochę wódki z tonikiem.

- Ale - dokończyła Arielle - oboje wiemy, że więcej zyskam, jeśli on teraz umrze. Prawda?

Santo wolno skinął głową.

- Jeśli zgodzę się na to, co mi daje - ciągnęła, przesuwając dłonią po jego potężnych bicepsach - dostanę zaledwie część jego majątku. Ale gdyby tak nagle zmarł jeszcze przed uprawomocnieniem się rozwodu, z prawnego punktu widzenia byłabym nadal jego żoną... A jeśli powtórnie się ożeni, może zmienić testament, wystawiając cię rufą do wiatru.

Uniosła kusą spódniczkę i wygładziła niewidzialną fałdkę na czarnych, jedwabnych stringach. Santo przyglądał jej się z nieskrywanym pożądaniem. Zawsze go kokietowała, ale nigdy nie poszli do łóżka. Sytuacja jednak się zmieniła. Nie znajdowali się pod czujnym okiem Wyna. Zresztą Arielle wkrótce się rozwiedzie albo... Wyn pożegna się z życiem.

- Trzeba szybko działać - podjęła Arielle, rozpinając przezroczystą bluzkę. - Zanim wytropią mnie prawnicy i przedstawią warunki ugody.

Santo skinął głową, nie odrywając wzroku od idealnie kształtnych piersi, które miał na wyciągnięcie ręki.

- Wiem, że poradziłbyś z tym sobie - kusiła go. - A jeśli chcesz, przyjadę, aby ci pomóc. - Wypiła łyk wódki. - Tylko pomyśl, potem moglibyśmy razem wyjechać.

- To już na pewno podejrzenie by wyglądało.

- Mam na myśli później. Kiedy już będzie po wszystkim i odziedziczę majątek.

- A Lolo? - spytał, dotykając dłonią jej nagiego uda.

- Lolo! - prychnęła. - Nie rozśmieszaj mnie. Gdzie mu do ciebie, Santo. Nie zasługuje na taką kobietę jak ja. Zwłaszcza gdy stanę się naprawdę bogata. I nie obawiaj się, ten tchórz nie puści pary z ust. Nawet gdyby coś wiedział.

Wyciągnęła rękę, z wolna powiodła palcem po jego masywnym karku, aż wreszcie zawędrowała ku ustom, próbując je rozchylić. Santo chwycił ją za nadgarstek.

- Musimy to dopracować. Zaplanować dokładnie, co zrobimy... dziś wieczorem - powiedział.

- Zajmiemy się tym, ale najpierw możemy się zabawić. Co ty na to? Rozluźnił uścisk.

- Zawsze byłaś trochę szalona, Arielle.

- Zupełnie jak ty. - Wsunęła dłoń między jego umięśnione uda.

- Strasznie mi się spieszy - powiedział Santo.

Odstawił drinka i wyjął jej z ręki szklankę. Przez ułamek sekundy patrzył na Arielle, a potem przygniótł ją swym ciężarem.

- Tak - szepnął. - Szczegóły dopracujemy później.

Rozdział 27

Colette siedziała przy stole w kuchni, ściskając w pomarszczonej dłoni mokrą chusteczkę. Oczy miała czerwone i zapuchnięte od łez. Valerie oparła się o blat. Serce jej się ściskało. Teraz Colette wyglądała na swoje lata, nagle zniknęły gdzieś jej optymizm i beztroska. Valerie odchrząknęła.

- Wiem, że trudno ci teraz o tym pomyśleć i nie chcę, żebyś uznała mnie za bezduszną i niewrażliwą, ale chciałabym zapytać, co zamierzasz z nim zrobić.

Colette spojrzała na przyjaciółkę.

- Och, skarbie, ty nigdy nie mogłabyś być bezduszną ani niewrażliwą. Chy-chyba pochowam go w ogrodzie i postawię małą tabliczkę, abyśmy mogły go odwiedzać. Jak sądzisz?

- Moim zdaniem to doskonały pomysł. Pomogę ci, Colette.

- Nie, Val. Nie musisz, naprawdę, poradzę sobie. Znajdę jakieś pudełko, owinę go, włożę do środka, a potem wykopię grób.

- Na pewno chcesz to zrobić? - spytała Valerie. - Wiesz, że chętnie ci pomogę. Ja też kochałam Haydena.

- Wiem, skarbie, ale chyba lepiej będzie, jeśli sama się tym zajmę. Tylko ja i Hayden. Może Puff Puppy, jeśli będzie grzeczny. - Westchnęła melancholijnie. - Poczekam, aż zjawi się policja i załatwi wszelkie formalności. Należało wcześniej ich wezwać, ale nie mogłam znieść myśli, że będą mi się tu kręcić. Dziękuję, że to za mnie zrobiłaś, Val.

- Dobrze, że się zgodziłaś ich wezwać. To naprawdę okropne, zwłaszcza

jeśli pomyśleć, że ktoś wszedł do środka, by zabić Haydena.

Colette przeszył dreszcz.- Na samą myśl... - Urwała. - Och, czuję się taka... zbrukana. Zupełnie jakby ktoś mnie zgwałcił. Nawet sobie nie wyobrażasz.

- Bez cienia wątpliwości sprawca działał z premedytacją. Ale nie sądzę, aby ten atak był skierowany przeciwko tobie.

Colette spojrzała na Valerie.

- Tak uważasz? Podobnie jak z Eddiem? Obstawiam, że to ten sam drań. Morderca biednego Noego doskonale wiedział, kiedy, gdzie i jak zaatakować. Tak samo było z biednym Haydenem. - Głos jej się załamał. - To przerażające, że ktoś może wyładowywać złość na niewinnych zwierzętach, bez względu na to, co go rozgniewało.

Valerie podeszła do staruszki i objęła ją, delikatnie poklepując po ramieniu.

- Podejrzewam, że sprawcy wcale nie zależało na tym, by zranić ciebie czy Eddiego.

Colette spojrzała na nią zaskoczona. W jej zapłakanych błękitnych oczach malowało się pytanie.

- A kogo, Val? Valerie obeszła stół i usiadła naprzeciwko staruszki.

- To może zabrzmieć nonsensownie, ale Hayden i Noe byli moimi pacjentami, a ty i Eddie jesteście moimi przyjaciółmi. Ani tobie, ani Eddiemu nie przychodzi na myśl nikt, kto mógłby mieć do was urazę. - Spojrzała przyjaciółce w oczy. - Ale znam przynajmniej jedną osobę, która chowa urazę do mnie.

Przerażona Colette szeroko otworzyła oczy i przycisnęła rękę do piersi.

- Och, skarbie! Chyba nie sądzisz...? Ale... Valerie skinęła głową.

- Och, to potworne. Teddy nie zrobiłby czegoś aż tak odrażającego.

- Sama nie wiem, do czego byłby zdolny - odparła Valerie - ale

dopuszczam taką możliwość. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto miałby do mnie urazę, a jednocześnie znałby moich pacjentów i przyjaciół.

- Powiesz o tym policji?

- Sama nie wiem. - Westchnęła ciężko. - Nie chcę, ale trzeba znaleźć sprawcę, Colette. Jeśli Teddy nie popełnił tych czynów, bez trudu dowiedzie swojej niewinności. Naturalnie wolałabym jednak oszczędzić mu przesłuchania, jeśli jest niewinny. Wyobraź sobie, jak by się wtedy czuł.

- Czasem tak trudno podjąć właściwą decyzję - zauważyła cicho przyjaciółka. - Ciekawe, czemu policja jeszcze nie przyjechała. - Niedługo powinni się zjawić.

Zadzwonił telefon Valerie. Obie kobiety drgnęły.

- Chyba wciąż jestem trochę podenerwowana - powiedziała Colette.

- I nic dziwnego - odrzekła Val, wyjmując komórkę z futerału przy pasku. - Przepraszam cię na moment.

Odebrała telefon.

- Valerie Rochelle.

W miarę jak słuchała, odwracała się od przyjaciółki. Nie chciała, by Colette dostrzegła na jej twarzy coraz większy niepokój.

- To nie wygląda najlepiej - odezwała się wreszcie, za wszelką cenę usiłując ukryć zdenerwowanie, by niepotrzebnie nie niepokoić staruszki.

Biedaczka dość już dzisiaj wycierpiała. - Poczekaj chwilę, Wyn, jestem u przyjaciółki, muszę z nią zamienić dwa zdania. Colette, w Stonelair zachorowały konie. Poradzisz sobie, jeśli pojedę już teraz, nie czekając na policję?

- Oczywiście, Val. Jedź i zajmij się nimi. Haydenowi i tak już nie zdołasz pomóc. Ani mnie.

- Wyn - powiedziała do telefonu Valerie. - Już do ciebie jadę.

Wyłączyła komórkę i schowała aparat.

- Przykro mi, Colette. Na pewno poradzisz sobie z policją?
- Oczywiście. Jestem stara, ale zachowałam trochę oleju w głowie.
- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.
- Wiem, skarbie. To mnie teraz ponoszą nerwy. Wybacz. - Zawahała się. - I, Val, chyba nie będę wspominać policji o Teddym. Jak sądzisz? A może powiem, że masz pewne podejrzenia i powinni z tobą porozmawiać? Zgodzisz się?

- Bardzo dobry pomysł, Colette. Nie chcę cię zostawiać, ale naprawdę muszę pędzić.

- Poradzę sobie - uspokoiła ją Colette. - Jedź, czekają na ciebie. Aha, i zostaw u mnie Elvisa. Dotrzyma towarzystwa Puff Puppy'emu. Tak się lubią.

- Naprawdę mogę?

- Naturalnie.

Ucałowały się, Valerie zarzuciła torbę na ramię, pochyliła się i poklepała psa.

- Do zobaczenia, Elvis. Pobiegnę do samochodu.

Rozdział 28

Lydia podniosła wzrok znad biurka.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś! - zawołała na widok wchodzącego Teddy'ego. - Telefony się urywały i coś ci powiem, szefie: jest parę osób, które bardzo chcą z tobą pogadać. I to natychmiast. Domyślasz się, w czym rzecz?

- A poza tym dzień dobry, Lydio - powiedział z głupim uśmiechem.

Podszedł do biurka, usiadł w fotelu i nerwowo zaczął przeglądać papiery. Lydia odwróciła się do niego. Świeżo ufarbowane na marchewkoworudy kolor

włosy potwornie gryzły się z fioletowym cieniem i czarną kredką do oczu.

- Słuchaj, Teddy, mnie nie jest do śmiechu. Sprawa się rypla. A raczej wszystkie sprawy. Nie wiem, co naprawdę się dzieje, ale lepiej natychmiast bierz się do roboty i zacznij urabiać tych wszystkich gości, bo niedługo zażądamy twojej ślicznej blond główki na tacy.

- Jak gdybym o tym nie wiedział, Lydio - warknął wściekły. - Nie musisz mi mówić, co robić. I bez tego mam dość na głowie.

- Za to ja - fuknęła - musiałam przez cały dzień słuchać starego Docka Wainwrighta. Marguerite Rochelle i ten jej przemądrzały kuzynek żądają swoich pieniędzy. Podobnie jak pół tuzina innych klientów. I to natychmiast. Nic dziwnego, że tańczysz jak wściekły kocur na rozpalonym blaszanym dachu. Ja też!

Teddy zmierzył ją spojrzeniem pełnym złości.

- Powiadam ci, skarbie - ciągnęła Lydia, mierząc weń pomarańczowym paznokciem - tym razem wpadłeś po uszy. Maklerzy wyłażą jak korniki z drewna. Wydzwaniamy, jakby się umówili. Pytają o swoją kasę. Zdaje się, że to ma jakiś związek z wadium, pamiętasz, koleś? A może i z tymi transakcjami, które robiłeś na krechę. Teraz żądają swoich pieniędzy. Pieniądzy, które ty przeputałeś!

- Zamknij się! - ryknął. - Dotarło do mnie! Lydia wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

- Dobra - powiedziała wreszcie z gniewem. - Ale dłużej tego nie zniosę, Teddy. Nie żartuję. Tonące okręty to nie moja specjalność. A to właśnie jest tonący statek. Drugi cholerny Titanic. Tyle że ja zamierzam się załapać na szalupę.

- Rób sobie, kurwa, co chcesz! Nie potrzebuję cię!

- To wszystko? - spytała, podnosząc się ostentacyjnie. - Pracowałam dla ciebie sześć lat, Teddy. Nadstawiałam za ciebie karku, kłamałam dla

ciebie, a nierzadko sprzątałam twój bajzel, żeby nikt się nie kapnął, jaki naprawdę jesteś. I to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Zdecyduj się, wychodzisz czy nie? - warknął. Rozgniewana Lydia tupnęła szpilką w lamparcie cętki, po czym

odwróciła się i wyjęła z biurka notatnik. Na chwilę jeszcze zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na Teddy'ego z wyzwaniem. Wytrzymał jej wzrok.

- Wynoś się, Lydio. Wracaj do tego swojego młodego ogiera, za którym tak szalejesz, niech cię porządnie przeleci. Bo ja już sobie nie życzę, żebyś mi się tu szwendała, hołoto z przyczepy.

Zaniemówiła na chwilę.

- Może i mieszkam w przyczepie, panie de Mornay - wysyczała przez zaciśnięte zęby - ale to pan jest hołotą!

Odwróciła się i wyszła, z hukiem zatrzaskując drzwi.

Teddy chwycił kartkę z listą osób, które do niego dzwoniły, i przez chwilę się w nią wpatrywał. Potem rozdrażniony obrócił się w fotelu i sięgnął po telefon. Aparat zadzwonił, nim Teddy zdążył podnieść słuchawkę. Chwilę odczekał, aż włączy się automatyczna sekretarka, by zorientować się, kto dzwoni. Kiedy wreszcie przebrzmiało jego powitanie, usłyszał głos Tiffani. Natychmiast odebrał telefon.

- Cześć, kiciu - powiedział.

- Teddy, musimy porozmawiać.

- Przecież właśnie to robimy.

- Ale osobiście. To naprawdę ważne, Teddy.

- Daj spokój, Tiff, jestem strasznie zajęty, a przecież i tak wieczorem się spotykamy. Pamiętasz? To nasza wielka randka. Małe, dwuosobowe święto.-
Wiem, Teddy - odrzekła z powagą - ale muszę porozmawiać z tobą już teraz. Osobiście. T-to nie temat na telefon.

- Do diaska, nie możesz poczekać do wieczora? Jestem tu uwiązany.

- Teddy - powtórzyła z uporem - muszę z tobą porozmawiać. Teraz. U mnie.

Mówiła, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

Co ją ugryzło? - zastanawiał się gorączkowo. Wszystko się wali. Ale gra jeszcze się nie skończyła, więc musiał nadal troszczyć się o tę małą inwestycję w osobie Tiffani.

- Cholera, Tiff, mam naprawdę ważne sprawy do załatwienia. Muszę podzwonić do klientów.

- Zrozumiesz, kiedy porozmawiamy. Westchnął.

- Niech to szlag. Przyjadę za parę minut. - Odłożył słuchawkę i znowu westchnął. - Cholera - powiedział na głos. - Wiedziałem, że już najwyższy czas się jej pozbyć.

Wstał, ale po namyśle ponownie usiadł.

Tylko jeden telefon, pomyślał. Żeby zabezpieczyć sobie tyły.

Wystukał numer. Odebrano po trzecim sygnale.

- Halo?

- Marguerite? Tu Teddy.

Wydawało mu się, że słyszy, jak matka Valerie gwałtownie wciąga powietrze.

- O, witaj, Teddy - powiedziała. - Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku. Pomyślałem, że zaproszę cię na drinka i kolację. Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Miło z twojej strony - odrzekła po długim milczeniu Marguerite - ale może po prostu zjedźmy u mnie. To znacznie sympatyczniejsze niż rozmowa w restauracji. Co o tym sądzisz?

- Świetnie. Muszę jeszcze tylko załatwić parę spraw. Może przyjadę do ciebie, gdy skończę?

- Doskonale. Bardzo się cieszę, że się spotkamy, Teddy. Odłożył

słuchawkę i wyszedł z gabinetu.

Jedną sukę już spacyfikowałem. Teraz trzeba się zająć następną. Tiffani. I co w ogóle ją ugryzło? Akurat kiedy zamierzałem się jej pozbyć, ma problemy. Następny kłopot. Tylko tego mi brakowało. Nieważne, pocieszył się, przekręcając kluczyk w stacyjce jaguara. Dziś zerwę z tą dziwką. Tak, dziś wieczorem, kiedy z nią skończę, pożegniam się z nią na zawsze. I wymówię mieszkanie! Valerie ostro zahamowała przed bramą Stonelair i nacisnęła guzik domofonu. - Val?

To był głos Wyna, nie Santa Ducciego. -Tak.

- Czekam przy stajniach.

Skrzydła bramy natychmiast zaczęły się rozsuwać, Valerie podjeżdżała wolno, a kiedy już mogła, śmignęła dalej aleją prowadzącą do stajni. Z piskiem opon wjechała na parking i wyłączyła silnik. Wskoczyła z samochodu. Ze stajni dobiegały niepokojące hałasy. Konie musiały być bardzo zdenerwowane.

W drzwiach ukazał się Wyn. Chociaż twarz miał zasłoniętą opatrunkami, jego postawa wyraźnie sygnalizowała, że sytuacja nie wygląda najlepiej.

- Ej, nie tak ostro - zawołał - bo mi się zabijesz!

- Spokojna głowa. Nigdy nie miałam wypadku.

- A ja nie chcę, żebyś teraz miała ten pierwszy - odpowiedział, całując ją w usta i obejmując.

Cieszył ją jego dotyk, pragnęła go, choć jednocześnie chciała jak najszybciej zobaczyć, co się dzieje z końmi.

- Tak się cieszę, że cię widzę. Nawet jeśli okoliczności nie są szczególnie radosne.

- Ja też, Val - odrzekł Wyn. - Daj, zaniosę ci torbę.

- Nie trzeba, jestem do tego przyzwyczajona. Santo jest z końmi?

- Teraz już tak.

- Oho! Czyżbyś pogniewał się na niego?

- Może odrobinę - przyznał. - Byłem w bibliotece, gdy usłyszałem hałasy ze stajni. Zadzwoiłem i nikt nie odbierał. Nikt! Reinhardtowie wybrali się do miasta na zakupy i wiedziałem o tym. Dziewczyna, która pracuje na pół etatu, pewnie dopiero co wyjechała, bo zwykle o tej porze kończy. Ale Santo powinien był siedzieć kamieniem w domu, a gdzieś zniknął.

Weszli do biura.

- Wydzwaniałem do niego - ciągnął Wyn - ale nie mogłem go złapać. Wreszcie łaskawie odebrał, przybiegł tu i zobaczył to całe pandemonium. Wtedy zadzwoniłem do lecznicy. Rejestratorka, Tami, dała mi numer twojej komórki.

Przeszli przez siodlarnię do stajni. Valerie była zszokowana widokiem spanikowanych koni.- Czy u któregoś objawy są bardziej nasilone niż u pozostałych? - zapytała Wyna.

- Wszystkie są przerażone, niektóre bardziej niż pozostałe, ale zachowują się tak dziwnie, że nie potrafię tego powiedzieć. Kiedy zobaczyłem, co się dzieje, poniosły mnie nerwy.

Na końcu przejścia pojawił się Santo. Nawet z tej odległości Valerie widziała, że jest bardzo zaniepokojony. Podeszedł i skinął jej głową.

- Cześć, Santo - powitała go.

- Cześć - bąknął i wyraźnie zawstydzony odwrócił wzrok. Valerie podeszła do pierwszego boksu, odstawiła torbę i stanęła przy zamkniętych drzwiach. Koń był wyraźnie pobudzony. Rzucał się, parskął, oczy miał wytrzeszczone z przerażenia. Zupełnie jakby w stajni wybuchł pożar, pomyślała Valerie.

- W pobliżu nic się nie paliło ani nie dymiło? - zwróciła się do Wyna.

- Nie, nic.

- A może jakieś gwałtowne odgłosy?

- Żadnych - pokręcił głową Wyn. - Byłem tu, słyszałbym. Valerie

zajrzała do boksu.

- Cześć, staruszk - zagadała przyjaźnie przez drzwi. - Powiedz, co cię gnębi, kochany?

Wsunęła przez pręty obie ręce, żeby mógł je powąchać, ale koń nawet nie zrobił ruchu w jej stronę. Coś wzbudziło w nim paniczny strach. Valerie zauważyła biegnący po ścianie przewód elektryczny. Odwróciła się do Wyna.

- Czy ten przewód biegnie przez wszystkie boksy?

- Tak. - Skinął głową. - Czemu pytasz?

- Czy mogło dojść do przebicia? - spytała, zdając sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. - Może konie poraził prąd?

- Nie sądzę, Val - odrzekł z powątpiewaniem Wyn. - To przewody od oświetlenia, a lampy palą się normalnie. Ale na wszelki wypadek - zwrócił się do Santa - wyłącz na chwilę bezpieczniki.

Olbrzym skinął głową i przeszedł do gabinetu, w którym była skrzynka.

- Dajmy im parę minut i zobaczymy, czy się uspokoją - zaproponował Wyn.

- Szczerze powiedziawszy, wątpię, by o to chodziło, ale naprawdę nie potrafię znaleźć wytłumaczenia. Zazwyczaj zwierzęta tak się zachowują, gdy wybuchnie pożar. Czegoś takiego nigdy nie widziałam.

- Ani ja - zgodził się z nią Wyn. - Przejdę się wzdłuż boksów i sprawdzę, który koń wygląda najspokojniej.

Razem z Wynem przechodziła od boksu do boksu, zaglądali do każdego wierzchowca i przez chwilę go obserwowali. Nagle zgasły światła. Oboje drgnęli i zamarli na moment, ale szybko zapanowali nad strachem.

- Dziwne - powiedziała Valerie. - Przecież byliśmy na to nastawieni.

- Cała ta sytuacja jest co najmniej dziwna.

Do stajni wpadało wystarczająco dużo światła dziennego, by mogli kontynuować inspekcję. Wreszcie zatrzymali się przy boksie Demona. Ogier

też był pobudzony, ale wydawał się nieco spokojniejszy niż pozostałe konie. Wyn zaczął cicho do niego przemawiać i wyciągnął ręce, by pogłodzić go po karku. Widać było, że Demon się ucieszył, a mimo to nie chciał podejść bliżej.

- Sądysz, że światła wystarczająco długo są zgaszone? - zapytał Valerie Wyn. - Gdyby to rzeczywiście było porażenie prądem, zwierzęta powinny już się uspokoić, prawda?

Valerie tylko wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale chyba tak. Upłynęło kilka minut, jesteś tu z nimi, znają cię i ci ufają. Gdyby przyczyną ich zachowania było przebicie, powinny się uspokoić. Tymczasem nic się nie zmieniło, prawda?

- Nic - zgodził się z nią. - Pójdę do Santa, niech włączy prąd. Pobiegł w stronę gabinetu, a Valerie ruszyła po swoją torbę lekarską. Wzięła ją i podeszła do Demona. Zacznie od niego.

Wrócili Santo i Wyn.

- Co robisz? - spytał ten drugi.

- Będę potrzebowała waszej pomocy. Musimy uwięzić Demona, żeby pobrać mu krew do zbadania. To jedyne, co mi się teraz nasuwa, bo jestem zupełnie bezradna. Demon wygląda na najspokojniejszego, więc pobranie krwi od niego powinno być stosunkowo najprostsze.

Obaj mężczyźni podeszli do boks, Wyn wolno otworzył drzwi i razem weszli do środka. Wyn błyskawicznie chwycił Demona za kantar, a Santo, nie dając ogierowi czasu na ucieczkę, zapiął linkę i przeciągnął ją przez kółko w ścianie. Odsunęli się, bo ogier próbował wierzgać.

- Demonie - szeptał Wyn. - Wszystko dobrze, kochany. Już w porządku. - Gładził go, próbując uspokoić.

Santo wyszedł z boks i przyglądał się temu z boku. Valerie wyjęła z torby lekarskiej strzykawkę i ostrożnie wślizgnęła się do boks.- Na pewno chcesz to zrobić? - spytał cicho Wyn, nie odwracając się, tylko dalej głaszcząc

konia.

- Muszę pobrać mu krew do badania. Robiłam to setki razy. Wystarczy, że będę trzymać się z dala od jego zadu.

Przysunęła się do Wyna i zaczęła melodyjnie, łagodnie przemawiać do ogiera, uspokajając go. Wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić Demona po karku, ostrożnie szukając żyły szyjnej. Wreszcie, gdy koń dał się zmylić ich szeptami i pieszczotami, błyskawicznie wbiła igłę i zaczęła pobierać krew.

Demon poderwał się i próbował wierzgnąć, ale na szczęście Valerie zdążyła już pobrać wystarczającą próbkę i błyskawicznie wycofała się z boksu. Po chwili dołączył do niej Wyn.

- Odważna z ciebie kobieta.

- Z tego żyję - odpowiedziała, umieszczając próbkę w specjalnej przegródce torby. Wyprostowała się. - Zadzwoń do kliniki, żeby ktoś po nią przyjechał i natychmiast oddał do laboratorium. Bo chyba będzie lepiej, jeśli trochę tu zostanę i poobserwuję konie. Może w końcu odgadnę, co się tu stało.

Wyjęła z futerału komórkę, otworzyła klapkę i wybrała numer.

- Tami, tu Val. Niech ktoś natychmiast przyjedzie do Stonelair, mam próbkę krwi, którą trzeba oddać do laboratorium na cito. Nie ma ani chwili do stracenia. - Słuchała przez chwilę. - Świetnie - odezwała się wreszcie. - Zapomniałam, że wiesz, jak tu dojechać. Powiedz Daphne, że prosiłam, żeby to ciebie przysłała. Przy bramie będzie czekał ktoś z próbką. Pamiętaj, że to pilne.

Znowu przez chwilę słuchała, potem rozłączyła się i schowała telefon.

- Santo, mógłbyś poczekać z tym przy bramie? Tami pewnie będzie tu za kwadrans, może za dwadzieścia minut, więc nie musisz jechać już teraz. - Podała mu ampulkę z krwią.

- Jasne - odrzekł, biorąc od niej próbkę.

- A ja jeszcze im się poprzyglądam - powiedziała.

Wolnym krokiem ruszyła wzdłuż boksów, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie. Wszystkie konie sprawiały wrażenie przestraszonych.

- Miałaś rację - zwróciła się do Wyna. - Niektóre są bardziej pobudzone, inne mniej, ale ze wszystkimi coś jest nie w porządku. Pierwszy raz zetknęłam się z czymś takim. - Zamyśliła się. - Czy ktoś tu był dziś po południu?- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wyn odwrócił się do Ducciego, który zatrzymał się przy Layli, udając całkowicie pochłoniętego jej stanem.

- Santo - zapytał - nie wiesz, czy ktoś dziś zaglądał do koni? Olbrzym wzruszył ramionami.

- Tiff pracowała w biurze. Widziałem ją koło południa. Powiedziałem jej, że nie czuję się najlepiej, więc wezmę coś na przeziębienie i pójdę się położyć. Wspomniała, że ma kupę roboty papierkowej, i obiecała zadzwonić, gdyby coś się działo. Wspomniała też, że może zrobić sobie przerwę na lunch.

- Czyli nie było cię tu całe popołudnie? - spytał Wyn.

- Tak. Mówiłem ci, że...

- W porządku, Santo. Przeziębilesz się, siła wyższa. - Westchnął. - Czyli była tu tylko ta dziewczyna?

- Tak. Reinhardtowie pojechali do miasta, została sama na gospodarstwie.

- Przekreć do niej, kiedy już ktoś odbierze od ciebie tę próbkę, Santo - polecił Wyn. - Może będzie o czymś wiedziała.

- Dobrze - odrzekł olbrzym. - Chyba pojedę już do bramy. Odwrócił się i wyszedł przez siodlarnię.

- Nie wiem, co się z nim dzieje - odezwał się Wyn, gdy Santo już zniknął. - Nie zachowuje się normalnie.

- Czyli?

- Nie potrafię tego określić.

- Pewnie ponosi cię wyobraźnia. Sytuacja jest niezrozumiała, więc nie dziwnego, że wszędzie dopatrujesz się niepokojących sygnałów.

- Racja - zgodził się. - Mądra z ciebie kobieta, pani doktor.

Kontynuowali obchód. Dziwne zachowanie koni nie dawało Valerie spokoju. Nigdy jeszcze nie czuła się aż tak bezradna. Ani w podręcznikach, ani w swojej dotychczasowej praktyce nie zetknęła się z takimi objawami. Nie chciała zawieść Wyna, a własna bezsilność i niemożność ulżenia cierpiącym zwierzętom tylko pogłębiały jej frustrację.

Wyn ujął ją za rękę.

Zupełnie, jakby wiedział, co czuję, pomyślała Valerie, odwracając się do niego.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją z uśmiechem.

- Oby - odrzekła z pozornym optymizmem, lecz z jej twarzy nie zniknęła troska. Dotarli do ostatniej przegrody, zajrzeli do zdenerwowanego konia i zawrócili. Wtem Valerie znieruchomiała i chwyciła Wyna za rękę.

- Spójrz! - zawołała szeptem.

- Co się stało?

- Boże, Wyn!

Podniosła z podłogi jakiś mały przedmiot, który leżał przy wejściu do jednego z boksów. Trzymała w palcach małą kapsułkę przypominającą lekarstwo. W środku znajdował się biały proszek.

- Czy to jakiś lek, który biorą konie? Wyn potrząsnął głową.

- Nie. Jeszcze będę musiał zapytać Ducciego, ale to mi nie wygląda znajomo. - Dokładniej przyjrzał się kapsułce. - Chyba jest mniejsza od pigułek, jakie zwykle podaje się koniom, prawda?

- Właśnie - powiedziała. - To mi nie przypomina żadnego weterynaryjnego środka. Podjadę do bramy, niech Santo odda Tami i to lekarstwo, a ona niech przekaże je do laboratorium razem z krwią. Założę się, że wynik

badania tego proszku i krwi Demona będzie identyczny.

- Pojadę z tobą.
- Nie, poczekaj tutaj. Potrząsnął głową.
- Wykluczone. Ani na moment nie spuszczę cię z oczu.

Rozdział 29

Teddy siedział na łóżku obok zapłakanej, zgnębionej Tiffani, leżącej w aureoli rozczochranych włosów. Jaki właściwie był ich naturalny kolor? - zastanawiał się, patrząc na jej długie, potargane loki, efekt pracy wielu pozbawionych talentu fryzjerek i niezliczonych eksperymentów z farbą.

Wziął dziewczynę za rękę i przyglądał się złożonym i posrebrzanym tandetnym pierścionkom, które nosiła na wszystkich palcach. Jaskraworóżowy lakier na tipsach zaczynał się już łuszczyć. Podobnie jak pozłotka na bransoletkach.

Ilekcroć próbował się do niej dobierać, kręciła głową i jęczała:

- Nie teraz, Teddy. Jeszcze nie. Musimy porozmawiać.
- Więc porozmawiajmy, kiciu - powtarzał, ale wciąż nie doczekał się ani jednego rozsądnego słowa.

Stopniowo tracił cierpliwość.

Cholera jasna, zaklął w duchu. Długo będzie się tak bawić? Wciągnął już kilka smużek kokainy. Pora przystąpić do rzeczy. Niechże ta kretynka zacznie gadać.

- Martwię się o ciebie. Powiedz, co cię gnębi - namawiał.
- No bo... - zaczęła wreszcie. - Musimy o czymś porozmawiać.
- Dobrze. - Objął ją.
- No bo... - powtórzyła. - Obiecałeś, że te kapsułki nikomu nie

zaszkodzą. Te, które kazałeś dać koniom.

Teddy przez chwilę milczał, zastanawiając się, ile jeszcze głupot będzie musiał wysłuchać.

- Zgadza się - odpowiedział. - Nikomu nie mogą zaszkodzić.

- No bo... Trochę się zdenerwowałam. Dlatego zadzwoniłam po ciebie.

A potem zatelefonował Santo i mówił, że konie zupełnie poszalały. - Umilkła.

- Właśnie oddali do analizy krew i kapsułkę, którą upuściłam.

Teddy wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Upuściłaś kapsułkę? Skinęła głową.

- Tak, ale to bez znaczenia, Teddy, bo i tak wzięli krew do analizy.

Santo powiedział, że te konie są warte miliony dolarów i że zawiadomią policję. Straszyl, że już po mnie, bo tylko ja tam byłam.

- Nonsens! - warknął Teddy. - Niczego ci nie udowodnią.

- Wiem. Mogę powiedzieć, że wyszłam coś zjeść, co zresztą jest zgodne z prawdą, i każdy mógł wtedy wejść do stajni i to zrobić. Albo... - spojrzała na Teddy'ego. W jej oczach pojawił się twardy błysk. - Mogę się przyznać, że to ty mnie namówiłeś, abym dała koniom kapsułki, bo chciałeś dokuczyć swojej dziewczynie, lekarce, która umawia się z panem Conradem.

Teddy dostrzegł ten twardy błysk i zrozumiał, że Tiffani nie blefuje.

Jest gotowa to zrobić, pomyślał. Ta cholerna dziwka pograży i mnie, aby nie iść na dno samotnie. I to po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem.

Wtedy zaświtała mu genialna myśl.

Nikt nigdy nie widział ich razem. Nikt nawet nie wie, że się znają. Chyba że...

- Tiffani - odezwał się spokojnie - chyba nikomu się nie pochwaliłaś swoim wyczynem w stajni, prawda?

Pokręciła głową.

- Skąd, Teddy! Przecież nie jestem głupia. Uśmiechnął się z ulgą.

- Mądra dziewczynka.
- Ale moje koleżanki wiedzą, że z tobą chodzę. Wszystko im opowiedziałam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Teddy był zdruzgotany.

Kłamie? - zastanawiał się gorączkowo, ale szybko sam sobie odpowiedział, że nie. Pewnie przez całe lato przechwalała się tym idiotkom, że chodzi do łóżka z bogatym właścicielem domu, samym Teddym de Mornayem. I że dzięki temu mniej płaci za mieszkanie. A w dodatku dostaje darmowy towar. Jak teraz z tego wybrnąć?

W jego głowie błyskawicznie formował się plan. Powie jej, żeby się nie martwiła, że wszystkim się zajmie i przyjedzie wieczorem, tak jak się umawiali. Przyjadę po rozmowie z Marguerite, postanowił. Zabawimy się na całego. Przywiozę towar ekstra i dopilnuję, by łakoma Tiffani wzięła swoją działkę, a nawet więcej. Wynajmowała ode mnie domek, wyjaśnię potem gliniarzom, ale nie mam pojęcia, co jej odbiło, by potruć konie. Ładna dziewczyna, szkoda że przedawkowała.

Dochodziła siódma wieczorem. Val i Wyn umówili się, że później, gdy już skończy się ich długi dyżur w stajni, zjedzą razem kolację. Konie właściwie czuły się nieco lepiej, ale niektóre nadal były rozdrażnione. Ich nerwowość oczywiście udzielała się tym, które już ochłonęły. Możliwe, że minie wiele godzin, zanim sytuacja się unormuje. Wszystko zależy od tego, co dostały.

Val zdecydowała się zawiadomić policję o tym, co się wydarzyło w Stonelair. Funkcjonariusze rozejrzeli się po stajniach, a potem przesłuchali ją i Wyna. Opowiedziała im o otruciu Noego, śmierci Haydena i ustalono, że skontaktuje się z policjantami natychmiast po otrzymaniu wyników badań krwi i proszku. Wreszcie niechętnie przyznała, że jedyną osobą, która mogła mieć do niej pretensje, jest Teddy de Mornay.

Santo podał adres Tiffani, bo policjanci postanowili również ją przesłuchać. Wreszcie, gdy już pojechali, Val zgodziła się wpaść do domu, zajrzeć do Elvisa i wrócić na kolację. Wyn uspokoił ją, że Santo i Reinhardtowie będą dziś na miejscu, więc gdyby działo się coś złego, pomogą mu.

Valerie wzięła szybką kąpiel, umalowała się, uczesała i teraz zdesperowana przetrząsała szafę. Nie ma co na siebie włożyć! Odsunęła się i powiodła wzrokiem po ubraniach. Nic. Przeklinała się w duchu, że podczas wypraw do Nowego Jorku nie chciało jej się pochodzić po sklepach.

Wyn powiedział, że dzisiejsza kolacja będzie wyjątkowa, więc chciała wyglądać również wyjątkowo.

Przesuwała wieszak za wieszakiem, odrzucając kolejne zestawy. Nagle wpadła jej w oko długa dzellaba, pamiątka z podróży do Tangeru. Na śmierć o niej zapomniała. Wzięła wieszak i przyjrzała jej się z uśmiechem.

Idealna, pomyślała. Wynowi na pewno się spodoba. A jak się ubawi, kiedy opowiem mu, jak się o nią targowałam na bazarze.

Tradycyjna, luźna arabska szata z białej, półprzezroczystej bawełny sięgała jej do kostek. Wycięcie, długie rękawy i dół ozdobiono złotymi nićmi. Była zapinana do pasa na małe, też złote guziczki, przeciągane przez pętelki.

Wsunęła dzellabę przez głowę, zapięła parę guziczków i przejrzała się w lustrze.

Po prostu idealna, zachwyciła się, ciesząc się, że wygrzebała tę pamiątkę z Maroka. Odpowiednia na lato, seksowna, egzotyczna, elegancka, ale nie za bardzo strojna.

Teraz jeszcze tylko musi odszukać złote sandałki, które zawsze nosiła do dzellaby, i już będzie gotowa. Zanurkowała do szafy, przerzuciła stertę butów i *voilà*. Leżały na dnie, były w doskonałym stanie, trzeba tylko je przetrzeć.

Zaniosła je do kuchni, odświeżyła płatkami zwilżonego papierowego

ręcznika i wysuszyła drugim. Włożyła sandaalki. Doskonale wyglądały z jej arabskim strojem.

Wreszcie coś mi się dziś udało, pomyślała.

Spojrzała na ścienny zegar. Jeśli zaraz wyjedzie, może się nie spóźni. Upewniła się, że Elvis ma w misce wodę i karmę, złapała torbę i kluczyki. Sprawdziła, czy drzwi na taras są zamknięte, i ruszyła do wyjścia. Elvis podreptał za nią. Zatrzymała się przy drzwiach i poklepała go po łbie.

- Wrócę późno, staruszk, więc możesz się zdrzemnąć. - Popatrzyła mu w ślepią. - I obiecuję, że już wkrótce poznasz mężczyznę mojego życia i wszystkie jego zwierzęta.

Przytuliła go, wyprostowała się i wyszła, upewniając się, czy drzwi są dobrze zamknięte.

Po drodze zastanawiała się, co też zaplanował na dzisiaj Wyn.

Na czym ma polegać ten wyjątkowy wieczór? Może kogoś zaprosił?

Raczej nie, bo przecież z nikim się nie spotykał. W każdym razie Val nic o tym nie wiedziała. A przecież poprosił, by ubrała się staranniej niż zwykle.

Dlaczego? - zachodziła w głowę i nie znajdowała odpowiedzi. Może po prostu przygotował coś wyjątkowego do jedzenia?

Może.

Mknęła szosą, nie mogąc się doczekać, kiedy dotrze do Stonelair. Nie mogąc się doczekać, kiedy dowie się, co dla Wyna oznacza „wyjątkowy wieczór”.

O zmroku drogą do Stonelair podążała dobrana para. Za kierownicą służbowego range rovera siedział Santo. Kiedy dotrą na miejsce, jego współniczka po prostu ukryje się pod siedzeniem, dopóki samochód bezpiecznie nie wjedzie do garażu. I gdyby nawet - co mało prawdopodobne - ktoś zauważył Ducciego, nikt nie będzie nic podejrzewał, widząc go samego.

Santo rzadko korzystał z garażu przy domu, zwykle parkował przy

stajniach i robił sobie spacer, ale dziś zaopatrzył się nawet w pilota do drzwi garażowych.

Sezamie, otwórz się, pomyślał. A potem zamknij i ukryj naszą tajemnicę.

Na fotelu obok olbrzyma siedziała Arielle. Palila jedną cygaretkę za drugą, popijając wódkę z piersiówki. Ubrała się jak zwykle, wręcz wyzywająco - to z myślą o Duccim. Kusa spódniczka ze skóry, rozpięta do pasa przezroczysta bluzka, odsłaniająca ponętne piersi, i oczywiście szpilki. Santo zwrócił uwagę na jej strój. Wiedział, że Arielle pragnie go oczarować, tak jak po południu. Doskonale zdawał sobie też sprawę, że to wyrachowana suka. Ale jaka seksowna... Fantastyczna będzie z nich para.

- Dojeżdżamy - powiedział.

- Czyli mam zniknąć, tak? - spytała Arielle. Skinął głową.

- Zsuń się na podłogę i nie podnoś głowy, żeby nie sfilmowały cię kamery przy wjeździe.

Arielle wypila jeszcze łyk wódki i zsunęła się z fotela. Nisko pochyliła głowę, ale zdążyła jeszcze parę razy się zaciągnąć, nim oddała wypaloną cygaretkę Ducciemu.

- Tylko parę minut - pocieszył ją, głaszcząc po plecach. - Siedź tam spokojnie, dopóki ci nie powiem.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go. - Wszystko gra.

Dojechali do bramy. Santo przyhamował, zatrzymał się przy słupku i wprowadził kod. Kamery przypominały oczy bezlitosnej bestii, ale pomyślał, że nawet one nie wypatrzą dziś Arielle.

Brama się otworzyła, wjechali na teren Stonelair.

- Już jesteśmy w środku - powiedział Santo do Arielle - ale jeszcze się nie podnoś. Dopiero w garażu.

Wierciła się na podłodze niezadowolona.

- Byle szybko. Cała się wygniotę - narzekała

- Nie martw się, wygładzę każdą zmarszczkę - obiecał Santo.
- Nie wątpię. I już nie mogę się doczekać.

Rozdział 30

Teddy mknął swoim jaguarem, we krwi nadal buzowała mu kokaina. Nie obawiał się konfrontacji z Marguerite. Nie teraz. Był w świetnym nastroju, czuł się władcą świata.

Czymże jest jakaś rozmowa z Marguerite? - myślał. To pestka. Nic. *Nada.*

Stara zawsze jadła mu z ręki. I dziś będzie tak samo. On i matka Val rozumieli się bez słów. Zawsze za nim przepadała, wymarzyła go sobie na zięcia.

A może, zaświtało mu nagle w głowie, stanę się kimś więcej? W końcu to jeszcze niezła kobitka, a ja jestem w jej typie.

Tak, postanowił, skręcając w drogę prowadzącą do jej domu, założę się, że ją urobię, zaciągnę do łóżka i znikną wszystkie moje problemy.

Marguerite królowała u szczytu wspaniale nakrytego stołu. Naprzeciwko niej siedział Jamie, po jej prawej ręce - Teddy. Dania były proste, ale pięknie podane i pyszne: sałatka z zieleniny, łosoś w sosie koperkowo-cytrynowym, gotowane ziemniaki i fasolka szparagowa. Teddy jednak nie miał apetytu, grzebał w talerzu, jakby w ten sposób jedzenie mogło zniknąć samo, a wszystkim się wydawało, że zjadł posiłek.

Koka odebrała mu apetyt, a nieoczekiwana obecność Jamiego całkowicie popsukała nastrój.

- Bardzo się cieszę, że przyjechałeś, mój drogi - zwróciła się do Teddy'ego Marguerite. - Musimy porozmawiać.

Skinął głową.- Jak ci wiadomo - odezwał się Jamie - poprosiliśmy o przelanie naszych pieniędzy z powrotem do Dockeringa Wainwrighta.

- Tak, dowiedziałem się o tym i dlatego chciałem porozmawiać z Marguerite. Naprawdę uważam, że działacie pochopnie. Gdybyście dali mi szansę...

- Miałeś szansę - uciał Jamie.

- Właśnie - zawtórowała mu Marguerite, oskarżycielsko wysuwając w stronę Teddy'ego palec. - Chcę się dowiedzieć, co się stało z moimi pieniędzmi.

- Marguerite, wszystko wyjaśnię, jeśli...

- Słuchamy, Teddy - warknął Jamie. - Wyjaśnij, co się stało z pieniędzmi Marguerite. I moimi. Natychmiast.

Teddy przestał udawać, że je, i odłożył sztućce. Poprawił się na krześle. Ciągle jeszcze czuł działanie kokainy, w brzuchu mu burczało, czoło i kark zalewał mu pot. Wszystko się waliło. Czuł się, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Wyjaśnij, Teddy - nalegał Jamie. - W tej chwili. Wy tłumacz, jeśli masz jakieś usprawiedliwienie. Czekamy.

Teddy przywołał na twarz imitację uśmiechu, próbując wziąć się w garść. Wszystko, cała jego przyszłość, zależało od tego, czy zdoła przekonać tych dwoje, że nie tylko odzyskają pieniądze, ale je pomnożą. Wiedział, że musi zagrać na ich żądzy zysku.

- Jak wiecie, ostatnio na rynku pojawiły się znaczne fluktuacje, zwłaszcza w branży komputerowej... - zaczął.

- Tak, tak - przerwał rozzłoszczony Jamie. - Każdy głupek, który ogląda serwis gospodarczy CNBC, o tym wie.

- Otóż, na skutek owych fluktuacji... - podjął Teddy, decydując się rzucić im ziarno prawdy, w nadziei że ich ułagodzi. - Musiałem przelać

pieniądze z jednego rachunku na drugi. Rozumiecie, żeby pokryć chwilowe straty. Ale...

- Gdzie nasze pieniądze?! - ryknął Jamie.

- Właśnie - dodała Marguerite. - Przestań nam mydlić oczy, Teddy, i odpowiedz na to proste pytanie.

Zmierzył oboje lodowatym spojrzeniem. Nie przywykł, by ktokolwiek podnosił na niego głos. Nikt nie będzie się na niego wydzierał.

- Nie zamierzam tu siedzieć i pozwalać się obrażać - wycedził. - Za kogo się macie...?

Usłyszał za sobą szmer. Marguerite i Jamie popatrzyli w tamtym kierunku, więc też się obejrzał. Za jego plecami stał Dockering Wainwright z policjantami. - Teddy - odezwał się Dock - przykro mi, że muszę to zrobić. Możesz oszczędzić sobie wstydu i po prostu wyjść z tymi panami.

- Co ty bredzisz, stary?

- Chyba wiesz, o czym mowa, Teddy. Ucieliśmy sobie długą pogawędkę z twoją sekretarką, Lydią Parsons. Przepraszam, była sekretarką. Ci panowie przyszli cię aresztować.

- Mnie?! - krzyknął Teddy. - Oszalałeś! Za co?

Zerwał się z krzesła, potracając nogą stół, aż zadźwięczały srebrne sztućce, porcelana i kryształ. Rzucił się do drzwi, ale policjanci błyskawicznie zareagowali, chwytając go za ramiona i zatrzymując. Teddy nadaremnie próbował się im wyrwać. Przestała działać kokaina: miejsce poczucia wszechmocy zajęła świadomość absolutnej bezsilności.

- Jesteś aresztowany za przywłaszczenie sobie pieniędzy klientów, a także za malwersacje i Bóg jeden wie co jeszcze. - Dock odchrząknął. - Zechcą panowie odczytać mu jego prawa, żeby pani de la Rochelle nie musiała dłużej być świadkiem tej nieprzyjemnej sceny.

Policjanci założyli Teddy'emu kajdanki i poprowadzili go do drzwi.

- Zapłacisz mi za to, Dock - powiedział, wychodząc. - I ty też, Marguerite. Wszyscy mi zapłacicie.

Kiedy już policjanci zniknęli, Wainwright zwrócił się do Marguerite.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, udało nam się odzyskać większość twoich pieniędzy. I twoich też, Jamie. Na szczęście Teddy krótko nimi dysponował i nie zdążył poczynić większych szkód.

Marguerite podeszła do starszego mężczyzny i uścisnęła mu obie ręce.

- Dziękuję, Dock - powiedziała. - I wybaczyć, że odeszłam. Niemądrze postąpiłam.

- Twoja córka ma niezwykłą intuicję, Marguerite. Na przyszłość radzę ci częściej słuchać Valerie.

Siedzieli w oranżerii przypominającej wschodni ogród. W donicach rosły tu palmy, drzewka cytrynowe i pomarańczowe, całą wolną przestrzeń wypełniały przeróżne gatunki paproci, kwitnące orchidee, gardenie, kamelie. Symfonię woni kwiatów uzupełniały kadzidełka o gorzkawym zapachu pomarańczy. Razem tworzyło to niesamowitą egzotyczną, uderzającą do głowy mieszankę. W niektóre okna wstawiono kolorowe szkła witrażowe: czerwone, niebieskie i białe. Nad głowami Wyna i Valerie wisiał kryształowy kandelabr, w którym płonęły świece. Wystarczyła odrobina światła, by cała oranżeria napęłniała się blaskiem. W szybach odbijały się kryształowe kieliszki, srebrne sztućce i delikatna chińska porcelana.

Marmurową posadzkę przykrywały tureckie dywaniki. Nawet na stole leżał barwny wschodni kilim.

To naprawdę wyjątkowy wieczór, pomyślała Valerie. W tym cudownym otoczeniu luksus ludzkiego świata harmonizował z przepychem natury.

- Niewiarygodne - powiedział wcześniej Wyna, witając ją w progu - włożyłaś dzallabę! Idealny wybór na dzisiejszy wieczór. Strzał w dziesiątkę!

- Mówisz szczerze czy próbujesz mnie pocieszyć, bo wyglądam

idiotycznie?

- Nie, Val. Mówię szczerze. Zaraz sama się przekonasz.

I rzeczywiście, nie kłamał. Zaplanował dla nich wieczór jak z tysiąca i jednej nocy. Oranżeria zamieniła się w ogród paszy. Koberce, kadzidelka, kwiaty, rośliny i samo jedzenie sprawiały, że kolacja stała się prawdziwą wschodnią ucztą. Zjedli jagnięcinę z kuskusem, jakieś małe, smażone rybki i przepyszne, słodkie ciastka o smaku miodu i orzechów.

Wyn poszedł po brandy, którą postanowili wypić także w oranżerii. Nie chciało się im ruszać z tego bajecznego świata, przejdą do biblioteki dopiero, gdy świece się wypalą. Tam zaś, co do tego Valerie nie miała cienia wątpliwości, czekały ją inne przyjemności.

Zjawił się Wyn z brandy. Wyglądał fantastycznie w jedwabnym smokingu, wykończonym aksamitem. Wprawdzie żartował ze swego stroju i opowiadał, że matka przywiozła mu go przed laty z Paryża, ale Valerie widziała, że naprawdę go lubił.

Podał Val kieliszek i usiadł obok niej.

- Zdrowie - powiedział.

- Zdrowie - powtórzyła, unosząc kieliszek.

- A teraz - oznajmił Wyn - jeszcze drobiazg, który sprawi, że ten wieczór stanie się naprawdę wyjątkowy. Chyba już nadeszła ta właściwa chwila.

Valerie spojrzała mu w oczy.

- Przecież wszystko było nadzwyczajne i chyba już nic tego nie przebije.

- A jednak wydaje mi się, że to ci się spodoba. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął małe puzderko. Valerie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Natrętnie powróciły wspomnienia nieodległego wieczoru, gdy Teddy dał jej pierścionek, ale nie chciała, by zakłóciły ten wieczór. Nic nie może zepsuć tej jednej chwili - i miłości - którą odkryła dzięki Wynowi.

Wyn podał jej puzderko.

- Dla ciebie - powiedział. - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Otworzyła je bez wahania, głośno wciągając powietrze na widok zachwycającego, mieniającego się setkami barw kamienia.

- Och, Wyn... Nigdy nie widziałam równie pięknego! Naprawdę. To najpiękniejszy pierścionek świata.

Włożyła go bez ponagłania. Idealnie pasował na jej smukły palec.

Wyn uśmiechał się, nie odrywając oczu od Valerie, śledząc każdy jej ruch, chłonąc każde słowo, zachwycony jej reakcją. Pochyliła się, oparła mu dłoń na ramionach i pocałowała go w usta.

- Dziękuję, mój drogi. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odrzekł czule.

Znowu się pocałowali. Wreszcie Wyn się odsunął.

- Pokaż, niech zobaczę, jak wygląda na palcu.

Dumnie uniosła dłoń i poruszała nią, podziwiając grę światła w kamieniu.

- Idealnie pasuje do moich oczu.

- O to mi chodziło. Wierz mi, przeprowadziłem setki rozmów telefonicznych i obejrzałem niezliczone fotografie, nim wreszcie znalazłem brylant w sam raz dla ciebie.

- Brylant? - zdziwiła się Val. - To nie jest szmaragd?

- Nie. Zielony brylant.

- Nawet nie wiedziałam, że takie istnieją. - Jeszcze raz przyjrzała się kamieniowi.

- Trzymaj się mnie, kochanie, to dowiesz się tego i owego. Zajrzał jej w oczy i pochylił się, całując ją i otaczając ciepłem

swoich ramion. Valerie westchnęła ze szczęścia. Pocałunki Wyna, jego silne ramiona, już samo to wystarczało, by przeszedł ją dreszcz podniecenia.

Mogłabym tak zostać na zawsze, pomyślała, całując go gorąco. W jego objęciach, otulona bezgraniczną miłością mężczyzny, którego kocham.

- Chodź - szepnął Wyn, prowadząc ją do aksamitnej sofy, stojącej w bujnej zieleni wśród egzotycznych kwiatów. Ułożył Valerie, zrzucił smoking i wyciągnął się obok niej. Znowu wziął ją w ramiona, przyciągając do siebie, tuląc z miłością i szukając jej ust.

Valerie płonęła, czując dotyk jego twardego, niepokornego członka. Kiedy Wyn musnął wargami jej usta, zaczęła pieszczotliwie gładzić jego tors, marząc, by ta cudowna chwila trwała wiecznie.

Wyn błędził ustami po jej szyi, z czułością całował delikatną skórę dekoltu, by wreszcie dotrzeć do prawie niewidocznego zagłębienia między piersiami. Wdychał cudownie słodki, kobiecy zapach Valerie, a jej serce wypełniały szczęście, pożądanie i miłość do tego mężczyzny, którego każdy ruch ją rozpalał.

- Rozbierzmy się - szepnął, unosząc się i spoglądając jej w oczy.

Skinęła głową z uśmiechem. Wyn wstał, ujął ją za rękę i w parę chwil rozebrał do naga. Potem Valerie rozebrała jego i stanęli twarzą w twarz, zafascynowani widokiem swych nagich ciał.

Wyn wodził palcami po ramionach Valerie, a potem przesunął dłonie na jej gładkie piersi. Zachłysnęła się i przywarła do niego, jakby zakreśliło jej się w głowie. Naprawdę zaś nie mogła już znieść rozdzielania. Całowała jego potężne bary, tors, zacisnęła dłonie na jędrnych pośladkach. Czowała na szyi gorący oddech Wyna, a między udami twardość jego członka.

Uniósł ją i ułożył ponownie na miękkim aksamicie. Pochylił się nad Valerie, jakby zamierzał w nią wejść. Zwlekał jednak, pieszcząc dłońmi jej piersi, a potem chwycił sutki w usta, drażniąc językiem na przemian to jedną, to drugą. Valerie ujęła jego nabrzmiąły członek i zaczęła delikatnie wodzić po nim palcami. Wyn głośno wciągnął powietrze i opadł na nią, przywierając

wargami do jej ust i nie mogąc już dłużej czekać.

Valerie objęła go, przygarniając do siebie. Wszedł w nią wolno, czule, rozkoszując się ciepłem jej wilgotnego wnętrza. Kiedy poczuła go w sobie, górę wzięło pożądanie. Poruszała się coraz szybciej, nie mogąc się doczekać radości spełnienia. Lecz Wyn nadal panował nad sobą, starając się jak najbardziej przedłużyć ich wspólną rozkosz.

Valerie próbowała opóźnić chwilę ostatecznego spełnienia, ale powolne, głębokie pchnięcia rozpalały w niej taki żar, że już wkrótce doszła na szczyt. Jej drżące ciało zalewały kolejne fale rozkoszy, przynosząc ekstazę i radość, jakich nigdy jeszcze nie doświadczyła. Krzyknęła i z całej siły przywarła do ukochanego.

Jej reakcja jeszcze bardziej rozpłomieniła Wyna. Wycofał się, zawahał, a potem wszedł w nią jednym, potężnym pchnięciem. Potem z jękiem opadł całym ciężarem na jej ciało. Oddychał ciężko i zasypywał pocałunkami jej twarz.

- Kocham... cię... Val... - szeptał bez tchu. - Tak bardzo... cię kocham.

- A ja... kocham ciebie - powiedziała, przytulając go do siebie. Przez chwilę leżeli bez słowa, powoli się uspokajając. Wreszcie

Wyn ułożył się obok Val, przyciągając ją do siebie.

- Mówiłem już, że cię kocham? - zapytał, obejmując ją mocno.

- Owszem - odrzekła. - Ale możesz to powtarzać tak często, jak zechcesz. Pod warunkiem, że ja też będę mogła.

- Masz moje pozwolenie - zapewnił ją uroczyście. - I zachęte.

- Kocham cię, Wyn.

- Ach, Val - szepnął, czule ją całując. - Nie wierzę własnemu szczęściu.

Przytulił ją, a potem nieco się odsunął i spojrzał jej w oczy.

- Czy jaśnie pani zamierza udać się dziś do biblioteki?

- Lepiej chodźmy od razu, inaczej nigdy tam nie dotrzemy.

- Masz rację - odrzekł ze śmiechem.

Wstali, a Wyn kapturkiem zaczął gasić świece. Potem ubrali się i wyszli z oranżerii. W progu Valerie jeszcze się obejrzała, chłonąc wzrokiem każdy szczegół.

To najcudowniejszy wieczór mojego życia, pomyślała. A wszystko wydarzyło się tu, w tym zaczarowanym miejscu, w tej jednej chwili, której nie zapomnę po kres swoich dni.

- Reinhardtowie niczego nie zauważyli - powiedział Santo. - Światła są pogaszone, pewnie już chrapiają. Wcześniej chodzą spać.

- Pamiętam - odrzekła Arielle. - Ci nudziarze zawsze kładli się z kurami.

Siedzieli na kanapie w mieszkaniu Ducciego, ze szklankami w rękach.

- Czyli nikt nie wie, że tu jesteśmy?

- Mało prawdopodobne, żeby Wyn i ta jego lekarka coś zauważyli. A nawet jeśli, widzieliby tylko mnie, jak jadę do domu.

- A co to za historia z tymi kamerami wideo, przed którymi mnie ostrzegałeś? - spytała Arielle.

- To proste. Kamery zarejestrowały, jak wyjeżdżałem po ciebie. Zarejestrowały nasz przyjazd, ale na taśmie będzie widać tylko mnie, bo ty się schowałeś. Potem zarejestrują mój samotny wyjazd po zabiciu Wyna; samotny, bo ty znowu będziesz niewidoczna. I wreszcie zarejestrują mój powrót nad ranem. Mogę zapewnić sobie alibi, usuwając fragment taśmy z moim pierwszym przyjazdem i wyjazdem z tobą; dzięki temu będzie się wydawało, że kiedy zginął Wyn, mnie w Stonelair nie było. Musiałbym tylko zakombinować z zegarami, żeby się wydawało, że to tylko jedno nagranie. Powiem, że spędziłem całą noc poza domem. Dogadałem się już z jedną dziewczyną, że zostanę u niej na noc i zapewni mi alibi. - Urwał i wypił łyk alkoholu. - Są różne wyjścia, wszystko zależy, jak będę chciał to rozegrać.

- To wszystko wydaje mi się okropnie skomplikowane - powiedziała Arielle. - Musiałbyś tu zostać, żeby przestawić zegary i podmienić taśmy.

Skinął głową.

- Fakt. Dlatego myślę, że lepiej po prostu wyrwać te cholerne kamery, jak będziemy wyjeżdżać. Zabierzemy je, a potem gdzieś wyrzucimy. A jutro rano przyjadę po upojnej nocy z tamtą lalą i będę wstrząśnięty tym, co się wydarzyło pod moją nieobecność.

- To mi się podoba - pochwaliła go Arielle. - Nie jest takie skomplikowane.

Zaciągnęła się cygaretką i wypuściła dym pod sufit. Potem spojrzała na współnika.

- A jak go sprzątniesz?

- Zaraz ci pokażę.

Wstał i zniknął w sypialni, by po chwili zjawić się ze zwiniętym ręcznikiem. Usiadł obok Arielle i rozłożył ręcznik. Na białym materiale leżał ciemny, błyszczący od smaru rewolwer.

- To Smith & Wesson mark 22 z tłumikiem. Nazywają go czasem „Cicho, piesku”.

- „Cicho, piesku” - zachichotała. Sięgnęła po rewolwer, ale Santo chwycił ją za rękę.

- Jest naładowany, a ja nie życzę sobie żadnych głupich pomysłów.

- Nie ufasz mi?

- Ufam, ale wypadki chodzą po ludziach. Urażona Arielle wypła drinka i odstawiła szklankę.

- Kiedy to zrobisz? - spytała.

- Zawsze, jak odwiedza go ta lekarka, wcześniej czy później lądują w bibliotece. Wyn praktycznie tam mieszka. Jedna ściana to niemal w całości drzwi na taras. Zaczaję się koło nich na zewnątrz i będę czekał na odpowiednią

chwilę. Straszna szkoda, że powiedział lekarzom, że przestał brać zastrzyki. To znacznie by ułatwiło sprawę. A tak, trzeba będzie sprzątnąć oboje.- Chcę na to patrzeć.

- Rozmawialiśmy o tym w motelu. Wziąłem cię tylko na wypadek, gdyby coś mi się stało. Wtedy oboje nas stąd wywieziesz. Bez względu na wszystko będę musiał sobie poradzić z kamerami, ale ty możesz prowadzić.

- A jeśli dostaniesz w głowę i stracisz przytomność? - przestraszyła się Arielle. - Nie udźwignę cię, a ty nie będziesz mógł zniszczyć kamer.

- Przecież wszystko już omawialiśmy. To po prostu niemożliwe. Oboje będą na celowniku, a ja nigdy nie puduję. Poza tym moment jest idealny. Po tej aferze w stajni będzie wyglądało, że sprzątnęła ich ta sama osoba, która naszprycowała konie prochami. Same plusy. Nic nie nawali.

Arielle nie wyglądała na przekonaną.

- A gdyby już naprawdę coś mi się stało, w co nie wierzę, wskoczysz do range rovera i uciekniesz stąd, jakby cię diabli ścigali. Przejeżdżając przez bramę, zasłoń głowę ręcznikiem czy czymś w tym stylu, a potem niech Lolo pomoże ci pozbyć się samochodu.

Zgniotła cygaretkę w popielniczkę.

- Mimo wszystko wołałabym się przyglądać. Chcę zobaczyć, jak Wyn i ta jego lalunia zaliczają po kulce.

- Masz czekać tutaj - powtórzył z naciskiem Santo. - Gotowa do wyjazdu. To bardzo ważne. - Objął ją i przytulił. - Daj spokój, Arielle. Dostaniesz to, czego zawsze chciałaś. Całą forszę Wyna. I mnie.

Mocno pocałowała go w usta.

- Masz rację, Santo. Wszystko dobrze się ułoży, a ja wreszcie zdobędę to, o czym marzyłam.

Wyn i Valerie, przytuleni do siebie weszli do biblioteki. Jak zwykle powitały ich wilczarze, podrywając się z legowisk i dopominając się pieśczoć.

Valerie przemawiała do nich, sprawiedliwie dzieląc uwagę między wszystkie cztery i każdemu pozwalając starannie wylizać swój nowy brylant.

- Widzisz? - Spojrzała na Wyna. - Wiedzą, że to nowy pierścionek, dlatego tak starannie go wylizały.

Uśmiechnął się do niej czule.

- Ty zawsze o wszystkim myślisz?

- Staram się.

- Włączę muzykę. Jakieś specjalne życzenie?

- Nie, sam wybierz. Psy się ułożyły, a Valerie krążyła po bibliotece, przyglądając się książkom, obrazom i bibelotom. Na jednej z półek zobaczyła kilka skórzanych, otwartych pudeł. W środku, w satynowych zagłębieniach spoczywały przepięknie zdobione pistolety i rewolwery. Wyjęła jeden, by dokładniej mu się przypatrzeć. Był inkrustowany złotem, srebrem i brązem. Nigdy jeszcze nie widziała takiego cacka, może tylko na zdjęciach w katalogach domów aukcyjnych.

- Uważaj - powiedział z drugiego końca pokoju Wyn, przeglądając płyty. - Niektóre są naładowane.

- Piękna broń.

- To kolekcja ojca. Niektóre są warte majątek.

- Czy kiedykolwiek z nich strzelałeś? - spytała Val, odkładając broń na miejsce.

- Jasne. Kiedy podrosłem, tata ze mną ćwiczył. Ale tylko na strzelnicy. Nigdy nie lubił polowań, a ja tak samo.

- Założę się, że dobrze strzelałeś.

- Nie aż tak dobrze jak tata, ale nieźle.

Włożył do odtwarzacza płytę i włączył. W pokoju zagrzmiały dźwięki dawnych instrumentów.

- Trochę przeholowałem - powiedział i ściszył muzykę, a potem z

kieliszkiem w rękę podszedł do ściany.

Zgasił górne światła, zostawiając zapalone tylko punktowe lampki nad obrazami i dwie lampy stojące. Usiadł na skórzanej kanapie i obserwował Valerie.

- Co to jest? - spytała. - Ten utwór.

Wyjęła następny bogato zdobiony pistolet i przyglądała mu się z bliska.

- Hiszpański renesans, szesnasty wiek. Lubię czasem słuchać takiej muzyki.

- Ma w sobie niesamowity... magnetyzm. Piękne.

Odłożyła pistolet na miejsce i przysiadła się do Wyna. Wyciągnęła przed siebie dłoń i z zachwytem przyglądała się pierścionkowi.

- Jest piękny.

Pochyliła się i pocałowała Wyna. Odstawił kieliszek i objął ją mocno. Całowali się z żarem, ich usta i języki poznawały swój smak, ich dłonie obrysowywały kontury ciał. Czas i przestrzeń zniknęły, kochankowie przenieśli się do własnego, odosobnionego świata. Z trudem chwyтали powietrze, paliło ich pożądanie.

Valerie niechętnie się odsunęła. Spojrzała mu w oczy.

- Za-zaraz wracam - szepnęła. - Chcę się odświeżyć.

- Tylko szybko. Będę czekał.

Wstała, całując go w czubek głowy. Potem bosą pobiegła po miękkim dywanie do najbliższej łazienki, nie mogąc się doczekać, kiedy wróci w spragnione ramiona Wyna.

Samotny obserwator, od stóp do głów ubrany w czerń, starał się śledzić każdy ruch Valerie i Wyna w oranżerii, przeklinając witraże w oknach, utrudniające mu obserwację. Tajemnicza nieruchoma postać patrzyła jak zauroczona, gdy Wyn dawał Valerie pierścionek, a ona wsuwała go na palec. A później rzucili się na siebie jak zwierzęta. Potem obserwator wraz z nimi

powędrował tam, gdzie zawsze kończyli wieczór: do biblioteki. Valerie kręciła się po pokoju, Wyn przebierał w płytach. Valerie bawiła się zabytkowymi pistoletami. Potem znowu zachciało im się igraszek na kanapie. Wreszcie Valerie wstała i wyszła z biblioteki.

Teraz! To właśnie ta chwila!

Paść na kolana, przeczołgać się przez taras, otworzyć drzwi balkonowe, wstać...

A potem:

Pac!

Pac!

Pac!

Pac!

Cztery wilczarze osunęły się nieprzytomne; potężny środek uspokajający znajdujący się w strzałkach natychmiast zadziałał.

Wynowi, który stał przy odtwarzaczu kompaktowym, wydawało się, że usłyszał jakieś dziwne trzaski. Odwrócił się i ujrzał przed sobą ubraną na czarno postać.

- Co...?-zaczął.

Pif! Heckler & Koch z tłumikiem wypalił prawie bezgłośnie, niemal całkowicie zagłuszony przez muzykę.

Siła wystrzału odrzuciła Wyna do tyłu. Runął na podłogę, z rany na głowie trysnęła mu krew.

Valerie weszła do biblioteki w chwili, gdy padał. Zasłonięta ścianą książek, z przerażeniem patrzyła, co się dzieje na drugim końcu pokoju. Potem cicho i ostrożnie, by nie zdradzić swojej obecności, pochyliła się i przemknęła do półki, na której leżały pistolety. Chwyciła pierwszy, który wyczuła drżącymi palcami, a potem wyprostowała się i złożyła do strzału. Biegąc na taras, Santo zauważył w otwartych drzwiach balkonowych sylwetkę kobiety.

Uśmiechnął się zadowolony.

Bułka z masłem, pomyślał. Najpierw ona, potem on.

Wypalił i w tej samej chwili usłyszał strzał. A przecież jego Smith & Wesson miał tłumik.

Co, u licha? - pomyślał. Ale grunt, że upadła. Czyli ta lala już załatwiona. Teraz trzeba sprzątnąć Conrada.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł swego chlebodawcy.

Gdzie on się podział? - zachodził w głowę olbrzym.

W tej samej chwili zobaczył zakrwawionego Wyna, rozciągniętego na podłodze.

Co tu jest grane?

Nie tracił jednak czasu na domysły.

Te strzały... Lepiej się stąd zrywać.

Roztrzęsiona Valerie stała, ściskając w drżących dłoniach pistolet. Od huku wystrzału dźwięczało jej w uszach. Nawet z tej odległości widziała, że Wyn nie żyje. Czowała to. Leżał nieruchomo obok szafki z drewna orzechowego, w której stał sprzęt muzyczny. Oczy miał otwarte, z rany na głowie sączyła się krew. Nie dawał oznak życia.

Podeszła do drugiego ciała. Ciała człowieka, którego ona sama zabiła. Spojrzała na bladą twarz.

Boże! Daphne Collins.

Dlaczego? - pytała w duchu, wpatrzona w zwłoki. Przecież się przyjaźniłyśmy.

Nadal w szoku, rozejrzała się po pokoju.

Krew.

Była wszędzie.

Valerie stała nad trupem - nad ciałem Daphne, poprawiała się - przyglądając mu się beznamytnie. Oczy dziewczyny, w których zwykle

błyszczała wesołość, teraz były zimne jak gład. Martwe. Usta, zwykle tak skore do uśmiechów, zacisnęły się w bezbarwną, wąską kreskę. Jej blond włosy przypominały sploty Meduzy, były rozczochrane, pozbawione blasku.

Po trwającej wieczność minucie Valerie przyklęknęła obok ciała. Krew poplamiała dywan. Na podłodze, tam gdzie spoczywała głowa Daphne, rozlała się galaretowata plama o kształcie nerki. Valerie poczuła w nozdrzach charakterystyczny, metaliczny zapach. Była do niego przyzwyczajona, nie zrobiło jej się słabo ani nie miała mdłości. Z kamiennym spokojem uniosła ubrudzone krwią dłonie Daphne, starając się wyczuć uderzenia pulsu. Nie znalazła go, ale tego akurat się spodziewała. Zdarzyło jej się już zetknąć ze śmiercią i teraz widziała, że to koniec. Mimo to uporczywie szukała pulsu, jak gdyby w ten sposób mogła wzbudzić bicie serca, którego - wiedziała - i tak nie usłyszy. Po kilku próbach delikatnie odłożyła rękę Daphne na dywan i wstała.

Nie ulegało wątpliwości, że Daphne Collins nie żyje.

Ona też, pomyślała Val bez emocji. Była jak ogłuszona, nic nie czuła. Zachowywała się niczym lunatyczka. Nie myślała, funkcjonowała jak automat. Nadal zachowywała kamienny spokój, w oczach nie błysnęła jej nawet łza żalu. Gdyby ktoś teraz ją zobaczył, pomyślałby, że jest jak bryła lodu.

Podeszła do biurka, wzięła słuchawkę i pewną dłonią wybrała numer. Nie czuła strachu. Usłyszawszy na drugim końcu linii głos, oznajmiła spokojnym, obojętnym tonem:

- Tu doktor Valerie Rochelle. Właśnie zabiłam człowieka.

Rozdział 31

Santo pobiegł do swojego mieszkania i wpadł jak burza do środka.

Arielle poderwała się z kanapy. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

- Co się stało? Słyszałam strzały!
- Sam nie wiem. Coś się popieprzyło.
- Chryste! - zawołała Arielle. - Lepiej się zrywajmy.
- I to galopem, nim przyjadą tu gliny. - Wyciągnął z kieszeni broń i

uważnie jej się przyjrzał.

- A co z Reinhardtami? - spytała Arielle.

- Światła nadal mają pogaszone. Chyba nic nie słyszeli. - Znowu popatrzył na rewolwer i wsunął go za pasek. - Tłumik wygląda normalnie, powinien być zadziałać - powiedział, nadal nie mogąc zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

- Skoro twój tłumik działa, to kto jeszcze strzelał?

- Nie mam pojęcia. Niewiele widziałem. Tylko to, że lala dostała. Nie zamierzał teraz przyznawać się Arielle, że Wyn leżał cały we krwi na podłodze, ale to nie on go sprzątnął. Na to jeszcze przyjdzie czas.

- Pewnie jednak tłumik... - zaczęła Arielle.

- Pospiesz się. Nie mamy czasu na pogaduszki, musimy natychmiast się stąd wynieść. A w ogóle, miałaś czekać w samochodzie.

Arielle chwyciła piersiówkę i pobiegła do kuchni. Powiodła wzrokiem po butelkach, stojących na blacie i wreszcie wybrała rosyjską wódkę.

- Pospiesz się - syknął Santo. Już ją wyprzedził i biegł przez pralnię do garażu. Arielle pomknęła za nim z butelką w ręku.

Santo uruchomił samochód i otworzył pilotem drzwi do garażu.

Wyjechał tyłem na podjazd, skręcił w drogę, prowadzącą obok stajni i ruszył do bramy.

Zrywamy się stąd, przed nami wolność.

Cholera! Kamery wideo. O mały włos byłby o nich zapomniał. Kiedy dojedzie do bramy, zerwie je i zabierze. A potem zjawi się jutro rano, tak jak

planował.

Wcisnął gaz do dechy, nie mogąc się doczekać, kiedy wyrwie się z tego miejsca.

Stała pochylona nad ciałem Wyna. Bariera chłodu, reakcja mózgu, broniącego się przed potworną rzeczywistością, powoli zaczynała pękać. Do tej pory Valerie poruszała się, jakby kierował nią autopilot. Skupiona na Daphne, prawie nie myślała o tym, co stało się z Wynem.

Teraz jednak zaczęła dygotać, nie potrafiła się przemóc, aby do niego podejść. Zbierało jej się na torsje, ruszyła więc w stronę łazienki. Nagle znieruchomiała. Wyraźnie usłyszała jęk.

To gdzieś w pobliżu odtwarzacza kompaktowego, pomyślała.

Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz, ale odwróciła się i zajrzała do pokoju.

Z bijącym sercem ruszyła do miejsca, gdzie wcześniej leżał Wyn, i stanęła jak skamieniała. Przez moment sądziła, że zemdleje. Ciało zniknęło. Zobaczyła ślady krwi, prowadzące do biurka, a potem samego Wyna, który powoli czołgał się do telefonu.

- Wyn! - zawołała, pędząc ku niemu.

Dopadła do niego i osunęła się na klęczki. Z oczu trysnęły jej łzy. Znowu jęknął, tym razem głośniej. Poruszył głową, próbując spojrzeć na Val.

- Cześć, pani doktor - powiedział z trudem. - Dostałem.

- Wiem - szlochała. - Wiem...

- Valerie - poprosił - otwórz... otwórz tę szufladę. Wskazywał palcem małą szufladkę w biurku. Valerie natychmiast ją otworzyła.

- Co to, Wyn? Co to jest? - pytała.

- Widzisz... widzisz rząd guziczków? - Tak.

- Wciśnij mocno ten z napisem: „brama wjazdowa”. Zrobiła, co kazał, a potem odwróciła się do niego. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wyrwało

się tylko westchnienie.

- Cii... - uspokajała go. - Już wezwałam policję. Zjawią się tu lada moment z karetką. Sądziłam, że nie żyjesz, Wyn. Wyglądałeś jak martwy, a wszędzie było tyle krwi.

Popatrzył na nią, w kącikach jego ust pojawił się uśmiezek.

- To... to nic, Val.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, przecież wyraźnie widziała ślad, zostawiony przez kulę na jego czaszce. Zdaje się, że rana była powierzchowna, lecz Valerie nie zamierzała ryzykować.

- Wyn, nie ruszaj się.

Musi mu jakoś pomóc. Trzeba powstrzymać upływ krwi, bo nadal krwawił, widać to było choćby po rozszerzającej się plamie na dywanie.

- Leż spokojnie, zaraz wracam.

- Nie zostawiaj mnie, Val.

- Poczekaj moment, muszę tylko znaleźć jakieś nożyczki.

Pospiesznie przeszukiwała wzrokiem biurko, wreszcie w kubeczku na blacie wypatrzyła nożyczki. Chwyciła je, wróciła do Wyna i zaczęła odcinać dół swojej dzellaby.

- Psy - wymamrotał.

- W strzałkach musiał być środek nasenny. Zaraz je wyjmę, ale psy nie od razu się obudzą. Nie martw się, nic im nie będzie.

- Kocham cię - powiedział z wysiłkiem.

Range rover zatrzymał się przed bramą. Santo wcisnął guzik pilota, by ją otworzyć. Kiedy skrzydła nawet nie drgnęły, spróbował jeszcze raz. Nadal nic.

Co, do diaska? - zastanawiał się gorączkowo.

Wyskoczył z samochodu i skierował pilota prosto w bramę. Żadnej reakcji.

Co jest grane?

Podbiegł do bramy, wciąż naciskając guziki, ale to nic nie zmieniło. Dopadł do niej, z całej siły szarpał za metalowe pręty. Nic. Skrzydła ani drgnęły.

- Chryste! - zaklął głośno.

- Co się stało? - zawołała Arielle z samochodu.

- Pilot nie otwiera bramy!

- Jak to, nie otwiera?

- Tak to, głupia dziwko! - ryknął. Pobiegnął do samochodu i wskoczył za kierownicę.

- Teraz się trzymaj - ostrzegł Arielle. - Musimy sforsować bramę, bo nie mogę jej otworzyć.

Cofnął wóz, ustawił go na wprost miejsca, gdzie stykały się oba skrzydła, i wcisnął gaz do dechy. Samochód poderwał się z rykiem i z impetem rąbnął w bramę. Huk zagłuszył nawet pisk Arielle.

Brama nie ustąpiła.

- Przestań, kurde, wyć! - ryknął Santo.

Wziął dłuższy rozpęd. Potężny wóz terenowy z prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę uderzył w bramę. Huk był nawet potężniejszy niż poprzednio.

Przypiętemu pasami Ducciemu nic się nie stało, ale Arielle poleciała najpierw do tyłu, potem do przodu, tak że omal nie wypadła przez przednią szybę.

Santo po raz trzeci przymierzał się do ataku na bramę, gdy usłyszał zawodzenie policyjnych syren i karetek; z daleka migotały ich czerwono-niebieskie koguty. Nad głowami uciekinierów rozległ się warkot śmigłowców, oświetliły ich potężne reflektory. Po drugiej stronie bramy pojawiły się radiowozy i ambulanse. Wtedy jej skrzydła rozwarły się jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki.

Santo wyskoczył z samochodu i próbował uciec, ale dopadli go dwaj policjanci. Wykręcili mu ręce i zakuli w kajdanki.

Dwóch następnych funkcjonariuszy podbiegło do samochodu. Otworzyli drzwiczki od strony Arielle. Ta zaczęła krzyczeć i płakać, wrywała się i kopała. Mimo to wyciągnęli ją z samochodu i również zakuli w kajdanki.

- Państwo wróć z nami - oświadczył rosły policjant, podchodząc do Arielle i Santa. - Zabierzcie tych dwoje do wozu.

W bibliotece krzżeli się policjanci i sanitariusze. Wyn leżał już na noszach, właśnie chciano go zabrać do karetki.

- Dzięki Bogu - powiedziała Valerie.

Spojrzała na funkcjonariusza, który stał przy niej. Według identyfikatora, nazywał się Cawley.

- Panie Cawley, ja muszę z nim pojechać - tłumaczyła gorączkowo. - Muszę.

- To pani nas wezwała, tak? -Tak.

Policjant ostrożnie uniósł do góry pistolet, z którego Val strzelała do Daphne.- To ten? - spytał, pokazując go Valerie. Wyn dźwignął się z noszy.

- Nie mogłaś jej tym zabić, Val. Jest naładowany ślepakami. -Spojrzał na Cawleya i skrzywił się z bólu. - Niech pan sam sprawdzi. W tym pistolecie i niemal we wszystkich pozostałych są wyłącznie ślepe naboje.

Cawley spojrzał na broń, a potem na Valerie.

- Może pani jechać do szpitala - powiedział.

Rozdział 32

Wyn i Valerie zsiadli z koni i zaprowadzili je przed stajnię, gdzie

przejął je Helmut Reinhardt. Potem ramię w ramię poszli zwirową ścieżką w stronę domu. W powietrzu czuło się już nadchodzącą zimą, było chłodno i szaro. Z komina nad biblioteką unosiła się smuga dymu.

Uszy i nosy mieli zaczerwienione z zimna, ale im samym najwyraźniej ono nie przeszkadzało. Pod kurtkami mieli grube swetry. Zresztą, byli zbyt szczęśliwi, by chłód zwarzył im nastroje.

W bibliotece czekały już cztery wilczarze i Elvis, który po dwóch dniach zaprzyjaźnił się z nimi i stał się pełnoprawnym członkiem stada. Valerie i Wyn zdjęli kurtki i rękawiczki. Potem, jak się rozgrzeją, przebiorą się w coś bardziej swobodnego.

Wyn podszedł do barku i nalał brandy. Podał kieliszek Valerie, swój unosząc w geście toastu.

- Zdrówko, pani Conrad.

- Zdrówko, panie Conrad - odrzekła.

Pobrali się dwa tygodnie temu. Ślub wzięli w oranżerii. Zaprosili nawet Marguerite, która była pod wrażeniem Stonelair i uznała, że Wyn może nawet okazać się godny zaszczytu poślubienia panny de la Rochelle. Za to nie podobała jej się obecność zwierząt na tej podniosłej uroczystości.

Państwo Conrad stuknęli się kieliszkami i usiedli na skórzanej kanapie.

- Cudowna przejażdżka - powiedział Wyn.

- Tak, wspaniała - zgodziła się z nim Valerie. - Jak głowa? Nic cię nie boli?- Nie. Zabawne, od kiedy przestałem się tym tak przejmować, zapomniałem o bólu. Choć niewiele brakowało - dodał, patrząc na żonę.

- Bardzo niewiele.

- Wiedziałem, że dobrze robię, zrywając z Daphne Collins - powiedział z powagą. - Była ładna, inteligentna i pociągająca. Spotykaliśmy się przez parę miesięcy, mniej więcej w tym samym czasie, gdy poznałem Arielle. W pewnym momencie uświadomiłem sobie jednak, że Daphne jest przesadnie,

dziwnie zaborcza i postanowiłem z nią zerwać. Nie miałem pojęcia, że przyjechała tu za mną, gdy kupiłem Stonelair. I pomyśleć, że kiedy się zorientowała, iż zaczęliśmy się spotykać, z zawiści zabiła ulubieńców twoich przyjaciół! W głowie mi się nie mieści, że nasz dawny niewinny flirt mógł dla niej aż tyle znaczyć.

Valerie poklepała go po ramieniu.

- To nie twoja wina. Po prostu zachorowała, miała niebezpieczną obsesję na twoim punkcie. W niczym się do tego nie przyczyniłeś.

- Wiem. To samo powtarzała mi Colette.

- Colette? - zdziwiła się Valerie. - Rozmawiałeś z nią?

- Zapomniałem ci powiedzieć, że dziś telefonowała. Była cała w skowronkach.

- A co mówiła?

- Niech się skupię - odrzekł Wyn. - Bardzo dużo. Roześmiali się oboje. Colette przepadała za Wynem. Zresztą, z wzajemnością. Teraz zajmowała się domem Valerie, dopóki ta nie zdecyduje, czy go sprzedać.

- Sprawiała sobie nowego afrykańskiego jeża. Nazwała go Spike.

- Cudownie. To znaczy, że przynajmniej choć w części pogodziła się ze śmiercią Haydena.

- Dostała go w prezencie od Eddiego i Jonathana - powiedział Wyn. - Czyż to nie miłe z ich strony?

- Piękny gest. To cały Eddie.

- To mi podsunęło pewien pomysł, ale najpierw muszę go z tobą uzgodnić.

-Tak?

- A może podarowalibyśmy im szczeniaka husky, który zastąpiłby Noego?

- To fantastyczny pomysł, ale najpierw wybadam grunt. Upewnię się, czy już do tego dojrżeli.

- Słusznie. Bo mogłoby się okazać, że uszczęśliwiamy ich na siłę i muszą robić dobrą minę do złej gry. Valerie spojrzała na niego. Serce wezbrało jej dumą i miłością. Czemu to zawdzięczam, pomyślała po raz tysięczny, że mam takiego cudownego, kochającego i wrażliwego męża?

- Colette bardzo się cieszy, że otwierasz własną lecznicę - mówił dalej Wyn. - Kazała ci pogratulować. A zła wiadomość, którą przekazała, choć właściwie powinienem powiedzieć, smutna, jest taka, że Tiffani Grant skazano za posiadanie narkotyków i próbę otrucia koni. Podała im amfetaminę. Paskudny, bardzo mocny koncentrat. Zapomniałem, jak brzmiały konkretne zarzuty, ale Colette na pewno dokładnie ci powie.

Zerknął na Valerie. Odkrycie, że Teddy sypiał z Tiffani, było dla niej prawdziwym ciosem. Pragnęła wierzyć, że choć odrobinę ją kochał, a okazało się, iż od początku traktował ją instrumentalnie i nigdy nie darzył jej uczuciem. To sprawiło, że zwątpiła w siebie, i Wyn robił, co w jego mocy, by odbudować jej poczucie własnej wartości.

- Jak sądzisz, co się z nią stanie?

- Trudno powiedzieć. Upiera się, że nie wie, co podała koniom.

Wszystko zależy od sędziów przysięgłych. Czy jej uwierzą? Ale i tak może wyjść z tego obronną ręką.

Valerie przez dłuższą chwilę milczała, zapatrzona w przestrzeń.

- A Teddy? - spytała wreszcie. - Już coś wiadomo?

- Colette mówi, że postawiono mu wiele zarzutów, choć dochodzenie jeszcze nie zostało zakończone. Wiadomo już, że sprzeniewierzył pieniądze klientów, złamał przepisy SEC. Chryste, a to dopiero początek. Podobno jego sekretarka...

- Lydia? - spytała Valerie.

- Tak, chyba takie imię wymieniła Colette. To właśnie Lydia jest głównym świadkiem oskarżenia. Całe szczęście, że zdecydowała się odejść od Teddy'ego akurat wtedy, inaczej twoja matka i kuzyn mogliby się pożegnać ze swoją forszą.

- Cieszę się, że prawie nic nie stracili.

- Największymi przegranymi w tej całej historii są Teddy, Tiffani, Santo i Arielle. Santo dostałby ode mnie ładną emeryturkę, a tak będzie pompował w więziennej siłowni za zamordowanie Daphne. Tak samo Arielle. Dostałaby ode mnie kupę szmalu, tymczasem wylądowała w pace. Zgubiła ją chciwość.

- Masz rację. Zaslugują wyłącznie na litość. Wyn spojrzal na żonę i wziął ją za rękę.

- Val, nigdy nikogo tak nie kochałem i nie poważałem jak ciebie.

- Dlaczego mówisz mi to akurat teraz? - zapytała ze śmiechem.

- Bo właśnie kolejny raz mi to uświadomiłaś. Litujesz się nad tamtymi dwojgiem, chociaż wcale na to nie zasłużyli. Życzysz dobrze swojej matce, choć tak brzydko cię potraktowała. Zaprosiłaś ją nawet na ślub. Kto inny, sądzę nawet, że prawie każdy, odwróciłby się od niej.

- Nie mogłam tego zrobić.

- Nie, ty nie mogłaś. - Przytulił ją. - Co powiesz na to, żebyśmy zrzucili te ciężkie łańcuchy i poszli na górę naprawdę się ogrzać?

- A na pewno ma pan na to siły, panie Conrad?

- Jeszcze jak, pani Conrad.

- Zdaje się - powiedziała Val, zaglądając w jego ciemne oczy - że doskonale mnie znasz.

- Znam i dlatego tak cię kocham - odrzekł, pochylając się nad nią i mocno ją całując.